



Nina Majewska-Brown

# NINA

Historia, która mogłaby przytrafić się także tobie





Nina Majewska-Brown

**NINA**



Tej autorki polecamy również:

Wakacje

Zwyczajny dzień

Jak się nie zakochać

Grzech

Notes kuchenny

*Tę książkę dedykuję Tobie,  
droga Czytelniczko*



ierzyć się nie chce, ile człowiek ma narządów, które można przebadać i zdiagnozować, choć mam wrażenie, że moja teściowa posiada ich zwielokrotnioną liczbę. Oczywiście nim zabierze się do nich lekarz, pobolewają ją, niepokoją albo zwyczajnie są i należy sprawdzić, czy aby na pewno działają. Ostatnio na tapecie mamy plamkę żółtą, parodontozę, potencjalne problemy z sercem i skórą. Bezradna w obliczu tych dolegliwości służba zdrowia zdiagnozowała alergię, zwyrodnienie kręgosłupa i początki depresji, do których pani Aleksandra oczywiście się nie przyznaje.

Wydzwania do mnie z każdym niepokojącym objawem i zwyczajną potrzebą wygadania się. Zaczęłam się nawet zastanawiać nad zmianą numeru telefonu. Przy okazji wyszło na jaw, że jej grono nie jest najlepszym powiernikiem dla jej bólu, bo samo cierpi na różne schorzenia, a w dodatku od roku znalazły się w nim trzy implanty bioder, dwa zawały i jedna amputacja palca cukrzycowego. Problemy teściowej wypadają przy tym blado.

– Nie dziwota, że mam problemy z sercem po tym wszystkim, co mi zafundowaliście.

– Ja niczego mamie nie fundowałam.

Boże, dlaczego mówię do niej „mamo”? Odbiło mi? Od czasu rozstania z mężem kobieta upatrzyła mnie sobie, traktując jak mosiężną rurę ściekową, którą można spuścić wszelkie troski, także te zdrowotne, lęki i złość na Roberta oraz jego nową partnerkę, Barbarę. A ja jak ostatnia kretyńka dałam się wciągnąć w ten proces.

– Nie. Zupełnie. Czy ty naprawdę nie widzisz, że gdyby nie twój pomysł z sanatorium, nic by się nie wydarzyło?

Starsza pani nie dostrzega absurdu całej sytuacji. Teść przecież nie zostawił jej z powodu ich wielkiej miłości, pełnej zrozumienia i tolerancji, tylko dlatego, że wyjechał na trzytygodniowy wypoczynek. Raczej urok własny teściowej, zanikający z każdym miesiącem ich wieloletniego pożycia, a w zasadzie jego brak, sprawił, że pulchna, pogodna Basia przykuła jego uwagę i na stare lata odzyskał radość życia. Słyszałam to tyle razy, że nauczyłam się milczeć, więc tylko czekam, co będzie dalej, choć spodziewam się, co nastąpi.

– Dziś mam test Amslera, wiesz, w tej klinice na Wielkiej.

Oczywiście, że w klinice na Wielkiej. W przypadku teściowej nie ma opcji, by coś było przeciętne, małe i swojskie. Wszystko musi być nieprzeciętne.

Wyjątkowe. I z wielką metką, nawet adres skądinąd rzeczywiście znanej kliniki.

– Tak?

– A tak przy okazji: skoro jadę badać oczy, to mogę mieć problem z dotarciem potem do domu i pomyślałam, że może mnie odbierzesz.

Taa, jeszcze tego brakowało, żebym rzuciła wszystko i gnała na złamanie karku, by wozić nieżyczliwe mi babsko po lekarzach.

– Niestety to niemożliwe. Zaraz wychodzę do pracy, a po drodze muszę zawieźć dzieci do przedszkola.

Słyszę głośne sapnięcie w słuchawkę i zalewa mnie wodospad pomysłów i pretensji.

– Jak to? A ten twój nowy chłopak nie może ich podrzucić?

– Nie, nie może.

Po co się jej tłumaczę...?

– Gdzie ty go w ogóle znalazłaś? Zupełnie nie rozumiem, co w nim widzisz. No, oczywiście, przystojny jest, może nie tak jak Wojtek, ale światła przy nim gasić nie musisz, jednak jego podejście wcale mi się nie podoba. Jak można być takim samolubem? Czy on naprawdę nie rozumie, że masz pewne zobowiązania? Ci dzisiejsi mężczyźni! Ale czego się spodziewać po kimś z takiej rodziny... Phi, matka na kasie w markecie pracuje, też coś. A jego ojciec? Mechanik. Trzymajcie mnie, ludzie.

Klik.

Rozłączam się. Nie wiem, czy pani Aleksandra zarejestrowała, że mnie nie ma, ale nie mam wątpliwości, że nadal trajkocze. W miarę rozmowy z nią coraz mocniej rozbijałam plastry schabu na kotlety, aż w końcu mięso przestało wyglądać seksownie. Zła na siebie, że daję sobą manipulować starej kobiecie, ze zdwojoną zawziętością roztrzepuję jajka w niebieskiej miseczce odziedziczonej po babci. Rozchlapuję je po całym blacie i na myśl o tym, że za chwilę będę musiała sprzątnąć cały ten bajzel, robi mi się słabo.

Tłuszcz skwierczy na patelni, a ja mam ręce oklejone tartą bułką, gdy ponownie dzwoni telefon. Nie patrząc na wyświetlacz, usiłuję łokciem wcisnąć zieloną ikonkę, ale osiągam tylko tyle, że aparat spada na umazane jajkiem kafelki. Cholera, nawet nie zauważyłam, że białko malowniczo spłynęło po blacie i zasiedliło kapeć oraz podłogę.

Kuchnia wygląda, jakby gotowała w niej Klara, a nie odpowiedzialna matka. Nie wiem, dlaczego funkcjonuję na coraz krótszym luncie emocji, ale czuję, jak nerwy napinają się do granic i jestem bliska eksplozji. Chce mi się płakać i chyba nie mam siły na kolejny dzień burzliwych przeżyć.

Podobno miłość uskrzydla, dzięki niej odkrywamy smaki i aromaty życia, o których zapomnieliśmy, nastraja nas pozytywnie i sprawia, że mamy ochotę fruwać. Niewątpliwie prawie mam odlot. Czuję się jak balon, z którego ktoś nagle

wypuścił powietrze i wystrzelił w niekontrolowany lot pod sufit. W uszach aż świszczy ze strachu i niepokoju. Ania na dobre się wyprowadziła, a Olo, zdaje się, na dobre się wprowadził. Pomijam banalną dodatkową szczoteczkę w kubku w łazience, bardziej paraliżuje mnie świadomość, że w moim domu pojawiły się czyjeś oczekiwania i zasady.

– Mamo, co na obiad?

Klara, radosna jak wiatrówka na myśl o śrucie, podskakuje na jednej nodze, co rusz potrącając deskę do krojenia, na której piętrzą się obierki po ziemniakach i skorupki jajek. Jedna z nich spada i dołącza do rozlanego jajka. Tłuszcz się spalił i teraz ponuro dymi w kierunku niewłączonego okapu.

– No, to co na obiad?

– Przestań skakać! Czy ty nie możesz ustać pięciu minut?

– Mogę, ale wolę skakać. To co z obiadem? Robisz kotleciki?

– Tak, usiłuję...

– Pomóc ci?

Mam ochotę przytaknąć i pognać na piętro do łóżka, wsadzić głowę pod poduszkę i nie wychylać się, dopóki Antoś nie skończy osiemnastu lat. Ale zdobywam się jedynie na słaby uśmiech i oświadczam:

– Nie, schabowe są na jutro, dziś McDonald.

– Naprawdę?! Juhu, super! To jedziemy?

– Za chwilę, włóż buty.

Wylewam spalony tłuszcz do zlewu, wycieram podłogę papierowym ręcznikiem i w zasadzie, zostawiając za sobą całe to pobjowisko, jestem gotowa do wyjścia.

Wyprowadzam powoli samochód, uważając, by nie przytrzeć zderzaka o słupki bramy, i wyjeżdżam na ulicę. Mała trajkocze, a ja znowu, wcale jej nie słuchając, przytakuję. Ćwiczenie czyni mistrza i doskonale wiem, kiedy jest pora na *ach* i *dlaczego*. Po piętnastu minutach docieramy na autopilocie do McDrive'a. Zapelniam samochód torbami z frytkami, mcchickenami i nuggetsami, a przede wszystkim zapachem, który będę wietrzyła do końca tygodnia.

Klara jest taka szczęśliwa, że nie rozumiem, po co szarpałam się ze schabowymi, ekologicznymi ziemniakami i bałaganem, który krok w krok podąża za moim gotowaniem.

Mimo że obiecywałam sobie przejście na dietę, moje kubki smakowe zwariowały na widok żółtego neonu, a ślinianki napompowały taką ilość śliny, że nie mogłam się oprzeć, i teraz, stojąc na poboczu, pochłaniam wieśmaca. Boże, jakie to dobre. Kalorie rozpychają się we mnie i fundują cudowne poczucie zaspokojenia. Jest mi tak dobrze, że mogłabym przysnąć. Ale oczywiście kolejne przystanki – żłobek i przedszkole – czekają wraz z pasażerami, których muszę zgarnąć do domu.

– Mamo, a wiesz, że nasi sąsiedzi będą mieć hodowlę piesków?

– Jakich piesków?

Z niepokojem obserwuję ekscytację Klary, gdy mówi o szczeniętach... dobermanów. Już jeden wiecznie ujadający czarny diabeł w sąsiednim ogrodzie wystarczy, a co dopiero armia posikujących gdzie popadnie psich klonów.

– Tych ślicznych. U pani za płotem.

– Koszmar.

– Dlaczego? Przecież one są takie śliczne.

– Zwłaszcza gdy ujadają i ma się wrażenie, że zaraz nas zagryzą.

– A babcia mówiła, że do zwierząt trzeba mieć podejście, może ty go nie masz.

– Obawiam się, że w przypadku tego konkretnego psa to nie ma znaczenia.

– A babcia mówi, że najważniejsze to się nie bać, bo zwierzęta to czują.

Znając teściową, podejrzewam, że lata temu zwierzyła, że się jej boję, bo do niedawna jeździła po mnie jak po łysej kobyle. Teraz najwyraźniej sama krwawi, skoro wygłasza takie złote myśli.

– Pewnie ma rację, ale cokolwiek byś czuła, nigdy, przenigdy nie zbliżaj się do tych psów.

– Dlaczego?

– Bo mogą cię ugryźć.

– A babcia mówiła...

– Klara, babcia nie zna Rocky'ego i nie wie, jaki potrafi być groźny, więc proszę, żebyś mnie posłuchała.

– No dobrze, ale babcia mówi, że ty wolisz koty i dlatego nienawidzisz psów.

Mam ochotę rzucić się teściowej do gardła za jej głupie teorie, ale że nie ma jej obok, przetykam głośno ślinę i przez zaciśnięte zęby cedzę:

– Babcia nie ma pojęcia, co lubię, a czego nie.

– A skąd wiesz?

– Bo nigdy mnie nie zapytała.

– Ona mówi, że po tobie to widać.

Wszystko we mnie pulsuje, a postanowienie, że muszę porozmawiać z panią Aleksandrą, niczym tam-tam wali mi w skroniach.

– Spójrz na mnie. – Mała wpatruje się w moje odbicie w lusterku wstecznym i najwyraźniej analizuje moją twarz, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu.

– I co widzisz? Wolę kawę z mlekiem czy czarną?

Zdumiona przygląda mi się, jakbym zapytała o gęstość zaludnienia Grenlandii, i rzuca:

– A skąd mam wiedzieć?

– Przecież babcia mówi, że to widać.



– Ty nic nie rozumiesz.

Obrażona wsadza nos w szarą torbę z McDonalda i chudymi paluszkami wydłubuje dwie długie frytki, z których na siedzenie opada solny pył. Mam tylko nadzieję, że nie wytrze tłustych rąk w tapicerkę. Włączam radio, które zaczyna ryczeć reklamą jakiejś sieci oferującej największe i najlepsze telewizory w cenach bez podatku VAT, za to w atrakcyjnych ratach zero procent. Przełączam na inną stację, gdzie, o zgrozo, wrzeszczy ten sam głos, z tą różnicą, że proponuje mi zakup pralki. Klikam, przełączając się z Trójki na Radio Zet, wbijam się w RMF FM, omijam Radio Classic i wreszcie moje ucho pieści rzewna melodia, która jednak bynajmniej nie jest wstępem do rockowej ballady, lecz zaproszeniem do odmówienia kolejnej dziesiątki różańca. Mam dosyć. Wyłączam radio i w ciszy, brnąc przez coraz gęściejsze korki, przebijamy się do przedszkola.

Marysia każdego ranka płacze, że musi do niego iść, i jeszcze głośniejsze zawodzi, gdy ma je opuścić i wrócić do domu. Tak jest i dzisiaj. Siedzi naburmuszona w piaskownicy i ignoruje moje prośby.

- Spieszmy się, Klara czeka w samochodzie, chodź wreszcie.
- A nie możesz odebrać mnie później?
- Nie, musimy jechać do domu.
- Ale Kasia i Julka jeszcze nie poszły i chciałam lepić z nimi zamek.
- Kochanie, nie teraz, ale możemy zaprosić je do nas do domu.
- Dzisiaj?
- Zadzwońię do ich mam i się umówimy, OK?
- No dobra.

Niechętnie zmienia przedszkolne tenisówki na niebieskie sandały i z niezadowoleniem spogląda na Antka, którego właśnie odebrałam ze żłobka. Z perspektywy swoich czterech lat czuje wyższość nad roześmianym maluchem, któremu prawdopodobnie jest obojętne, czy pobawi się ulubionym drewnianym piaskiem w domu czy tutaj. Samochód eksploduje zapachem frytek, na które dzieci reagują entuzjastycznie, mimo że dopiero co zjadły obiad. Napychają buzie przetworzonymi ziemniakami, a Antek ciamka chrupki kukurydziane. Zajęte jedzeniem na szczęście nic nie mówią, pozwalając mi zatopić się w myślach. Boże, jak ja tęsknię za ciszą i chwilami tylko dla siebie.

Docieramy do domu. Brama jest otwarta, na podjeździe stoi z otwartymi drzwiami i bagażnikiem samochód Olafa. Na trawniku suszą się zlane wodą ze szlaucha gumowe wycieraczki, a foteliki dzieci, oparte o płot, noszą ślady ssawki odkurzacza. Radio dudni, zagłuszając niemrawy silnik mojego nowego karschera. Olo szamocze się w środku auta, klnąc pod nosem na zalegające wszędzie okruchy ciastek i czipsów. Myślę, że sporo kosztuje go dewastowanie jego nowego samochodu przez moje dzieci, które co prawda starają się nie bałaganić, ale siłą rzeczy znaczą teren okruchami i zostawiają wszędzie zabawki.

Pierwszy raz widzę go tak wkurzonego, jednak gdy tylko nasze oczy się spotykają, uśmiecha się radośnie, a ja zastanawiam się, jaki jest naprawdę.

– O, już jesteście.

– Cześć.

– Fajnie, głodny jestem.

Mam ochotę wcisnąć mu do ręki resztki z McDonalda, ale nie robię tego. Za to zostawiam pod jego opieką dzieciaki i zrezygnowana człapię do kuchni. Wyjmuję z lodówki przerobiony na carpaccio schab. Kuchnia jest wyczyszczona i błyszczy, nie ma śladów mojej wcześniejszej walki. W pierwszej chwili tego nie zauważam, znowu brudząc jajkami niebieską miseczkę. Po raz pierwszy od kilku miesięcy, gdy Olo został na noc, czuję się we własnym domu skrępowana. Nie wiem, czy słusznie odczuwam wstyd, że zostałam zdemaskowana i wcale nie jestem taka porządna, jak staram się wyglądać.

Miałam nadzieję na wolne popołudnie, a tymczasem jak zawsze muszę przygotowywać obiad. Fast food mnie nie uratował.

Magda oszalała. Właśnie wymyśliła, że po serii zabiegów mezoterapii i botoksu kolejnym elementem dbania o formę jest zmiana diety i przejście na wegetarianizm z elementami weganizmu. W pakiecie z tym pomysłem pojawiła się Mariola, dietetyczka, która ustawia jej jadłospis, a w dodatku gorąco namawia do głodówek, ćwiczeń na siłowni i medytacji. Martwię się, bo moja przyjaciółka nie tylko straciła kilka kolejnych kilogramów, ale najwyraźniej również płąt mózgu odpowiedzialny za logiczne myślenie.

– Mówię ci, to rewelacja. Też powinnaś pić sok z buraków.

– Oszalałaś? Nie mam czasu na takie rzeczy.

– A powinnaś. Fajnie, że Olaf zwrócił na ciebie uwagę, ale powinnaś o siebie zadbać.

– Przesadzasz.

Jestem na nią zła. Dawno już mamy za sobą etap pod tytułem *przykro mi, ale* i czuję, że brniemy w sferę najgorszą z możliwych, gdzie moja przyjaciółka, z uwagi na naszą bliskość i zażyłość, rości sobie prawo do szczerości, która mnie rani. Zakończyła kolejny kilkumiesięczny związek z młodszym facetem i teraz mam wrażenie, że zwyczajnie jest zazdrosna o to, że ktoś się mną zainteresował.

– Popatrz na siebie. Mam wrażenie, że znowu przytyłaś. I mówiłam ci, żebyś zrobiła coś z czołem. Nie widzisz, jak ci się marszczy?

– Może mi się to podoba?

– Starzenie? Sama się oszukujesz.

Niestety ma całkowitą rację, ale za żadne skarby nie przyznam się, że to, co widzę w lustrze, podoba mi się coraz mniej.

– Magda, przestań. Nie to jest najważniejsze.

– A niby co? Dzieciaki zaraz wyjdą z domu, a ty zostaniesz sama jak zaschnięty rodzynek w ostatnim kawałku sernika. Tego chcesz?

– Oczywiście, że nie.

– No widzisz.

– Jasne, że fajnie być młodym, ale nie mam zamiaru robić z siebie tablicy Mendelejewa, wstrzykując sobie co się da i gdzie się da.

– A kto ci każe? Wystarczy, że wreszcie zaczniesz prawidłowo się odżywiać.

– Myślałam, że jesteś fanką mojej kuchni.

– Byłam. Ale uświadomiłam sobie, że te wszystkie masła i śmietany tylko zatykają ci tętnice i prowadzą prostą drogą do udaru. Przecież nie chcesz być

warzywem.

Automatycznie wyobrażam sobie, jak bezwładna, ze ściekającą z ust strużką śliny leżę w przepoconej pościeli, a moje ciało upstrzone odleżynami pali mnie, nie dając chwili wytchnienia od bólu, co nie znaczy, że od razu radykalnie zmienię dietę i filozofię życia. Zresztą jako matka trójki dzieci raczej nie dam rady skupiać się na potrzebach własnego organizmu. Sięgam po smolistą kawę i słyszę kolejny syk Magi:

- Przystań pić to świństwo.
- A co mam pić?
- Wodę z imbirem.
- Mam uczulenie na imbir i jak tylko go zjem, boli mnie głowa.
- Imbir jest najzdrowszy.
- Ale nie dla mnie.
- Oj tam, gadanie. Musisz się przełamać.
- Dzięki. Dobre czterdzieści lat przyzwyczajałam organizm do mięsa, kawy i alkoholu, a teraz mam to wszystko rzucić w cholerę i przekonać się do ziół?
- Nie zdajesz sobie sprawy, jak życie zgodnie z fazami księżyca i potrzebami własnego organizmu zmienia percepcję.
- Obawiam się, że mój organizm stanowczo domaga się czarnej kawy, inaczej zaśnie.
- Widzisz! Sama przyznajesz, że jesteś śpiąca.
- Tak... – mówię podejrzliwie.
- Nie rozumiesz? Powinnaś się położyć, a nie pić kawę.
- Jak mam się położyć? Muszę odebrać dzieciaki.
- Nic im się nie stanie.
- Żartujesz? Mam leżeć w łóżku i wypoczywać, podczas gdy one czekają?

Nie ma mowy.

- Nina. Zrozum, nie jesteś służącą.
- Rozumiem – odpowiadam coraz bardziej wściekła – ale ty musisz pojąć, że mam obowiązki i w przeciwieństwie do ciebie nie mogę pozwolić sobie na luz.
- Myślisz stereotypami. Musisz się oderwać.
- Od macierzyństwa?
- Tego też. Dzieci są tylko dodatkiem.
- Całym moim światem.
- I tu też się mylisz. Są dzieci, a potem ty i twoje potrzeby. Słyszałaś o liofilizowanych burakach? Rano jedną łyżkę zalewasz gorącą wodą, pijesz i masz odporność komandosa.
- Magi, daj spokój, ja tam wolę mój poranny rytuał kawowy.
- Jasne. Rób tak dalej, ale potem nie przychodź do mnie, ja ci nerki nie oddam!

– Zwariowałaś?  
– Teraz „zwariowałaś”, a później będziesz panikować. Zresztą rób, jak chcesz.

– Tak zrobię.  
– A jak tam narzeczony?  
– Chyba dobrze. – Rumienię się jak przyłapana na pierwszym pocałunku nastolatka.

– Opowiadaj, opowiadaj.  
– Niby co mam opowiadać? Wprowadził się, Klara niespecjalnie jest tym zachwycona, co daje mu odczuć na każdym kroku, a maluchom jest to chyba obojętne.

– I co z tym zrobisz?  
– Z czym?  
– No, z Klarą i z nim.  
– Nie wiem. Olo bardzo się stara. Mam nadzieję, że ją do siebie przekona.  
– Tak, tylko kiedy?  
– Magda, naprawdę nie mam pojęcia, ale jest coraz lepiej.  
– Wiesz, że musisz być czujna.  
– Oczywiście. Mam nadzieję, że mała zrozumiała, że Olaf nie ma zamiaru zająć miejsca Bartka.

Ziuta, jak zwykle zainteresowana welonem niemrawo pływającym w słoju na kuchennym blacie, wylądowała tuż obok filiżanki z kawą. Spojrzała rozszerzonymi miodowymi oczami prosto w moje źrenice i niezadowolona uciekła pod stół.

– Ziuta, czyś ty oszalała? Wynocha!

Grzeczny, mądry kot uwolnił mnie od kłopotliwej spowiedzi. Magda, korzystając z chwili zamieszania, wsadziła do ust białą kulkę raffaello i teraz ją mieli, udając, że nic nie je. Śmiać mi się chce, ale nie mam ochoty dyskutować o konsekwencji w przestrzeganiu diety, więc potulnie skupiam się nad obieranymi jabłkami, z których upiekę szarlotkę. Żółtawe skórki tworzą spirale na talerzyku i mam ochotę je schrupać, ale powstrzymuję się w obawie, że znowu zostanę skrytykowana i wywołam niepotrzebną scysję.

Magda, najwyraźniej zasłodzona, cichaczem upija kawę z mojej filiżanki i widzę, jaką rozkosz sprawia jej ten skradziony łyk. Nim uda mi się skomentować jej zachowanie, w progu kuchni pojawia się Olo w bokserkach.

– O, cześć.

Kłapiąc bosymi stopami, podchodzi do Magdy i cmoka ją w policzek. Czuję się zażenowana jego strojem i mimo że obiecywałam sobie tego nie robić, porównuję go z Bartkiem, który nigdy nie pokazałby się gościowi w negliżu, nawet gdyby to była moja stara przyjaciółka.

– Cześć, przystojniaku.

Odbiło jej. Albo mi. Jestem zazdrosna? A może mam podstawy? Spoglądam na nich, gdy tak patrzą sobie w oczy i cmokają się w policzki. Naprawdę zwariowałam. Po tylu latach małżeństwa najwyraźniej zapomniałam, jak to jest na początku związku. Co prawda pozbyłam się dręczącej niepewności co do uczuć Olafa, ale jeszcze nie ujarzmiłam odruchowej zazdrości, która co rusz kiełkuje, kiedy widzę go z inną kobietą.

– Co jecie?

– No, właśnie nic. Magda mi tłumaczy, że niewłaściwie się odżywiam i powinnam o siebie zadbać.

– Racja.

– Drań. Uważasz, że nie dbam o siebie?

– Nie to miałem na myśli, ale jemy zdecydowanie za dużo mięsa.

– Wiecie co? Odbiło wam. Jesz kawałek na obiad i to wszystko.

– I to o kawałek za dużo. Mięso zakwasza organizm.

– To gotuj sobie sam.

– Nie obrażaj się, potwierdzają to najnowsze wyniki badań.

– A mnie się wydaje, że człowiek od zawsze był wszystkożercą.

– Jak świnia, nie, Olo? – Szczęśliwa Magda dorzuca swoje trzy grosze, czekając na moją reakcję.

Jestem wściekła i mam ochotę wyjść, ale jestem u siebie, więc niby gdzie miałabym pójść?

– Zmówiliście się czy co? – Czuję się osaczona we własnym domu.

– Nie gniewaj się, kochanie, ale jesteśmy w takim wieku, że najwyższy czas zadbać o zdrowie.

– Właśnie: zdrowie! Nie oczekujcie, że zmienię wszystko.

– Wcale nie masz zmieniać wszystkiego. Wystarczy, że przerzucimy się na inną kuchnię. Moja mama może ci pokazać, co i jak się robi. Wyciszmy się i zaczniemy uprawiać sport. W zasadzie ty zaczniesz.

Im więcej gadają o wyciszeniu, tym bardziej jestem zła. Nienawidzę sportu, tego idiotycznego biegania, kiedy czuję się jak chomik w kołowrotku, siłowni ze spoconymi, gapiącymi się facetami i jogi. Nudnej jogi, podczas której mam kontrolować myśli i oddech, a zamiast tego mój umysł porządkuje kolejne niezłatwione sprawy, na których czele są problemy związane z dziećmi. Długoterminowe szkolne projekty Klary, biegunki Antosia i nocne moczenie Marysi, która rozpaczliwie tęskni za mamą. Czy ja muszę uprawiać sport? Czy bez tego dorobię się figury amerykańskiej miłośniczki fast foodów? I wreszcie, czy gdy będę jadła mięso, moje tętnice się zatkają jak toi toi po koncercie rockowym? Oczywiście w rozmowie z nimi dwojgiem nie mam żadnych argumentów. Doszło do tego, że boję się zaproponować im cokolwiek do picia czy jedzenia. Docierają

do mnie strzępy wypowiedzi, podczas gdy w myślach układam nowe menu knajpy.

– Nie, białko kurze można zupełnie wykluczyć... Hummus! Uwielbiam... –  
Niestety to głos Olafa.

Po wyjściu Magdy zapewne zażąda przygotowania mdłej papki z ciecierzycy, której nie cierpię. I wcale nie chodzi o ilość przypraw, rodzaj ziarna i sposób wykonania. Po prostu nie znoszę tego czegoś, ble.

Wreszcie Magda sięga po swoją wielką patchworkową torbę, którą za chore pieniądze kupiła w Berlinie. Nie rozumiem, po co tyle płacić za rzeczy, które udają stare i tanie, ale to jej specjalność.

Zostajemy sami. Olaf przygląda mi się w skupieniu, a ja nadal nie mogę przyzwycząić się do jego obecności w moim domu. Widzę, że bardzo się stara nie zaburzać mojej przestrzeni, nie wchodzić w paradę dzieciom, a jednak... To zdecydowanie dziwne i nieokreślone uczucie przebywać w domu z nowym facetem, mieć nowego faceta, planować z nim życie i zastanawiać się, jak i z kim po śmierci zostaniemy pochowani. Ja z nim czy ja z Bartkiem? A może w radosnym trójkącie?

Olaf wniósł do naszego domu spokój i ciepło. Nagle przestał kapać kran w ogrodzie, śmieci same ładują się do kubłów przed domem, a trawnik zyskał na soczystości i zieleni. Samochód jest czysty i dziwnym trafem płyn do spryskiwaczy się nie kończy. Przy Olafie przestałam bać się nocy i bezsenności. Tego, że nie zasnę, albo odwrotnie, że zasnę, ale obudzę się o drugiej nad ranem. Ograniczyłam leki, dzięki którym funkcjonowałam od śmierci Jaśka i Bartka.

Z drugiej strony, mam kogoś, kto posapuje i pochrapuje na poduszce obok i doprowadza mnie do szału tym, że zakłóca ciszę. Przywykłam do samotności i teraz nawet tak niewielka zmiana mnie denerwuje, i najchętniej eksmitowałabym go z sypialni do pokoju po Ani. Olo z podziwu godną zawziętością usiłuje uporządkować moje życie: od prania w łazience poczynając, przez zawsze czyste blaty w kuchni, po rośliny w ogrodzie. Jestem oszołomiona jego skrupulatnością i nadal nie mogę przyzwycząić się do tego, że ktoś w moim własnym domu zwraca mi uwagę, że rzucam rzeczy gdzie popadnie. Natomiast dzieci zyskały kumpla, z którym od czasu do czasu można się pobawić w piaskownicy. Klara co prawda spogląda na niego z dystansem. Nadal tęskni za Anią, bo dziewczyna wyprowadziła się do kawalerki Sławka, z którym zaczęła się spotykać wiosną, i teraz wpada do nas tylko okazjonalnie, żeby sobie dorobić, pilnując wieczorem maluchów.

– Mamo, co mam włożyć?

Dziś ważny dzień. Na obiad przychodzą rodzice Olafa, których znam tylko ze słyszenia. Jestem podekscytowana i przejęta, ale nie na tyle, by od rana pucować kąty. Oczywiście ogarnęłam rynek, usunęłam bardziej widoczne pajęczyny, po czym przenieśliśmy swoją działalność do kuchni i zabrałam się do przygotowywania

pieczeni z dzika. Nie wiem, czy to najlepszy pomysł, ale tylko to znalazłam w zamrażarce, a jakoś sklep mięsny był mi nie po drodze. W postaci bryły lodu, zawiniętej w dodatku w wielką foliową reklamówkę, polędwica z dzika sprawiała wrażenie znacznej i całkiem sporej, jednak w miarę rozmrażania stawała się coraz mniejsza, by wreszcie przybrać rozmiar niewielkiej kulki, więc teraz się stresuję, czy wystarczy dla wszystkich. Umyte mięso przekładam do glinianej formy, polewam octem winnym, wódką, miodem, musztardą, pieprzem, solą i dorzynam charakterystyczny, ciężki zapach mięsa majerankiem. Otulam je warzywami korzeniowymi i wsuwam na cztery godziny do piekarnika. Zyskuję czas na nakrycie stołu, co jest moją ulubioną i relaksującą czynnością. Tym razem niestety jest inaczej. Niechcący pociągam za sobą obrus i słyszę, jak z brzękiem na drewnianej podłodze rozbija się moja ulubiona zastawa. Oczywiście nie cała, zaledwie pięć talerzy, ale to wystarczy, żeby zdekompletować serwis po babci. Chce mi się płakać, a to dopiero początek lawiny katastrof.

Ktoś, po chwili rozpaczony okazuje się, że Olaf, włożył do zmywarki kryształowe kieliszki, które po cyklu intensywnego mycia, namaczania i szorowania nie dość, że są matowe, to w dodatku noszą wyraźne ślady zarysowań. Cholera jasna.

Wreszcie rozstawiam na obrusie siedem talerzy, serwetek i dalej, mnożąc przez siedem, nakrywam do obiadu, i nareszcie mogę się zająć swoim wyglądem. Teoretycznie oczywiście, bo okazuje się, że mam zaledwie dziesięć minut, czyli akurat tyle, żeby wskoczyć w czarną sukienkę i nie zdążyć na nowo pomalować paznokci. Odprysnięty żel nie wygląda elegancko, więc w desperacji nakładam kolejną warstwę czerwonego lakieru, licząc na słaby wzrok starszych państwa. Dzieci, jakby wyczuwając moje napięcie, zamiast grzecznie siedzieć przed telewizorem, co w naszym domu jest limitowaną przyjemnością, łążą za mną, dopytując:

- A kto przyjdzie?
- Rodzice Olafa.
- A po co?
- Żeby nas poznać.
- Ale po co?
- Bo są ciekawi, gdzie teraz mieszka ich syn.
- A dlaczego?
- Bo dobrze to wiedzieć.

Uznaję, że najprostsze odpowiedzi są najlepsze, i tym sposobem udaje mi się, z chórem głosów za plecami, wytuszczać rzęsy i przypudrować nos. Antoś dla odmiany zasnął i podejrzewam, że po dwóch godzinach drzemki uśpienie go wieczorem będzie niemożliwe.

Gdy zamykam puderniczkę, dzwoni dzwonek i wszystkie trzy zbiegamy na



bosaka po schodach. Dziewczynki dopadają drzwi i przyklejają nosy do szyby, ja natomiast mocuję się ze szpilkami, które jak na złość nie chcą się wsunąć na stopy. Wreszcie udaje mi się spasować nogi z butami i prostuję się w chwili, gdy Olo otwiera drzwi.

Stojący w progu beżowi starsi państwo są bardziej wystraszeni niż ja i dają to cię nadziei, że nasze stosunki ułożą się pozytywnie, a przynajmniej nie zaczną zgrzytać od pierwszego momentu.

– Dzień dobry, zapraszam. Jestem Nina.

Ponieważ nadal stoją bez ruchu na zewnętrznej wycieracze, do powitań dołącza Olaf, siłą wciągając ich do środka.

– No, co tak stoicie? Wchodźcie.

– Cześć, synu, dzień dobry pani. – Pierwszy trzeźwieje ojciec i wyciąga do mnie ciepłą, twardą dłoń. – Roman jestem. No, Mariola, chodźże, kobieto. Nie stój tak. A wy, moje panny, to pewnie Marysia i Klara?

– Tak. – Klara jak zwykle radośnie podskakuje na jednej nodze, natomiast Marysia najchętniej wskoczyłaby mi pod spódnicę, gdyby ta była długa i na krynolinie, a ponieważ jestem w krótkiej sukience, boleśnie wbija się w moje udo.

– Dzień dobry, pani Nino. – Głos pani Marioli jest tak niepewny, jak i budzący zaufanie swoim ciepłem, co sprawia, że automatycznie się rozluźniam.

– Zapraszam. Nie stójmy tak w progu.

– A, przecież, kwiaty dla pani domu.

Roman podaje mi bukiet smutnych czerwonych róż, które podczas takiego upału domagają się reanimacji w wannie z zimną wodą. Przyjmuję je jednak z zadowoleniem, wychwalając głośno bujność kwiecica i jego nietuzinkowy kolor, w duchu zaś klnąc na kwiaciarkę, bo nie poobcinała kolców, które boleśnie wbijają się w palce.

– Dla was, dziewczęta, też coś mamy. Mariolka, no, chodź tu, kobieto. Gdzie masz czekoladki?

Po chwili dwie fioletowe tabliczki lądują w rękach córek, które szczebiotliwie dziękują i dając sobie znaki na migi, znikają na piętrze.

Mama Olafa jest zadbaną kobietą, której niewyszukany sposób ubierania się przydaje szykowności. Prosta sukienka zapinana na szereg małych guziczków przypomina przedwojenną szmizjerkę, a związane w koński ogon ciemne, przetykane siwymi nitkami włosy są dowodem na to, że nie młodość jest dla niej najważniejsza. Pozbawiona makijażu twarz błyszczy, odbijając się w srebrnych kolczykach. Nie potrafię oderwać wzroku od brodawki na podbródku, z której wyrastają trzy czarne włoski, i wiem, że głównie do niej będę mówiła dzisiejszego wieczoru. Besztam się za te niepoprawne spostrzeżenia i przenoszę wzrok na ojca Olafa, który z mieszaniną zadowolenia i podziwu ogląda mieszkanie.

– Pięknie mieszkanie. Nie można powiedzieć. Ma pani gust.

– Dziękuję.  
– Sama pani to wszystko robiła?  
– Nie, skąd. Ja tylko wymyśliłam, co ma być i jak.  
– O to, to. Właśnie o to pytam. Ma pani znakomity gust. My, pani kochana, to skromne ludzie jesteśmy, u nas takich luksusów nie ma, więc niech się pani nie dziwi, że się rozglądamy.

– Proszę bardzo. I proszę mi mówić Nina.

Goście najwyraźniej toczą wewnętrzną walkę, czy też mają pozwolić, bym się do nich zwracała po imieniu. Nie wystarcza im jednak śmiałości, żeby to zaproponować, więc nadal będę im „panować” i „paniować”.

– Zapraszam do stołu. Czego się państwo napiją?

Mariola patrzy niepewnie na męża i wreszcie zdobywa się na odwagę, żeby poprosić o zimną wodę.

– Gazowaną? Z lodówki?

Chyba zadaję zbyt wiele zbyt trudnych pytań, bo nie może podjąć decyzji i zdaje się na mnie.

– Czego mi, dziecko, nalejesz, to wypiję. Zresztą nie kłopotcz się.

– To nie kłopot. Przygotowałam też kompot z rabarbaru.

– To ty, dziecko, gotujesz? Myślałam, że jecie na mieście.

Spogląda na mnie wytrzeszczonymi ze zdziwienia oczami, zupełnie jakbym miała dzieci i rodzinę karmić tylko w restauracjach. Najwyraźniej ci ludzie są przekonani o moich nieograniczonych możliwościach finansowych i wprost proporcjonalnych wymaganiach związanych z wygodą i wielkomiejskim życiem.

– Nie, skąd. Mam co prawda restaurację, ale jadamy tam sporadycznie. Wie pani, jak to jest. Małe dzieci mają inne gusta.

– O tak! Jak Olafek był malutki, to jadł tylko pomidorową i kurczaczka.

– Mamo, daj spokój.

– A dlaczego ma o tym nie mówić? Czy to coś złego? – Roman zawzięcie, głośno podzwaniając, miesza herbatę z trzema łyżeczkami cukru.

– Nie, oczywiście, że nie, ale Niny to chyba nie interesuje. – Olaf usiłuje dać rodzicom do zrozumienia, że nie wszystkie ich wspomnienia związane z jego dzieciństwem i dorastaniem powinny ujrzeć światło dzienne.

– Przestań. Wszystko mnie interesuje. Dobrze, że zaprosiłeś rodziców. Pogadam sobie z nimi o tobie i pewnie dowiem się ciekawych rzeczy.

Nie wiem, czy mi się wydaje, czy Olo pochmurnieje, ale zgrabnie zmienia temat, a ja się zastanawiam, jakie fakty z przeszłości chciałby ukryć. Gdyby moi rodzice żyli, z pewnością sprzedaliby kilka ciekawostek na mój temat. Ojciec, który lubił wszelkie dykteryjki, rozkoszował się opowieściami o tym, jak któregoś dnia powitałam ich w progu z grzywką obciętą przez koleżankę z klasy na Jerzego Waldorffa, jak porysowałam mu samochód, przy okazji demolując wiatę, tak że

moja pierwsza jazda wypasionym mercedesem zakończyła się po pięciu metrach. Wszystkie te i inne historie, o których nie mam pojęcia albo których zwyczajnie nie pamiętam, zabrali do grobu, tak że nie stanowią żadnego zagrożenia przy potencjalnych narzeczonych, którzy wcale nie muszą wiedzieć na przykład o przyniesionej przeze mnie ze szkoły wszawicy.

Państwo Tarkowscy siadają do stołu. Olaf nalewa czerwone wino do wysokich, pękatych kieliszków, a ja obserwuję tę scenkę ukradkiem, krzątając się przy piekarniku. Podnoszę przykrywkę żaroodpornego naczynia i aromat ziół zalewa kuchnię. Pozwalam, by pieczeń odpoczęła, nim przełożę ją na półmisek, i w tym czasie tłukę ziemniaki na puszyste purée. Dodaję gęstej śmietanki, pół kostki masła, pokrojony szczypior, grubo mielony pieprz i ucieram na kremową masę. Buraki dochodzą na patelni i jestem gotowa podawać do stołu.

– Klara, Marysia, zapraszam na obiad!

Antoś nadal śpi. Wbrew pozorom cieszę się z tego, bo dzięki temu zamieszanie przy stole będzie nieco mniejsze. Biegnę do sypialni i sprawdzam, czy nic mu nie jest. Zgarniam dziewczynki i razem siadamy do stołu. Krzątam się ja, krząta się pani Mariola. Usiłuje być pomocna, przekładając po swojemu serwetki przy talerzach, a mnie irytuje jej zaangażowanie, bo zaburza moje poczucie bycia gospodynią. Ich początkowe onieśmielenie ustępuje nadmiernej trosce.

– Proszę usiąść, ja się wszystkim zajmę.

– Ale ja tylko chciałam ci pomóc.

– Dziękuję.

Zaciskam szczęki i milczę, choć to chwila, gdy powinnam określić swoją pozycję względem potencjalnych teściów.

– Nic, chłopie, nie mówiłeś, że tak pięknie mieszkacie.

– Mówiłem.

– No tak, coś wspominałeś, ale nie, że aż tak. No, powiedz, Mariolka, jak nasz Olo się urządził.

Olaf czerwienieje jak burak, a wściekła Klara syczy przez zęby:

– To mama wszystko urządziła.

– Tak, tak, kochanie. My tylko podziwiamy, jak macie ślicznie.

– Mama ma ślicznie, to wszystko jest mamy.

Z naciskiem na *mamy*. Spoglądam z rozczuleniem na moją bojowo nastawioną córeczkę i uświadamiam sobie, że to ja powinnam być bardziej waleczna. Stawiam na stole talerz z pieczenią i delikatnie klepię Klarę po plecach.

– Klara mi bardzo pomagała i teraz mieszkamy jak księżniczki.

Oczywiście w duchu dodaję, że to nie pałac i służby brak, no i przy okazji bycia księżniczką jestem obsadzona również w roli sprzątaczkki i pokojówkii, a głośno dopytuję, komu nałożyć kawałek, bardzo niewielki, dzika.

– A był badany? – Pan Roman z zaciekawieniem spogląda na półmisek

i pewnie wyciągnąłby w jego kierunku szyję, gdyby nie grube warstwy tłuszczu, które scaliły kark z głową i doprowadziły do zaniku tej części ciała.

– Tak, oczywiście.

– A to poproszę. Ale może najpierw nałóż dziewczynkom.

Małe krzywią się na myśl o tym, że mają zjeść dzikie zwierzę, nieświadome, że już wielokrotnie je jadły w przekonaniu, że spożywają indyka.

– A nie ma nic innego?

– Nie, nie ma.

– A czy ja już jadłam dzika?

– Tak.

– A smakował mi?

– Tak, daj talerz.

– No dobra, ale mały kawałek.

Nakładam im odrobinę mięsa z nadzieją, że za chwilę poproszą o więcej, uzupełniam talerze gości i gdy zabieram się do podania puszystego purée, dopada mnie nieznośne pytanie:

– A kiedy ślub?

Sztywnieję. Jaki ślub? Nie mam zamiaru wiązać się z żadnym facetem papierem i przysięgą, nawet jeśli jest tak fantastyczny jak Olaf. Zresztą ustaliliśmy to na początku naszej znajomości i moja deklaracja nie uległa zmianie. Klara zamiera z widelcem w powietrzu i patrzy na mnie z przestachem.

– Nigdy.

Państwo Tarkowscy się zapowietrzają, a Olaf dobija ich z rozczulającym uśmiechem:

– Nie planujemy ślubu. Mówiłem wam.

– Ale to nie po bożemu!

– A po jakiemu? Diabelsku?

– Nie, synu, też nie, ale tak się nie godzi.

W przeciwieństwie do Bartka Olaf występuje przed szereg i zdecydowanie macha rodzicom szabelką przed nosem.

– Jak w takim razie masz zamiar być ojcem tych dzieci?

Oczy wystraszonej Klary niemal wyskakują z orbit i nienawistnie spoglądają to na Romana, to na Olafa.

– Ja mam swojego tatusia i nie chcę innego!

Miły niedzielny obiad rozpędza się w emocjach niczym pendolino i mknie przed siebie, zostawiając mnie na poboczu. Przytulam małą i siłą przytrzymuję, nie pozwalając jej uciec na piętro. Jednocześnie Marysi, nic nierozumiejącej z rozmowy, ale wyczuwającej napięcie, broda zaczyna niebezpiecznie drżeć i ją też przyciskam. Oparcie krzesła boleśnie wbija mi się w żebra, ale jeszcze dotkliwiej uwiera mnie poruszony temat, który do tej pory tak zgrabnie udawało się omijać.

– Oczywiście, że masz tatusia. Co prawda go nie widzimy, ale zawsze jest z tobą, z nami, podobnie jak mamusia Marysi. Olaf jest waszym przyjacielem i to się nigdy nie zmieni, nigdy nie będzie wam nikogo zastępował. Olaf to Olaf, rozumiecie? Przyjaciół.

Starsi państwo popatrują na nas spoza piętrzących się na talerzach buraków i chyba nie rozumieją, co właśnie się wydarzyło, bo namolnie wracają do sprawy.

– Ale naszym zdaniem tak by było lepiej. Proboszcz mówił, że nie ma przeszkód, skoro jesteś wdową...

– Jest przeszkoda, tato. Taka, że nie mamy ochoty na ślub, więc nigdy go nie będzie! Uznaj temat za zakończony.

Niespodziewanie dzwonek do drzwi przerywa dyskusję. Wyprzedzam Olafa w wyścigu do domofonu, dając mu czas na ustawienie rodziców do pionu. Sama dyszę jak koń po ciężkiej orce i nie patrząc w wizjer, otwieram furtkę i drzwi. Na progu stoi teściowa. Spoglądam na nią ze zdziwieniem i uświadamiam sobie, że po raz pierwszy cieszę się na jej widok i mam ochotę ją przytulić.

– Co mama tu robi?

– Byłam w okolicy i pomyślałam, że zajrzę.

Trudno bywać w naszej okolicy, bo mieszkamy na całkowitym zadupiu, na ostatniej ulicy ostatniego osiedla tego miasta, ale uprzejmie przyjmuję kłamstewko i wpuszczam ją do środka.

– A co to za samochód pod domem? Macie gości? Może przeszkadzam? Uważaj z tą apaszką. Robert mi ją kupił w Mediolanie. – Podaje mi skrawek materiału, który prawdopodobnie kosztował krocie.

– Tak, mamy gości.

Pani Aleksandra oczywiście nie pyta, z kim się spotykamy. Hasło „goście” działa na nią jak afrodyzjak i jest doskonałym pretekstem do zaprezentowania swojego majestatu. Udając troskę, wrzucam apaszkę w kolorze wyparzonego prosiaka na górną półkę garderoby z nadzieją, że Ziuta nie wskoczy tak wysoko, i obserwuję, jak teściowa napina się i wydyma usta w przedziwny rybi pyszczyk, palcami poprawiając burzę loków, które najwyraźniej dopiero co ułożył fryzjer. Na koniec przybliżyła twarz do lustra, tak że obłoczek pary zasnuwa taflę, i opuszką przeciąga po dolnej powiece, ścierając niewidoczny pyłek tuszu. Wreszcie się prostuje i oświadcza, że jest gotowa.

Nie wiem na co, bo przypomina raczej dobrze zakonserwowanego aktora, który czeka pod sceną na rolę życia, a nie babcię odwiedzającą wnuki, ale gestem zapraszam ją do kuchni. Wchodzimy. Dzieci nie podrywają się na jej widok, natomiast rodzice Olafa radośnie podskakują, by ją wyściskać.

Ojciec nieporadnie całuje ją w rękę, unosząc ją wysoko do umazanych sosem ust, natomiast Mariolka ściska się z nią jak z dobrą znajomą. Wygląda to komicznie i chyba nigdy nie widziałam pani Oli tak zeszywniałej. Matka Olafa obejmuje ją

i poklepuje po plecach, głośno cmokając w policzki.

– Kochana, tyle o tobie słyszeliśmy.

Teściowa wytrzeszcza oczy. Zdecydowanie nie spodziewała się takiego powitania i zupełnie nie wie, jak ma się zachować. Siada sztywno na podsuniełym krześle i oszołomiona przygląda się towarzystwu.

– To opowiadaj.

Mariola klepie ją po pomarszczonej dłoni i najwyraźniej spodziewa się, że sobie poplotkują. Nie wiem, na jaki temat i jaka dziedzina mogłaby się stać płaszczyzną porozumienia, więc z tym większą fascynacją przyglądam się scenie.

– A może wolisz najpierw coś zjeść?

– Nie, dziękuję. Już jadłam.

– Oj, to w takim razie koniecznie musisz napić się kawy. A może wolisz herbatkę? Zaraz coś zaradzimy. Pani Nino... ach, przecież mam ci, dziecko, mówić po imieniu, no więc Nino, gdzie masz kawę?

Teraz ja popadam w oszołomienie, bo jeszcze chwila i to nie ja będę tu gospodynią.

– Ja zrobię. Proszę usiąść.

– A gdzie tam będę siedzieć! Roman niech siedzi, ja pomogę.

Dzieci, korzystając z zamieszania, znikają na piętrze, a ja toczę nierówną walkę o przestrzeń, która gwałtownie się kurczy. Zaczyna narastać we mnie złość. Pani Mariola przechodzi na ty również z teściową i teraz zalewa ją zachwytemi, jak to dobrze, że tak nam się układa, co rusz powtarzając, że tak pięknie mieszkamy, a ona jednak nie spodziewała się, że aż tak. Następnie przerzuca się na historię z podmiejskiego marketu, w którym do niedawna pracowała, i zapewnia, że emerytura to rzeczywiście początek nowego życia.

– Na stare lata planujemy się przenieść do miasta, bliżej dzieci.

– Myślałam, że Olaf jest jedynakiem.

– Bo jest. Mówię „dzieci”, bo Nina jest przecież jak córka, prawda, kochana?

Patrzy na mnie wilgotnymi ze wzruszenia oczami, a ja nie wiem, gdzie się podziać, wszak widzimy się po raz pierwszy i jeszcze nie zdecydowałam, czy i jak bardzo chcę być czyimś dzieckiem. Olaf jest równie zaskoczony.

– Jak to, przeprowadzacie się?

– Ach, nie chcieliśmy ci mówić, dopóki nie załatwimy wszystkiego.

– Chryste Panie, ale co załatwiacie?

– Kochany, ty się tak nie denerwuj. Ciotka Jola uważała, że powinien nam ktoś doradzić, i pomogła wynająć takiego jednego adwokata, i on nam we wszystkim pomaga. O nic nie musisz się martwić.

– Teraz to dopiero właśnie zacząłem się martwić. Co konkretnie robi ten adwokat? Przygotowuje umowy, sprawdza księgi wieczyste?

– A nic takiego. Przygotowuje pisma dotyczące zamiany naszego domu na

trochę mniejsze mieszkanie, ale u was w mieście.

– Nie.

– Tak, kochanieńki, tak. Niby starych drzew się nie przesadza, ale nas to nie dotyczy. Całe życie marzyliśmy o mieszkaniu w mieście i jak tylko nadarzyła się okazja, korzystamy.

– Dlaczego nic nie powiedzieliście?

– Bo ty masz swoje sprawy, po co mieliśmy ci głowę zawracać?

– Mamo, ale o tym trzeba było powiedzieć. Jest tylu oszustów.

– Ale nie nasz pan Tadeusz. Porządny chłop i sprawdzony. Jola była nim zachwycona. A w dodatku taki elegancki.

– To jeszcze o niczym nie świadczy.

– Nie przesadzaj, synu, co niby może się stać? Zamieniamy się tylko mieszkaniami.

– Jak to zamieniacie się? To nie sprzedaliście swojego?

– A po co, jak można to zrobić bez pieniędzy? Znalazła się taka, co to chce nasz domek, a my weźmiemy jej trochę mniejsze mieszkanie w centrum miasta.

– Nie sądziłem, że takie zbiegi okoliczności się zdarzają.

– A widzisz.

– Oglądaliście to mieszkanie? Byliście w nim?

– Na zdjęciach widzieliśmy. Nie ma co, ładne. Nie powiem, wolałabym większy balkon, ale tak też jest dobrze.

– Żartujecie! Nie byliście tam?

– Właśnie dlatego przyjechaliśmy, jutro mamy je oglądać.

– Ale żadnych papierów nie podpisywaliście?

– Roman, co to było, cośmy podpisali?

– A bo ja wiem? Nie pamiętam.

Olaf robi się zielony, a teściowa najwyraźniej świetnie się bawi. Nareszcie jest w oku rodzinnego cyklonu, który oznacza potencjalną kłótnię. Z gracją unosi do ust filiżankę zielonej herbaty, trzymając ją finezyjnie dwoma palcami za niewielkie poślacane uszko i prostując mały palec.

– A gdzie konkretnie będziecie mieszkać?

– Kochana, nie zgadniesz.

– Z pewnością.

– Na osiedlu Słowackiego.

– Gdzie?

– Na Słowackiego, takie niewysokie bloki...

– Wiem, to niedaleko mnie.

Pani Mariola rumieni się ze szczęścia. Wyglądają z teściową jak naczynia połączone: gdy jedna zakwita purpurą, druga sprawia wrażenie, jakby krew jej odpłynęła, bo jej policzki zasnuwa niezdrowa bladość.

- Cudownie, będziemy się odwiedzać. A na którym piętrze mieszkasz?
- Jak to: na piętrze? W willi mieszkam!
- Z ogrodem?
- Oczywiście, że z ogrodem. Nasza posiadłość, to znaczy moja posiadłość jest rozległa, mamy nawet własny sad.

Zastanawia mnie wyobraźnia starszej pani, która w pięciu poskręcanych ze starości jabłoniach, dwóch nieowocujących już gruszech i kilku krzakach porzeczeki i agrestu widzi sad. Jednak już po chwili pani Ola najprawdopodobniej żałuje tego przechwalania się, bo rodzice Olafa snują wizje, jak to będą biesiadować wspólnie na jej równo przystrzyżonych trawnikach, popijając różowe wino w cieniu starodrzewu.

Wreszcie po nieznośnie długiej nasiadówce, przetykanej uwagami dotyczącymi prowadzenia domu i pielęgnowania ogrodu oraz obrazami tego, co, jak i za ile urządują, odjeżdżają jedną taksówką. Oni do taniego hotelu na obrzeżach miasta. Ona do rezydencji, którą najchętniej schowałaby w gęstym lesie, żeby nie musieć spotykać się z nachalnymi rodzicami Olafa.

Wkładam brudne naczynia do zmywarki i zastanawiam się, czy wolę chłodną i powściągliwą panią Aleksandrę, czy jednak może natarczywe towarzystwo rodziców mojego nowego chłopaka.



# A

ntoś jest chory. Cichaczem i niepostrzeżenie, w zasadzie bez żadnych objawów poza wysoką gorączką, przy tych upałach dopadło go zapalenie płuc. Jestem w szoku. Zawsze sądziłam, że to się wiąże z silnym przeziębieniem i kaszlem, tymczasem okazuje się, że nie. Stan jest na tyle poważny, że mamy skierowanie do szpitala. Nie wiem, jak to ogarnę, i dopada mnie panika, co mam zrobić z dziewczynkami, bo jest dla mnie oczywiste, że nie zostawię małego samego na oddziale.

Ania może do nas na chwilę wpaść, ale musi zakuwać do egzaminu poprawkowego i zbliżający się termin wisi nad nią jak topór kata. Olaf pracuje i nie sądzę, żeby mógł wziąć wolne. Jestem przerażona. Na razie dziewczynki są w szkole i przedszkolu, ale za chwilę ktoś będzie musiał je odebrać. Tymczasem miotam się między łazienką a sypialnią i zbieram potrzebne rzeczy. Wpycham do torby pieluchy, piżamkę Antosia, mój dres, po chwili jednak go wyjmuję i wkładam, a do torby wrzucam lekko wygnieciony, dopiero co zdjęty z suszarki T-shirt, kosmetyczkę i ręcznik. Wracam po papier toaletowy i zbiegam do kuchni po ściereczkę, kubek i takie tam. Przy okazji odkrywam, że gdzieś zapodziałam trampki i w związku z tym jestem zdana na gumowe granatowe klapki, które nieprzyjemnie wrzynają się w skórę między palcami. Wyglądam koszmarnie i tak się czuję. W dodatku mały zaczyna marudzić i zdecydowanie jak najszybciej powinniśmy dotrzeć do kogoś, kto udzieli nam fachowej pomocy.

Pakuję go do samochodu, mocuję się z zapięciem fotelika i dodając gazu, wyjeżdżam wężykiem z garażu. Oczywiście tuż za bramą przypomina mi się, że nie zabrałam torebki, i muszę zawrócić.

Po dwudziestu minutach docieram na izbę przyjęć szpitala dziecięcego i utykam w kolejce kaszlących, lecących przez ręce, w zdecydowanej większości płaczących dzieci. Kolorowe ściany, pełne stworzeń z wytrzeszczonymi oczami, które spoglądają na nas spod grzybów i choinek, powinny zasiać w małych pacjentach optymizm, ale tak się nie dzieje. Wszystko wydaje się przytłaczające, a świadomość, że gdzieś tu czai się też śmierć, staje się nieznośna.

Ze ściany straszy kartka z informacją, że dzieci z oddziału onkologicznego są obsługiwane poza kolejką, i kulę się w sobie, gdy niespodziewanie wpycha się przed nas ojciec z dziewczynką w błękitnej chustce na głowie. Nasze zapalenie płuc wydaje się banalne. Wreszcie, gdy docieramy do rejestratorki, nie mogę sobie przypomnieć, czy Antoś miał różyczkę, odrę i świnkę. Pomieszały mi się

przypadłości i choroby wszystkich dzieci.

Po oklejeniu ręki małego plastikową tasiemką i podpisaniu sterty papierów logujemy się na oddziale dziewiątym, trzecie piętro, w nowo dobudowanej części szpitala, pewnikiem zaprojektowanej przez kogoś pozbawionego wyobraźni i empatii. Wielkie przeszklone okna zapraszają ostre promienie słoneczne, przez co w pomieszczeniu pozbawionym klimatyzacji panuje temperatura nie do wytrzymania. Na szczęście w trzyosobowym pokoju jesteśmy sami i cała podłoga jest moja. Wieczorem będę mogła swobodnie rozłożyć przytargany z domu materac i przekocować do rana. W oknach nie ma rolet, zasłon, firan, niczego. Jest tak piekielnie gorąco, że nie wiem, jak moje dziecko to przetrwa, mając prawie czterdzieści stopni gorączki. Oczywiście ze względów bezpieczeństwa nie można otworzyć okien, więc po chwili robi się duszno.

Zdziwiony Antoś rozgląda się i najwyraźniej dochodzi do wniosku, że to nie jest najfajniejsze miejsce, bo zaczyna płakać, zawodzić i wyc – ze zdwojoną mocą, gdy w jego chudą, delikatną rączkę młoda pielęgniarka wbija wenflon i podłącza kroplówkę.

Malec, zmęczony płaczem, zasypia, a ja czuję, jak po policzkach kulają mi się łzy. Kolejny raz znalazłam się w pułapce, z której co prawda jest wyjście, ale odległe i chwilowo nieosiągalne. Dzwonię do Olafa, ale zamiast się odezwać, milczę, za to moje ramiona coraz mocniej drżą.

- Mała, jesteś tam?
- Yhm.
- Wszystko dobrze?
- Nic nie jest dobrze.
- Kochanie, nie płacz. No coś ty? Wszystko będzie OK.
- Nie mam siły.
- Ale co się dzieje?
- Mam dosyć.
- Będzie dobrze.
- Jest okropnie, nie dam rady.
- Dasz. Jak nie ty, to kto?
- Muszę się zająć Marysią i Klarą.
- A od czego masz mnie? Przecież je odbiorę.
- A obiad? – Szlocham jak wariatka. Nie wiem, czy kolejny gejzer łez wyzwoliło poczucie ulgi czy wręcz odwrotnie, bezradność.
- Daj spokój. To najmniejszy problem. Pojedziemy do twojej knajpki albo moja mama coś ugotuje.
- A twoja praca?
- Nie ucieknij. Nie stresuj się, jakoś to ogarniemy.
- Dziękuję.

- Przywieźć ci coś?
- Mógłbyś? Zapomniałam o piżamce na zmianę dla Antosia.
- Spoko, tylko już nie płacz, OK?

Rozłączam się i bezmyślnie wpatruję w zieloną ścianę, zielone liście drzewa, które włazi w okno, i zielony fartuch pielęgniarki, która pcha korytarzem wózek. Wszystko tu jest zielone. Spoglądam na okładkę książki i nie mam ochoty czytać. Najchętniej zwinęłabym się w precla na łóżku i zasnęła, ale irracjonalnie muszę czuć. W nagrzanym powietrzu mam wrażenie, że zaraz się uduszę. Czuję się jak w saunie.

Dwie godziny później, z odcisniętą na policzku rurką łóżka, budzę się cała zeszywniała i ścierpięta. Boli mnie kark i nie mogę swobodnie poruszać głową. W pierwszej chwili nie wiem, gdzie jestem, a potem dopada mnie wspomnienie szpitala w Barcelonie, śmierci Jasia i Bartka, i oblewam się zimnym potem. Zaczynam drżeć i gwałtownie wstając, budzę Antosia, który zdziwiony wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami.

Jesteśmy w szpitalu od trzech dni, a Antkowi się nie poprawia. Mimo kroplówek i antybiotyku organizm małego nie podejmuje walki. Gorączka nie spada, jedyną zmianą jest to, że dostał potwornego kaszlu. Jestem wykończona. Krążę między szpitalem a domem, knajpę zupełnie odpuściłam, zdając się na kucharzy. Olaf wychodzi wcześniej z pracy, żeby odbierać dzieci. Pani Mariola z zapalem włączyła się w gotowanie obiadów i karmienie całej rodziny, za co jestem jej wdzięczna. A ja siedzę w szpitalu niczym w więziennej celi. Wychodzę w zasadzie tylko po to, żeby wziąć prysznic we własnej łazience i napić się mocnej kawy z domowego ekspresu. Moja kobiecość poszła się bujać, gdy zamieniłam sukienki w dresowy styl à la kloszard. Szpital, mimo że sama nie jestem chora, wysysa ze mnie wszystkie życiowe soki. Energię mam na poziomie zerowym i funkcjonuję tylko dzięki myśli o tym, że Antoś mnie potrzebuje. Powietrze stało się lepkie i kleiste. W dodatku na dwóch sąsiednich łóżkach pojawili się mali chłopcy, którzy non stop płaczą i marudzą, nie pozwalając nawet w nocy na chwilę odpoczynku, a na podłodze wykwitła kolejna karimata. Uchylone okno pod sufitem wpuszcza minimalną ilość świeżego powietrza, ot, tyle, żeby się nie udusić.

- Długo pani tu jest?

Niegramatyczne pytanie młodej dziewczyny budzi mnie z porannego letargu.

- Trzy dni, właściwie trzy noce.

- I kiedy wychodzicie?

- Nie wiem.

– Bo widzi pani, ja mam jeszcze czwórkę dzieci i martwię się, bo zostały w domu.

- Duże są?

- Nie, raczej małe. Aksel ma pięć lat, Luiza sześć, a bliźniaki trzy.

Patrę na nią z niedowierzaniem, bo sama wygląda jak nastolatka. Jej mały synek, który ma nie więcej niż rok, śpi niespokojnie w łóżeczku z metalowymi szczebelkami.

– Przepraszam, że pytam, ale ile pani ma lat?

– Dwadzieścia cztery. A co, dziwi się pani, że mam tyle dzieci? Wszyscy się dziwią. Ale widzi pani, my z mężem jesteśmy głęboko wierzący i przyjmujemy to, czym obdarowuje nas Pan.

Szybko przeliczam w myślach, dodając i odejmując, ile lat zostało jej do klimakterium, i dochodzę do wniosku, że jeśli nadal z taką pokorą będzie przyjmowała dary Pana, ma szansę dorobić się jakichś kolejnych dwudziestu pociech.

– To ma pani pełne ręce roboty.

– A żeby pani wiedziała. Mąż na budowie robi, ale co on tam zarobi? Ja nie pracuję, bo z dziećmiakami w domu ktoś musi siedzieć.

– A dziadkowie?

– Oczywiście pomagają, ale mama też ma małe dzieci, choć nie tak małe jak moje. Niestety Jasiak ma porażenie, więc mama nie ma czasu, żeby jeszcze mi pomagać.

– Fatalnie.

– A żeby pani wiedziała. Proboszcz mówi, że dzieci to dar boży, ale czasami trudno za tymi prezentami nadażyć.

– To już więcej pani nie planuje?

– Pani, co mnie planować? Będzie, co ma być. Chałupa duża, to wszystko się pomieści.

– Świetnie, a gdzie mieszkanie?

– W Zakolach, to koło Puszczy Noteckiej.

– Pięknie. Zazdroszczę. Świeże powietrze, ogród, coś wspaniałego.

– Pani, jaki tam ogród, mieszkanie w bloku mamy, ale duże. Trzy pokoje, łazienka, kuchnia, nie za duża, ale wystarczy. A, i na podwórzu aż dwie szopki mamy. No i garaż rzecz jasna.

Obawiam się, że moja twarz się wydłuża, jak na obrazie Muncha, bo dziewczyna spieszy z zapewnieniem:

– Naprawdę jest OK.

– Tak, tak. Tak się tylko zamyśliłam.

Mam ochotę zapytać, jak się mieszczą, z czego żyją i dlaczego, na miłość boską, na prawdopodobnie malowniczej wsi mieszkają w bloku? Ale nim zdążę zebrać myśli i ułożyć je w zgrabne pytanie, młoda matka wypływa z siebie wszelkie możliwe informacje i filozofię życiową, w którą absolutnie nie potrafię się wpasować.

– Wie pani, łatwo nie jest. Ale mamy zasiłek na dzieci, a że nie jesteśmy po

ślubie, to jako samotna matka mam więcej.

– Nie macie ślubu? – dziwię się idiotycznie, zachodząc w głowę, jak się ma do tego Bóg, który tak hojnie obdarowuje ich dziećmi, a nie dopomina się o należyty sakrament.

– Nie, no co pani? Przecież to się nie kalkuluje. Teraz, wie pani, to jeszcze lepiej, bo to pińcset plus to nam wszystko zmienia. Władzio samochód nowy kupił. Duży, że wszyscy się zmieścimy. A i ksiądz dobrodziej pomaga, i Caritas. I jakoś tak leci.

– A wakacje?

– Pani kochana! Wakacje to piękne mamy. Proboszcz na zajęcia, no, takie trochę rekolekcje dzieci, znaczy te starsze, zabiera, a w przedszkolu to się na nas zrzucają, na książki i wyprawkę, to i na kolonie jakoś się uzbiera.

– Aha.

– Widzi pani, jak człowiek chce, to może. A ciuchów ile mamy! Szkoda gadać. Z darów tyle, że nie ma co.

– To się pani urządziła.

– A żeby pani wiedziała. Jak człowiek pobożny, to Pan Bóg rychliwy i pomaga.

Myślę sobie, że to raczej zakrawa na żerowanie na innych, ale boję się powiedzieć to na głos. Młoda zasuwa jak rycerz z taranem na kratownicę zamku i zachęcona moim zainteresowaniem opowiada dalej o tym, jak to zgłosili się do takiego programu, co to mogą im remont zrobić, a jak się postarają, to nawet dom wybudować. Jak można od księdza dostać też puszki z ZAGRANICY (magiczne miejsce), a w razie choroby przecież państwo ma obowiązek pomóc.

Nie wiem, gdzie popełniam błąd, skoro jakoś nie potrafię namierzyć instytucji, które mogłyby mi tyle podarować. Okazuje się, że liczenie na własne siły jest najgorszą z możliwych życiowych filozofii, a w moim przypadku niestety jedyną... Nie potrafiłam załapać się na mieszkanie komunalne, jak zakochana wariatka wzięłam ślub, wykluczając się z grona samotnych, dofinansowywanych przez państwo matek, a na domiar złego otworzyłam własną działalność, przez co znalazłam się poza kręgiem bezrobotnych i beneficjentów wszelkich dopłat, zasiłków i zbiórek.

Nie jest mi dane dowiedzieć się więcej, bo na łóżku obok obudził się trzyletni chłopczyk, którego mama, zaraz po tym jak został przyjęty na oddział, zniknęła pod pretekstem przywiezienia rzeczy dla syna. Nie wiem, gdzie musiałyby mieszkać, żeby pokonywać drogę ze szpitala do domu i z powrotem przez siedem godzin. Maluch w tym czasie, coraz bardziej niespokojny, co rusz wybudzał się z płytkiego snu, popłakiwał zagubiony w czasoprzestrzeni zielonych sterylnych ścian. Na widok pielęgniarki reaguje histerycznie, nie chce jeść ani pić, dwa razy zasikał szpitalną pościel i ciągle woła mamę.

Mimo że Antoś znudzony siedzeniem w niewielkim łóżku domaga się stałego zainteresowania z mojej strony, razem z młodą matką na zmianę zajmujemy się małym. Pielęgniarki zaglądają do nas sporadycznie. Właściwie wcale się im nie dziwię. Sala nagrzana jest do czerwoności i gdybym nie musiała, też nie chciałabym oddychać jej powietrzem. Jezu, co za głupek zaprojektował ten „nowoczesny” oddział. W dodatku nie wiem dlaczego, gdy tylko wychynę na korytarz, jestem zagadywana przez pielęgniarki w kwestiach, o których w moim odczuciu z obcymi ludźmi się nie rozmawia, a przy których standardowe pytania o miejsce zakupu sukienki czy dresu są trywialne.

Wczoraj, gdy w poszukiwaniu czystego prześcieradła grzebałam w szafie na końcu korytarza, podeszła do mnie siostra oddziałowa i widząc moje gładko ogolone nogi, przesunęła dłonią po lewej łydce, aż wyszła mi nieprzyjemna gęsia skórka, i zapytała:

– Goli się pani maszynką czy depilatorem?

Zwariowałam. Przez chwilę trzepotałam rzęsami, by upewnić się, że to nie halucynacja.

– Chodzę na wosk.

– To pewnie dlatego ma pani takie gładkie nogi. Ja się golę w domu. A jak wysoko?

– Co jak wysoko? Nie rozumiem.

– No jak wysoko je pani goli? Bo ja tylko do kolan, wyżej nie widać.

Chryste Panie.

– Tak?

– No przecież. Za tydzień jadę na wakacje, to trzeba będzie wyżej, ale tak, po co?

– A mąż?

– Co mąż? Myśli pani, że dla męża będę się golić? Wie, jak wyglądam, więc co mi tam. Nie przeszkadza mu.

– Pytała pani?

– Nie, no co pani? Ale przecież to oczywiste. Zresztą, jak się jest dwadzieścia trzy lata po ślubie, to człowiekowi już się nie chce, no i tak się do siebie przyzwyczailiśmy, że nie ma po co.

– A nie boi się pani, że jednak zacznie się za kimś rozglądać?

– Tomasz? Z tym brzuchem i łysiną? Która by na niego spojrzała? Gdyby miał kasiore, to co innego, ale nam ledwie do pierwszego starcza, to kto by się za nim obejrzał?

– Wie pani, miłość jest ślepa.

– No, niby.

Zawieszam się filozoficznie, wsuwając głowę głębiej do szafy, w nadziei, że siostra sobie pójdzie, a tymczasem słyszę:

– A okres ma pani jeszcze?

Z wrażenia przywalam głową w metalową półkę i gwałtownie się prostuję.

– Słucham?

– Taka pani modna i zadbana, to ciekawa jestem, bo na twarzy to jednak zmarszczki pani ma.

– A jakie to ma znaczenie?

– No bo jak nie, to dopiero pani zobaczy, że w związku chodzi o przyzwyczajenie, nic więcej. Po menopauzie sypie się wszystko, i zmarszczki, i kilogramy, a potem to już nic się nie chce i człowiek tylko patrzy, żeby było wygodnie, a nie na urodę. Zobaczy pani sama. Wiem, co mówię, ja od dwóch lat nie krwawię...

Odwraca się na pięcie, a ja zostaję jak wmurowana w linoleum z prześcieradłem w ręce. Patrzę za siostrą, jak w świetle jarzeniówek oddala się w kierunku dyżurki, i oczami wyobraźni widzę jej ogolone do kolan nogi i wielkiego bobra skrywającego się pod przydługim, nieco wytartym fartuchem. Rozumiem, że choroba odbiera nam klasę, w pizamach wszyscy wyglądamy żałośnie, jednak dlaczego sami odzieramy się z godności? Co ja tu robię?

Prawie biegiem wracam do sali, modląc się, żeby nikogo nie spotkać po drodze. Dopadam do szklanych drzwi i staję oko w oko z tłumem ludzi. Nad do niedawna porzuconym chłopczykiem pochylają się jego matka, ojciec, dwie kobiety w średnim wieku i starszy jegomość, najprawdopodobniej dziadkowie malucha, i jakieś dwie dziewczyny, jak się później okazuje, siostry matki Karolka.

– Boże, Boże, jakie biedne dzieciątko, ale babunia już jest.

– I druga babunia z dziadziusem też przyszli.

Wymachują mu przed nosem pluszowym zającem ze zbyt długimi uszami, podskakującymi przy każdym najmniejszym ruchu, a z brzucha maskotki wydobywa się buczenie, które właśnie obudziło Antosia i drugiego małego sąsiada.

– Boże przenajśłodszy, jak babunię boli serduszko, że Karolek leży w szpitalu. Karolina, no weźże przesun to krzesło. I kto okno otworzył? Jeszcze dzieci zawieje! Jacy ludzie są nieodpowiedzialni.

Karolina posłusznie przesunęła krzesło pod ścianę i teraz bunia w okropnym niebieskim sweterku z angory, który najwyraźniej z obawy, że może skurczyć się w praniu, z rzadka poddawany jest temu procesowi i z każdym gwałtowniejszym ruchem właścicielki uwalnia nieznośny zapaszek, pochyla się nad chorym malcem. Karol, najwidoczniej zdziwiony zainteresowaniem, które budzi wśród członków rodziny, nie jest zdolny udźwignąć tego towarzyskiego brzemienia i po serii drgań brody uwalnia pierwsze łzy. Niewielki lufcik z hukiem zostaje zamknięty i na nic zdają się moje protesty, że zaraz się udusimy.

– Karolina, co on taki oryczany? No patrz, co za dziecko, znowu płacze.

– Dajże spokój, kobieto, w szpitalu leży. Chory to płacze. Normalne, nie? –

Dziadek ciężko siada na krześle i opierając łokieć na parapecie, pociąga się za ucho, co zapewne służy koncentracji, bo po chwili filozoficznie stwierdza: – Napiłbym się kawy.

– Zbyszek, skąd ja ci kawę wezmę?

Z nadzieją, że podzielę ich na podgrupy, podpowiadam, że na parterze znajduje się automat z napojami. Niestety delegat jest tylko jeden, i to ten najbardziej milczący i robiący najmniej zamieszania – ojciec dziecka, który cichaczem wymyka się z sali z zamówieniem na trzy kawy, dwie czekolady i jedną colę. Nie wiem, jak przetransportuje tyle kubeczków, ale nie jest mi dane zgłębić tematu, bo Karolek zapomina zapowiedzieć fizjologiczną potrzebę i robi siusiu w majtki, zalewając po raz trzeci materac i poduszkę...

– Boże, zsiakał się. Ma trzy lata i nie nauczyłaś go wołać?

– Mamo, daj spokój, zestresował się.

– Trzyletnie dziecko nie ma stresów! Zresztą czym miałby się zdenerwować? Wizytą babuni? Wiesz co? Od samego początku nastawiasz dziecko przeciwko nam, a co my ci zrobiliśmy? No, Zbyszek, powiedz coś.

– A daj mi spokój, kobieto.

– Widzisz, Teresa, całe życie tak mam. Ty to masz dobrze. Ile to już Tadeusz nie żyje? Z dziesięć lat będzie. Mówię ci, dobrze, że nikogo nie szukałaś. Ty to mądra jesteś.

– Przestań, proszę, to nie pora na takie rozmowy.

– A niby kiedy jest? Prawdę trzeba mówić od razu. Chodzisz w tych swoich garsonkach sztywna taka, że naprawdę. No, gdzie ta kawa? A pani z dzieciakiem to długo tu leży?

Spogląda na mnie świdrującym wzrokiem, a ja się zastanawiam, czy powinnam udawać głuchą, czy raczej uciec. Przyzwoitość i instynkt macierzyński nie pozwalają mi zwiać, więc pokornie odpowiadam, że trzy dni.

– I co, zdrowieje?

– Tak, dziękuję – kłamię jak z nut i przyklejając krzywy uśmiech, szczerzę zęby.

– A za co dziękować? To ich obowiązek, żeby leczyć. Przestań mi tu machać tym zającem. Gdzie ten twój Maciuś z kawami? Tyle razy mówiłam, że to nieudacznik. Ale ty jak zwykle mnie nie słuchałaś!

– Mówisz o moim synu.

– A tak, o twoim, oczywiście, że o twoim, a niby o czyim? Ktoś musi ci wreszcie powiedzieć, że syn to ci się nie udał. Życiowy to on nie jest.

Wyszarpuję prześcieradło spod materaca, zwijam w kulę i ciskam pod łóżko. Antoś chwije się na nóżkach, wbity palcami w moją nogę, i co rusz zasysając smoczek, przygląda się wielkimi oczami towarzystwu, które z braku miejsca, gdyby nie metalowe szczebelki łóżeczka, byłoby go stratowało. Pospiesznie



zarzucam czystą płachtę na łóżko, sadzam małego i upycham poszarzałe prześcieradło pod obszytą ceratą pianką. Wielka niebieska szpitalna pieczętka niczym oko cyklopa spogląda mi prosto w oczy i przypomina, gdzie jestem. Zerkam na przezroczysty wężyk kroplówki i odkrywam, że coś się zatkało, bo lekarstwo przestało lecieć. Nie mam wyjścia i dzwonię po siostrę, a za mną nadal toczy się dyskusja:

– Nie przesadzaj, dobry chłopak z niego.

– Może i dobry, ale niezaradny. Tyle razy Karolinie mówiłam, ale ona nie chciała słuchać, to już ten Krzysiu spod szóstki lepszy był. Obrotny taki. Komputerowiec.

– Raczej haker, mamó.

– Heker, nie heker, na komputerach musi się znać, skoro takim wypasionym samochodem jeździ. Jeszcze nic straconego...

Starsza pani w garsonce jest bliska udaru, a powietrze chyba dodatkowo zgęstniało, tak że niemal widoczne cząsteczki jeszcze ściślej nas oklejają.

– Mamó, przestań.

– Córku, przecież ja ciebie znam, będziesz nieszczęśliwa. Już jesteś i zobacz, co z tego nieszczęścia wynikło, Karolek w szpitalu leży.

– Nie z nieszczęścia, tylko z powodu choroby. W przedszkolu wszystkie dzieciaki chorują.

– A widzisz! – oświadcza tryumfalnie babcia, pochylona nad wnukiem, któremu usiłuje zdjąć przemoczone spodenki od piżamy. – Gdybyś była z Krzysiem, to mały nie musiałby chodzić do przedszkola, a ty do pracy. Żylibyście jak pączki w maśle.

– Ale ja kocham Macieja. Skończ już – ucina jej córka.

Teściowa spogląda na nią z nieskrywaną wdzięcznością i pod pretekstem duchoty przeprosza i mówi, że na chwilę musi wyjść.

– Ten chłopak i jego matka to same kłopoty. Stąd wszystkie twoje problemy. No weźże, Jola, to prześcieradło szarpnij. Stoi toto i nie wie, co robić. I po kim to się takie ulęгло, ja nie wiem. No, no, kochanie, bunia wszystkim się zajmie, no już, już. Do cholery, dlaczego ty mu pieluchy nie zakładasz?

– Bo od dawna jej nie nosi.

– Ale w szpitalu to co innego.

– Przypomnę mamie, jak sama będzie w szpitalu. Odpukać w niemalowane.

– Ty to nigdy nie możesz odpuścić. A człowiek nawet nie wie, kiedy to się takie złośliwe zrobiło.

– I kto to mówi.

– Co? Jola, słyszałaś, co ona gada? Nie dość, że człowiek się poświęca i nie do swojego dzieciaka do szpitala jedzie, to jeszcze się nasłucha.

– Przecież to twój wnuk.

– I co z tego? Ale dziecko nie moje. – I do na wpół gołego malca ćwierka: – Babunię tak serduszko bolało, że Karolka zła mama w szpitalu zostawiła, że bunia musiała przyjechać i zobaczyć, czy te doktory Karolkowi krzywdy nie robią. Bozie, Bozie, mój cukierczku.

– Lekarka powiedziała, że musimy się zgłosić na oddział.

– A po co jej słuchasz? Rozumu nie masz? Popatrz na niego, wczoraj nie był taki bledziutki, zdrowo wyglądał. Dopiero jak go tu przywiozłaś, to mu się pogorszyło. Chyba nawet katar ma?

– Nie, ale...

– Kaszel?

– Nie, ale to wirus.

– Oj, córka, córka. Kto to widział, żeby z powodu jakiegoś wirusa do szpitala się kłaść. To nic, możemy go zabrać na własne oczekiwanie.

– Chyba żądanie.

Zastanawiam się, czy sobie to pomyślałam, czy głośno powiedziałam. Niestety to drugie.

– Co mówi?

– Nic, tak sobie z synkiem rozmawiam.

– No myślę. To pakuj małego i jedziemy.

Drzwi się otwierają i na tacy z trzech grubych gazet pojawiają się trzy kawy i dwa kubki z czekoladą. Butelka coli tkwi pod pachą młodego człowieka, który nieświadomy wcześniejszej dyskusji z bananem na poszarzałej twarzy głośno obwieszcza, że już jest.

– Nareszcie. Gdzieś ty po tą kawę chodził? Nawet tego nie umiesz załatwić. A widzisz, kotuś, my już wychodzimy.

– Jak to wychodzimy?

– A tak to. Karolkowi nic nie jest, zabieramy go do domu.

– Przecież dopiero co przyjechał do szpitala, już go wyleczyli?

– A gdzie tam, konowały jedno. Nic nie wiedzą. Popatrz na małego, zdrowy jak ryba. A wirusem to nie ma się co martwić. Bo to człowiek jednego ma w sobie? Te zarazki to wszędzie fruują, cholery jedno, o przepraszam, że się wyraziłam. No, masz gatki dla mojego wnusia czy nie?

Matka Karola od dłuższego czasu grzebie w przepastnej torbie, najwyraźniej bezskutecznie poszukując wspomnianej części garderoby.

– Mamo, uprzedzam, że nigdzie nie idę.

– Dziecko, nie stawiaj się. Ja wychowałam waszą czwórkę i wiem najlepiej, co dobre dla dzieci. Naparzysz rumianku, dasz cytryny i będzie dobrze. Po co wydziwiać?

– Nie tym razem.

– Jak chcesz. Ale nie przychodź do mnie, jak się co stanie. – Sapiąc, dźwiga

z trudem swoje okazałe ciało w niebieskim sweterku, przy okazji oblewając się czarną kawą. – Zbyszek, do jasnej ciasnej, idziemy.

Do oparów duchoty podłączyła się woń taniej kawy i zapaszek, który wy dobył się z włochatej angory. Czuję, jak bułka z serem, którą zjadłam na śniadanie, rozpycha się w żołądku i usiłuje wydostać. Przełykam głośno ślinę i gdy postanawiam opuścić salę, z hukiem otwierają się drzwi i pojawia się najbardziej zasadnicza – jak zdążyłam się zorientować – z pielęgniarek. Taca z kieliszkami wypełnionymi syropami i pastylkami niebezpiecznie drży w jej napiętej ręce.

– A co tu się dzieje? Co to za bałagan? I dlaczego tu tyle osób? Przy dziecku może przebywać jeden opiekun, nikt więcej!

– My do Karolka.

– Właśnie. A propos Karola. Dziecko przez cały dzień było samo. Płakało i tęskniło za matką. Dlaczego nikogo z nim nie było?

– Przecież w szpitalu jest opieka, to na co ktoś jeszcze?

– Bo dziecko w szpitalu jest przerażone i potrzebuje bliskości matki, ojca, babci. I co tu tak śmierdzi? – Patrzy oskarżycielsko po zebranych, rejestrując dwie niedopite kawy, plamę na podłodze i słodko pachnące kubki po czekoladzie. – Nie do pomyślenia! Proszę wyjść. Zostaje jedna osoba.

– Pani jest bezczelna. Napiszemy skargę!

– Niech pani pisze. Gdzie matka?

– To ja.

– Zostaje pani na noc?

– Nie wiem, nie pomyślałam, może...

– To czas się zastanowić. I proszę umyć małego, bo cały aż się klei.

– No wiecie ludzie, to już całkiem nie do pomyślenia, od brudasów będzie nas wyzywać! Wstydu za grosz nie ma.

– A kto mnie wołał? Pani dzwoniła?

Odruchowo kulę się w sobie, zastanawiając się, czy równo pościeliłam łóżko. Kopię torbę, żeby ukryć rzucone w kącie brudne prześcieradło, i przytakuję.

– Kroplówka przestała lecieć.

– Widzę. Zaraz przepłuczemy wenflon i będzie dobrze. Widzę, że syn chyba lepiej wygląda.

Chwytam się tej myśli jak tonący brzytwy i ogniskuję wzrok na małym, który na mój gust wygląda tak jak wczoraj i dwa dni wcześniej, ale może faktycznie coś przeoczyłam i przełom w chorobie zbliża się wielkimi krokami. Marzę o świeżym powietrzu, samotności i normalnym łóżku, a nie dmuchanym materacu na podłodze.

Rodzinka z hałasem zbiera torebki, siatki i plastikowe kubki i z rumorem odsuwanych krzeseł wszyscy wychodzą. Znika również matka Karola i malec zaczyna płakać.

– Oszaleć można. Dokąd ta kobieta poszła?

Patrzemy po sobie z matką drugiego chłopczyka i wzruszamy ramionami, spodziewając się, że prawdopodobnie także w nocy będziemy musiały do niego wstawać. Pielęgniarka spogląda na mnie uważnie, jakby miała zamiar przejrzeć moje sumienie, i z niesmakiem pyta:

– Jak możecie siedzieć w tym zaduchu?

– No właśnie nie możemy. Może zgodzi się pani na otwarcie okna?

– Przepisy zabraniają. Rodzice otwierają okna, gadają przez komórki, a dzieciaki wiszą na parapetach.

– Obiecuję, że jeśli się pani zgodzi, nie ruszę się na krok i wezmę odpowiedzialność za to, żeby nic się nie stało.

Waha się przez chwilę, ale wraz z kroplami potu, które pojawiają się na jej czole, wreszcie wyraża zgodę, a ja ze szczęścia mogłabym położyć się na wąskim parapecie i spędzić na nim noc.

Mocujemy się z zamkiem i nareszcie szklana tafla ustępuje. Niestety świeże powietrze nie ma odwagi wniknąć do pomieszczenia, natomiast stadu komarów zupełnie nic nie przeszkadza i z brzęczeniem atakują świetlówki. Na dworze jest tak samo duszno jak w szpitalnych salach i wietrzenie to zabieg czysto teoretyczny.

Nie jest nam dane długo cieszyć się wymianą powietrza, bo po godzinie wpada Helga pod pretekstem końca dyżuru, apodyktycznie zamyka okno i znika. Zostajemy z trójką dzieci, chmurą komarów i duchotą.

Matka Karola tak jak się zjawiała, tak równie szybko zniknęła i nie pojawia się ani po kolacji, ani w porze, gdy dzieci układają się do snu.

Noc zapowiada się koszmarnie i taka też jest. Antosiu się wierci, Karol płacze i kwili najmłodszy z licznych potomków młodej matki. Do tego co rusz wchodzą kolejne siostry, stukając drzwiami i butami, i majstrują przy kropłówkach. Choć starają się być cicho, podskakuję z każdym szumem i ruchem wokół mojego materaca.

Podczas porannego obchodu lekarze wiali we mnie nadzieję, że zbliża się koniec gehenny. Niestety szansa na wyjście pojawia się na horyzoncie ospale i z pewną nieśmiałością. Dzień jest podobny do dnia, z tą różnicą, że do Karola już nikt z rodziny nie przyszedł. Olaf przyjeżdża z obiadem w termosie każdego popołudnia, chwilę siedzimy razem, a potem jadę szybciotko do domu, żeby spędzić choć dwie– trzy godziny z córkami. W poniedziałek pojawia się dodatkowy punkt programu, bo zostaję wezwana do szkoły. Szczęśliwie akurat w porze drzemki Antosia, więc bez większych wyrzutów sumienia urywam się na godzinę.

Szkoła, zwykle gwarna i nie do wytrzymania podczas przerwy, jest cicha i dysząca stresem w czasie lekcji. Udziela mi się nastrój zganionej małej dziewczynki i z bijącym sercem stukam do drzwi pokoju nauczycielskiego.

Przy pustych stolikach siedzą pochylone nad sprawdzianami dwie nauczycielki. W jednej z nich rozpoznają panią Joasię, mimo że ścięła włosy i ufarbowała je na skrzący blond.

- Dzień dobry, pani Nino. Cieszę się, że pani dotarła.
- Witam, ja chyba cieszę się trochę mniej, o co chodzi?
- Wyjdźmy na korytarz.

Stajemy przy parapecie ze smutnymi doniczkami pełnymi jeszcze smutniejszych kwiatów o mięsistych wielkich liściach, które pokryte są gęstą siatką zapisków: Wojtek kocha Magdę, Karina jest głupia,  $KT+ER=WM$ . Wyglądam niespokojnie przez okno na błękitne niebo pozbawione najmniejszej choćby chmurki. Maj zapowiada przepiękne lato, ale podejrzewam, że jak zwykle wakacyjne miesiące pokażą bardziej pochmurne oblicze.

– Przykro mi, że musiałam panią wezwać, słyszałam, że synek jest w szpitalu, ale sprawa wymaga niezwłocznej interwencji.

Oczyrna wyobraźni widzę Klarę, która kopie leżącą, błagającą o litość koleżankę, i w tym obrazie zdecydowanie nic mi się nie zgadza, choć w sumie niewiele odbiega on od tego, co się stało – z tą różnicą, że moja córka, zamiast kopać, wypisała w sekretnym zeszycie krytykę Laury, nielubianej dziewczynki, zarozumiałej i wrednej, za której towarzystwem, przyznaję ze wstydem, również nie przepadam.

– Ale co napisała?

– Proszę zobaczyć. Obrażała koleżankę, pisząc, że jest głupia, pierdzi i wszędzie wyciera to, co wydlubie z nosa. O, a tu jest nawet rysunek.

Wpatruję się w patyczaka z wielkim nosem, krzywymi nogami i wielkimi zezowatymi oczami i gdy już, wysiliwszy wyobraźnię, zaczynam odnajdywać w nim podobieństwo do Laury, wychowawczyni wytrąca mnie z orbity.

– I namawiała inne koleżanki do prowadzenia podobnych pamiętników.

– Nie.

– Niestety tak. Do zabawy przyłączyły się Zuzia, Iza i Marta.

– A skąd pani ma ten pamiętnik?

– Laura wyciągnęła go z plecaka Klary.

– Czyli ukradła.

– Nie używałabym tak ostrych słów.

– A jakich? Grzebała w rzeczach mojej córki i zabrała jej własność.

– Można tak na to spojrzeć.

– Mam nadzieję, że poniosła karę. Za kradzież.

– Jeszcze nie, jutro przychodzą jej rodzice. Ale sama pani rozumie, że podżeganie do nienawiści jest naganne.

– Oczywiście, jak najbardziej się z panią zgadzam, i Klara niewątpliwie zostanie ukarana. Ale już w poprzednim semestrze sygnalizowałam konfliktowe

relacje dziewczynek i tworzenie się obozów i grup, które nakręcają się na inne. Najwyraźniej nic z tym państwo nie zrobili.

– Do klasy wkracza psycholog.

– Świetnie. A ja wkroczę w życie prywatne mojej córki. Coś jeszcze?

– Tak sobie pomyślałam, że skoro się widzimy, to może panią zapytam.

Węsząc podstęp, ociągam się z pytaniem, o co chodzi, za to uprzedzam, że jestem bardzo zabiegana i niestety nie upiekę ciast na zakończenie roku.

– Nie miałabym odwagi prosić pani o to. Ale mam inną prośbę.

– Coś kupić do klasy?

– Też nie. Widzi pani, nie ma kto zaopiekować się chomikiem podczas wakacji, czy zgodziłaby się pani go zabrać?

– Ale my mamy koty.

– Pytałam innych rodziców i wszyscy odmówili, a nie chciałabym brać go do siebie, rozumie pani.

Nie rozumiem, dlaczego akurat ja miałabym roztoczyć opiekę nad gryzoniem, a jeszcze bardziej nie rozumiem, dlaczego się godzę i wychodzę ze szkoły z klatką w rękę w towarzystwie śpiącego w trocinach Geniusza. Jak można nazwać Geniuszem głupią mysz – nie pojmuję, ale już w samochodzie zaczynam kichać i podejrzewam, że mam alergię albo na samego chomika, albo zwyczajnie na trociny.

Dziewczynki z piskiem radości witają mnie w domu, zachwycone nowym lokatorem, w zasadzie letnikiem. Ziuta i Cymbał natomiast przeżywają ekscytację życia, starając się łapkami dosięgnąć zestresowanego stworzonka.

– Ziuta, nie wolno! Uciekaj!

– Mamo, gdzie postawimy klatkę? Proszę, proszę, proszę, może stać u mnie?

– A masz miejsce?

– Przesunę zabawki na półce. Wiesz, to chomik z naszej klasy, więc to ja powinnam się nim zająć.

– OK, zobaczymy. A tak przy okazji, może chcesz mi coś powiedzieć?

– Ja?

– Tak, ty. Słyszałam od wychowawczynie, że zostałam pisarką.

– Przestań.

– Co mam przestać? Pani Asia wezwała mnie na rozmowę. Kompletnie ci się pomieszało? Co masz mi do powiedzenia?

– Yyy. Nie wiem.

– Może mi powiesz, co ci odbiło, żeby wypisywać takie rzeczy o koleżance.

– Bo ona jest głupia.

– I...

– No, jest głupia i jej nie lubię, a ostatnio śmiała się, że jestem sierota Marysia, a ty masz gacha. Co to jest gach?

Zaparowują mi okulary. Co za wredny bachor!

– Gach to bardzo brzydkie słowo, a miała na myśli to, że mam nowego chłopaka. Ale, Klara, nie wolno z tego powodu namawiać innych dzieci, żeby kogoś nie lubiły. Dlaczego do mnie nie przyszłaś?

– Bo cię nie było.

– Kochanie, gdybyś tylko mi powiedziała, przyjechałabym ze szpitala na dłużej, żeby to przegadać, i zastanowiłybyśmy się wspólnie, co z tym zrobić.

– Ale byłabyś zła.

– Z jakiego powodu?

– No bo to głupie, żeby wciągać rodziców w nasze kłótnie.

– Czasami trzeba i nie ma w tym nic głupiego. Po to są dorośli, żeby pomagać rozwiązywać takie problemy.

– Niby tak, ale przecież wiesz, że jej mama jest tak samo głupia jak ona. Sama słyszałam, jak mówiłaś cioci Magdzie.

– Nie wiem, ale nawet gdyby, to są jeszcze nauczyciele. Zrozumiano?

– Tak.

– Powinam dać ci karę, ale chyba już dostatecznie najadłaś się wstydu w szkole i mam nadzieję, że zdobyłaś się na jakąś refleksję, co?

– No, to było okropne. Pani przeczytała to głośno, poprawiła błędy i wpisała mi jedynkę.

– Za błędy? Bardzo dobrze. Trzeba być kompletnie nierozgarniętym, żeby wypisywać takie rzeczy, i to na dodatek z błędami.

– No, teraz już wiem.

– Zanieś Geniusza do pokoju i zejź na dół. Marysia, jak tam twoja rybka?

– Dobrze.

– Ziuta i Cymbał już chyba na nią nie polują, co?

– Nie, a Olaf obiecał, że kupi mi dużo rybek i zrobi takie duuuże akwarium.

– Tak? To świetnie.

Cholera jasna, nie ma mowy, żeby w tym domu pojawiło się jakiegokolwiek akwarium. Jeden pomarańczowy welon to o jednego pomarańczowego welona za dużo, a co dopiero całe akwarium z tymi wszystkimi filtrami, glonami i wodą, która nieustająco domaga się wymiany. Żadnego psa, ryby, kolejnego kota, nie wspominając o gadach, płazach i sypiących ziarnem prosa papużkach. Żadnych egzotycznych roślin, które musiałabym okrywać na zimę albo skrapiać niezliczonymi mgiełkami każdego dnia. Co samo przeżyje, jest mile widziane, nic więcej.

Umordowana wracam do szpitala, po drodze podrzucając samochód do przeglądu technicznego, którego ważność właśnie się skończyła. Na myśl o panującym tam zaduchu robi mi się słabo, a o wyjściu z Antosiem boję się myśleć, by nie zapeszyć tej drobnej nadziei. Ale dziś mam szczęście, bo chwilę po

moim powrocie pojawia się lekarz prowadzący i oświadcza, że jeśli będziemy stosować się do zaleceń, możemy iść do domu. Jest ich niewiele i nareszcie wraz z receptą wręcza nam wypis, i możemy opuścić szpital. Dzwonię podekscytowana do Olafa i błagam, by rzucił wszystko i zaraz po nas przyjechał.

Wychodzę z Antosiem na rękę. Olaf dźwiga torbę, która podczas tych kilku dni izolacji od świata rozrosła się do monstrualnych rozmiarów, i byle jak zwinięty dmuchany materac. Czuję się jak w dniu narodzin dziecka, z tą różnicą, że wychodzę z oddziału, na który mam nadzieję już nigdy nie wrócić. I choć nie mam piersi nabrzmiąłych mlekiem i rozdartego krocza, czuję się umęczona tak, że marzę tylko o łóżku.

Dzień jak na złość jest wietrzny i zapowiada deszcz. Rześkie powietrze owiewa nas gwałtownymi podmuchami i po raz pierwszy od tygodnia jest mi zimno, nawykłe do atmosfery sauny ciało protestuje przed tak gwałtowną zmianą i pokrywa się gęsią skórką. Przytulam Antosia i zasłaniam mu tetrową pieluchą buzię, żeby nie nałykał się zimnego powietrza, co mogłoby skutkować nawrotem choroby.

Na szpitalnym parkingu, zapchanym do granic możliwości, Olaf zaparkował na samym końcu, na łacie piachu, która w założeniu projektantów zapewne miała być trawnikiem. Wleczeni się obładowani jak wielbłądy i gdy docieramy do miejsca, gdzie miał stać samochód, okazuje się, że go nie ma.

– Jesteś pewien, że tu zaparkowałeś?

– Tak. – Olo rozgląda się bezradnie. Odkłada toboły na piach i wyjmuję z kieszeni kluczyki. Klika z nadzieją, że gdzieś nieopodal usłyszy lekkie mruknięcie zamka, ale nic takiego się nie dzieje. Nigdzie nie dostrzegamy mrugających świateł. – Cholera, chyba go ukradli.

Krew odpływa mi z twarzy i bezsilnie patrzę to na niego, to na pustą przestrzeń przede mną. Olaf sprawia wrażenie spokojnego, choć widzę, że wszystko się w nim gotuje.

– Co teraz?

– Nic, dzwoniemy na policję.

Oczywiście jesteście naiwni, sądząc, że zaraz z piskiem opon podjedzie radiowóz na sygnale, że ktoś zapyta, czy nam pomóc. Nikt nie jest specjalnie zainteresowany naszą historią. Mamy złożyć zeznania na najbliższej komendzie i tyle.

Zastanawiam się, czy zostawiłam w aucie coś cennego: ulubione buty, parasol, okulary, i dochodzę do radosnego wniosku, że wszystko, poza fotelikami dzieci, zostało w mojej hondzie.

– Wiesz, nic tu po was. Weź taksówkę i jedź do domu, ja pojedę na policję.

– Jesteś pewien?

– Tak, zadzwonię po taksówkę.



Podjeżdża nowiutkie renault, brakuje tylko folii na siedzeniach, i kierowca marudzi, że mamy dziecko, tyle bagażu, i poucza, że mam uważać, żeby Antoś nie pobrudził bucikami siedzenia. W końcu pozwala nam umościć się na tylnej kanapie. Oczywiście nie ma fotelika dla dziecka, ale raczej nie spodziewam się takiego wyposażenia w innych pojazdach, więc się poddaję, a nawet jestem mu wdzięczna, że zdecydował się podzucić nas do domu. Tak jak auto jest świeże i ekskluzywne, a jego właściciel naburmuszony, tak samo wyczesana okazuje się cena za usługę, którą słyszę pod furtką.

– Żartuje pan?

– Nie, taki mamy taryfikator.

– Rachunek proszę, znaczy fakturę.

– Pani, teraz to ja pani nie wypiszę.

– Potrzebuję teraz.

– To jest problem. Mogę wysłać pocztą.

– Proszę wybaczyć, ale jakoś nie mam zaufania do waszej sieci i proszę o fakturę teraz.

– Co za uparte babsko – mruczy pod nosem, a mnie ciśnienie unosi włosy. Wreszcie pochyla się do schowka przy siedzeniu pasażera i wyjmuje druczek. Niechętnie wysłuchuje danych, które mu podaję, dwukrotnie się myli i musi wypisywać fakturę od nowa. Jest wściekły i nie pomaga mi wypakować bagażu. Mam to w nosie, bo już widzę drzwi domu, a za nimi wygodne łóżko i filiżankę gorącej herbaty z miodem i cytryną.

Antoś drepcze obok mnie. Piszczycy z zachwyty, że nareszcie może się ruszać, a nie musi siedzieć unieruchomiony w łóżku, podpięty do kroplówki. Nie czuję ciężaru torby i materaca, bo wiem, że za chwilę staną się tylko niemiłym wspomnieniem.

Rzucam wszystko pod drzwiami i długo gmeram w zamku kluczem, aż wreszcie otwieram, jak się okazuje, niezamknięte drzwi i uderza mnie zapach pronto zmieszany z chemicznym aromatem cytryny. Mieszkanie jest wysprzątane, pachnie świeżością, białe goździki stoją na stole, a kuchenka ledwie mieści garnki i garnuszki na palnikach. Zaciekawiona podchodzę, unoszę pierwszą z brzegu przykrywkę i spoglądam w oka klarownego rosołu, pełnego warzyw i natki pietruszki. Kolejne garnki skrywają kotleciki w ilości przemysłowej, ziemniaki i fasolkę oraz jakąś papkę, która pachnie grochówką. Nie sądziłam, że Olaf tak gotuje.

Wchodzę pod prysznic, do wanny wkładam małego, który rozchlapuje wodę na pół łazienki, i zmywamy szpitalne pozostałości, tak żeby pozbyć się bakterii, smrodu i wspomnień. Ubieram Toniego w miękki dresik, sama wskakuję w wygodne szare dresowe spodnie i bawełnianą koszulkę, która na skutek częstego prania rozciągnęła się do idealnego rozmiaru, gwarantującego wygodę

w domowym wydaniu. Klapiemy bosymi stopami po deskach podłogi, a zdziwione ablucjami o tej porze koty ocierają się o nasze nogi, kreśląc ósemki i prężąc grzbiety.

Dzwonek do drzwi wyrywa mnie z zamyślenia. Podbiegam do domofonu i staję przed Anią.

– Hej, co tu robisz?

– Dzień dobry. Chciałam się przywitać. Jak mały?

– Dobrze. Mam nadzieję, że najgorsze mamy za sobą. Miło, że wpadłaś. Skąd wiedziałaś, że dziś wracamy?

– Olaf zadzwonił i poprosił, żebym zajęła się Antosiem.

– Naprawdę?

– Tak. Chciał, żeby pani odpoczęła. Wezmę też dziewczynki.

– Nawet nie wiesz, jaką fundujecie mi rozkosz.

Ania wchodzi do środka, Antoś piszczy na jej widok, a ja relacjonuję pobyt w szpitalu i incydent z samochodem. Nie pojmuję, jak to się dzieje, że gdy tylko pomyślę, że jakoś to będzie i wychodzimy na prostą, od razu dostajemy obuchem w łeb, a przeznaczenie pokazuje nam środkowy palec.

– I co teraz?

– Nic, musimy czekać. Nie sądzę, żeby znaleźli auto.

– No tak, ale jak sobie poradzicie?

– Mamy moją hondę. Masa ludzi funkcjonuje z jednym autem, a jeszcze więcej bez samochodu, więc damy radę. Ale żał mi Olafa. Tak lubił ten samochód.

– Z pewnością był ubezpieczony, więc nie ma co rozpaczać.

– Łatwo się mówi. Nie dostaniemy jego pełnej wartości.

– Nie, ale zawsze coś.

Szlag mnie trafia, gdy pomyślę, że jakiś baran rozkręca teraz nasz samochód na części, a policja udaje, że nic się nie stało. Nawet gdyby namierzyli sprawcę, to i tak pewnie zabrakłoby przepisów i argumentów, żeby postawić mu jakiegokolwiek zarzuty. Cholernie debilnie skonstruowany ten świat.

Ania wychodzi, a ja rezygnuję z kawy, decydując się na filiżankę herbaty z dodatkami. Płaczę się po kuchni między zlewem a czajnikiem z wodą i po chwili okazuje się, że moja własna, osobiście zaprojektowana i poukładana kuchnia jest zupełnie obcym miejscem. W szufladzie z kubkami są pojemniki z mąką, na półce z talerzami stoją garnki, a w przegródce z widelcami zamieszkały noże. Początkowy szok ustępuje frustracji, bo w żaden sposób nie mogę namierzyć puszki z herbatą. Coraz gwałtowniej trzaskam drzwiami szafek i szufladami, aż w końcu znajduję pojemnik z herbatą obok mąki i cukru. Nie wiem, jaka systemowa logika powodowała osobą, która zrobiła takie przemeblowanie, ale nie jest to moja logika. Cholera, co przeszkadzało Olafowi w dotychczasowym porządku?

Z wrażenia odechciało mi się herbaty czy kawy, nalewam sobie szklanke wody z kranu i idę do sypialni, w której na pierwszy rzut oka wszystko jest na swoim miejscu. Jednak gdy szarpnę za kapę, moim oczom ukazuje się paskudna pościel z kory w tysiące mniejszych i większych serduszek. Nienawidzę kory. Jej praktyczności, tego, że nie trzeba jej prasować, o krochmalu nie wspominając, obrzydliwej faktury i tego, że taka pościel, nawet susząc się na sznurze, nie wygląda świeżo. Zawijam się na jednej nodze i zdruzgotana wpadam do pokoju Klary. Szczęśliwie jej pościel jest na swoim miejscu, w dodatku pachnie małą, snem i spokojem. Nie wiem, kiedy zasypiam ani kiedy się budzę. Na dworze jest szarawo i słyszę przyciszone odgłosy domu.

Leniwie dźwigam się z pościeli, po czym padam na nią ponownie. Postanawiam udać, że jeszcze się nie obudziłam, chłonąc delikatnie zaburzoną ciszę. Nasłuchuję i ze zdziwieniem odkrywam, że nie rozpoznaję niektórych głosów. Zaintrygowana postanawiam jednak wstać. Nim zejść na dół, wbijam się do łazienki i patrzę w lustro, które ukazuje twarz nieco podobną do mojej. Rozmazany tusz, podpuchnięte oczy, poszarzała cera. Zmęczenie niczym trądzik wychodzi z mojego ciała, odciskając piętno na i tak dyskusyjnej urodzie. Ogarniam się z grubsza i powoli schodzę.

Przy kuchennym stole siedzą Olaf z rodzicami. Stoję w drzwiach i w milczeniu przyglądam się, jak pani Mariola krząta się po mojej kuchni. Bezbłędnie odnajduje potrzebne jej rzeczy, wydając je z miejsc, w które nawet bym nie zajrzała. Najwyraźniej podświadomie wyczuwa moją obecność, bo odwraca się i na jej twarzy wykwita uśmiech.

– Aleś mnie wystraszyła. Dzień dobry, jak się spało?

– Dziękuję, dobrze.

– Chodź, kochanieńka, właśnie skończyliśmy późny obiad, ale zaraz ci odgrzeję, bo rosółek to byś zjadła, prawda?

– Chętnie.

– Taka chudziutka jesteś, musimy cię trochę podtuczyć. Ja już wszystko naszykowałam. No chodź, siadaj o tu, na tym krześle. Olaf, podaj Nince łyżkę, ja tylko zaparzę herbatę i zaraz się tobą zajmę.

– Nie trzeba, sama sobie naleję.

Wysuwam szufladę i chyba jednak sama się nie obsłużę. Tam, gdzie powinienam znaleźć chochle, piętrzą się zwinięte w kulki woreczki, w których przynosimy do domu warzywa i pieczywo.

– Olaf, dlaczego zdemolowałeś porządek w mojej kuchni? Przecież ja się tu nie odnajdę. Wszystko poprzekładałeś.

Olaf wzrusza ramionami i otwiera usta, żeby mi odpowiedzieć, ale uprzedza go pani Mariola:

– To nie Olaf, to ja.

– Ale dlaczego? – pytam grzecznie, choć powinnam wywrzeszczyć: jakim prawem, to mój dom! Nie robię tego, nie chcąc prowokować niemiłej dyskusji ani tym bardziej kłótni. W tyle głowy nieustająco pulsuje świadomość, że skoro z pierwszymi teściami mi nie wyszło, to powinnam popracować nad relacjami z drugimi i już na starcie spuścić z tonu. Być tolerancyjna i spokojna.

– Nie gniewaj się, że zrobiłam po swojemu, ale nic tu nie mogłam znaleźć. Miałaś to jakoś dziwnie poustawiane, chcesz lanych klusek do rosółu?

– Proszę?

– O czym to ja... Ano tak. Miałaś jakoś tak niepraktycznie porozkładane, a teraz wszystko do siebie pasuje. Mąki do sypkich (już wiem, skąd herbata znalazła się obok krupczatki), garnki pod ręką, a takie śliczne masz, że postawiłam je za szybą, żeby było je widać. A z tymi ściereczkami koło kosza to, proszę cię, zupełnie bez sensu. Olaf, no podajże Ninie łyżkę, co tak siedzisz? Zresztą skoro teraz będziemy tu częściej bywać, to wy sobie pójdziecie do kina czy na spacer, a ja będę kucharzyć.

– Jak to częściej?

– Ach, no, wiesz, że mieszkania już prawie zamieniliśmy i jak dobrze pójdzie, najpóźniej za dwa tygodnie wprowadzimy się po sąsiedzku.

Czerwona żarówka wiruje mi w głowie, oślepiając jaskrawym, wdzierającym się pod powieki światłem. Jeśli oni mają zamiar tu bywać bez ograniczeń, w dowolnym czasie, i jeszcze odbierać mi najprzyjemniejszy domowy obowiązek – gotowanie, to może czas poszukać wygodniejszego lokum na drugim końcu miasta. Skoro zniosłam jedną przeprowadzkę, nie mam wątpliwości, że poradzę sobie z kolejną... Choć w duchu wiem, że w życiu tego nie zrobię. Ale rozpaczliwie nie chcę kolejnych obcych ludzi w moim domu. W moim domu, w mojej przestrzeni!

– To miły pomysł, ale w moim domu to ja przyrządzam posiłki.

– A co tam, kochanieńka, wiesz. Ja dziecko odchowałam, to chętnie ci pomogę. Jak byliśmy młodzi, to żadnej pomocy nie było. Rodzice na wsi siedzieli, daleko, tak jakby ich nie było. W mieście żadnych krewnych nie mieliśmy, ot, tyle co znajomi z pracy. Ale oni też mieli swoje domy i obowiązki, więc wstyd było prosić o pomoc.

– Yhm. – Siorbię gorący rosół, boleśnie parząc sobie górną wargę i brodę, po której spływa płyn. Zupa, mimo że w garnku wyglądała zachęcająco, jest niedosolona i pozbawiona smaku.

– I dlatego postanowiliśmy z mężem, że my nie zostawimy tak naszych dzieci i będziemy im pomocą w każdej chwili.

– To miło. – Uśmiecham się blado, mając nadzieję, że nie dotyczy to dzieci przybranych i partnerki ich potomka, które byliby skłonni zagłaskać na śmierć. Właściwie chyba mi odbiło. Najpierw krytykowałam teściów, że nie angażują się w życie wnuków i nie interesują rodziną, a teraz, gdy otrzymuję pełną uwagę

i pomoc, jestem przestraszona, że ktoś ingeruje w moją przestrzeń.

– Już nawet pilnowałam dzieci i powiem ci, że za dużo siedzą w swoich pokojach.

Jezu! Kiedy ona pilnowała dzieci? Moich dzieci?

– A kiedy? Przepraszam, że nie podziękowałam, ale nic nie wiedziałam.

– A za co dziękować! Teraz to są jakby nasze wnuki. Olafek sobie polatał po lesie z tym, jak mu tam, no...

– Beniaminem.

– Z ust mi wyjął! Właśnie. Więc jak on biegał i trenował, to ja ci ślicznie wszystko wyprasowałam i w szafie porządek zrobiłam.

– Że co?

– Poskładałam ci wszystko elegancko w kosteczki. Posegregowałam i porządek teraz masz jak się patrzy. Chyba się nie gniewasz?

Nie gniewasz? Jestem wściekła, bliska furii. Jakim prawem ta kobieta przetrzepała mi szafy? Dlaczego Olaf pozwolił matce na tak idiotyczne ruchy? Pomoc pomocą, ale to zakrawa na rewolucję, jeszcze nie krwawą, ale już prawie!

– Gniewać? Nie, doceniam dobre chęci. Ale na przyszłość proszę nie ruszać moich rzeczy, wolę je sama składać...

– Ale czego ty się wstydzisz? Myślisz, że gatek nie widziałam? Może nie takich fikuśnych, ale gatki to gatki.

Nie wierzę. Pochylona nad rosołem roztrząsam problem majtek. Niechybnie zaraz zaczniemy rozważać, jaki sposób składania w kostkę jest najbardziej ergonomiczny, elegancki albo ekologiczny, bo przecież ekologia w dzisiejszych czasach to rzecz podstawowa i pewnie ktoś już się wypowiedział na temat gaci w tym kontekście, a jeśli nie, to może jest to nisza, która zagospodarowana inteligentnie i przedsiębiorczo może stać się załącznikiem wielkiego międzynarodowego biznesu.

– Wolałabym jednak określić moją przestrzeń, która ma pozostać nienaruszona. Zwłaszcza w szafach.

– Słyszałeś, Romuś? Nina, przecież my jesteśmy prawie jak rodzina, to co ty o jakichś przestrzeniach mówisz? W rodzinie nie ma tajemnic.

Patrzę na Olafa jak zasysający makaron zakochany kundel Tramp na Lady i trzepotem rzęs daję mu znaki, że oczekuję wsparcia, odsiecz jest wręcz niezbędna i jeśli zaraz się nie odezwie, będzie mógł milczeć do końca życia, z kim tylko zechce, ale z pewnością nie ze mną!

– Mamo, prosiłem cię. To dom Niny, nawet ja jestem tu gościem.

– Jak to gościem? Skoro jesteście razem, to chyba połowa domu jest twoja?

– No, nie, właśnie, że nie.

– Ale nie chciałeś czy ci nie dała?

Nagle staję się wielką nieobecna.

– Nie rozmawialiśmy o tym.

– To dobrze, że się zgadaliśmy. – Romuś po raz pierwszy się ożywia i gwałtownie pocharkując, kontynuuje: – Czas porozmawiać. Bo przecież nie możesz tak po prostu tu mieszkać, coś ci się należy.

– Tato, nic mi się nie należy. I nie chcę niczego od mojej dziewczyny. To jej dom, ja tu tylko przebywam.

– Właśnie. A co będzie, odpukać w niemalowane, jak coś jej się stanie? To co? Pod most pójdziesz? Tak być nie może.

– Poradzę sobie.

– To się nie godzi. Skoro mieszkacie razem, to wszystko powinno być na pół.

– Przestańcie. Nie będziemy tak rozmawiać.

Ależ jestem z niego dumna! Mój asertywny, mądry mężczyzna, na którego mogę liczyć i który jest po mojej stronie. Z zachwytem przysłuchuję się, jak tłumaczy niechcącym niczego zrozumieć rodzicom naszą filozofię życiową. Kończę rosół i mimo zachęcającego zapachu kotlecików nie mam na nic ochoty. Marzę, by wyszli, bo póki dzieci nie ma w domu, mogłabym pobyc z Olafem sam na sam. Wtulić się w niego na kanapie i zwyczajnie pomilczeć. Niestety rodzicom się nie spieszy, upierają się, że pojedą autobusem, który kursuje co godzinę i właśnie odjechał, mowy nie ma o taksówce, bo to tylko strata pieniędzy.

Rozmowa się nie klei, za to wypadają kolejne trupy z szafy. Ogród mam co prawda odchwaszczony, ale na środku trawnika wyrosły dwie tuje, bo tego podobno brakowało w architekturze krajobrazu mojego ogrodu, zlewającego się ze ścianą lasu. W prezencie otrzymaliśmy nie tylko pościel z kory, ale również bardzo praktyczny serwis do herbaty ze złotą obwódką, pod którą rozsiadły się bukietki czarnych kwiatków, a w szafce na buty pojawiły się góralskie bambosze dla całej rodziny, w tym rodziców Olafa, i jedna para dla gości, ze szczególną dedykacją dla pani Aleksandry.

Nie wiem, jak odgruzuję dom, bo co rusz odkrywam kolejne zmiany na lepsze, które wcale nimi nie są. Zamiast odpocząć, zaraz po ich wyjściu wyjmuję wszystko z kuchennych szafek i przywracam pierwotny ład, przeglądając słoiki z półproduktami i dziwne zawieszyny w kolejnych słoikach po majonezie w lodówce.

Rzucam w Olafa białą wykrochmaloną pościelą i zmuszam do powleczenia na nowo łóżka. Nie do końca jestem pewna, czy rozumie, o co mi chodzi, ale potulnie robi, o co proszę. Zamiast cieszyć się domowymi pieleszami, czuję się jak babcia na wycugu, której rodzina chce się jak najszybciej pozbyć. Dobrze, że mam Olafa.

Magda wróciła z dwutygodniowego turnusu nad morzem w strasznym stanie. Za ciężkie pieniądze kolejny raz wybrała się do ekskluzywnego spa, gdzie pod pretekstem diety eko-bio karmili ją sałatą i surową marchewką. Zapłaciła tyle, że przez tydzień mogłaby delektować się owocami morza w Tajlandii. Jednak moda na wegetarianizm pchnęła ją w ramiona znanej z telewizyjnych programów i okładek pism dietetyczki, która każdego dnia maltretowała ją trzema godzinami ćwiczeń, żarciem pozbawionym soli i zakazem alkoholu. Dla mnie koszmar, dla niej szczyt ekstrawagancji i bycia na topie.

Wydaje się dziwnie pobudzona. Udaje zrelaksowanie i dobry humor, ale znam ją tyle lat, że wiem, że to jedna wielka ściema. Magda jest nieszczęśliwa. Stała się przy okazji straszną formalistką, którą wkurzają zachowania i najmniejsze nawet uchybienia innych ludzi: ekspedientka w sklepie, która znakomicie zna rosyjski, ale ledwo radzi sobie z polskim i z pojęciem „ser gruyère” się nie spotkała, parkingowy, który kazał jej zaparkować pod lipą i teraz ma samochód w żółtym pyłe, nie mówiąc o sąsiadce, która nie sprzątnęła z trawnika wielkiej kupy po miniaturowym yorku.

– Magda, co jest?

– A co ma być?

– Jakaś dziwna jesteś.

– Normalna.

– Bo ja wiem? Mam wrażenie, że jesteś stale wkurzona.

– Wydaje ci się. Medytowałam i ćwiczyłam przez dwa tygodnie i doszłam do wniosku, że nasze życie jest do dupy.

– W jakim zakresie?

– Każdym. Ludzie żyją inaczej. Na luzie, bez napinki.

– No to tak jak ty.

– Ja? Żartujesz?

– Nie pracujesz, na wszystko możesz sobie pozwolić, czego chcesz więcej?

– Daj spokój. Nie widzisz, jak to wygląda? Każdy gdzieś gna, ludzie są nerwowi, martwią się, w co się ubrać, udają kogoś, kim nie są. I te drabiny awansów! To nie dla mnie.

– W takim razie co jest dla ciebie? Chcesz wina?

– Nie piję. Mogę pić tylko wodę z miodem i cytryną.

– Fatalnie.

– Ale co?  
– Z tą wodą.  
– Nie, czuję się świetnie. Od szesnastu dni funkcjonuję bez kawy i czarnej herbaty. Super, nie?

Nie jestem pewna, bo wygląda, jakby wciągała kawę nosem albo waliła ją dożylnie. Jest pobudzona i niespokojna, moje podwójne espresso nigdy nie szarpnęło mnie tak energetycznie nawet na godzinę.

– Może. Ja tam lubię poranną kawę i gorzką czekoladę. Na pewno nie chcesz wina?

Wyciągam z szafki dwa kieliszki i z rozbawieniem obserwuję walkę, jaką toczy Magda z zasadami diety, szczęścia i dobrego samopoczucia. Ciężko opada na oparcie krzesła i zdesperowana mruczy pod nosem:

– A daj. Ale nie za dużo.  
– Nie martw się, mam resztkę, nie zaszalejemy.  
– To dobrze.  
– Czy ja wiem? Życie jest takie krótkie, że nawet miałabym ochotę poszaleć.  
– A ja nie. Zmieniłam podejście. Koniec z używkami. – Mówi, jakby była ćpunką na odwyku, a nie pańcią w średnim wieku, która od czasu do czasu wypija drinka. – Przerzucam się na ekologiczny styl życia.

– A dokładniej?  
– Zdrowa żywność, zero mięsa, joga, gimnastyka i jogging. Bieganie jest super.

– Zwariowałaś? – Podnoszę kieliszek i wygłaszam toast: – Za nas! Przecież zawsze się śmiałaś z tych wszystkich maratończyków.

– Wyobraź sobie, że tylko krowa nie zmienia poglądów. Spróbowałam i zaskoczyło. Mam zamiar wystartować w półmaratonie.

– Nie.  
– Mówię ci. Kupiłam buty, ciuchy...  
– Czyli najważniejsze masz za sobą.  
– Złośliwa jesteś. Właśnie na tym polega zmiana, że nie to jest najważniejsze.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że kupiłaś je w lumpeksie?  
– Oczywiście, że nie, choć tak byłoby najbardziej trendy.  
– Nie wyobrażam sobie, że biegasz w butach i ciuchach, w których ktoś się kiedyś pocił.

– Szczerze? Też sobie nie wyobrażam, ale i tak zrobiłam postępy, bo nie kupiłam najdroższych, jakie były w sklepie.

– To już rewolucja. Pewnie te najdroższe ci się nie podobały.  
– Prawda jest taka, że nie było rozmiaru, ale pomyślałam, że to nic, przynajmniej mentalnie jestem trendy.



Obawiam się, że moja przyjaciółka dość niekonwencjonalnie pojmuję proste, ekologiczne życie, inaczej niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent społeczeństwa. Wodzę palcem wskazującym po brzegu kieliszka i obserwuję, jak wino spływa po wewnętrznej ściance i łączy się z resztą na dnie. Przyglądam się wychudzonej Magdzie i zazdroszczę jej figury, która niestety jest w pakiecie z poszarzałą cerą, mimo lata. Nie mogę sobie pozwolić na weekendowy wyjazd, a co dopiero dwutygodniowy pobyt poza domem. Szpitalny stres zajadałam bułkami z żółtym serem, przybierając na wadze w takim tempie, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam przebadać tarczycy.

Słyszę, że otwierają się drzwi, i po chwili w korytarzu rozlega się:

– Cześć, już jestem.

– Cześć.

Odpowiadamy jednocześnie. Ziuta na złamanie karku gna po schodach z nadzieją, że zostanie podrapana pod brodą, a do jej miseczki wpadnie kilka kocich ciasteczek.

– Cześć, dziewczyny.

Olaf wchodzi do kuchni. Mrużę oczy i przyglądam się z zachwytem, jak przystojnie wygląda w błękitnej koszuli z podwiniętymi rękawami i garniturowych spodniach. Dobrze ostrzyżone, nażelowane włosy same się układają w nieskazitelny przedziałek i miękko opadają na lewą stronę. Rozpiera mnie duma. Magda wstaje i cmoka Olafa w policzek, ja natomiast sięgam po kolejny kieliszek.

– Wina?

– Nie, absolutnie! Jestem na diecie. – Klepie się po brzuchu i patrząc na Magi, dodaje: – Maraton.

– Coś ty! Ja też, ale połówka.

– Żartujesz? Zaczęłaś biegać?

– To za dużo powiedziane, ale rzeczywiście, coś robię w tym kierunku.

– Świetnie. Może spotkamy się na trasie?

– Wiesz, moglibyśmy nawet umówić się na małą pętlę. Masz może jakąś ulubioną trasę, bo ja dopiero poszukuję...

– Superpomysł, pokażę ci świetne miejsce, tu niedaleko, w lasku.

Patrzę na nich z rozdrażnieniem, bo na pewno nie z zazdrością, nawet się cieszę, że nie mam w sobie sportowego ducha i imperatywu, żeby gnać przed siebie. Oczywiście od razu pojawia się temat butów, odpowiednio dobranej wkładki i tych skarpetek, o których nie mam najmniejszego pojęcia. Magda rozkwita, Olaf się angażuje, a ja jak sierota z kieliszkiem w ręku przysłuchuję się rozmowie, z której niewiele rozumiem i której temat niespecjalnie mnie interesuje. Nagle mój chłopak przypomina sobie o moim istnieniu i radośnie proponuje, bym do nich dołączyła.

– Nie ma opcji.

– Daj spokój, spróbuj.  
– Nie mam ochoty na treningi.  
– Kochanie, przecież to tylko bieganie, dasz sobie radę. Zobacz, nawet Magda spróbowała. Daj się namówić.

– Ale ja nie mam ochoty, rozumiesz?  
– Poczujesz się lepiej, zrzucisz tu i ówdzie.  
– No, teraz to już przegiąłeś! Nie mam zamiaru niczego zrzucić.

Oczywiście nie wspominam o tych kilku kilogramach, których chętnie bym się pozbyła, ale nie tym sposobem. Już chyba wołałabym przejść bolesny zabieg liposukcji, niż katować się przebiegniętymi kilometrami.

– Nie bierz tego do siebie, po prostu sama mówiłaś.  
– To nie znaczy, że musisz głośno, publicznie o tym gadać i jeszcze się pod tym podpisywać. Zresztą mówiłam to tylko po to, żebyś mógł zaprzeczyć. Podobno kochasz mnie taką, jaka jestem, zgadza się?

– Kocham, oczywiście. Mówię to dla twojego dobra.  
– Odwal się.  
– Nie obrażaj się, ale on ma rację.  
– Dajcie mi spokój.

Wściekła wychodzę z kuchni, zostawiając ich nad zimną wodą mineralną w kieliszkach z grubego szkła. Oczywiście wiem, że mają rację i powinnam coś ze sobą zrobić, ale za żadne skarby świata się do tego nie przyznam. Postanawiam, że cichaczem, gdy nikogo nie będzie w domu, wrócę do ćwiczeń, może nawet poszukam wirtualnych zajęć jogi. Przejdę na jakąś dyskretną dietę. Jest mi przykro i czuję się zdradzona przez nich oboje. Z drugiej strony zazdroszczę im tej nowej nici porozumienia, której sama nie potrafię uchwycić. Oczywiście moje wyjście jest bezsensowne i świadczy tylko o tym, że mam problem ze sobą, więc markuję pilną potrzebę skorzystania z toalety i wracam, by podjąć tym razem dyskusję o tym, gdzie można by spędzić zaplanowany przez nich wspólny urlop. Szkoda tylko, że nikt nie spytał mnie, czy chcę w tej grupie – lub w podgrupach – przeżyć wakacje z dziećmi i znajomymi Olafa i Magdy.

Olaf stoi w kuchni z kubkiem czarnej herbaty, Klara z przejściem smaruje masłem tosty, które znikają w buziach Antosia i Marysi. Spoglądam na sielankowy obrazek mojej rodziny i trudno mi uwierzyć, że to szczęście jest moim udziałem. Nasz pobyt w szpitalu był katalizatorem nowych relacji i sprawił, że dziewczynki zaczęły traktować Olafa z większą życzliwością, nawet Klara przestała popatrywać na niego spode łba, no, może robi to tylko od czasu do czasu.

Wbrew sobie głośno wzdycham i ogniskuję na sobie ich spojrzenia.

– Mamo, jesteś smutna?  
– Nie, skąd? Zamyśliłam się.  
– Bo miałaś taką minę...

– Nie, kochanie, wszystko w porządku, może jestem troszkę zmęczona. Właściwie to zastanawiałam się, czy może byśmy gdzieś nie wyskoczyli w weekend, żeby pooddychać innym powietrzem.

Olo spogląda na mnie przerażony, jakbym zaproponowała kolejny pobyt w szpitalu, tym razem dla całej rodziny, a ja zupełnie nie wiem, o co chodzi. Bo chyba nie o pracę?

– Coś nie tak?

– Nie, wszystko OK, tylko przygotowuję się do maratonu i umówiłem się z Beniaminem na trening.

– Nie możesz odwołać?

– Wiesz, raczej bym nie chciał, bo start się zbliża.

– A nie możesz trenować gdzie indziej?

– Sam nie wiem... A może zapytam Beniamina, czy nie miałby ochoty pojechać z nami?

– Oszalałeś? Nie zabierałam nigdy na wakacje czy wypadki niańki, a mam zabierać jakiegoś gościa od sportu?

– Nie mów tak. Wiem, że go nie doceniasz, ale naprawdę jest dobry w tym, co robi.

Trudno zachwycać się młodym kogucikiem z wytatuowaną połową ciała, z wydepilowanymi nogami, z mięśniami zamiast mózgu i tlenioną grzywą, wmawiającym mojemu facetowi, że mimo czterdziestu kilku lat znowu może stać się nastolatkiem, a przynajmniej zmusić organizm do wydolności na poziomie dwudziestoletniego koszykarza, który pół dzieciństwa spędził na podskokach, biegach i kozłowaniu.

Jestem fanką zdrowego stylu życia, ale w parze z rozumem, który powinien zagwarantować racjonalizm. Tymczasem w szafce mam coraz mniej miejsca na szpilki, które są wypierane przez coraz to nowe buty do biegania i halówki. Dla mnie różnią się zaledwie kolorem, dla Olafa i Magdy – miękkością podeszwy, wyprofilowaniem wkładki i przeznaczeniem: na miękką powierzchnię, trawiastą, równą lub nierówną, na piątkowe popołudnie i niedzielny ranek. Do tego w kuchni pojawił się pojemnik z jakimś białkowym preparatem, który ma wspomagać regenerację mięśni. Przypomina mi to sposób żywienia kota, a nie dorosłego faceta, który co rano rozpuszcza w wodzie kilka łyżek proszku i twierdzi, że zjadł śniadanie.

– Olaf, nie ma mowy. Mam zamiar odpocząć i spędzić czas z wami, a nie z jakimś dziwnym kolesiem.

– Wiem, kochanie, ale ustaliliśmy, że będziemy szanować swoje pasje i potrzeby.

– No tak, ale nie sądziłam, że one staną między nami.

– Nie przesadzaj, to tylko weekend. Możemy zrobić tak: wy wyjedziecie, a ja

do was dołączę trochę później.

– Ile zajmie ci trening?

– Jakies trzy–cztery godziny, z tym że muszę trenować też w niedzielę, więc mógłbym do was dołączyć tak koło południa w sobotę, a w niedzielę wyjechałbym po obiedzie.

– No, nie wiem... Będiesz wykończony, a nie wypoczęty.

– Nie przejmuj się mną.

– Jak mam się nie przejmować? Przecież dla ciebie to też ma być przyjemność, a nie poświęcenie.

– Słuchaj, pogadamy o tym jutro, dobrze? A teraz chodź.

Czuję, jak moje ciało się odpręża na myśl o tym, że zaraz się przytulimy, ale niestety nie jest nam to dane, bo znowu ktoś dzwoni do furki. Olaf idzie na górę, a ja mam wrażenie, że od pewnego czasu w moim domu ktoś zamontował drzwi obrotowe. Z nadzieją, że to jacyś zbieracze, kominiarz czy listonosz, podkradam się do okna. Niestety. Pod furką stoi pani Aleksandra w czarnej garsonce. Dziwny strój jak na tę porę roku. Walczę z sobą, by jednak się oprzeć i nie otwierać, ale krótko i bezowocnie, bo po chwili teściowa stoi w kuchni i ze zboląłą miną informuje mnie, że właśnie wraca od lekarza.

– Herbaty?

– Tak, proszę, tylko nie czarnej, nie mogę.

– A dlaczego?

– Mam kłopot.

– Jak każdy z nas.

– Właśnie, że nie. Jestem chora.

– Co się dzieje?

Ostentacyjnie owinięty tylko czerwonym, i to niezbyt dużym, ręcznikiem w progu kuchni staje Olaf.

– Dzień dobry, nie wiedziałem, że mamy gościa.

– Nie taki znowu dobry.

– Nie? A co się stało?

– Nie będę was kłopotać.

Mimo to pani Ola, głośno wzdychając, zapada się w fotelu w salonie, a ja krzątam się po kuchni. Olaf i jego ręcznik siadają na kanapie. Mam nadzieję, że ręcznik przykrywa to, czego teściowa z pewnością nie chciałaby zobaczyć, choć nie mam wątpliwości, że Olo chętnie by ją pogonił, choćby widokiem przyrodzenia. Dobrze, że tymczasem wpada Ania i zagospodarowuje dzieciaki.

Ustawiam na drewnianej tacy trzy filiżanki i stary porcelanowy dzbanek, jedyną pamiątkę po prababci ze strony Bartka. Na małym talerzyku ładują plastry cytryny. Uzupełniam tacę łyżeczkami, miodem i potykając się o koty, docieram do salonu. Teściowa z miną w ciup spogląda na swoje dłonie, którymi nerwowo

skubie brzeg zakietu. Sprawia wrażenie, jakby skurczyła się w sobie. Jestem wściekła na Wojtka nie dlatego, że wyjechał i ją zostawił, ale dlatego, że zostawił ją mnie. Zupełnie nie rozumiem jej obecnej fascynacji nigdy nieakceptowaną synową, ale chyba zadziałała zasada, że na bezrybiu i rak ryba, więc z braku laku zaczęła zarzucać swoimi problemami mnie. W dodatku nie zrezygnowała z aktorstwa, chętnie odwołując się do pantomimy, wielkich monologów, histerycznych zejść ze sceny i pełnych dąsów antraktów tylko po to, by powrócić w kolejnym dramatycznym akcie.

– Z cytryną?

– Nie mogę.

– Ale to zielona herbata.

– To nic, nie mogę cytryny.

– Oczywiście.

Olo, korzystając z okazji, unosi brwi i daje do zrozumienia, że jakoś musimy się jej szybko pozbyć, tymczasem teściowa odpina guzik pod sflaczałym podbródkiem, nabiera powietrza i wzdycha ponownie.

– Ach.

– Co teściowa tak wzdycha?

– A nic, dziecko, nic, tak sobie tylko rozmyślam.

– A o czym?

Czuję się jak siostra miłosierdzia w psychiatryku, która sprytnymi pytaniami usiłuje wydusić z pacjenta powód jego troski.

– O życiu.

– A ściślej?

– Skoro tak nalegasz, to powiem. Odebrałam wyniki.

Ręka mi drży, gdy dolewam sobie herbaty. Zaczyna ogarniać mnie przerażenie na myśl o tym, co tym razem ma na mnie spaść.

– Jakie wyniki? Robiła teściowa jakieś badania?

– No tak, przecież mówiłam, że źle się czuję.

– Tak, pamiętam, ale nie wiedziałam, że jednak poszła teściowa się przebadać.

– Sama mnie namawiałaś, a teraz masz pretensje?

– Jakie pretensje? Jestem pełna podziwu, że teściowa się do tego zabrała. To znakomicie – mówię coraz bardziej rozdrażniona.

– No, czasami lepiej nie wiedzieć.

– Czego nie wiedzieć?

– Co ci jest.

– Bzdura. Wiedza daje możliwość działania, leczenia.

– Oj, dziecko, dziecko. Jak będziesz w moim wieku, to zrozumiesz, że czasami już nie warto się leczyć.

– Niech mama tak nie mówi.

Znowu ta mama, cholerna podświadomość.

– Ale tak jest. Gdyby tak można skończyć z tym wszystkim...

Nie mówię jej, jak bliska jestem popełnienia mordu, gdy słyszę takie pieprzenie. Oczywiście nie mam zamiaru jej niczego ułatwić, więc nie zrywam się, żeby biec do kuchni po nóż do filetowania czy największą poduszkę z sypialni. Przybieram pozornie obojętną minę i skupiona na naporze, wypytuję dalej:

– Co się dzieje?

– Jak to co? Zle się czuję.

– To wiemy, ale już było lepiej.

– Oj tam, tak tylko mówiłam. Nigdy nie było dobrze.

– Może to nerwy?

– To też. Jak Robert mógł mi coś takiego zrobić? Że też mnie to nie zabiło, no naprawdę.

– Co się stało, to się nie odstanie.

– Nigdy nie wiadomo. Ta cała Barbara mi się nie widzi. Posiedzi z Robertem, pogotuje mu, ale co ona może mu dać? Z natury jest nudna, bez grona przyjaciół... Ja ci powiem, że zupełnie nie rozumiem, co on w niej widzi, no bo chyba nie urodę? Ale mężczyźni już tacy są. Za byle spódniczką się uganiają...

– Nie ma co do tego wracać.

– Może masz rację. Taka jestem skołowana, taka skołowana.

Usiłuję dobrnąć do brzegu, żeby wreszcie się dowiedzieć, co tym razem jej dolega, i jak najszybciej się pożegnać.

– No to co z badaniami?

– Szkoda gadać. – Upija łyk herbaty, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie i w arystokratyczny sposób wystawiając mały palec. Jej upierścieniona ręka stała się jeszcze bardziej pomarszczona i zasuszona, tak że wielki pierścionek z brylantem wydaje się jeszcze większy.

– Albo teściowa mówi, o co chodzi, albo zmieniamy temat.

– Nie rozumiem, czemu się tak denerwujesz. Nawet w takiej chwili nie możesz się powstrzymać?

– W jakiej chwili?

– Mam raka.

– Słucham?

– Mam raka. Nowotwór, jeśli wolisz.

– Raka czego?

– Nie wiem, czy chcę o tym mówić, to krępujące.

Zastanawiam się, czy istnieje coś takiego jak nowotwór cipki, ale o to nie dopytuję.

– Macicy?

- Nie.
- Jajnika?
- Tak! Przestań mnie wypytywać!
- Skoro teściowa przyszła nas o tym poinformować, to siłą rzeczy chyba mamy prawo znać szczegóły.
- A niby po co? Żeby opowiadać znajomym?
- Zaraz chwycę ją za te siwe loczki i wyszarpię je z czerepu. Mam dosyć. Olaf najwyraźniej również, bo niepostrzeżenie wychodzi i po chwili wraca w dżinsach i koszuli w kratę. Nie mam siły się odezwać, bo co tu mówić. Usiłuję uspokoić oddech, uspokoić siebie i zebrać myśli.
- Po to, żeby jakoś pomóc.
- Mnie już nie można pomóc.
- Proszę tak nie mówić. Zawsze coś można zrobić.
- No, nie wiem.
- Przyglądam się jej uważnie. Jest smutna i zwiotczała, ale trwa w tym stanie od chwili, gdy Robert przyszedł do domu z narzeczoną i oświadczył, że się wyprowadza. Nie wydaje się bardziej załamana niż tydzień temu.
- Trzeba walczyć. Nie można się poddawać, jeszcze tyle lat przed teściową.
- Ale ja już nie mam dla kogo żyć. Wojtuś wyjechał, wnuczki zabrał, Bartek zrobił takie coś, a Robert sobie poszedł.
- Jak można mówić, że Bartek zrobił „coś”?! Miał wypadek! To się nie stało z jego woli! Nie życzę sobie takich uwag.
- Ja tam swoje wiem.
- To ma teściowa złe informacje i źle je interpretuje.
- To nie ma znaczenia. Pozostała tylko modlitwa. A, właśnie dałam na mszę w przyszłą niedzielę za spokój jego duszy.
- Niepotrzebnie.
- Grzeszysz, dziecko, grzeszysz!
- Naprawdę myśli teściowa, że dzięki temu będzie bardziej szczęśliwy?
- Trzeba próbować.
- Trzeba było to robić, kiedy żył.
- No to ja już pójdę.
- Chwila. Ma teściowa lekarza prowadzącego? Magda przyjaźni się z jakimś ginekolog, może mogłaby teściowa iść do niej na konsultację...
- Nie, nie. Mam swojego lekarza.
- Nie wątpię, ale zawsze warto się dodatkowo skonsultować.
- Nie ma po co, nie poddam się leczeniu.
- Dlaczego?
- Bo nie mam po co żyć.
- Bzdura.

Gwałtownie poprawia się na fotelu, wylewając resztkę herbaty na podłokietnik. Mimo że od razu rzucam się, żeby zetrzeć z jasnej tkaniny bure krople, zostaje ślad, który zawsze będzie mi przypominał o tej wizycie.

– A niby po co mam żyć?

– Dla siebie. To zawsze najlepsza opcja, szczęście trzeba znaleźć w sobie.

– Łatwo powiedzieć. Ciekawe, czy na moim miejscu byłabyś tak pozytywnie nastawiona. Nie życzę ci takiej sytuacji.

– Też sobie nie życzę. – Wychodzę z założenia, że nie ma co zapoznawać jej bliżej z moim punktem widzenia, bo nawet śmierć Bartka i Jasia wiele nas nie zbliżyła. – A wracając do meritum, czy mogę jakoś pomóc?

– Nie, dziękuję, chciałam tylko, żebyście wiedzieli. Niczego nie oczekuję, niczego nie potrzebuję. Co ma być, to będzie.

– Gdyby jednak coś przyszło teściowej do głowy albo gdyby pojawiła się jakaś potrzeba, proszę się nie krępować.

Gdy to mówię, nie mam świadomości, ile tych potrzeb się pojawi i jak szybko to nastąpi. Po wyjściu pani Oli nie mamy ochoty na nic. Nawet nie mamy czasu na relaks czy kawę na tarasie, o seksie nie wspominając, bo za chwilę do domu wróci Ania z rozkrzyczaną dzieciarnią.



# K

lasyka. Nie dość, że ukradli nam samochód, a policja przesłuchiwała nas, jakbyśmy sami go sobie podprowadzili, to w dodatku ubezpieczalnia też piętrzy problemy z wypłatą odszkodowania. Z uwagi na to nie powinno mnie dziwić, że przed garażem zaparkował jakiś czerwony rzech. A jednak dziwi. Olaf, który wylicza każdą złotówkę i co rusz utrzymuje, że kończą mu się oszczędności, jakimś cudem wysupłał pewnie kilka tysiaków na zakup czegoś, co tylko z grubsza przypomina nadający się do użytku samochód. Z drugiej strony cieszę się, bo wreszcie odzyskałam swoje auto i mam je na powrót na wyłączność.

Rano rozwożę dzieciaki na zajęcia i jadę na nasz lokalny rynek po świeże warzywa do knajpki. Catering był jednym z najlepszych pomysłów, jakie wpadły mi do głowy, co nie znaczy, że knajpa zaczęła przynosić kokosy. Walczymy o każdego klienta, każdy sprzedany deser i napój. Zaczęliśmy robić domowe lody i sorbety, które cieszą zwłaszcza dzieci z pobliskiej szkoły.

Konkurencja wyrasta jak grzyby po deszczu i podpatruje nasze pomysły. Do tego zwalcza nas, zgłaszając do sanepidu, Urzędu Skarbowego i inspekcji pracy. Wczoraj szef kuchni po raz drugi w tym miesiącu, a mamy dopiero dwudziestą piątą, otrzymał ofertę pracy i obawiam się, że im jest ich więcej, tym intensywniej je rozważa. Oczywiście wymusił podwyżkę, przez co jest na granicy rentowności. Zdaję sobie sprawę, że gwałtownie powinnam szukać alternatywnych rozwiązań. Oczywiście optymalnie by było, gdybym mogła w pełni poświęcić się knajpie i sama siedzieć w kuchni, ale z tysiąca względów nie ma takiej możliwości.

– Pani Nino, możemy porozmawiać?

Ala, nowa kelnerka, która ma nie tylko czarującą osobowość, pełną ciepła i empatii, ale również nietuzinkową urodę, stoi przede mną zestresowana.

– Jasne. Siadaj.

– Nie tutaj, możemy u pani w biurze?

– Oczywiście, chodź.

Obawiam się, że już chce zrezygnować, ale zupełnie nie jestem przygotowana na to, co chce mi powiedzieć.

– Co się dzieje? – Przesuwam na bok plik nieuporządkowanych i nieopisanych faktur, opieram łokcie na blacie i zaczynam bawić się długopisem.

– Głupio mi o tym mówić, ale kucharz robi jakieś końskie zaloty.

– Rozumiem, że nie jesteś zainteresowana.

– Zupełnie.

– To powiedz mu o tym.

– Mówiłam setki razy, ale jest coraz gorzej. Chyba się wściekł po mojej odmowie, bo pomijając nieparlamentarne uwagi, zaczął mnie poklepywać po pewnej części ciała. Zresztą stale robi mi jakieś przytyki.

– Żartujesz?

– Niestety nie. To dosyć stresujące i jeśli nie przestanie się tak zachowywać, będę musiała zmienić pracę, a z tej jestem zadowolona.

Co mam z tym zrobić? Nie mam pojęcia, jak rozmawiać z nieatrakcyjnym, blisko pięćdziesięcioletnim facetem, który ma świadomość, że jest prawie niezastąpiony, i po ostatnich profitach finansowych najprawdopodobniej poczuł się jeszcze pewniej. Może poprosić o pomoc Olafa? Ale z drugiej strony przecież to ja jestem szefową, nie on. Chryste Panie! Lata temu myślałam, że zwrócenie uwagi kelnerce, że powinna się częściej myć i zmieniać ubranie, będzie największym wyzwaniem...

– Oczywiście, rozumiem. Dziękuję, że do mnie przyszedł. Przykro mi, że w mojej firmie spotyka cię coś takiego. Zajmę się tym natychmiast.

– Dziękuję. Powinna pani wiedzieć, że podobno Marta też odeszła z tego powodu.

– Serio? Boże, dlaczego nikt mi nie powiedział?

– Głupio mówić o czymś takim.

– Ale jak się nie mówi i nie reaguje, to problem narasta. No dobra, wracamy do pracy, a ja zaraz porozmawiam z Krzysztofem.

Młoda wychodzi, a ja wiszę w zamyśleniu nad biurkiem. Co mam powiedzieć gościowi, do którego standardowo niewiele dociera? Bezmyślnie przyglądam się fakturom i postanawiam przynajmniej część z nich opisać i włożyć do teczki z dokumentami. Jednak po kilku minutach okazuje się, że zupełnie nie potrafię się skupić, a cyfry zlewają się w jedną wielką niewiadomą.

Żeby odwlec rozmowę, a jednocześnie nie wchodzić do kuchni, wybieram numer Olafa z nadzieją, że odbierze i podpowie mi, co powinnam zrobić. Oczywiście włącza się automatyczna sekretarka i tyle w kwestii porady. Magda co prawda odbiera, ale dyszy jak parowóz i tylko wyjąkuje, że jest na jodze i oddzwoni później. Rozłącza się bez dodatkowego komentarza, a mnie właśnie skończyła się lista osób, do których mogłabym zadzwonić.

Wiercę się i kręcę, zakradam na salę. Niemal na palcach przemykam obok kuchni, z której dobiega poranne trzaskanie garami, i wchodzę do baru. Ala stoi koło ekspresu, więc proszę o przygotowanie kawy. Podaje mi ją w podgrzanej wcześniej filiżance z grubej białej porcelany i oskarżycielskim wzrokiem odprowadza do drzwi. Może tylko tak mi się wydaje, ale to sprawia, że podejmuję odważną decyzję i zaglądam do kuchni. Krzychu, ubawiony jak panna młoda na

weselu, z nożem w ręku rozprawia nad rozkrojonym selerem. Dwaj pomocnicy bawią się w najlepsze, a mój widok nie robi na nikim wrażenia. Praca najwyraźniej nie pali im się w rękach.

– Dzień dobry, szefowa.

– Dzień dobry. A co tu tak wesoło?

– A co, smutno ma być? Pracujemy, kroimy, szatkujemy i tak tu sobie gawędzimy. Dzień jak co dzień.

– A wywar już macie?

– Zrobi się.

– Jak to się zrobi, skoro za godzinę otwieramy? Prosiłam, żeby gotował się przynajmniej trzy godziny.

– Spoko, szefowa, za pół godziny będzie.

– Jak chcecie skondensować trzy godziny w trzydziestu minutach? Macie chociaż obrane warzywa?

– Obieramy, nie, Damian?

– A jak.

Buf... buf... para falami zalewa mi mózg, nakładając na oczy kolejne dioptrie, przez co tracę ostrość widzenia i albo zaraz wydrę się na wszystkich i wywalę z roboty, albo wezmę dziesięć głębokich oddechów i skupię się na rozmowie z Krzysztofem.

– Panie Krzysztofie, proszę pozwolić na chwilę, chciałam z panem porozmawiać.

– Łoo, szefie!

Towarzyszy nam buczenie, jakbym zaprosiła go na szybki numerek, a nie na reprimendę. Krzychu za moimi plecami robi wulgarny gest, który odbity w szkle piekarnika nie umyka mojej uwagi, i dociera do mnie, że Ala ma rację. Coś musi być na rzeczy. Wchodzimy do kanciapy, zamykam drzwi i zdecydowanym gestem zapraszam, żeby usiadł na niewygodnym krześle po drugiej stronie biurka.

– Panie Krzysztofie, musimy poważnie porozmawiać.

– Tak? – Spogląda na mnie podpuchniętymi oczami i stara się przybrać minę niewiniątka.

– Domyśla się pan, o co chodzi?

– Nie, a powinienem?

– Podpowiem, chodzi o Alę i Martę.

– A co z nimi?

– Z nimi wszystko dobrze, pytanie tylko, co z panem.

– Ze mną? – Nerwowo wciska grube nogi pod krzesło i zaczyna wywijać młynki kciukami. Splecione dłonie trzyma na podołku, czyli górze sadła, która przez lata pracy w kuchni przybrała rozmiar Mont Blanc.

– Tak, z panem. Podobno zaczepia pan dziewczyny.

– Pani Nino, jakie zaczepia? Pożartować nie można?  
– Oczywiście, że można, ale klepać po pupie już nie.  
– Że niby ja klepałem je po tyłku? Chciałyby! Mitomanki jedne. Same co rusz do kuchni włożą, to niech się nie dziwią, że się z nich żartuje albo ścierką zdzieli. Wielkie mi halo.

– Właśnie, że wielkie, bo one sobie tego nie życzą.  
– Jakby sobie nie życzyły, toby się między gary nie pchały.  
– A jak pana zdaniem mają odbierać jedzenie?  
– A to co innego.  
– Nieprawda. Proszę skończyć z takimi zachowaniami i żartami. Mnie się to również nie podoba i nie będę tego tolerować.

– Coś pani powiem. – Dźwiga się z trudem, opiera ręce na blacie biurka, pochyla się całą swoją zwalistością nade mną tak, że powinnam się skulić, ale sama nie wiem, dlaczego tylko się prostuję i mocniej zapieram w krzesło, i pryskając śliną, wykrzykuje: – Nie będzie pani musiała niczego tolerować, bo odchodzę! Rozumie pani? Odchodzę! Nie pozwolę sobie na takie połajanki, za stary jestem. Co pani sobie w ogóle myśli? Jakim prawem robi mi pani uwagi? Mam tyle propozycji, że mogę wybierać.

Powinnam dyszeć i mieć napad gorąca, bo przecież to mój jedyny kucharz z prawdziwego zdarzenia, ale zamiast tego spokojnie mówię:

– W takim razie życzę dobrego wyboru. Żegnam.

Teraz on wygląda, jakby miał stracić przytomność. Zapewne spodziewał się, że zacznę skomleć i błagać, żeby został. Ja tymczasem uznaję, że skoro kłótnie są i będą, a ode mnie zależy, z kim będę się spierać, dochodzę do wniosku, że na pewno nie z nim. Podejmuję ryzykowną dla firmy decyzję, ale czuję się wyzwolona. Cudowne uczucie. Zacznę się martwić dopiero za chwilę.

Krzychu mamrocze pod nosem „kurwa”, po czym trzaskając drzwiami, wypada na korytarz i wrzeszczy:

– Kurwa, chłopaki, wychodzimy!

Zapada cisza, w której bulgotanie w garze wody na wywar wydaje się hałasem. Wreszcie młodszy kucharz odrywa się od krojonej w kostkę marchwi i zdziwiony pojawia się w drzwiach.

– O co chodzi?

– Spadamy stąd.

– Ale o co lata?

– O to, że już tu nie pracujemy.

– Panie Krzysztofie, zwolnił się tylko pan, nikt więcej.

– Ale oni idą ze mną. Chłopaki, ruszajcie się, no, ruchy.

Damian wodzi bezmyślnym wzrokiem, przenosząc go to na mnie, to na szefa kuchni, to na garnki na kuchence, i najwyraźniej synapsy w jego mózgu nie mogą

się połączyć.

- Ale o co chodzi dokładnie?
- Nieważne, spadamy.
- No dobra, jak tam szef chce.

Zdejmuje zapaskę i człapie za Krzychem do szatni. Zabierają swoje torby i wychodzą. Cisza nadal brzęczy w uszach, a do mnie dociera, co się stało. Młody kucharz, a właściwie uczeń szkoły gastronomicznej, bezradnie stoi na środku kuchni i nie mam najmniejszych wątpliwości, że nie wie, co ma z sobą począć.

- No dobra, Marcin, bierzemy się do roboty.
- Jak to? Sami?
- Oczywiście, że sami. Czym się przejmujesz? Wszystko mamy, wystarczy tylko to ugotować.
- Ale ja nie wiem, czy dam radę...
- Z czym? Mieszaniem w garach i sprawdzaniem, czy się nie przypala? No proszę cię.

W drzwiach pojawia się skruszona Alicja.

- Przepraszam, pomóc w czymś?
- Możesz obrać warzywa i przygotować sery do sałatek.
- Ja przepraszam, nie chciałam, żeby tak wyszło.
- Wiem i to nie twoja wina. Krzysztof w końcu i tak by odszedł, więc nie ma co rozpaczać. Musimy tylko jakoś się zorganizować.
- Ja wiem, że to nie wypada i w tych okolicznościach zabrzmiałoby głupio, ale moja babcia przez lata była kucharką. Jakby pani chciała, mogłabym zadzwonić i spytać, czy nie przysłaby pomóc.
- Świetnie, dzwoń.

Po godzinie dołącza do nas dziarska sześćdziesięciolatka, która z zapalem zabiera się do pracy. Muszę ją powstrzymać, bo wszystko przerobiłaby na schabowe, zrazy i kluski śląskie. Kuchnia staropolska jest jedyną, jaką uznaje, a nasze śródziemnomorskie i wegetariańskie dania określa mianem wygłupów. Jednak zna swoje miejsce w kuchni i szybko wykonuje moje polecenia. Zastanawiam się tylko, jak to będzie, gdy wyjdę. By uchronić carpaccio przed zapieczeniem w piecu, informuję, że szefem kuchni jestem ja, Marcin jest moim zastępcą, a ona pomocą, i wychodzę, żeby odebrać dzieciaki ze szkoły.

Po godzinie dzwoni Marcin.

- Pani Nino, tak sobie pomyślałem, że nie wiem, czy to dobrze, że zostałem zastępcą szefa kuchni. Wie pani, ja się dopiero uczę.
- Moim zdaniem całkiem dobrze ci idzie, ale musisz się starać.
- Pani Nino, będę się starać i wszystkiego się nauczę! Niech się pani nie martwi.
- Miło to słyszeć.

– Nie będzie pani żałować, zobaczy pani.

– Mam nadzieję, że ty też nie. Musimy porozmawiać o twoim wynagrodzeniu. Nie spodziewaj się kokosów, ale spróbuję cię docenić. Coś za coś.

– Nie spodziewałem się, dziękuję, naprawdę.

Anka jest w ciąży. Twierdzi, że nie wie, jak to się stało, a na moją sugestię, że najprawdopodobniej przez stosunek seksualny, wścieka się jak mała dziewczynka, której nie pozwolono kolejny raz przejechać się na karuzeli.

– Zabezpieczaliście się?

– Niby tak.

– Jak niby?

– Pigulek nie biorę, brat mówi, że to nie po bożemu.

– No ale gumki chyba mieliście?

– Skończyły się, a Sławek mówił, że będzie uważał.

– Oszaleliście? Nie wiesz, jak to jest? To jak z nowym samochodem: im bardziej uważasz, tym pewniej przywalisz.

– To co, nie jeździć nowymi samochodami?

– Jeździć, ale z głową. Czyli zaliczyłaś złoty strzał. I co teraz?

– Nie wiem, chyba muszę urodzić.

Obawiam się, że to jedyne wyjście. Nawet gdyby zechciała usunąć ciążę, to z jej podejściem do życia organizowałyby się do siódmego miesiąca. Brat jej wytłumaczy, że oddanie malucha nie wchodzi w rachubę, więc Anka, jako że jest w blokach startowych, w dorosłe życie wystartuje z niezłym bagażem. W przeciwieństwie do niej Sławomir okazał się bystrym i dziarskim młodym człowiekiem, bo zwał, twierdząc, że nie ma z tym nic wspólnego i nie czuje się odpowiedzialny. Ania jest rozbita podwójnie i bez wsparcia z pewnością sobie nie poradzi.

Jak mówi ludowa mądrość, zajmij się problemami innych, a przestanieś myśleć o własnych. Nie wyobrażam sobie, żeby Ania wróciła do nas z potomkiem, mam dosyć własnych małych dzieci i kolejne mogłoby mnie doprowadzić do rozstroju nerwowego. Z drugiej strony, jeśli pozwolę jej wrócić do rodziców, nie zaliczy sesji i kolejnego roku. Zresztą o czym tu mówić: jej rodzice nie mają pojęcia, że zostaną dziadkami.

– Raczej.

– Ale Sławek namawiał mnie na aborcję.

– Nieźle.

– Wiem, że to grzech i w ogóle, ale może to jest jakieś rozwiązanie.

– Chryste, nie wiem. Twoje życie i twoja decyzja, ale ja chyba bym jednak zawalczyła. Nie rób niczego, czego mogłabyś żałować.

– Tak?

– Co nas nie zabije, to nas wzmocni. Trochę przekichany okres na początku,

ale szybko odchowasz malucha i odzyskasz wolność. Zresztą pewnie mama ci pomoże.

– Zabije mnie, jak się dowie.

– Powiedz jej przez telefon. Niech się przyzwyczai do tej myśli, zanim pojedziesz do domu.

– Niby tak, ale wstydu jej narobię na całą wieś.

– Akurat będą wiedzieli, czy masz chłopaka w mieście czy nie. Co cię obchodzą ludzie?

– A bo pani nie wie, jak to jest na wsi. Trzy chałupy na krzyż i każdy interesuje się głównie zagrodą sąsiada, a każde odstępstwo od normy traktowane jest jak wykroczenie.

– To zostań tutaj.

– Boję się, że nie dam rady finansowo.

– Pewnie nie będzie łatwo, ale wszystko jest do ogarnięcia.

Anka wychodzi zatopiona w ponurych myślach, a ja tonę we wspomnieniach pierwszych dni ciąży z Jaśkiem i paniki, która sprawiła, że zaczęłam traktować ciało jak szklaną kulę z grzechoczącym skarbem w środku. Zwolniłam kroku, stapałam ostrożniej i zastanawiałam się nad każdym kęsem. Z Klarą w brzuchu biegałam na wysokich obcasach, cieszyłam się każdą chwilą w przekonaniu, że dam radę, a ciążę z Antosiem odkryłam tak późno, że ciało spełniło jedynie funkcję inkubatora, nie pozwalając mi na najmniejsze roztkliwienie...

Ale się wygłupiłam. Kupiłam czarną koronkową bieliznę, wydłubałam ostatnie pieniądze na lejącą się czarną sukienkę i dwa bilety do teatru. Zaprosiłam Olafa na romantyczny wieczór i artystycznie nastawiona wkroczyłam do budynku pełnego ludzi w dżinsach i rozciągniętych swetrach. Nie dość, że wystrojona jak stróż w Boże Ciało czułam się nieswojo, to na dodatek mój facet się spóźnił.

Mimo upału zabrałam z domu, nie wiedzieć po co, cienki płaszcz, który oddałam do szatni, i zapewne po spektaklu spędzę na wysokich obcasach w kolejce z innymi pogodowymi pesymistami nieznośne minuty, przez co w pobliskiej restauracji mimo rezerwacji dostaniemy najgorszy stół.

Stoję teraz w holu z biletami w ręku i przyglądam się parom i grupom przyjaciółek (dziwnym trafem panowie nie umawiają się na wypad do teatru), zastanawiając się, co się stało z dress code'em i dlaczego nie potrafimy go reaktywować. Wielkie drzwi wpuszczają gorące powiewy błędzącego wiatru, więc usiłuję schować się za filarem. Za nim czai się zdenerwowana kobieta z przyklejoną do ucha komórką.

– No, gdzie jesteś?

Patrzę na nią wytrzeszczonymi oczami, mając wrażenie, że rozmawia z Olafem i syczy kwestiami, które pączkują w mojej głowie. Mimo woli słyszę tłumaczenia nieszczęśnika, a właściwie dupka, który nie rozumie, że się

stresujemy, że głupio wejść w połowie aktu, podobnie jak z niego wyjść, do tego czujemy się jak idiotki, czekając na facetów, którzy powinni czekać na nas. I im dłużej będzie trwała ta wymiana zdań, tym bardziej będę wkurzona na Olafa.

– Jak to wychodzisz z pracy?

– Przepraszam, kochanie. Nie wiem, jak to się stało, ale nie zauważyłem, że to już ta godzina. Mam tyle roboty.

– Gównu mnie to obchodzi. Jest po pierwszym gongu. Mieliśmy ratować małżeństwo, ale ty jak zwykle masz wszystko w dupie, mnie masz w dupie, moje potrzeby, mój czas.

– Nie przesadzaj, już jadę.

– Jak chcesz przejechać dziesięć skrzyżowań w trzy minuty? Kurwa, mam dość. Nie fatyguj się, wchodzę sama.

– Ale kochanie, masz mój bilet.

– Nie mów do mnie „kochanie”. Gdybyś mnie kochał, tobyś tu był, i to od dawna. Nie mówię o tym, że powinienes na mnie czekać z różą w zębach, ale powinienes tu być przynajmniej od piętnastu minut!

– Proszę, poczekaj.

– Nie będę się przepychała w ciemności. Zresztą i tak by nas nie wpuścili. Siedź sobie w tej swojej pracy.

– Dzięki tej pracy masz pieniądze na bilet.

– Tak, jeszcze masz czelność mi wypominać, że nie pracuję. Czy ty się słyszysz?

Nieświadomie w miarę rozmowy podnosi głos i teraz prawie krzyczy w słuchawkę, budząc zainteresowanie wchodzących, którzy podejrzliwie przyglądają się również mnie. Na czoło kobiety występuje nieładna sinoczerwona żyła i mam wrażenie, że wyraźnie pulsuje. Jej gadanie sprawiło, że napompowałam się wściekłością i też nie mam ochoty czekać na Olafa, który najwyraźniej, podobnie jak partner tej z żyłą, ma ciekawsze zajęcia niż spotkanie ze mną. Drugi gong rozlega się jak złowróżbny grzmot i wiem, że muszę rozstrzygnąć sprawę, wejść czy nie. Czerwony dywan faluje i kusi miękkością oraz obietnicą innego, lepszego świata. Wystarczy przekroczyć próg i podać bilet. A co mi tam. Podchodzę do biletera, który, świadomy swej roli, sztywno wyprostowany i nazbyt formalny sprawdza dwa bilety, spogląda na mnie z mieszaniną zdziwienia i litości i informuje:

– Parter po prawej stronie, wejście A.

– Cześć. – Olaf dyszy mi nad uchem. – Już myślałem, że nie zdążę.

Jestem obrażona. Nie mam zamiaru się odzywać ani słuchać kretyńskich tłumaczeń.

– Przepraszam, miałem dużo pracy.

Patrzę na niego, mrużąc ze złości oczy. Hello, już to słyszałam, co prawda



głos dobiegał z komórki nieznanej kobiety, ale już to słyszałam!

– Obrażona jesteś?

– Yhm.

Wieczór, który zapowiadał się tak wyjątkowo, ujawnia moje drugie, to gorsze i bardziej ponure oblicze.

– Daj spokój, zdarza się.

Przeciskam się między kolanami a oparciami foteli i wreszcie opadam w połowie rzędu. Obok mnie w chwili, gdy gasną światła, siada Olo.

– Kochanie, przepraszam, to tylko kilka minut.

To *kilka minut* w sekundzie morduje moją próbę zmiany nastawienia. Obrażam się podwójnie i zamiast oglądać sztukę i aktorów udających hrabiostwo w starym zamczysku, obracam w głowie kłujące myśli. On zupełnie nie rozumie, o co mi chodzi, kompletnie nie jest zainteresowany tym, co czuję, i moim stresem, a co najgorsze – takiego go nie znałam. Kurde. Grał czy nie dostrzegłam, jaki jest naprawdę? A jaki jest? Skąd mam to wiedzieć? Ale zdecydowanie mi się to nie podoba.

Na scenie dźwięczą dialogi, zmieniają się scenografia, aktorzy, publiczność wybucha co rusz śmiechem, a ja siedzę zatopiona w sobie jak Żyd na tureckim kazaniu. Prawdopodobnie przesadzam, ale nie potrafię oswoić się ze zdziwieniem.

Antrakt następuje szybciej, niż się spodziewałam, i połowa ludzi wychodzi, żeby ustawić się w długich kolejkach do toalety i po kawę.

– Napijesz się wina?

– Nie, dziękuję.

– Kawy?

– Nie.

– Wyjdziemy na taras?

– Nie. Chcesz, to idź. – Wcale nie chcę być taka wredna, ale jakiś zły chochlik przepycha mnie na czarną stronę mocy i podejrzewam, że oboje wyjdziemy z teatru zaskoczeni sobą nawzajem.

– Nie obrażaj się, naprawdę chciałem przyjechać wcześniej...

– Nie chcę tego słuchać.

– A powinnaś. Prezes mnie zawołał i zaproponował awans.

Serce bije mi mocniej i powinnam stać się ponownie miłą osobką, ale nie, burczę dalej:

– Super.

– Nie do końca. Musiałbym przenieść się do Berlina.

Łup, łup, serce wali mi w skroniach, a szare plamy pląsają przed oczami.

– O.

– No właśnie. Odmówiłem.

Łup, łup, plamy są rzadsze i mniej natarczywe, ale krew rozgrzewa mi

dłonie, które zaczynają się pocić.

– Dlaczego? To przecież szansa.

Spogląda na mnie wilgotnymi oczami, ale nie znajduję w nich radości, czułości ani ciepła, za to czai się w nich jakieś dotąd nieznane uczucie, które sprawia, że denerwuję się jeszcze bardziej.

– Ale jesteś ty. Nie wierzę w związki na odległość.

– Moglibyśmy spróbować. Przecież Berlin nie jest aż tak daleko.

– Dla mnie za daleko.

– I co teraz?

– To była jedyna propozycja, albo biorę tę robotę, albo rezygnuję.

– Z awansu?

– Z pracy.

– Jak to z pracy?

Nieznośny, hałaśliwy gong przerywa naszą rozmowę i przed nami zaczynają się przeciskać rozbawieni widzowie. Jakoś nie udziela mi się ich radość. Jestem spanikowana.

– Wywalili mnie.

– Wywalili? Zostałeś bez pracy?

– Niestety.

– Może da się to jakoś odkręcić.

– Nie, raczej nie.

Gasną światła, kurtyna się podnosi i tym razem naszym oczom ukazuje się ukwiecony ogród, pełen drzew, koszyków z owocami i chmurek, które ktoś pociąganiem za sznurki wprawia w wibrujący ruch. Gdyby nie to, co usłyszałam przed chwilą, byłby to sielski obrazek. Tymczasem siedzę jak na szpilkach zła na siebie, że zachowałam się jak idiotka. Obrażona gloria, skupiona na sobie egoistka, podczas gdy mój facet ma taki problem.

Stracił pracę, co teraz będzie? Co zrobi? Co zrobimy? Dlaczego znowu źle się dzieje, dlaczego nie może być spokojnie i nudno, jak w innych rodzinach?

Oklaski sprawiają, że wracam do rzeczywistości. Zachwyceni ludzie wstają i gromko oklaskują aktorów, którzy to chowają się, to wychodzą zza kulis. Najwyraźniej spektakl się podobał i teatralny wieczór stał się sukcesem, jednak ja nie potrafię się cieszyć. Strach pulsuje mi w skroniach, a niepewność pełza wokół stóp.

Porwani przez tłum wychodzimy na zewnątrz. Staję na szczycie schodów i przyglądam się hamującym na skrzyżowaniu samochodom. Przed dwiema godzinami widok aut, parku i starych kamienic był wręcz rozczulający, teraz wydaje się nijaki, banalny. Nabieram powietrza i powoli schodzimy. W połowie schodów przypomina mi się, że zostawiłam płaszcz, i teraz oparta o kutą poręcz czekam na Olafa. Przyglądam się szczęśliwym parom, rozentuzjasmowanym

przyjaciółkom, które wymieniają uwagi na temat aktorów, kostiumów i kwaśnego wina, a ja kolejny raz czuję się jak wyrzutek, który nie ma prawa być beneficjentem spokoju niosącego szczęście.

Nareszcie pojawia się Olo i z radością, która nie przystoi chwili i chyba jest sztuczna, zaprasza mnie na kolację.

– Idziemy? Powiedz dokąd.

– Zarezerwowałam stolik tu obok, w Teatralnej.

– Świetnie, to zapraszam.

Słyszając to, oczami wyobraźni widzę, jak wydaje na mnie ostatnią stówkę, i tracę apetyt. Głośno deklaruję:

– Ja stawiam.

– Nie ma mowy. Czym się tak martwisz?

– A jak myślisz?

– Pracą? Daj spokój, jak nie tu, to tam. W mojej branży to nie problem.

Z pewnością niebawem coś znajdę.

– Tak?

– Jasne. Nawet myślałem jakiś czas temu o zmianie firmy, ale było mi żal fajnych ludzi i zespołu. Teraz, gdy ktoś podjął decyzję za mnie, na pewno coś znajdę. Lepszego.

– Oby.

– Nastaw się pozytywnie. Chodź, wypijemy za zmiany.

No i pijemy. To znaczy ja, bo on prowadzi. Mimo jednej, drugiej, trzeciej lampki nie potrafię się wyluzować. Stek wydaje się zbyt twardy, a zupa zupełnie nijaka. Rozbijam wieczorną senność mocną czarną kawą i oczywiście później nie mogę zasnąć.

Olaf omija temat braku pracy szerokim łukiem, skupiając się na ciąży Anki, zupełnie jakby miał w niej udział. Dywaguje, czy powinna wrócić do rodziców, czy zostać w mieście, szczęśliwie nie zatrzymuje się nad pomysłem aborcji i wreszcie dochodzi do wniosku, że nie można darować temu Sławkowi. Staję się niemal zazdrosna.

Mija kolejny tydzień i jakoś nowa praca nie pojawia się na horyzoncie. Zamiast niej na granicy nieba i czarnej ziemi co rusz objawia się teściowa z coraz to nowymi oznakami nowotworu, do którego lekarze zabierają się z pewną opieszałością. Oczywiście nie spodziewałam się paniki i gwałtownych ruchów personelu medycznego, ale nastawiałam się na hospitalizację czy jakiegokolwiek konkretne leczenie.

– Wybieram się do docenta Kostkiewicza.

– Tak?

– Oczywiście. Podobno to najlepszy specjalista. Janinka leczyła się u niego, wiesz, ta Janinka z naszego grona.

– Ach, ta. – Nie mam pojęcia która, ale przyjąłem postawę konsolacyjną i postanowiłem więcej słuchać, a mniej mówić. Na skutek tego wiem, w niektórych przypadkach do dwóch pokoleń wstecz, kto na co chorował i które rodziny powinny uważać na serce, udary i nowotwory, bo wszystkie one mają źródło w stresie.

– Kiedyś tego nie było.

– Nowotworów? Zawsze były, tylko nikt ich nie diagnozował.

– A co ty tam, dziecko, wiesz.

– A jednak coś niecoś wiem.

– Ludzie umierali na starość.

– W wieku czterdziestu lat?

– Ja tam swoje wiem. A tak przy okazji, jutro mam pierwszą chemioterapię.

– Smutno spogląda na filiżankę zimnej kawy, na której brzegu grubą warstwą osiadł stempel jej czerwonej pomadki.

– Nie wiedziałam. Może zawieźć teściową do szpitala?

– Nie, nie. Wolę w takiej chwili być sama.

Jestem oszołomiona takim pomysłem ze strony kobiety, która zawsze oczekuje wokół siebie grona rodziny i postronnych ludzi, którzy mogliby pochylić się nad jej cierpieniem. Z drugiej strony może to jeden z tych intymnych momentów, gdy człowiek chce być sam.

– A jaką chemię będą podawać?

– Jak to jaką? Normalną. – Spogląda na mnie jak na wariatkę i w sumie może ma rację, bo niezbyt się znam na chemioterapii i poza Malwiną z liceum nie znam nikogo, kto musiałby z tej formy leczenia korzystać.

– Ale dożylną czy doustną? Będzie miała teściowa port?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Wycofuję się nomen omen rakiem i postanawiam nie zadawać więcej pytań. Nie dociekam, czy musi przestrzegać jakiejś diety, bo z apetytem zjada drugi kawałek placka drożdżowego, który właśnie upiekłam. Zaparzam zieloną herbatę i przyglądam się sinym dorzeczom żył widocznym pod cienką skórą jej dłoni. Wydaje się taka krucha i silna jednocześnie. Niezłomna w uporze i delikatna na ciele. Może to złudzenie.

– Dzwonił do ciebie Robert?

– Teść? Nie, skąd.

Z tego, co wiem, ostatnio spędzał idylliczne wakacje z Barbarą na Majorce, ale oczywiście postanawiam przemilczeć ten fakt. Skupiam się na precyzyjnych odpowiedziach na pytania, które prowadzą nie wiadomo dokąd.

– Mówiłam mu tyle razy, że choruję, że mam raka. Nie rozumiem, dlaczego mnie jeszcze nie odwiedził.

– Może wyjechał?

– Niby dokąd? Z drugiej strony, ta pani tak mu zawróciła w głowie, że mógł zafundować jej wczasy.

– Chyba powinniśmy się przyzwyczaić do tego, że teść ma nową partnerkę.

– Przypomnę ci, że nadal jest moim mężem.

– Tak, oczywiście, ale z tego, co zrozumiałam, macie zamiar się rozstać.

– Klamka zapadła. Oczywiście, że nie będę tolerowała zdrady, ale rozwód będzie tylko z jego winy. Ja się nie poczuwam do niczego.

No jasne, gdzieżby tam wspominać o ciągłych fochach, wiecznych pretensjach i niekończących się oczekiwaniach. Ale trzeba też zauważyć, że teściowi wzrok uciekał w stronę jędrnych, młodych ciał. Byłam zdziwiona, że jego oblubienica jest tylko kilka lat od niego młodsza. Pewnie romans ze świeżo upieczoną absolwentką liceum byłoby łatwiej wytłumaczyć ostatnią burzą hormonów, które w przedzawałowym rytmie sprawdzają jeszcze swą moc. A tak nikt nie ma wątpliwości, że teściem powoduje nowa wielka miłość.

– Robert zostawił mi dom, miał chociaż tyle honoru, ale to nie oznacza, że mu cokolwiek ułatwię. Poza tym co ja mam sama robić w takiej wielkiej willi? Zresztą to zwykła podłóż zostawiać kogoś w chorobie.

– Z tego, co pamiętam, wtedy nikt nie wiedział, że teściowej coś dolega.

– Jak to? Niedomagam od lat. Tylko wy za nic macie skargi starej kobiety. Myślicie, że to jakieś wymysły? Pożal się Boże, przeziębienie?

– Nie, tylko obiektywnie...

– Obiektywnie to zrobiło się późno i najwyższy czas zebrać się do domu. Muszę jeszcze spakować torbę.

– Gdyby teściowa zmieniła zdanie, to proszę dzwonić.

– W jakiej kwestii?

– Zawiezienia do szpitala. – Przecież nie wzięcia na siebie strasznej choroby, dodaję w myślach, blade się uśmiechając z nadzieją, że po jej wyjściu odzyskam spokój.

Znika za furką, którą trzaska jak pracownica poczty pieczętą, i wsiada do taksówki czekającej na nią od godziny. Ostatnie miesiące z damy uczyniły niemal królową, która podróżuje tylko z taksówkarzem Kazikiem, jaja kupuje od pana Piotra, a jedyną fryzjerką, która ma zaszczyt dotknąć jej włosów, jest Karina z salonu na drugim końcu miasta.

Wracam zdruzgotana emocjonalnie do kuchni ze świadomością, że zamiast zaparzyć sobie kolejną herbatę i zapaść się w poduszki kanapy, muszę przygotować dla dzieci kolację. Olaf, mimo że żywi się głównie różnymi zawieszinami, które przygotowuje z nieustannie rozrastającego się zbioru puszek i słoików, również liczy na to, że coś przekąsi. Najchętniej ekologicznego. I tak ugotuję dla niego jajka od kur zielononózek, dla Klary muszę zrobić tosty z dżemem truskawkowym, Marysia je tylko bułki pszenne z szynką drobiową, a Antoś kaszkę. Czuję się,

jakbym pracowała w knajpie ze zbyt długą kartą dań.

Do tego Olaf aktywnie włączył się w organizację lodówki i doprowadza mnie do szału wiecznym porządkowaniem i przeglądaniem produktów oraz próbami wdrożenia japońskiego systemu 5S: sortowanie, systematyka, sprzątanie, standaryzacja i wreszcie samodyscyplina. Pragnie, bym pokochała chociaż trzy z pięciu S. Podejrzewam, że równie skutecznie ja doprowadzam go do szału, wrzucając wszystko byle jak i omijając cały system.

Olaf rano sporządza listę brakujących produktów, o której zazwyczaj zapominam, wychodząc z domu, więc kupuję, co mi wpadnie do głowy. A ponieważ zazwyczaj jestem piekielnie głodna, gdy tuż przed obiadem jadę po dzieci, pakuję do koszyka przedziwne rzeczy, na których przyrządzenie następnie nie mam pomysłu. Wczoraj na przykład wpadła mi w ręce mrożona ośmiornica, której Olo, jak zapowiedział, nie tknie, dzieci nie lubią, a ja całej nie zjem. Produktów nie można ot, tak wkładać do lodówki czy szafki, lecz powinny znaleźć się za resztkami tych, które mają krótszą datę przydatności do spożycia. Oczywiście nie mam czasu, by przesuwając jogurty jak pionki w chińczyku, więc coraz częściej wysłuchuję uwag o tym, że jestem roztrzepana, a wczoraj nawet – nieuporządkowana, co w prostej analizie prowadziło do stwierdzenia, że jestem bałaganiarą. Nikt nie bierze pod uwagę, jak bardzo jestem też zabiegana.

W dodatku Olaf ma coraz więcej wolnego czasu, z którym zupełnie nie wiem, co robi. Gdy wychodzę z domu, zazwyczaj jeszcze śpi, a gdy wracam, siedzi pochylony nad komputerem. Z licznych telefonów i dziwnych pytań, gdzie się coś znajduje albo co myślę na jakiś temat, wnioskuję, że ma zero pomysłu na to, jak to zmienić. Dziś kolejny raz usiłowałam wyciągnąć go z domu.

– Słuchaj, może byś mi pomógł w knajpie?

– A co miałbym tam robić?

– Nie wiem, może na przykład pomógłbyś mi z zakupami.

– Jasne, czemu nie.

Wychodzimy zaopatrzeni w puste plastikowe skrzynki i po chwili docieramy na nasz lokalny targ. Olaf zatrzymuje się przy pierwszym ekologicznym straganie, oklejonym papierem w biało-czerwoną pepitkę, i pozostaje tam przez dwadzieścia minut, wachając i macając warzywa oraz owoce. Ja tymczasem biegnę do pani Irenki po pięć kilogramów selera, wielki pęk pora i gdy zaczynam wybierać pomidory, pojawia się wreszcie mój facet. Zafascynowana patrzę, jak obmacuje te najbardziej niedojrzałe i usiłuje wepchnąć je do skrzynki. Niestety nie tylko w tym się różnimy. Inaczej oceniamy jajka, marchew i sałatę, a w restauracji okazuje się, że zamiast pietruszki mam pasternak. Cholera. Nie na to liczyłam. Miałam nadzieję, że po krótkim wprowadzeniu to on będzie intendentem, a tu się okazuje, że mogę o tym zapomnieć.

W knajpie Olaf snuje się od stolika do stolika, bezradnie pociągając za

obrasy i przestawiając wazoniki. Wypija kawę i przeżywa chwilę ekscytacji ekspresem. Sypie ziarna, manipuluje przy młynku i co rusz zachęca kogoś z personelu do wypicia kolejnego espresso. Jak tak dalej pójdzie, zakończymy dzień z nadciśnieniem. Niestety w chwili, gdy w restauracji pojawiają się pierwsi goście, ekspres odmawia współpracy i nie chce nawet mleć ziaren. Na serwis czekamy trzy godziny, podając gościom gratisowe herbaty z bukietem owoców cytrusowych.

Jestem wykończona bardziej niż zazwyczaj i cieszę się, że mój facet wpada na pomysł, że wróci pieszo do domu.

P

rzy stoliku pod oknem siedzi teść. Pochylony nad filiżanką kawy strzela w moją stronę niespokojnymi spojrzeniami, które potęgują mój niepokój. Pospiesznie obsługuję starszą parę, która każdego dnia o tej samej porze pojawia się na lunchu, i wreszcie do niego podchodzę.

- Cześć, Nina.
- Dzień dobry, co teść tu robi?
- Chciałem porozmawiać.

Robi mi się gorąco. Spodziewam się, że nie będziemy omawiać planów wakacyjnych czy menu na rodzinną kolację. Przysiadam na brzegu krzesła i wpatruję się w jego zmęczoną, poszarzałą twarz. Zniknął gdzieś optymizm płynący z zakochania.

- Coś się stało?
- Wiesz, że Aleksandra jest poważnie chora?
- Tak, wiem. Przykra sprawa.
- No właśnie. – Sięga po pustą filiżankę, przygląda się ostatnim kroplom kawy, które wprawione w ruch krążą leniwie po dnie naczynia.
- Jeszcze jedna kawa?
- W zasadzie dlaczego nie.

Z ulgą wstaję od stolika i wchodzę za bar, by zaparzyć latte. Jestem zadowolona, że maszyna wymaga ode mnie kilku prostych czynności, które usiłuję rozciągnąć w nieskończoność. Powoli ubijam kawę w fai i w skupieniu instaluję ją w zaparzarce. Równie niemrawo spieniam mleko i łączę z kawą, uważając, by mleczna pianka nie spłynęła na talerzyk. Wszystko to po to, by móc przygotować się do rozmowy. Obawiam się, że potrafię dokładnie przewidzieć jej przebieg. Teść ma chyba podobne rozterki, bo przeciąga w nieskończoność proces słodzenia (dwie łyżeczki brązowego cukru), mieszania (pięć ruchów w prawo, pięć w lewo i ponownie pięć w prawo) i wycierania czterema serwetkami oblanej mlekiem szklanki.

- No więc, jak by to powiedzieć, Aleksandra oczekuje ode mnie pomocy.

Nabieram powietrza i czuję, jak pęcherzyki płucne powoli zwiększają objętość.

- To chyba naturalne, byliście z sobą tyle lat...
- Tak, tylko że ona niestety nie zauważa, że związałem się z kimś innym.
- Tak...



- I oczekuję, że do niej wrócę. A tak w ogóle wiesz dokładnie, co jej dolega?
- Rak jajnika.
- Tak, ale jakie są prognozy, leczenie? Pytam cały czas, ale Ola nic mi nie mówi. Zachowuje się irracjonalnie. Z jednej strony oczekuje ode mnie pomocy, a z drugiej nie chce powiedzieć czegoś więcej o swoim stanie.
- Tak, wiem.
- Pytałaś?
- Oczywiście, ale też otrzymuję tylko mgliste informacje, a gdy dopytuję o szczegóły, nie mogę niczego z niej wyciągnąć.
- No właśnie.
- Wiem, że wczoraj miała pierwszą chemię.
- Byłaś przy niej?
- Nie, skąd. Nie życzyła sobie niczyjej obecności.
- Ha, i tu jest pies pogrzebany. Ola nie została w szpitalu, tylko jakimś cudem wyszła do domu i wydzwaniała, żebym do niej przyjechał.
- I co, pojechał teść?
- W końcu tak, co miałem zrobić? Basia niby to rozumie, ale widzę, że nie jest zadowolona.
- Pewnie obawia się, że teraz się zejdziecie.
- Nie ma takiej możliwości.
- To niech teść jej to powie.
- Myślisz, że tego nie robię? Ale to nie takie proste. Mam wrażenie, że Ola ze mną pogrywa.

Podaję, że to najbardziej trafne podsumowanie aktualnych poczynań pani Oli, ale nie mam zamiaru wnikać w ich relacje. I tak mam już dosyć ich nasilonej obecności w moim życiu.

- Nie, nie sądzę.
- A ja ci mówię, że tak. Płakała, żebym nie zostawiał jej samej na noc. I powiedz, co miałem zrobić?
- Nie mam pojęcia. Zostać?
- Właśnie. Niby proste, a jednak nie. Faktycznie trochę z nią posiedziałem, ale przecież nie mogę tak zostawiać Basieńki. W dodatku Ola zrobiła się niezdolna. Nie chciała położyć się w sypialni, tylko zaległa na kanapie w salonie. Telewizor ryczał na cały regulator, a ona przysypiała oparta o stos poduszek. Na każdą moją wzmiankę, że może już sobie pójść, reagowała histerią. Wreszcie zasnęła, tak że mogłem się wyslizgnąć z domu, ale była już druga w nocy. Przecież ja tego nie wytrzymam! I te jej herbatki... Zielona nie, bo coś tam, czarna okropna, bo czarna, w końcu zdecydowała się na bawarkę, a potem było jej niedobrze. Że też po chemii można pić takie świństwo.
- Nie wiem, nie znam się.

– Ja tym bardziej. Dlaczego w ogóle wypuścili ją ze szpitala?

– Też się dziwię.

– Słuchaj, porozmawiaj z nią. Może jednak zgodzi się na Janinę. Przecież zna ją tyle lat. Pracowała u nas kiedyś, to i teraz mogłaby się nią zająć.

Nie znam żadnej Janiny, ale domyślam się, że mogłaby również dla mnie okazać się wybawieniem i powstrzymać panią Olę od wycieczek do mojego domu.

– Spróbuję, ale niczego nie obiecuję.

– Jeśli ty na nią nie wpłyniesz, to sam już nie wiem. Przecież ja mam swoje życie. Zostawiłem jej dom, pełne konto, czego ona więcej chce? Tak się nie da żyć. Chyba mnie rozumiesz?

Aż za dobrze. Jednak obawiam się, że pani Ola chce teścia z domem, kontem i portfelem, zainteresowania z jego strony i obietnicy, że zapewni jej bezpieczeństwo do końca życia. Teść żegna się i pochylony, jakby przybyło mu dziesięć lat, wychodzi z restauracji.

Nie wiem, dlaczego mieszają mnie do swoich spraw i dlaczego obie strony oczekują, że w cudowny sposób uzdrowię sytuację, ale zdecydowanie nie podoba mi się miejsce, w którym stoję.

Złość wyładowuję na nowym pomocniku kucharza, który zamiast rozbijać kotlety, siedzi na zewnętrznych schodach i pali nie wiem którego papierosa. Jest dopiero dwunasta, a mam wrażenie, że młody człowiek wykorzystał wszystkie przerwy przysługujące mu do końca tygodnia, a jest raptem wtorek.

– Który to już papieros? – wrzeszczę do jego pleców oparta o framugę drzwi.

– Niech szefowa tak nie lata. Piąty.

– Jak to piąty? Od dziesiątej? Piąty od dziesiątej? Od dwóch godzin, o, przepraszam, od godziny i czterdziestu minut, bo przecież jak zwykle się spóźniłeś, wypaliłeś już pięć fajek!

– No, norma, nie? Palę ze dwie–trzy paczki dziennie, to by się zgadzało.

– Jaja sobie robisz? To siedzisz tak pewnie, optymistycznie licząc, w sumie z pół godziny.

– Może być.

– Czy w umowie masz wpisane palenie?

– Nie, ale nie może mi go pani ograniczyć.

– Oczywiście, że mogę. – Oddycham głęboko, jakbym ukończyła półmaraton. – Albo nie. Zwracam ci wolność. Pal sobie, ile chcesz, ale nie w mojej firmie. Zabieraj swoje rzeczy i możesz iść do domu.

– Tak? Mam dzisiaj wolne? – Gasi papierosa na poręczu, wypalając w niegdyś żółtej farbie kolejny czarny ślad, i powoli wstaje, naiwnie sądząc, że rozmawiamy o urlopie, a nie o wylaniu z pracy.

– I dzisiaj, i jutro. Nie musisz już wracać.

– Jak to?

– Tak to. Zwalniam cię. Nie wywiązujesz się z obowiązków.

– Nie może pani.

– Właśnie, że mogę i to robię.

Czerwienieje na twarzy, a ze spierzchniętych ust wydobywają się bąbelki śliny, która w miarę jak młodzian podnosi głos, spryskuje wszystko dookoła.

– Spotkamy się w sądzie!

– Grozisz mi?

– Tylko informuję! Nie zostawię tak tego! Nie dam się tak traktować!

– Dobra, idź już sobie.

Trzaska mi drzwiami przed nosem i zostawia na chłodnym wietrze przed restauracją. Słyszę kliknięcie zamka i wiem, że będę musiała obejść cały budynek, żeby dostać się do środka. O dziwo, nie robi to na mnie wrażenia. Przysiadam na najwyższym stopniu, wyciągam nogi i wpatruję się w brudne ściany budynków, które gęsto wciśnięte w siebie i na siebie ktoś poumieszczał na tym niewielkim skwerze.

Zastanawiam się, co tu robię i dlaczego wszyscy mają w stosunku do mnie jakieś oczekiwania. Też chciałabym mieć taki luksus, tymczasem pokornie muszę dryfować z prądem, który ciągle znosi mnie w nieznane. Rozmyślałam o Olafie i jego pracy, dzieciakach, teściach i Ance i dochodzę do wniosku, że jeśli natychmiast nie poderwę się do pracy, nikt jej za mnie nie wykona. Głośno wdycham i niespiesznie człapię w kierunku drzwi wejściowych.

Chwała Panu, że o tej porze miewamy niewielu klientów, bo na progu rozgrywiają się dantejskie sceny. Zwolniony pomocnik wykrzykuje w głąb sali, że jestem kurwą bez honoru i że inni też niedługo się przekonają, jaka jestem. I pewnie nikt im nie powiedział, że jestem na skraju bankructwa i że lepiej zrobić, jak zaczną sobie szukać innej roboty. Że on zna się na ludziach, więc mnie przejrzał i uprzedził moje ruchy, a teraz ma zamiar odebrać, co mu się należy, w postaci firmowego laptopa, który usiłuje wyrwać mu z rąk szef kuchni.

– Pani Nino, niech pani dzwoni na policję!

– Już dzwoniłam, zaraz tu będą.

Blefuję i z miną toreadora brnę w kierunku baru, przy którym szarpią się już trzy osoby, bo dołączyła do nich kelnerka. Najwyraźniej mój widok albo groźba pojawienia się policji robi wrażenie na młodym człowieku, bo ciska laptop na blat najbliższego stolika i znika w drzwiach. Stoimy zdyszani i patrzymy na siebie. Wyglądamy jak po bitwie.

– Przepraszam za tę akcję, możemy wracać do pracy.

Kelnerka spogląda na mnie podejrzliwie i wreszcie pyta:

– Ale nie bankrutuje pani?

– Nie, skąd! Jeszcze tego brakowało.

Robię dla wszystkich po filiżance słodkiego espresso i powoli wracamy do

naszych działań. Ja niestety po raz kolejny muszę rozpocząć proces rekrutacji. Jestem wykończona, a świadomość, że to się nigdy nie skończy, bo jak jeden nie odejdzie, to druga zajdzie w ciążę albo podążając za miłością, wyprowadzi się na drugi koniec Polski, mnie dobija.

Wracam zmęczona i wściekła do domu. W garażu usiłuję opanować złe emocje i wejść do środka jak gdyby nigdy nic. Panuje cisza, jakby nikogo nie było.

– Cześć, wróciłam!

Rzucam na kuchenny blat siatkę z zakupami i potykam się o koszyk z warzywami, który sama postawiłam pod lodówką. Cholera. Zahaczyłam obcasem o wiklinę i zdarłam z niego skórę w takim miejscu, że nie da się tego ukryć. Nowe buty w jednej chwili straciły elegancki wygląd.

– Halo, jest tu kto?

Znowu brak odzewu i ze zdziwieniem upewniam się, że mimo iż jest już po osiemnastej i dzieciaki powinny przygotowywać się do kolacji, w domu nie ma nikogo. Zamiast się cieszyć, że mam czas dla siebie i nikt niczego się ode mnie nie domaga, czuję złość. Odnoszę wrażenie, że coraz bardziej tracę panowanie nad tym, co się tu dzieje. Wybieram numer Olafa i choć odczekuję dziesięć sygnałów, nikt się nie zgłasza. Dzwonię ponownie i jestem coraz bardziej wściekła. Przecież jutro jest szkoła, przedszkole, Klara z pewnością ma lekcje do odrobienia, nie mówiąc o Antosiu, który wybity z rytmu nie zaśnie do północy.

Bombarduję jego komórkę, ale odpowiada mi cisza, co doprowadza mnie do furii. Wreszcie wybieram numer Ani, żeby się upewnić, że to nie ona stoi za nieobecnością dzieciaków.

– Ania, przepraszam, że zawracam ci głowę, ale czy dzieci są z tobą?

– Nie, a nie ma ich w domu?

– No właśnie nie.

– Może pan Olaf zabrał je na spacer?

– Nie wiem, nie mogę się do niego dodzwonić.

– Niech się pani nie denerwuje, pewnie świetnie się bawią.

– Właśnie: bawią, a Klara powinna odrabiać lekcje.

– Ja na pani miejscu tak bym się nie denerwowała.

Pytam kurtuazyjnie, jak się czuje, i chociaż widziałyśmy się niedawno i pewnie zobaczymy jutro, w zdenerwowaniu zazwyczaj plotę z podwójną intensywnością i o najmniej istotnych rzeczach. Rozłączam się, wstawiam wodę na herbatę i dziarskim krokiem ruszam pod prysznic. Wchodzę pod strumień gorącej wody z nadzieją, że zmyje ze mnie zmęczenie i stres. Zamiast tego czuję się jeszcze bardziej pobudzona i niespokojna. Ostatnią warstwę mydła spłukuję szerokim strumieniem lodowatej wody i ponownie jestem gotowa do konfrontacji.

Chyba mi odbija. Z czym chcę się konfrontować? Z kretyńcem, któremu nie chciało się pracować? Z Olafem, który prawdopodobnie fantastycznie zajmuje się

dziećmi, z tą tylko różnicą, że nie w tym miejscu, gdzie się tego spodziewałam? Czy może z własną bezradnością i rozpaczą, że jednak z całym tym bajzłem jestem sama?

Wkładam dres i człapię do pokoju Klary. Postanawiam zajrzeć do jej plecaka, poprzeglądać zeszyty i sprawdzić, czy odrobiła wszystkie zadania. Zeszyty mają pozaginane rogi, gdzieś zniknęły plastikowe okładki, pismo stało się bardziej nieczytelne, a rysunki mniej staranne. W dodatku pojawiły się adnotacje o braku zadań, a w zeszytcie do języka polskiego wpisana czerwonym długopisem uwaga o złym zachowaniu Klary zakończona zaproszeniem mnie do szkoły.

Jestem zdruzgotana. Moje grzeczne dziecko nagle stwarza problemy wychowawcze. Czego i kiedy nie dopilnowałam? Co się stało?

Nie mam ochoty na herbatę, odechciało mi się pić. W zasadzie odechciało mi się wszystkiego. Ponownie wybieram numer Olafa i znów nie odbiera. Schodzę do kuchni i upycham zakupy w lodówce, wyjmuję naczynia ze zmywarki i załadowuję do niej te, które piętczą się w zlewie. W ten sposób mija następny kwadrans zwieńczony kolejną nieudaną próbą dodzwonienia się do Olafa.

Siadam przed telewizorem i choć usiłuję skoncentrować się na wiadomościach, nie potrafię skupić uwagi. Odpywam myślami. Złość pręży się we mnie i rośnie tak, że sama się boję jej wybuchu. Czekam na ich powrót zła jak osa.

Zrywam się na równe nogi, w panice rozglądając się po otaczających mnie ścianach. Po długiej chwili odkrywam, że znajduję się we własnym salonie, ścierpnięta po nie wiadomo jak długim czasie spędzonym na kanapie. Dzwonek buczy natarczywie, ale nim zdążę podejść do drzwi, w progu staje Olaf z dziećmi. Chryste Panie, która godzina?

– Cześć, jesteście!

Po nodze biega mi stado mrówek, więc utykając, zmierzam powoli do korytarza. Olo trzyma na ręku śpiącego Antosia, a podekscytowane dziewczynki radośnie to wkładają, to wyjmują z ust kulki lizaków.

– Olaf, wiesz, która jest godzina?

– Nie wiem, po ósmej?

Rany, jutro szkoła i przedszkole, panny powinny już być w piżamach w łózkach, a nie ganiać po mieście! Zresztą są tak pobudzone, że nie sądzę, by szybko usnęły.

– Za pięć dziesiąta! Gdzie byliście? Przecież Klara ma lekcje do odrobienia.

– Poszliśmy na spacer, a potem mama zaprosiła nas na pieczenie ciasteczek i tak nam zeszło.

– Super.

– Jesteś zła?

– Nie, skąd. – Patrzę mu prosto w źrenice i syczę: – Jestem wściekła, przewściekła! Zaglądałeś do zeszytów Klary?

– Nie, ale pytałem, czy odrobiła lekcje, i powiedziała, że tak.

– I nie wpadłeś na to, żeby sprawdzić? – Jestem niesprawiedliwa wobec niego, bo bazując na tych samych danych sprytnie podsuwanych przez małą, nie sprawdzałam jej zadań, zeszytów i wierzyłam, że jak we wcześniejszych klasach uczy się pilnie i broni pozycji prymuski. Tymczasem nie dość, że już nią nie jest, to najprawdopodobniej spadła poza podium.

– Nie, nie wiedziałem, że muszę.

Olaf wydaje się wystraszony moim atakiem, zapewne jego szok pogłębiają moje rozczochrane włosy i dwa kleksy tuszu pod oczami. Wyglądam jak monstrum. Dziewczyny z wystającymi z ust białymi plastikowymi patyczkami przyglądają mi się w cichym skupieniu, pewnie kuląc się w sobie.

– A z tobą, Klara, mam do pogadania.

– Taak?

– Idź pod prysznic i zastanów się, o co może mi chodzić. Marysia, chodź do łazienki, wykąpiemy się.

Mała trze piąstką oczy i najchętniej położyłabym ją bez kąpieli, ale po zabawie w kuchni aż się klei od cukru. Koty, które początkowo zwiały za kanapę, teraz kręcą się pod nogami, próbując zlizać z butów dziewczynek słodki biały proszek. Ciągnę Marysię za sobą na piętro. Tuż za nami, waląc piętami po drewnianych stopniach, wspina się Klara. Mamrocze pod nosem coś, czego nie rozumiem, ale najwyraźniej daje wyraz swojemu niezadowoleniu.

– Co tam mrućysz?

– Nic.

– Jak to nic, skoro coś słyszę.

– A co, nie wolno?

– Klara, jak ty się do mnie odzywasz?!

– Przecież nic takiego nie mówię.

– Uważasz, że tak się zachowuje dama?

– Nie jestem damą.

– Najwidoczniej. Co się z tobą dzieje?

– Nic.

Postanawiam zakończyć tę jałową dyskusję i skupiam się na tym, by dziewczynki szybko się umyły i przygotowały do spania. Marysia niemal zasypia w wannie, co chwila trąc oczy, i nawet nie rejestruje, że naciągam na nią piżamkę. Szoruję szczoteczką jej nieliczne mleczaiki, a mała chwieje się jak wańka-wstańka, ciągle zamykając usta. Gdybym nie była napompowana złością, byłaby to jedna z najmilszych chwil dnia. Zanoszę małą do łóżka, przykrywam kocykiem i wracam do Klary, która korzystając z mojej nieuwagi, nałała do wanny tyle wody, że zaczęła się z bulgotem przelewać przez górny odpływ.

– Klara, co ty robisz?

Odpowiada mi cisza i gdy podchodzę bliżej, okazuje się, że młoda z nosem zaciśniętym palcami nurkuje na dnie. Gdy dotykam jej ramienia, wystraszona wyskakuje jak korek z szampana i woda długą falą zalewa dywanik, moje buty, ścianę i położony z boku ręcznik.

– Uważaj!

Nie poznaję mojej córki. Grzeczna, skromna dziewczynka zmienia się w dziewczuchę, która ironicznie spogląda na mnie wielkimi oczami spod mokrej grzywki. Krople skleiły jej rzęsy, a usta wykrzywiły się w dziwnym grymasie ni to ubolewania, ni to lekceważenia, zupełnie obce emocje, które dotychczas znałam z opowieści koleżanek mających dorastające córki. Klara ociąga się i niechętnie współpracuje z gąbką, którą usiłuję ją myć. Piszczy, gdy zagłębiam palce w jej splątanych włosach, i narzeka, że szampon dostał się jej do oczu. Im bardziej marudzi, tym bardziej złość otula mnie niczym grubym kocem.

– Dalej, wychodź.

– Jeszcze chwila.

– Absolutnie nie. Wyłącz natychmiast! Masz nieodrobione lekcje!

– Odrobiłam wszystko.

Naciągam jej na głowę bluzkę piżamy i cieszę się, że przez sekundę nie widzę jej oczu. Usiłuję opanować emocje i odnaleźć spokój, który skrył się gdzieś w najciemniejszym zakątku umysłu.

– Nie kłam.

– Nie kłamię.

– Klara, sprawdziłam twój plecak i nie dość, że nie odrabiasz lekcji, to jeszcze w zeszycie od polaka jest wpisana na czerwono uwaga! Masz coś do powiedzenia?

– Zapomniałam.

– O czym?

– No, o matematyce.

– A uwaga? Za co ją dostałaś?

– Nie pamiętam.

– Jak można nie pamiętać, za co się dostało uwagę?! – Wyciskam na szczoteczkę do zębów glut różowej balonowej pasty i wręczam ją Klarze, po czym wychodzę z łazienki i kieruję się do jej pokoju. – Czekam na ciebie, pospiesz się.

To jeden z tych niewielu dni, gdy córka myje zęby ze szczególną atencją. Starannie, powolnymi ruchami szoruje jedyńki, niespiesznie przesuwa szczoteczkę na tył jamy ustnej, płucze szczoteczkę, ponownie nakłada pastę, przypomina sobie o klepsydrze, którą powoli odwraca, by odmierzyła możliwie jak najdłuższe dwie minuty. Doprowadza mnie do furii.

– Klara, czekam!

– Chwila! – bulgocze z ustami pełnymi piany.

– Kończ, proszę, i chodź tutaj.

Po nieznośnie długiej chwili przychodzi do swojego pokoju i łąduje się do łóżka. Długa wskazówka kolorowego zegara zawieszonoego nad biurkiem minęła cyfrę sześć i niebezpiecznie przesunęła się w kierunku ósemki.

– Co robisz?

– Kładę się spać, przecież kazałaś.

– Jakie spać? Masz odrobić lekcje.

– Ale już późno i jestem zmęczona.

– To trzeba było je odrobić, jak nie byłaś zmęczona! Po co okłamałaś Olafa?

– Ja? Przecież ja nie kłamię!

– Pytał cię, czy odrobiłaś lekcje.

– Nie! – Patrzy na mnie z miną niewiniątka i wiem, że nawet końmi nie wyciągnę z niej kawałeczka prawdy. Zapiera się i przyjmuje postawę obronną, zaplatając ręce w ósemkę.

– Jak nie, jak tak?

– Nie wierzysz mi? – wybucha. – Wierzysz tylko jemu! Ja już się nie liczę! Taka jesteś? Po co mi mówisz, że jestem dla ciebie najważniejsza, skoro nie jestem!

– Klara, przestań! – Boże, co się robi w takich sytuacjach? Wrzeszczy? Pociesza? Udaje zrozumienie? A może konfrontuje dwie prawdy?

– Przecież nic nie robię. – Nafochana obserwuje, jak wyjmuję z jej plecaka plik zeszytów.

– Po co zabierasz do szkoły flażolet? Jutro nie masz muzyki.

– Nie zauważyłam.

– A to? – Z bocznej kieszeni wyjmuję kamlot oklejony wełną udającą włosy z dwiema wielkimi plamami oczu. Waży przynajmniej pół kilograma i pamiętam, że wygrzebywałam go z ogrodu w niedzielny wieczór z latarką w ręku jakiś miesiąc temu.

– Lolo.

– Jaki znowu Lolo?

– Kamienny, robiliśmy na plastyce.

– To wiem, ale po co tachasz go do szkoły?

– Zapomniałam wyjąć.

– Klara, jesteś niepoważna. Obiecuję ci i zapamiętaj to sobie, od jutra biorę się do ciebie. Wypakowujesz cały plecak, łącznie ze śniadaniówką i zlepkiem karteczek z bocznych kieszeni, i codziennie sprawdzam ci lekcje i przepytuję. Zrozumiałaś?

– A z czego?

– Co z czego?

– No, z czego będziesz mnie przepytować?



– Ze wszystkiego jak leci i dopóki się nie ogarniesz, moja panno, nie ma komputera w tygodniu.

– A w weekend?

– Tak, ale po tym jak uporasz się z lekcjami i sprzątniesz pokój.

– To niesprawiedliwe! Dlaczego mnie tak traktujesz? On ci kazał?

– Jaki on?

– Olaf.

– To nie jest żaden on i proponuję przyzwycząić się do myśli, że jest teraz częścią naszej rodziny.

– Ale ja się nie zgadzam. Nie będzie moim tatą.

– Oczywiście, że nie. Olaf to Olaf, tatę masz jednego. Ale, kochanie, nie możesz być tak źle do niego nastawiona. Powiedz, czy on ci zrobił jakąś przykrość?

– Nie pozwala mi jeść czekolady i powiedział, że mam sprzątać i zajmować się Antkiem.

– Żadnej czekolady przed obiadem, sprzątać po sobie i posiedzieć od czasu do czasu z małym na podłodze, tak?

– No.

– Widzisz, sama go o to prosiłam. Przecież tak się umawialiśmy kilka miesięcy temu.

– Ale teraz to mi się nie podoba. Mały jest głupi.

– Jak możesz tak mówić o swoim bracie?

– Sama przyznaj: nie kapuje nic z tego, co robię, wiecznie wrzeszczy i zabiera mi wszystko. Już nawet Maryśka jest lepsza.

– Jest maluchem i robi wszystko to, co robią małe dzieci. Też kiedyś taka byłaś.

Patrzy na mnie nieufnie, nie wiedząc, czy ją obrażam, czy wyjawiam tajemnicę rodzinną, której wolałaby nie znać. Wskazówka płynnie mija dziewiątkę i przepycha krótszą koleżankę na pozycję dziesięć. Najwyższa pora zabrać się do zadań.

Okazuje się, że podzielić w słupku sto sześćdziesiąt osiem przez cztery to dla mojego dziecka zagadka nie do rozwikłania i stwarza problemy już na poziomie zapisu, a co dopiero obliczeń. Usiłuję jej wyjaśnić, jak ważne jest zapisywanie cyfr w odpowiednich kratkach, jednak Klara patrzy na mnie, jakbym mówiła w jidysz i językiem migowym. W dodatku umiejętności elementarne, czyli tabliczka mnożenia, również pozostawiają wiele do życzenia.

W obawie, że do północy nie wytłumaczę Klarze, w czym rzecz, pospiesznie kończymy zmagania z kolejnymi słupkami i gdy wydaje się, że prostą drogą zmierzamy do łóżka, mała oświadcza, że jest głodna. Powinam mieć to gdzieś, ale troskliwa matka się wyrywa i każe podgrzać dwie parówki i posmarować pszenną

bułkę. W kuchni okazuje się, że entuzjazm mojego dziecka dla jedzenia nieco osłabł, i teraz młoda, stale poganiana, miele bułkę, mozolnie przeżuując każdy kęs. Noc naciąga na nas coraz grubszy czarny koc, a Klara pochylona nad stołem odgryza kolejne niewielkie kęsy. Przed nami jeszcze rytuał ponownego mycia zębów, niezasypiania, przytulania się, schodzenia do kuchni po wodę i wreszcie przyjścia do mnie do łóżka, zazwyczaj w chwili, gdy jestem przekonana, że już od dawna śpi.

Wieczór się ślizaczy, a czas przyspiesza i mknie poza moim zasięgiem. Olaf jak gdyby nigdy nic bierze prysznic i najwyraźniej nie rozumie mojego zdenerwowania. Jego tłumaczenia, że mama zaprosiła ich tylko na pieczenie ciasteczek i jakoś tak im zeszło, zupełnie do mnie nie trafiają. W dodatku ta jego matka... Pomocna, nadskakująca i z mnóstwem pomysłów, jak nam zająć czas. Czy nie mogła mi się trafić teściowa, która wypiłaby ze mną kawę, poszła do galerii i czasami posiedziała z dziećmi? Mam wrażenie, że powiedzenie o tym, jak to zamienił stryjek siekierkę na kijek, coraz bardziej uwidacznia się w moim życiu. Najpierw narzekałam, że mam teściową, której wcale nie interesujemy i wpada do nas od wielkiego dzwonu, a teraz narzekam, że potencjalna teściowa spędza w moim domu niemal więcej czasu niż ja. Im więcej o tym myślę, tym bardziej się boję, że może problem jednak tkwi we mnie.



ęściowa została onkocelbrytką. Sprawia wrażenie, jakby rozkoszowała się każdym dniem pobytu w szpitalu, pasjami opowiadając o życiu pielęgniarek, bólu własnym i cudzym i o tym, jak to cierpienie uszlachetnia, czym daje do zrozumienia, że jest niezwykle szlachetną osobą. Jej szlachetność i celebrowanie bólu objawia się w niekończących się opowieściach o nim podczas rozmów telefonicznych, odwiedzin i w esemesowych wiadomościach. Dotychczas nie wiedziałam, że potrafi pisać esemesy.

Im bardziej cierpi, tym intensywniej krąży w umartwieniu po całej rodzinie i „gronie”, niczym po kolejnych stacjach drogi krzyżowej, i tym bardziej w jej życiu uwidacznia się nieobecność Wojtka, który zasłaniając się obowiązkami, daje coraz wyraźniej do zrozumienia, że nie jest zainteresowany chorobą matki, zwłaszcza w zakresie sprawowania opieki nad nią. Zadziwia mnie pani Ola, która nie tylko go tłumaczy, ale też nie ma w stosunku do niego żadnych oczekiwań.

– Daj spokój, Wojtek robi karierę. Wiesz, to szansa jedna na milion. Zresztą nawet tak sobie myślałam, czy nie pojechać do niego, żeby jakoś mu pomóc.

Myślę, że swoim wyjazdem najbardziej pomogłaby mnie, ale grzecznie milczę i z niedowierzaniem wsłuchuję się w jej tyradę o tym, że rodzina jest najważniejsza, że jego żonie też się coś od życia należy i nie wolno! nie wolno! być takim egoistycznym i skupiać się tylko na sobie.

– Ale jak to pojechać do niego? – Całą uwagę skupiam na chochli z parującą zupą pomidorową, którą usiłuję nalać do niewielkiej miseczki. Oczywiście w ostatnim momencie rozlewam kilka kropli na rozgrzaną płytę ceramiczną i w akompaniamencie skwierczenia zaczyna śmierdzieć spalenizną.

– Coś przypalasz.

Ręka drży mi jeszcze bardziej i oblewam wrzącym wywarem drugą dłoń. Cholera jasna. Pospieszenie odstawiam naczynie i wkładam rękę pod strumień lodowatej wody. Czuję natychmiastową ulgę, ale wiem, że jeszcze długą chwilę będzie nieprzyjemnie piekło. Tymczasem pani Aleksandra zupełnie nie dostrzega moich zmagania i spokojnie opowiada o swoich planach:

– W przyszłym tygodniu w środę mam kolejną wlewkę, więc pewnie w piątek będę już na nogach i spokojnie mogłabym polecieć do Wojtka. Przecież to tylko trzy godziny lotu.

– Plus dwie na lotnisku i godzinny dojazd na lotnisko.

– Oj, nie przesadzaj.

– No, nie wiem, wydaje mi się, że to jednak wyczerpująca wyprawa.

– I tak, i nie. Jak myślisz o dziecku, to wracają ci siły. Zresztą sama się przekonasz.

Pewnie tak, z tą różnicą, że chociaż jestem zdrowa i w pełni sił, to na myśl o wyprawie na drugi koniec Europy robi mi się słabo. Może gdybym na końcu drogi widziała wiecheć palmy i leżak pod nią, wykrzesałabym więcej optymizmu, ale i tak nie chciałoby mi się ruszać z domu, tym bardziej gdyby chemia toczyła walkę z nowotworem wewnątrz mojego organizmu. Tymczasem teściowa sprawia wrażenie osoby, która wróciła z sanatorium. Dzięki lekko zaróżowionym policzkom i wypełnionym poduszczkami tłuszczu zmarszczkom wygląda, jakby przybierała, a nie traciła na wadze. W dodatku skądś wytrzasnęła czekoladowy kostium ozdobiony białą nitką, którym zadaje szyku. Dawno nie prezentowała się tak dobrze i gdyby nie żółto-złota chustka z logo Versace na głowie, nikt by się nie domyślił, że jest chora.

– A Wojtek nie planuje odwiedzin?

– Nie, oczywiście, że nie. Przecież jest zajęty, już ci mówiłam.

– A wspominała teściowa o chorobie?

– Żartujesz? Masz jeszcze trochę ryżu? Dorzuć tutaj, o tu. Więc o czym mówiłyśmy?

– Czy Wojtek wie, w jakim mama jest stanie?

– A niby w jakim stanie jestem? Czuję się znakomicie.

– Tak, wczoraj teściowa narzekała przez telefon, że wszystko ją boli.

Wyjmuję z piekarnika blachę pachnącego ciasta ze śliwkami i odkrawam spory kawałek, którym mój gość żywo się interesuje.

– Wiesz, może i bym zjadła trochę tego ciasta.

– Bardzo proszę. Zrobić też kawę?

– Możesz.

– Cieszę się – mówię ironicznie i nie mam zamiaru dopytywać ją. Parzę czarną i stawiam na stole karton otwartego wczoraj mleka.

Teściowa jednak po nie nie sięga, za to sypie do filiżanki dwie czubate łyżeczki białego cukru, bo brązowego nie uznaje, uważając go za modny kaprys, nic więcej.

Pełne słodkiego soku śliwki pobłyskują, a cukier puder apetycznie topi się na gorących owocach. Aromat ciasta przebija się przez wszystkie emocje i niesnaski, łagodząc na chwilę napięcie. Pani Ola nie ma nic przeciwko dokładce i z entuzjazmem zabiera się do kolejnego kawałka.

Zachowuje się jak przyłapany na wyjadaniu słodczy dzieciak i najwyraźniej toczy wewnętrzną walkę, niezdecydowana, czy powinna czuć się dobrze, czy jednak nie. Wreszcie choroba wygrywa z planami turystycznymi, bo nagle zapada się w sobie i marnieje w oczach. Swoją drogą nie wiem, jak ona to robi, że w jednej

sekundzie staje się wrakiem człowieka, a jej szyja marszczy się podwójnie.

– Ano tak, widzisz, dziś przez chwilę lepiej się poczułam i już zaczęłam planować nowe życie. A tak się nie da. Zwyczajnie się nie da. Człowieka boli wszystko, słaby po tych chemiach i powiem ci, że to już nie ten wiek, żeby chorować.

Nie wiem, jaki wiek jest dobry na chorowanie, dotychczas wydawało mi się, że żaden, ale najwyraźniej się myliłam. Tymczasem pani Ola wymiata zupę z talerza, wiosłując łyżką jak kajakarz na olimpiadzie, i ku mojemu zaskoczeniu prosi o dokładkę. Zastanawiam się, czy tak jej smakuje, czy po prostu była głodna, ale w sumie cieszę się, że wniosłam coś wartościowego do jej procesu zdrowienia. Zawsze się śmiałam, że najlepsze teściowe są aniołami, bo od dawna nie żyją, ale teraz, gdy patrzę na tę chudą, bezbronną kobietę, robi mi się jej żal.

– A ten twój Olaf to już tak na stałe tu mieszka?

Gwałtownie się zapowietrzam i krztuszę kawą, którą usiłowałam pić z rozgrzanej do czerwoności filiżanki. Głośno kaszlę i nie do końca wierzę w to, co słyszę.

– O co teściowa pyta? Nie rozumiem.

– Jak to o co? Interesuje mnie, czy on ma zamiar tu mieszkać. Przecież to nie jego dom.

Przyglądam się pooranej zmarszczkami twarzy i stwierdzam, że czekoladowy kostium pani Oli już wcale mi się nie podoba. Wygląda, jakby wpadła w świeże błoto, a potem białe nitki pajęczyny. Mam świadomość, że zdaje sobie sprawę, jakie wywarła wrażenie tym pytaniem, i teraz, rzucając ukradkowe spojrzenia znad filiżanki kawy, bawi się moją konsternacją.

– Olaf jest moim partnerem, więc mieszka z nami.

– Wiesz, dziwię się. Niby taka jesteś odpowiedzialna, a wpuszczasz do domu obcego faceta.

– Po pierwsze, to nie teściowej interes, po drugie, Olaf nie jest obcym facetem.

– Moje dziecko, a ile się znacie? Rok, pół? To żadna znajomość. Bartek pewnie się w grobie przewraca.

– Znamy się o wiele dłużej, a Bartek przede wszystkim chciałby, żebyśmy była szczęśliwa, i przy Olafie jestem.

– I powiedz, że uprawiasz z nim seks. Bez ślubu! Obrzydlistwo.

Dyszę głośno, pochylona nad stołem, i zastanawiam się, ile bym dostała za morderstwo w afekcie i czy posiadanie trójki dzieci byłoby okolicznością łagodzącą, ale w końcu dochodzę do wniosku, że nie mogę zostawić dzieciaków samych sobie. Podobno są sposoby na powolne uśmiercenie, bazujące na wywarach z oleandra i podawanych regularnie niewielkich dawkach arszeniku, ale nie wiem, skąd zdobyć stosowny przepis. Kolejny raz w życiu nabrałam się na jej

niby-pozytywne nastawienie i znowu po spotkaniu z nią boli mnie splot słoneczny i jakoś nie potrafię znaleźć słów. A podobno taka jestem wyszczekana. Tymczasem pani Ola jak gdyby nigdy nic wsuwa palec wskazujący pod chustkę i zaczyna drapać się nad lewym uchem. Pokazują się przy tym pierścionki szarych loczków, lecz po chwili zostają sprawnie upchnięte pod materiał. Myślałam, że teściowa nie ma włosów, a tu niespodzianka.

Czuję się tak zraniona, że już wcale nie jest mi jej żal. Złego samopoczucia, wypadających włosów i tych wszystkich okropnych procesów, które towarzyszą chorobie. Mam dość. Nawet w chwili, gdy teoretycznie rozstępują się przed nią płyty rodowego grobowca i jej czas coraz bardziej się kurczy, nie potrafi odpuścić. A może wrodzone złość i zawziętość dodają jej sił?

- Nie będziemy na ten temat rozmawiać.
- Czyli mam rację.
- Nie będę z teściową o tym dyskutować.
- Jak chcesz, ale dobrze ci radzę, przemyśl to sobie.

Nie tłumaczę jej, że to ona powinna przemyśleć to, jak wpieprza się w nie swoje sprawy, bo wiem, że to z góry skazane na niepowodzenie, i po prostu wpatruję się w nią w milczeniu.

- To ja już sobie pójdę.
- Jak teściowa chce.

Chyba nie chce, ale nie ma wyjścia i powoli zmierza do drzwi. Tymczasem te z hukiem się otwierają i już od progu niesie się radosny głos Olafa:

- Cześć, mała, wróciłem!

Teściowa spogląda na mnie wzrokiem „a nie mówiłam” i gwałtownie zmienia kierunek ruchu, wchodząc do małej toalety dla gości. Olo hałasuje, ale nie na tyle, by nie słyszeć strumienia moczu, który wpada do muszli klozetowej. Oboje chichoczymy, robiąc dziwne miny i wskazując na źródło dźwięków.

– Właśnie wychodzi – szepczę, żeby Olo nie musiał wybiegać z domu na kolejny trening.

- Super.

– Co super? – Drzwi toalety otwierają się z łomotem i staje w nich czekoladowa garsonka z upchniętą w środku teściową.

- Dzień dobry.

– Nie taki dobry. Jak będziesz w moim wieku i taki schorowany jak ja, to zrozumiesz.

– Pewnie tak. – Olaf, nie zważając na jej dalsze komentarze, przeprosza i wbiega na schody, oznajmiając, że weźmie prysznic, że coś by zjadł i że się zmęczył.

- Nierób jeden.

- Słucham? – Odwracam się na pięcie i staje nos w nos ze starszą panią.

– Nic nie mówiłam.

– Chyba jednak tak. Jeśli mamy żyć w zgodzie, to nie życzę sobie takich uwag.

– Nic nie mówiłam.

Podchodzę do drzwi wyjściowych z nadzieją, że teściowa skorzysta z drogi ucieczki, tymczasem ona z satysfakcją oświadcza, że wypiłaby filiżankę herbaty. Takiej specjalnej, białej z maliną, która według Wandeczki jest najlepsza na krew. I czy mogę wstawić wodę. Cholera jasna.

Rzeczywiście, choroba weryfikuje pojęcie czasu, znajomych i przyjemności, jakie niesie życie. U pani Oli w pierwszej kolejności zweryfikowała pojęcie czasu, bo zawsze zabiegana kobieta teraz nagle odkrywa, że przecież nigdzie się nie spieszy. Zadowolona rozsiada się na krześle pod ścianą i przygląda, jak krzątam się między patelnią z filetemi z kurczaka i hummusem.

– Jecie to? – Teściowa niespodziewanie pojawia się za moimi plecami i z zaciekawieniem obserwuje kulinarne manewry, dzięki którym usiłuję zmienić konsystencję ciecioriki, tak by po dodaniu cytryny, tahini, oliwy, czosnku i kilku innych drobiazgów powstał hummus, którego całą sobą nie cierpię. Ani nie wygląda, ani nie pachnie najlepiej.

– Olaf je.

– A nie może sam przygotować sobie kolacji, skoro nie pracuje?

– Może, ale robię to ja.

W tym momencie do kuchni owinięty średniej wielkości ręcznikiem wchodzi mój chłopak i na widok teściowej najchętniej cichaczem by się wycofał. Ale ona już go namierzyła i zdążyła dokładnie zlustrować.

– O, już jesteś.

– Kochanie, co mamy na kolację?

Pani Ola nie ustaje w robieniu dziwnych grymasów, które znakomicie ilustrują poziom jej dezaprobaty i niezadowolenia. Nie wiem, co sobie ubzdurała, ale od pewnego czasu jest cięta na Olafa i zachowuje się tak, jakbym jawnie obnosiła się przed mężem z kochankiem. Mam wrażenie, że za punkt honoru obrała sobie ochronę dobrego imienia syna i starania, by nikt nie zajął jego miejsca.

– Hummus jak zwykle. Zawołasz dzieci?

– Jasne, zaraz wrócę.

Zaraz ciągnie się w nieskończoność i gdy zaczynam mieć obawy, że kurczak wyschnie na wiór, Olaf pojawia się ponownie otoczony wianuszkami dzieci.

– Babcia! – Marysia cieszy się, jakby zobaczyła oazę na pustyni.

Klara prycha niezadowolona, a Antosiowi jest zupełnie obojętne, kogo będzie obśliniał. Wiecznie chodzi z palcami w buzi i wyciera je we wszystko, co znajduje się w jego zasięgu. Po chwili na czekoladowej spódnicy pojawiają się błyszczące ślady przypominające smugę po ślimaku, a w zasadzie całej ślimaczej

rodzinie. Teściowa najwyraźniej jeszcze nie spostrzegła katastrofy, bo modulując głos, ciamkaniem ciu, ciu, ciu zabawia małego, który radośnie produkuje w kącikach ust kolejne bąble śliny.

– Bozie, Bozie, jaki ja słodziutki jestem, wykapany tata.

Nie przypominam sobie, żeby Bartek się ślinił i ssał palce, ale w końcu nasza znajomość nie sięgała wieku poniemowlęcego.

– Zje teściowa hummusu czy może kanapkę?

– Jakbyś miała sok z buraków, to chętnie. Ale takich rzeczy ja nie jadam.

Mój onkolog zalecił mi ścisłą dietę.

Patrzę na nią w osłupieniu i zastanawiam się, czy mi się zdawało, czy rzeczywiście zjadła dwa kawały ciasta drożdżowego.

– Niestety buraczki mam tylko tarte i w dodatku zamrożone.

– A to nie kłopotcz się. Napiję się wody.

Oczywiście nie mam zamiaru się kłopotać, bo jeszcze pół godziny temu w dziecie teściowej było wszystko, włącznie z gorącym ciastem, którego zjedzenie może grozić rozstrojem żołądka. Sięgam do szafki po mineralną i słyszę dochodzący z tyłu syk:

– No chyba nie chcesz dać mi czegoś takiego? Piję tylko przegotowaną.

Nalewam wody do czajnika i gdy tylko się zagotowuje, sięgam po szklankę z uszkiem, co znowu wywołuje głośny protest:

– Nie, nie, kochana! Wodę można pić po sześciokrotnym zagotowaniu. Możesz to dla mnie zrobić, jeśli to nie kłopot?

Nie kłopot, tylko że po sześciokrotnym zagotowaniu w czajniku prawie nic nie zostaje i muszę całą procedurę powtórzyć od nowa.

Wreszcie pani Ola, teatralnie siorbiąc, zasysa niewielkie łyeczki i chyba parzy sobie usta, bo gwałtownie je pociera. Wypija połowę i zaczyna kolejny etap przesłuchania:

– A jak tam poszukiwania pracy? Masz już coś na oku?

– Nie, jeszcze nie. Rozglądam się.

– A niby w twojej branży jest tyle ofert...

– Tak, ale chcę wybrać najlepszą opcję.

– Uważaj, żeby coś cię nie ominęło.

– Proszę wierzyć, uważam. A jak tam zdrowie?

– Co za głupie pytanie! Jakie może być, skoro jestem umierająca.

– No, niech teściowa nie przesadza.

– Wiesz, Nina, ty zawsze miałaś nieznośną tendencję do bagatelizowania ważnych rzeczy.

– Nieprawda.

– Prawda, prawda, już ja swoje wiem. Zresztą Wojtuś mnie przed tobą ostrzegął.



– Skoro jestem taka nieznośna, to co teściowa tu robi?

– Trzymajcie mnie! Teraz jeszcze wypraszasz starą, schorowaną kobietę. Że też ci nie wstyd.

Podaję, że pewnie chętnie by powęszyła po kątach mojego domu i szczegółach związku z Olafem, jednak na szczęście duma jej nie pozwala i pani Ola gwałtownie zrywa się z krzesła, po czym drobi w stronę drzwi.

– Cóż, na mnie już czas.

Nikt jej nie zatrzymuje, nawet Antoś traci zainteresowanie jej czekoladowym kostiumem. Drzwi się zamykają i zapada cisza, z którą przez sekundę nie wiemy, co zrobić. Po chwili kuchnię zalewa gwar dziecięcych głosów, a my, upaprani keczupem, miotamy się między ich talerzami. Dzieciarnia jest na tyle zmęczona, że pada i nie pyta o możliwość obejrzenia jeszcze jednej durnej kreskówki. O dziwo nawet Klara wdzięcznie mówi nam dobranoc i znika w swoim pokoju. Wydaje mi się to podejrzane i postanawiam za chwilę do niej zajrzeć.



laf biega. Niestety nie w poszukiwaniu pracy, lecz własnej formy. W obliczu sportowego zaangażowania Magdy i Olafa ja również postanowiłam zadbać o linię. Chwilowo jest gruba i wyraźna, momentami przechodzi w obłóci, zwłaszcza w okolicach bioder i ud, i wymieniając kolejne sztuki odzieży na coraz większe, powoli przyzwyczajam się do tego, że mam coraz więcej do ukrycia. Obawiam się, że za chwilę jedynym, co będę mogła odsłonić, będą wysokie obcasy i skrawek twarzy nad omotaną wokół szyi chustką, mającą ukryć kolejne fałdy. Przestałam po kąpieli przeglądać się w lustrze i warstwy nawilżającego balsamu do ciała pachnącego migdałami i miętą nakładam w najciemniejszym łazienkowym kącie.

Z przykrością obserwuję, jak w miarę kolejnych przebiegniętych kilometrów i dźwigniętych kilogramów ciało Magi staje się coraz smuklejsze, a nogi nabierają rzeźby podkreślającej łydki i uda. Szlag mnie trafia, gdy z rzadka przyglądam się swojemu odbiciu, i postanawiam jednak coś zmienić. Na razie biorę kosz na zakupy, listę tylko koniecznych produktów (oszczędzamy!) i w bawełnianej powiewającej na wietrze sukience wsiadam do samochodu. Wyjeżdżam z garażu i uświadamiam sobie, że nie tędy droga do sprawności fizycznej. Popatruję niespokojnie na wiszący na ścianie rower i decyduję, że po raz pierwszy w tym sezonie zdejmę go z haka i użyję. Oczywiście wielowarstwowa sukienka ogranicza ruchy, więc chcąc nie chcąc, z lekką frustracją udaję się do garderoby i usiłuję wygrzebać jakieś spodenki, w które zdołam upchnąć pulchne pośladki, a następnie zakryć je obszernym T-shirtem, najlepiej pożyczonym od Olafa.

Oczywiście w nic nie wchodzi. Połówki zamków błyskawicznych najwyraźniej są zaszokowane tym, że usiłuję spiąć je w jedną całość. Ulubione niegdyś bermudy naciągam z taką zawziętością, że urywam szlufkę, i... poddaję się. Jedynym wyjściem są elastyczne sportowe legginsy, które co prawda trzeszczą w szwach, ale są w stanie pomieścić moje krągłości, a przyduża szara koszulka Ola nie tylko doskonale maskuje tyłek, ale jeszcze w miarę dobrze wygląda.

Szpilki nie pasują do tego looku, więc na stopach pojawiają się białe adidasy i... wyglądam jak początkująca bezdomna. Znakomicie pasowałaby do tego stroju wielka czapka z jeszcze większym daszkiem, pod którym mogłabym ukryć twarz, ale takiej nie mam.

Podsakując na schodach, co ma być preludium do moich sportowych wyczynów, zbiegam do garażu i usiłuję zdjąć rower ze ściany. Kierownica

cholernego jednośladu zaklinowała się na haku i mimo moich wysiłków za pioruna nie chce drgnąć. Ale się nie poddaję, nie takie przeszkody usuwałam ze swojej drogi. Taszczę z kąta drabinę, z czwartego szczebla dosięgam do kierownicy i wreszcie udaje mi się zwlec pojazd na posadzkę.

Po zimie rower jest zakurzony i ma sflaczałe opony. Wzdycham głośno, bo nie dość, że zachciało mi się pić i czuję, że zaraz obleję się potem, to jeszcze muszę wyczyścić te wszystkie cholerne aluminiowe rurki i szprychy. Jak ja tego nie cierpię.

Praca idzie opornie, szprychy się mnożą, a czas krąży wokół mnie i raz po raz poklepuje po plecach. Dochodzę do wniosku, że koła i tak zaraz się zakurzą, więc jeśli nie doczyszczę kilku elementów, nikt się nie zorientuje. Ostatnie muśnięcie szmatką i pozostaje tylko dopompować koła, by wyruszyć.

Otwieram szafę i staję oniemiała. Półki, na których dotychczas znajdowały się słoiki z zaprawami, wypełnione są nieużywanymi talerzami i ozdobami, w szufladach, gdzie trzymałam narzędzia, królują buty, a narzędzia, posegregowane z przedziwną logiką: śrubki i gwoździe z pędzlami, latarka z wiertarką i tak dalej, upchnięte są na najwyższej półce, niemal tuż pod sufitem. Cholera, kto to zrobił? Pierwsza na liście podejrzanych jest oczywiście matka Olafa i obiecuję sobie, że definitywnie muszę z nimi obojgiem porozmawiać o tym, czyj to dom oraz panujący w nim porządek i – okresowo – bałagan.

Włożę tak wysoko na drabinie, że nogi zaczynają mi lekko drżeć. Chwiejąc się, sięgam po kolejne pudła i bezowocnie je przeszukuję. Oczywiście pompki nie ma w żadnym z nich! Wściekła i spocona idę do kuchni, dopijam wodę z plastrami cytryny, która przyjemnie chłodzi kubki smakowe, i uznaję, że powinnam zmienić T-shirt.

Tym razem pada na czarną koszulkę, która w połączeniu z czarnymi elastycznymi gatkami niepokojąco kontrastuje z białymi adidasami. Rzucam okiem w lustro i nie wiem, kiedy to się stało, ale najwyraźniej spociła mi się też twarz, bo makijaż jest w stanie zaniku, a czoło nieładnie się świeci. Przypudrowuję nos, czoło i wreszcie, pokrzepiając się myślą, że na pewno nie spotkam nikogo znajomego i nie powinnam się przejmować, postanawiam pieszo dotrzeć do oddalonego o niecałe dwa kilometry dyskontu, w którym najbardziej lubię robić zakupy.

Po nocnej ulewie ziemia przyjemnie paruje, uwalniając zapach trawy i kwiatów. Leniwe, białe, puszyste obłoki przypominające ubite białka przepychają się po błękitnym niebie. Wilgotny chodnik z tu i ówdzie wyrastającymi spomiędzy płytek chwastami wydaje się Drogą Mleczną mojej pozytywnej witalnej energii. Stawiam sprężyste kroki, wdycham głęboko powietrze i prostuję plecy. Tak, zdecydowanie mam jednak sportową żyłkę, o której wcześniej jakoś nie wiedziałam, a może zwyczajnie zapomniałam. Ze zdziwieniem odkrywam, że

dobrze się czuję w płaskim obuwiu, i mimo że wygląda ono nieciekawie, zdecydowanie jest bardziej przyjazne dla moich stóp i haluksów, które zaczęły się ujawniać w ubiegłym roku.

Z koszykiem na przedramieniu czuję się jak gwiazda brytyjskiego serialu z rustykalnym krajobrazem w stylu *cottage* i kwiatowym wzorem kanap w tle. Cudownie. Rozpiera mnie duma, że porzuciłam samochód i zdobyłam się na wędrówkę.

W dodatku sprzyja mi szczęście, bo po drodze nikogo nie spotykam. Czerwony zadowolony z siebie owad z daleka uśmiecha się głupkowato, a mnie idiotycznie udziela się jego radość, tym większa, że jestem coraz bliżej celu.

Między regałami ogarnia mnie podyktowany promocjami i kolorami entuzjazm. Kupuję co prawda rzeczy z listy, ale przechadzając się alejkami, co chwila dorzucam jakiś drobiazg. Oczywiście w miarę tej peregrynacji przypominam sobie coraz więcej produktów, których zapasy w domu wymagają uzupełnienia, i cieszę się, że sklep ma jednak ograniczoną ofertę, co ukróci mój zakupowy szal.

Jak zwykle w porze przedpołudniowej czynna jest tylko jedna kasa, do której ustawiła się kolejka zniecierpliwionych sześciu osób z pełnymi po brzegi koszykami. Wychodząc z założenia, że dama się nie spieszy, mimo okropnych ciuchów, jakie mam na sobie, wdrażam w życie tę zasadę i zamiast dołączyć do ogonka, postanawiam przejrzeć zawartość koszy z ekstrapromocjami, które ktoś sprytnie postawił w tym najważniejszym punkcie sklepu. Oczywiście wpadam w zastawione sidła i chwytam okazję, którą jest kończąca się w dniu dzisiejszym atrakcyjna oferta sprzętu sportowego. Zupełnie jakby opatrność nade mną czuwała i zesłała mi dokładnie to, czego najbardziej potrzebuję. Zafascynowana oglądam skakanki, kettle, gumowe maty, drażki i poskręcane w fantazyjne motylki rurki, pozwalające uruchomić najbardziej zaspane partie mięśni, o których istnieniu nawet nie miałam pojęcia. Z powodu sportowej abnegacji jestem w stanie się odnieść jedynie do kolorów i ciężaru wyłożonych rzeczy. Sprawdzam, jak leżą w ręce hantle i kettle, i jestem zdziwiona ich lekkością. Wydają się stworzone na moją miarę. Nie za ciężkie, błyszczące, pozostaje tylko wybrać: te z niebieskim lub zielonym fosforyzującym wykończeniem. Po chwili zastanowienia uznaję, że zielony ma w sobie więcej optymizmu i przez pozytywne bodźce wzrokowe zwiększy moją chęć pocenia się przy kolejnych seriach ćwiczeń.

Najwyraźniej moja fascynacja udziela się stojącej obok kobiecie, bo sięga po ostatni zielonkawy kettlebell. Gwałtownie wyrzucam rękę, mocno chwytam przyrząd i z uśmiechem mówię:

– Przepraszam, właśnie go kupuję.

Spogląda na mnie podejrzliwie, a ja, unikając jej wzroku, pakuję do koszyka jeszcze gumową skakanę z zielonymi uchwytami i równie optymistyczną matę.

Sporo się tego zrobiło, ale przecież mata nie jest ciężka, tylko objętościowo wygląda przytłaczająco. Podwójnie zadowolona – tak z podjętych decyzji, jak i z tego, że kolejka do kasy stopniała i teraz przede mną stoi tylko facet w roboczym kombinezonie z czteropakami taniego piwa, siatką bułek i paczką parówek – wyładowuję na taśmie dobra, które będę musiała zataścić do domu.

Pojemny koszyk w zestawieniu ze sprzętem sportowym okazuje się wcale nie tak duży, ale się nie zrażam. Skoro mam rozpocząć nowy rozdział w życiu, równie dobrze mogę zacząć od noszenia zakupów na własnym grzbiecie.

Droga powrotna nie napawa mnie takim optymizmem, jak ten sam odcinek pokonywany w drugą stronę. Nadmuchane powietrzem opakowania z ryżem, przyprawami, dwa kilogramy ziemniaków, kilka jabłek i pomarańcze ciążą mi jak wiadro gruzu. Dodatkowo lekki trzykilogramowy kettle po przejściu pięciuset metrów urywa mi rękę, a cholerna mata płcze się między nogami. Ptaki nadzierają się jak głupie, zupełnie jakby pokazywały mnie sobie skrzydłami, białe obłoczki rozpląnęły się jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki, a chodnik okazuje się koślawy i pełen nierówności. Dom powinien gdzieś tu być, ale nadal nie mogę go dostrzec. Cholera jasna, jak można wpaść na tak durny pomysł, żeby zaczynać dbanie o formę od targania kosza z zakupami.

Przystaję zdyszana, spocona i gdy właśnie się zastanawiam, na co się zdecydować – zawał czy udar – mija mnie sąsiadka w samochodzie. Niestety auto zatrzymuje się tuż przy krawężniku, z cichym szumem opuszcza się szyba i pojawia się twarz ordynatorowej.

– Dzień dobry, wszystko w porządku?

– Tak, tak, dzień dobry.

– A co się stało? Jakiś problem z samochodem? – Czuję, że w sportowych butach zagotowują mi się stopy i wyciskają pot na skronie.

– Nie, postanowiłam przespacerować się do sklepu.

– Aha, rozumiem. Chyba trochę za dużo pani kupiła. – Z zainteresowaniem lustruje matę, czubaty koszyk i najprawdopodobniej mój dziwaczny strój.

– Tak wyszło. Z rozpędu zrobiłam takie zakupy, jakbym podjechała samochodem z wielkim, pustym bagażnikiem.

– Może panią podrzucić?

– Nie, dziękuję. – Walczę z sobą, jakby mnie ktoś zapytał, czy chcę milion dolarów, tylko z trochę nielegalnego źródła, i roztaczał przede mną wizję dobrobytu, wygody i wiecznych wakacji.

– Może jednak?

OK, poddaję się. Choć znamy się tyle, o ile, zaglądając do siebie przez krzaki przy płocie, cieszę się jak na widok zaginionej bliźniaczki, którą właśnie po latach odnalazł Czerwony Krzyż.

– Jeśli to nie kłopot...

– Ależ żaden, niech pani wskakuje. – Otwiera klapę bagażnika, gdzie na czystej welurowej wykładzinie stoi elegancki kosz na zakupy z tym samym logo co na samochodzie. Nie ma w nim zapasowych dziecięcych butów, stada parasoli i okruchów. – Co pani tyle nakupowała? Wnioskuje, że zapowiada się jakiś sporcik.

– Dużo powiedziane. Tak przytyłam, że to chyba jedyna szansa na odzyskanie formy.

– Ja tam jestem zakochana w jodze i nikt mnie nie przekona do niczego innego.

– Też o tym myślałam, ale Olaf uważa, że powinnam popracować bardziej siłowo, pobiegać i takie tam.

– Fatalnie.

Zerkam na nią spod oka i chyba zaczynam ją lubić. Jak niewiele trzeba, żeby się zbliżyć do drugiego człowieka. Paplając o niczym, po minucie zatrzymujemy się pod moją furtką. Wyładowuję zakupy, macham sąsiadce na pożegnanie i miałabym ochotę pocałować ją w usta. Wiem, że to głupie, ale nie pamiętam, kiedy ktoś bezinteresownie zrobił dla mnie tak dużo.

Jestem wykończona, spocona i bynajmniej nie lżejsza.

elefon Wandeczki, najbliższej przyjaciółki teściowej, wyrwał mnie z niedzielного snu. Patrzę na zegarek i w pierwszej chwili zastanawiam się, czy wyczerpały się baterie, czy mam omamy. Jednak czerwona wskazówka sekundnika zasuwą po tarczy jak oszalała, więc dochodzę do wniosku, że jednak to drugie. Siódma trzydzieści siedem i coraz więcej sekund.

– Halo.

– Witaj, moja droga. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam, ale pomyślałam, że skoro masz małe dzieci, to pewnie jesteś już na nogach. Mój Piotruś zawsze budził się o piątej i płaczem oznajmiał, że pora wstawać, więc uznałam, że już nie śpisz.

– Już nie – potwierdzam z ironią, która najwyraźniej do niej nie dociera, bo niezrażona trąjkoczę dalej.

Olaf przewraca się na drugi bok i cicho prosi, żebym wyszła z sypialni, bo ma zamiar jeszcze pospać. Niechętnie odrzucam kódrę, jak zwykle nie mogę znaleźć papci, więc na bosaka, drżąc z zimna, wychodzę i zamykam za sobą drzwi. Zostawienie otwartego na oścież okna na całą noc nie było najlepszym pomysłem, bo w pokoju zrobiło się paskudnie chłodno. Jak złodziej skradam się schodami w dół, żeby nie zbudzić dzieci, i wysłuchuję tyrady Wandy.

– Wiesz, to niesamowite, jak choroba zmieniła Aleksandrę. Też to zauważyłaś?

– Ale jak konkretnie? – Mam wrażenie, że teściowa kręci się w tulei kalejdoskopu i każdego dnia prezentuje inne oblicze, stale zaskakując nas pomysłami i nastrojami, sporadycznie tymi nacechowanymi optymizmem.

– Jak to? Myślałam, że po chemii będzie apatyczna, a wcale nie jest.

– To chyba dobrze?

– Niby tak, ale jak można planować wyjazd w połowie terapii.

– Nic nie wiem o wyjeździe. Wspominała wprawdzie, że zamierza odwiedzić Wojciecha, ale myślałam, że wybiłam jej to z głowy.

– Tak. Ale wyobraź sobie, że ona namawia nas, to znaczy mnie, Mariolę i Grażynkę, na wycieczkę do Ziemi Świętej. Przecież tak nie można.

Biorąc pod uwagę, że co chwila słyszy się w wiadomościach o kolejnych zamachach i porwaniach na Bliskim Wschodzie, jest to fatalny pomysł. Jestem jednak pewna, że nawet świszczące koło uszu kule nie sprawią, by teściowa porzuciła swój zamysł. Wanda nawiązuje do tego, co mówią w telewizji, co

usłyszała w radiu, i przekonuje mnie, że to niebezpieczne – zupełnie jakbym nie zdawała sobie z tego sprawy. Wsłuchuję się w jej kwieciste argumenty, przy okazji zaparzając kawę. Przytrzymuję ramieniem telefon przy uchu i usiłuję zamieszać czarny gęsty napój. Zastanawiam się, ile to jeszcze potrwa i czy uda mi się wrócić do łóżka.

– A poza tym jak Grażynka z implantem biodra ma za nami nadążyć? Przecież ona ledwo chodzi o kulach, a co dopiero biegać z wycieczką po wytartych schodach i zaułkach. Też pomysł!

– Yhm.

– Musisz coś z tym zrobić.

– Nie bardzo wiem, co niby miałabym zrobić.

– Porozmawiaj z nią. Przekonaj.

– Ale dlaczego ja?

– Bo my nie mamy już siły. Próbowaliśmy i nic. Nawet profesor Nowacki, co go Ola tak podziwia, nic nie wskórał.

– Obawiam się, że ja też nie mam takiej mocy, by powstrzymać teściową przed wyjazdem. Ale gdybyście się nie zgodziły, to przecież sama nie pojedzie.

– A gdzie tam! Też na to wpadłyśmy, a ona zaraz potem zapisała się w kościele na pielgrzymkę! A jak jej się coś stanie?

Upijam spory łyk kawy i pozwalam, by przyjemna gorycz rozlała się na języku. Czuję, jak kubki smakowe wariują i przekazują do mózgu pulsujący sygnał, że już nie zasną i dzień zaczął się na dobre, mimo że obiecywałam sobie odespanie wyczerpującego tygodnia.

– Dobrze, postaram się przekonać teściową do zmiany planów.

– Świetnie. Będziemy ci wdzięczni, bo wiesz, dziecko kochane, że my z nią już nie wytrzymujemy. Wczoraj zaraz po chemii poszła na długi spacer po lasku. Dasz wiarę? Już pomijam fakt, że nie powinna tam chodzić sama, bo gdyby coś jej się stało, to kto by jej pomógł? No kto? To ja ci powiem: nikt!

– Zapewne.

– A tak! A w ubiegłym tygodniu na brydżu tak nakrzyczała na Henia, że biedny nie mógł się uspokoić przez kilka dni. Wiesz, że od lat ma problem z prostatą – oczywiście, że nie mam pojęcia i przy porannej niedzielnej kawie zupełnie nie interesuje mnie czyjaś prostata, zwłaszcza faceta, którego nie widziałam na oczy – teraz to już nowotwór w trzeciej fazie z przerzutami i bez rokowań, a ona kazała mu ćwiczyć i przejść na dietę, i jeszcze przygadała, że się nad sobą rozczula.

– Okropne.

– Żebyś wiedziała. Zupełnie z Grażynką nie pojmujemy, co też się z tą Olą stało. Wiesz, że ona o niczym innym nie mówi, tylko o sobie i tych swoich chustkach. Kupuje je namiętnie i jeszcze nas nimi obdarowuje, zupełnie jakby



chciała nam wywróżyć jakiś nowotwór. Jak Marysia dała i powiedziała, że to tak na wszelki wypadek, to Maria wyszła z imienin Teresy. Ja ci powiem, że mam wrażenie, że jej się chyba coś z głową stało.

Myślę, że Wanda dość późno odkryła stan, w którym teściowa tkwi od kilkudziesięciu lat, ale uprzejmiem milczę.

– Halo, jesteś tam?

Prawie wylewam kawę, gdy gwałtownie odsuwam filiżankę od ust i zapewniam:

– Tak, słucham.

– Wiesz, sprawdzałam w Google’u, że po chemioterapii może się tak zdarzyć, ale nie sądziłam, że to trafi na naszą Olę. I powiem ci w zaufaniu, że jak tak dalej pójdzie, to nasze grono się od niej odsunie.

– O.

– No, może nie do końca, bo przecież jak będzie potrzebować wsparcia, to jej pomożemy, ale już Marysia na imieniny w przyszłym tygodniu jej nie zaprosi.

– A nie może pani z nią porozmawiać?

– Myślisz, że tego nie zrobiłam? Pierwsze co, to usiłowałam jej przemówić do rozumu. Ale wiesz, jak to Ola, mądrzejsza od wszystkich. A na koniec to mi nawet powiedziała, że jej teraz wszystko wolno, bo nie wiadomo, ile czasu jej jeszcze zostało. Słuchaj, kochanieńka, tak ci tu opowiadam, a siusiu mi się zachciało, poczekaj chwilkę, tylko skoczę do toalety.

W słuchawce zapanowała cisza, a ja, korzystając z chwili przerwy, niespiesznie idę po zmywacz do paznokci i czerwony lakier. Przełączam się na głośnik i wsłuchuję w coraz bardziej drażniącą ciszę. Mijają minuty, kolejne paznokcie pokrywam warstwą lakieru i wreszcie docierają do mnie coraz głośniejsze szумы i trzaski, przez które przebija się skowyt gwizdka czajnika, świadczące o tym, że ktoś najwyraźniej zabrał się do jakichś prac w kuchni i o mnie zapomniał. Głośno wołam w słuchawkę „halo”, ale mój głos ginie w kuchennych hałasach.

Teściowa zraziła do siebie nawet tych, którym zależało na niej najbardziej. Grono, do którego tak często się odwołuje, powoli zaczęło dostrzegać, jaka jest naprawdę, tym bardziej że teść, który zazwyczaj gasił pożary jej pomysłów, zajął się wzniesieniem pożarów w nowym związku, i to raczej takich o zabarwieniu erotycznym.

Wzdrygam się na samą myśl o jego łóżkowych wyczynach i ponownie skupiam na paznokciach. Od jakiegoś czasu, prawdopodobnie za sprawą środków czystości i mojej manii szorowania, stały się łamliwe i paskudnie się rozdwarzają, co zmusza mnie do niemal codziennej zabawy w manikiurzystkę.

Z ulgą klikam na czerwoną słuchawkę i się rozłączam. Niestety kiełkująca nieśmiało myśl o spokoju niedzielnego poranka zostaje zduszona w zarodku, bo

w drzwiach pojawia się zaspana Marysia.

– Cześć, kochanie, obudziłaś się?

– Yhm. – Mała podchodzi i wtula się we mnie, a ja usiłuję objąć ją tak, by świeżym lakierem nie pobrudzić kolorowej piżamki.

– Zrobić ci kakao czy wolisz czekoladę?

Okazuje się, że mała woli posiedzieć na moich kolanach. Wlepiona jak pszczoła w miód opowiada, co jej się przyśniło, kto ją gonił i dlaczego. Kolejny z serii koszmarów, które na szczęście budzą ją coraz rzadziej, nadal jednak pozostają integralną częścią prawie każdej nocy. Wspomnienia Joanny zacierają się w jej małej główce, ale strachu nie daje się łatwo wymazać.

Wreszcie sadzam ją na krześle, owijam kocem ściągniętym z kanapy, tworząc kokon, z którego wystają tylko ręce i głowa, i zabieram się do przygotowywania kakao. Dla siebie parzę kolejną filiżankę kawy i rozmawiając z małą o tym, co robiły wczoraj z Klarą i jak bardzo nie lubi Julki z przedszkola, kulam się w stronę godziny dziewiątej. Przy okazji udaje nam się rozegrać partyjkę chińczyka i powtórzyć liczenie do dziesięciu, a nawet jedenastu, z czego Marianna jest bardzo dumna.

Jak opiłki magnezu do metalu dobijają do nas Antoś i Klara. Córka nafochana już z samego rana oświadcza, że dzień jest do bani, bo jutro znowu musi iść do szkoły, że nic jej się nie chce i nie ma ochoty na śniadanie. Nie wiem, co sprawia, że ta optymistka zapada się w dołek bez dna. Nie potrafię do niej dotrzeć rozmowami przy stole, podczas wieczornego zasypiania i spotkań z psychologiem. Obawiam się, że coraz większym problemem staje się niewytłumaczalny i pogłębiający się brak akceptacji dla obecności Olafa w naszym domu. Doszło nawet do tego, że zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem jej nie molestuje, ale z pomocą psychologa wykluczylismy moje podejrzenia. Na szczęście.

Trudno dzielić czas między tak małe dzieci, gdy każde z nich potrzebuje mnie na innym poziomie emocjonalnego zaangażowania i fizycznego wsparcia, niemniej staram się bardziej skupić na Klarze i jej relacji z Olem, przez co rzadko zostawiam ich samych. Może to błąd i powinnam ich wysłać na jakiś survival, żeby się wreszcie dogadali, ale nie jestem na to gotowa. Oni chyba też nie.

Po śniadaniu snujemy się po domu, czekając, aż Olaf się obudzi. W końcu idę do sypialni, żeby wyrwać go z pościeli.

– Olaf, jest wpół do jedenastej, wstawaj.

– Daj mi minutkę.

– Dałam ci już sto, nie śpię prawie od siódmej. Wstań, trzeba coś zrobić z dziećmiakami.

Niechętnie odwraca się w moją stronę i nie otwierając oczu, kontynuuje rozmowę:

– Ale co chcesz zrobić?

– No, nie wiem. Jest ładna pogoda, więc może jakiś spacer albo zoo. Zoo jest chyba najlepszym pomysłem. Moglibyśmy tam zjeść obiad, co ty na to?

– Umówiłem się na bieganie.

Nie wpadam na pomysł, żeby zapytać z kim, interesuje mnie tylko godzina i czas trwania przebieżki.

– O pierwszej na błoniach.

– Nie możesz tego przełożyć? Jest niedziela, myślałam, że spędzimy trochę czasu razem.

Mam wrażenie, jakbyśmy byli małżeństwem z dwudziestoletnim stażem, znużonym i znudzonym sobą, z wypalonym knotem miłości i dogasającym ogarkiem namiętności, a nie parą, która dopiero co stworzyła nowy związek.

– Spróbuję, ale wiesz, jak to jest, kiedy się przygotowujesz do maratonu.

Na szczęście nie wiem i nie mam zamiaru się dowiadywać, za to wysłuchuję tradycyjnej tyrady o systematyczności ćwiczeń, konsekwencji, pracy z oddechem i tętnem, których rytm można wypracować, tylko ćwicząc, ćwicząc, ćwicząc...

Nie obchodzi mnie, jak pracują jego tętnice. Wiem tylko, że muszę coś zaproponować dzieciom i chciałabym przy okazji spędzić czas z nim. Tymczasem Olaf wyślizguje mi się coraz bardziej, staje się coraz bardziej rozmamłany, jego rodzice uciążliwi, a jego szarmanckość i poczucie humoru przestają to rekompensować. Jest mi przykro, jestem wkurzona i tęsknię za dawnym Olem. W zasadzie tęsknię też za Bartkiem, zapominając, jak bardzo nie układało nam się przez ostatnie miesiące. A najbardziej tęsknię za tym, żeby nie być sama.

Okazuje się, że Olaf nie może przełożyć treningu. Poza tym dowiaduję się, że jest przeciwnikiem więzienia zwierząt, a na argument, że dzięki takim miejscom jak to, do którego się wybieramy, kilka gatunków przetrwało, wydaje się głuchy. Dzieciaki, choć jeszcze ich nie zapytałam, czy mają ochotę wybrać się do ogrodu zoologicznego, usłyszały, że o nim mówię, i teraz piszczą z radości. Cholera, a mogłam zaproponować zabawę w ogrodzie.

Wreszcie udaje mi się naciągnąć wszystkie buty i czapki, spakować torbę z napojami i słodyczami, optymistycznie dorzucić do niej kolorowe czasopismo i wymaszerować, a raczej wyjechać z domu. W obliczu tej sytuacji przestałam dostrzegać pomoc Olafa w zapakowaniu spacerówki do bagażnika i zapięciu dzieci w fotelikach. Obrażona z piskiem opon wyjeżdżam z garażu i w ostatniej chwili reflektuję się, że nie otworzyłam bramy. Hamuję gwałtownie, na szczęście on już tego nie widzi, bo szybko zniknął za zamkniętymi drzwiami.

Nie tego spodziewałam się po facecie. Facecie, który dopiero co ze mną zamieszkał, a już na takim etapie związku buduje sobie alternatywne życie. Mam tylko nadzieję, że się nie pomyliłam co do niego, a jego problemy z pracą i wzmożone treningi są sytuacją przejściową i są ze sobą powiązane...

Przejeżdżam dwa skrzyżowania na żółtym świetle i gwałtownie

wyhamowuję na trzecim. Otrząsam się, dwa razy strzelam w policzki i zmuszam się do skupienia uwagi na drodze i odklejenia myśli od Olafa.

W sumie, tłumaczę sobie przepełniona naiwną wiarą, nie mogę nagle wymagać od Ola, by wiedział, jak się zachowywać w wielodzietnej rodzinie, jak wziąć na siebie część obowiązków, dzielić się radościami i kłopotami. Choć początkowo wydawało się, że jest genialnym samoukiem pod tym względem, wyraźnie potrzebuje korepetycji. Po chwili zastanowienia dochodzę do wniosku, że zakup stosownego poradnika będzie znakomitym i nienarzucającym się rozwiązaniem.

Tymczasem docieram na parking, a właściwie dołączam do długiej kolejki zdenerwowanych i co rusz trąbiących kierowców przed parkingiem. Rozdrażnieni faceci, zmuszeni przez żony do oderwania się od kanap i wyruszenia w długą trasę od klatki do klatki, z których połowa wydaje się pusta, bo zaspane żerujące nocą zwierzęta się pochowały, niecierpliwie wyzywają Boga ducha winnego parkingowego. Około sześćdziesięcioletni, najpewniej objęty ochroną emerytalną i legitymujący się poważnym uszczerbkiem na zdrowiu człowiek nie radzi sobie z wypisywaniem kwitków dla wjeżdżających i wydawaniem reszty wyjeżdżającym. System nie zadbał o to, by miał przy sobie kasę, a drżące ręce z trudem współpracują z długopisem.

W pierwszej chwili zrobiło mi się go żal, ale po kolejnych długich minutach zmienił się on we frustrację i gdyby nie siedzące z tyłu dzieci, dołączyłabym do awanturujących się kierowców.

Wreszcie udaje nam się zaparkować tuż przy wejściu, wyciągnąć wózek z bagażnika, zainstalować w nim Antosia i wyruszyć w drogę krzyżową dla mnie, a dla całej reszty ekscytującą trasę.

Oczywiście już przy kasie musimy kupić watę cukrową, która po chwili okleja ręce, buzie i uchwyty wózka. Klei się wszystko, a jak na złość toalety są daleko przed nami. W dodatku dziewczynki usiłują dotykać klatek, głaszczą biegające po ścieżkach małe kózki i przeciskają się do chlewika z czarnymi świnkami wietnamskimi, wspinając się na drewniane szczeble zagrody. Ze zgrozą myślę o niezliczonych bakteriach, które na cukrowej pożywce kopulują jak najęte, produkując kolejne stada zarazków.

– Maria, proszę zabrać ręce od buzi! – wrzszczę podobnie jak połowa matek w ogródku ze zwierzętami domowymi. Oczywiście „domowe” jest pojęciem względnym, bo nie wiem, kto miałby ochotę hodować kury czy wypasać kozy w zieleńcach naszych szeregowców, ale najwyraźniej tabliczka uruchamia wyobraźnię dziewczynek, bo jęczą, że koniecznie muszą mieć takie śliczne króliczki.

– Mamo, zobacz, jaki on słodki – szczebiocze Klara, a swoim „no!” przytakuje jej Marysia.

Zgodne są jak rzadko i z trudem udaje mi się, składając nie do końca ostateczną obietnicę zastanowienia się nad królikiem w domu, a w zasadzie dwoma, bo każda chce mieć swojego, odciągnąć je i zaholować do klatki z lwami.

Rozleniwione pogodą drapieżniki leżą w najdalszym kącie i nie mają zamiaru nawet na nas spojrzeć. Najchętniej położyłabym się obok nich i przespała dzień. Tymczasem noga za nogą, klatka za klatką wlokę się przez skwierczący od upału park. Mijam równie depresyjnych rodziców, którzy znudzeni odczytują nazwy zwierząt z tabliczek, i rozentuzjasmowane dzieci, które wbiegają na siebie, gubią się, śmieją, płaczą i wrzeszczą. Istny cyrk.

Wreszcie po trzech godzinach i czterech przerwach na picie i zakup czegoś słodkiego i niezdrowego docieramy do samochodu. Jestem zmęczona, obtarły mnie buty i w dodatku mam przed sobą perspektywę gotowania obiadu.

– Co dzisiaj zjemy?

– Makaron! – wołają uszczęśliwione dzieciaki.

– A z czym?

– Z pomidorami!

– Z kurczakiem! – pada jednocześnie, a ja zobowiązuję się do przygotowania obu wersji, zadowolona, że Antoś na razie nie potrafi wyrazić swojego zdania, przynajmniej w dziedzinie kulinarnej. Oczywiście pluje, gdy coś mu nie smakuje, i wykręca się na sam widok warzyw, ale przynajmniej nie stawia konkretnych żądań.

– A zrobisz rosółek? – rzuca Marysia jak zawsze, gdy pytam, na co ma ochotę. Mogłaby jeść rosół i potrawkę z kurczaka każdego dnia i o każdej porze.

– Oczywiście, ale jutro. Rosół musi się długo gotować.

– No dobra. A zagrasz z nami w piłkę? – dopytuje mała dalej.

– Może zagracie z Olafem? Ja nie jestem za dobra w sportach. – Mam na podorędziu zawsze ten sam tekst, który ma zniechęcać dzieci do prób usportawiania mojej osoby. Zresztą ostatnie ćwiczenia ze skakanką prawie przypłaciłam życiem, bo lądując, zaplątałam się w silikonową żyłkę i padłam jak długa tuż obok drewnianej nogi stołu. Z wrażenia nie mogłam się podnieść, rozmyślając, jak to możliwe, że jedna z ulubionych w dzieciństwie zabaw stała się zabójczym wyzwaniem.

– A ty nie możesz? – Klara oczywiście nie odpuszcza.

– Mogę, tylko wiesz, kochanie, tyle się z wami nachodziłam po zoo, że jestem już trochę zmęczona i chętnie wypiłabym kawę, patrząc, jak się bawicie. Nie każ mi tego robić, OK?

– Ale ja nie wiem, czy chcę z nim grać.

Zatrzymuję się na światłach i spoglądam na nią we wstecznym lusterku. Ze zdziwieniem przekonuję się, że jej twarz nie wyraża żadnych, a tym bardziej złych emocji. Czyżby moja córka cały czas grała? Gdy odwracam głowę, nagle na jej

twarzy pojawia się smutek.

A jednak. Prowadzimy jakąś grę. Trochę mnie to uspokaja, co nie znaczy, że wiem, co mam z tym zrobić.

Po drodze wstępuję do całodobowego lokalnego sklepiku, w którym zaopatruję się w dwie paczki makaronu, pierś z kurczaka i puszkę pomidorów. Szczęśliwie jestem sama i nie muszę czekać w kolejce. W innym wypadku musiałabym wypakować dzieciarnię, odciągnąć ją od stoiska ze słodyczami, kupić rzeczy, których nie potrzebuję, i stracić dziesięć minut na ponowne zapięcie ich w fotelikach.

Dom wygląda na cichy i spokojny, a ja cieszę się na myśl o relaksie w stroju kąpielowym na leżaku. Mam zamiar porządnie odpocząć i zrzucić z siebie balast minionego tygodnia. Tak więc moje zaskoczenie jest tym większe, gdy przez drzwi garażowe wchodzę do holu i przedzieram się przez gęsty smród gotowanej kapusty. Z kuchni, owinięta moim ulubionym czerwonym fartuszkiem, wyłania się matka Olafa.

– Jesteście, chodźcie szybciotko, bo obiad stygnie.

Nie byłabym w większym szoku, gdyby to Elton John pojawił się w tych swoich okularkach z półmiskiem kotletów i kazał mi umyć ręce, nim zasiądę do posiłku.

– Dzień dobry.

– Dobry, dobry i całkiem smaczny.

– A gdzie Olaf?

– Oj, tak się męczy. Wiesz, aż mi go żal.

W pierwszej chwili pomyślałam, że Olo przekopuje grządkę za domem, do czego od miesiąca próbowałam go przekonać. Tymczasem z kuchni dobiega głos Romana:

– Mariolka, no, nie trzymaj ich, kobieto, w drzwiach, zapraszaj do środka.

Ups. Jestem zapraszana do własnego domu, w dodatku siedzą w nim ludzie, z którymi nic mnie, poza Olafem rzecz jasna, nie łączy. I czują się tu bardziej na miejscu niż ja. Mariola zapala światło w toalecie dla gości, zagania dziewczynki do mycia rąk i sepleni nad Antosiem:

– Jaki ja cacany. Cio, malutki? Zaraz mamusia rączki umyje, ti, ti, ti.

Posłusznie myję ręce synkowi i sadzając go sobie na biodrze, wkraczam do kuchni. Pachnie w niej nie tylko kapustą, ale też pierogami i jeszcze czymś, czego w pierwszej chwili nie potrafię zidentyfikować, a co okazuje się okrasą na słoninie. Cholesterol szaleje ze szczęścia, a mnie cierpnie skóra.

– Mamo, ale miał być makaron. – Klara wydyma usta i spogląda na mnie jak prokurator na seryjnego mordercę.

Ma rację, ale zupełnie nie wiem, jak wybrnąć z tej sytuacji.

– Tak, kochanie, ale nie wiedziałam, że mama Olafa będzie tak miła

i przygotowuje nam obiad.

W rzeczywistości jestem zła, sfrustrowana i czuję się osaczona. Jakim prawem przebywają w domu, gdy mnie w nim nie ma? Jakim prawem grzebią mi w garach, siedzą w mojej kuchni i spędzają czas w mojej przestrzeni? Maryśka, jakby wyczuwając, że coś jest nie tak, zaczyna płakać. Bąble śliny pękają w kącikach ust, na trzęsącej się brodzie pojawiają się stada dołeczków, a usta powtarzają jak mantrę:

– Maja chce makaron. Maja chce makaron.

Skonfundowana Mariola spogląda nie wiedzieć czemu oskarżycielskim wzrokiem to na mnie, to na dzieci i wreszcie mówi:

– Za moich czasów dzieci nie wybrzydzały i jadły wszystko. Dziewczynki, czy wy wiecie, że w Afryce dzieci głodują?

Klara może o Afryce słyszała, natomiast Marianna nie zna nawet takiego słowa, a gdzież miałyby się orientować w sytuacji społecznej i ekonomicznej tego kontynentu.

– Słuchajcie, może teraz zjemy pierogi, a potem zrobimy makaron.

– Ale ja nie lubię pierogów – protestuje Klara.

– Dziecko, przecież ja zrobiłam pyszne pierożki z kapustką i grzybkami.

– Nie lubię kapusty.

– Ja też – sekunduje jej dzielnie Maryśka, a ja jak tchórz stoję między nimi i nie potrafię zachować się asertywnie.

Wreszcie pod ich oskarżycielskimi spojrzeniami otrząsam się i oświadczam, że umówiłam się na inne menu.

– Wszystkiego się po tobie spodziewałam, ale nie że będziesz złośliwa.

– Ja?

– Ty, kochana, ty! Człowiek się stara, dba jak o swoje i taką dostaje zapłatę.

– Kobieto, nie przesadzaj.

– Co nie przesadzaj? Żyły sobie wypruwam, sprzątam, obiady gotuję i co? Z dobrego serca to wszystko robię, dla Olafka, wszystko dla Olafka.

– Ja to doceniam, naprawdę, ale ustaliłam z dziewczynkami, że zjemy coś innego.

Chryste Panie o północy! Muszę coś z tym zrobić. Przecież nie mogę dłużej tak funkcjonować. Miałam złudną nadzieję, że wszystko sobie wytłumaczyliśmy i rozstrzygnęliśmy, co i gdzie ma leżeć w szafkach oraz kto o tym decyduje, tymczasem temat odrasta jak mięta na grządce. Zdecydowanie muszę porozmawiać z Olafem. Do cholery, gdzie on się podziewa?!

Wreszcie staje na tym, że gotuję pół paczki makaronowych rurek, przygotowuję pospiesznie dwa sosy i mimo że na ich widok cieknie mi ślinka, zjadam pięć ogromnych pierogów pływających w stawie tłuszczu. Blee. Zadowolone dzieci zajadają się penne i proszą o dokładkę, a ja brnę przez kolejną

porcję słodkiej kapusty z boczkiem i cebulą. Przy ostatnim kęsie marzę o wielkiej sieci, którą mogłabym splukać cały ten smalec.

Mariolka krząta się jak mrówka przed mrowiskiem, coś zmywa, coś wyciera, wreszcie opada na krzesło i stwierdza, że jest urobiona.

– Ja tak dalej nie dam rady. W moim wieku powinnam odpoczywać, a nie tak harować.

– Zgadzam się. Nie powinna pani tego robić.

– Ale jak nie ja, to kto?

– Bardzo doceniam pani pomoc, ale to mój dom i dotychczas jakoś go ogarniałam.

– Ale ty, dziecko, też nie masz lekko.

– No, nie mam – cudownie! nareszcie ktoś to dostrzegł! – ale jestem młodsza od pani i daję radę.

– Ty mi tu wieku nie wypominaj.

– Nie śmiałabym.

– Widzisz, ja to ci nieba przychylę, we wszystkim pomogę. A teraz, jak już mamy klucze, to ty o nic nie musisz się martwić. Idziesz sobie do pracy, a my tu z Romciem zrobimy, co trzeba. I ogrodem też się zajmiemy. Zresztą małwy już posadziłam, za kilka tygodni będziesz oczy cieszyła kwiatami. A tak sobie myślałam, nawet mężowi już o tym mówiłam, że tuje to jakoś tak bez sensu w rządzie posadziłaś. Ale nic się nie martw, zrobimy z Olusiem porządek. Posadzimy ślicznie na trawniczku i każda będzie się rozrastać jak się patrzy.

– Ale...

– Nie martw się, dla nas to przyjemność. Jak mieliśmy ogród, to nawet ziemniaki sadziliśmy. Ty też byś mogła. Po co ci tyle trawnika? No sama powiedz. Przecież i tak siedzisz tylko na tarasie.

Właśnie! Przypomniałam sobie, że na dzisiejsze popołudnie zaplanowałam, że zażyję kąpieli słonecznej i zaprzyjaźnię się z leżakiem! A teraz nie dość, że nie wypada się rozebrać, to jeszcze strach ich zostawić samych sobie, bo jeszcze przeorganizują mi kolejną sferę życia. Cholera! Cholera! Cholera. Gdzie jest Olaf?

Jak na zawołanie mój facet pojawia się zziąjany w drzwiach, a tuż za nim jeszcze bardziej zasapana Magi.

– Jesteśmy.

– Cześć, Ninka, ależ ten twój facet dał mi wycisk.

– Dałaś radę, nie narzekaj.

– Ledwo.

– Idzie ci coraz lepiej.

Przysłuchuję się tej wymianie zdań i nic nie kapuję. Czy mój facet biega z moją przyjaciółką? Jeśli tak, to od kiedy i dlaczego nie ze mną, tylko z nią? Przypominam sobie, że mi to proponował i nie skorzystałam, ale w mojej ocenie



nie uprawnia go to do korzystania z towarzystwa Magi, i dlaczego wcześniej nie powiedziałeś?

– Masz coś do picia?

– Tak, a co chcesz? Wody?

– Może być. A co tu tak... pachnie?

Magda rozgląda się zaniepokojona, że kalorie unoszą się w powietrzu i obsiadają ją jak bakterie.

– Rodzice Olafa przygotowali obiad.

– Nie rodzice, tylko ja. – Mariola dumnie wypina pierś i gestem zaprasza ich do stołu. – Chodźcie, nagotowałam co prawda na dwa dni, ale co tam. Zresztą co ja wygaduję, przecież dzieci pogardziły moim jedzeniem, więc starczy dla wszystkich. No, co się ociągacie? Myjcie ręce i do stołu.

Nadal czuję się jak niesforny przedszkolak, który nie chce leżakować i wymiguje się od zjedzenia porcji kisielu z owocami, szumnie nazywanego przez kucharkę zupą owocową.

Olaf biegnie pod prysznic i po chwili pojawia się w progu jak młody bóg. Magda dla odmiany zarumieniona i wystylizowana w najnowszej fosforyzującej kolekcji Nike wydaje się zrelaksowana. Oczywiście odmawia zjedzenia pierogów, zagryzając wodę suchym makaronem. Olaf, niepomny proskowej diety, nagle przestał przeliczać kalorie na energię i kilogramy i dokłada sobie kolejną porcję tłustej brei.

Przyglądam się tej scenie i oczom nie wierzę. Jeszcze pół roku temu w tym domu nie było mowy o gotowaniu kapusty z boczkiem, narzędziach na najwyższej półce w garażowej szafie i talerzach, których w nowym porządku nadal nie mogę znaleźć.

Siedzę przy stole i przysłuchuję się trajkotaniu. Dziewczynki dawno zniknęły w swoich pokojach, natomiast reszta towarzystwa rozsiadła się i dywaguje nad wyższością cukinii nad bakłażanem. Co ja tu robię? Niedziela mija i wyrzuca nas na zakrętach, kolejny tydzień napiera i zaczynam myśleć o jutrzejszym poranku. Wstaję i pod pretekstem zajrzenia do knajpy wychodzę z domu. Jednak zamiast tam docieram do kina. Kupuję bilet w ostatnim rzędzie, wiem, że to obciachowe miejsce, ale jedyne poza pierwszym rzędem, i oglądam łzawą historię kobiety, która ocalała z Holokaustu i przez półtorej godziny poszukiwała dzieci. Ostatnie minuty były radosne, gdy wreszcie odnalazła pociechy na końcu świata, ale pod powieki wbiły mi się ponure obrazy cierpienia i śmierci. Okazało się, że zachęcający tytuł był dobrze zakamuflowaną zapowiedzią traumy, z którą się utożsamiałam, wczułam się w nią, i jeszcze bardziej przygnębiona opuściłam multipleks.

Gdy zakradam się do domu, stwierdzam, że śpią nie tylko dzieci, ale również Olaf. Stoję nad nim i przyglądam się unoszonej rytmicznym oddechem klatce

piersiowej, ręce, która wysunęła się spod kołdry i bezwładnie zwisa poza materac. Stoję tak długo i wpatruję się w niego z taką intensywnością, że wreszcie niespokojnie się porusza i otwiera oczy.

– Cześć, kochanie.

– Hej.

– Chodź, nagrzałem łóżko.

Myślę, że do czerwoności rozgrzał raczej moje uczucia, których nie potrafię nazwać. Z jednej strony zakochałam się w nim jak naiwna nastolatka, z drugiej – coraz częściej dostrzegam, że pod maską empatycznego dżentelmena kryje się pan wygodnicki, nie do końca podejmujący wysiłek, by dorównać mi kroku w truchcie, który dyktuje codzienny rytm.

– Nie mam ochoty.

– No, co ty. Chodź... Mały numerek poprawi ci nastrój.

Ostatnią rzeczą, na jaką miałabym teraz ochotę, jest wspinięcie się na szczyt orgazmu, więc odsuwam się o krok i nie pozwalam złapać za kolano.

– Chyba oszalałeś!

– Coś się stało? – Niechętnie dźwiga się na łokciu i wpatruje we mnie, zupełnie jakby nie był w stanie pojąć, o co mi chodzi.

A może faktycznie nie dostrzega problemu? Postanawiam go oświecić i stając w pozycji Napoleona, ze splecionymi dłońmi i nogami mocno wbitymi w parkiet, mówię:

– Owszem, stało.

– W pracy?

– Nie, w domu. Nie domyślasz się?

– Dzieci coś zrobiły?

– Nie dzieci, ty.

– Ja? Nie wiem, o czym mówisz.

– Piję do tego, że zamiast spaceru z nami wybierasz trening. W dodatku latasz po lesie z moją najlepszą przyjaciółką i mi o tym nie mówisz. A twoi rodzice w takim wydaniu są nie do zaakceptowania w moim domu – wyrzucam z siebie na jednym wydechu.

Olaf siada, gwałtownie się prostuje i dopiero teraz dociera do mnie, że ma na sobie tylko bawełniane spodenki. Jego muskulatura odzwierciedla godziny spędzone na ćwiczeniach i gdyby nie to, że jestem zła, pewnie zachwyciłabym się rzeźbą mięśni widocznych pod skórą i zarysem żył, które gęstą siatką je oplatają. Tymczasem mam przed sobą faceta, którego nagość mnie irytuje i sprawia, że ta rozmowa nie wydaje mi się dostatecznie poważna. Mimo to prę naprzód.

– Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Nie. Kochanie, przesadzasz.

– Przesadzam?

– Tak. Przecież zawsze wszędzie z wami jeździłem, tylko ten jeden raz zrobiłem coś innego i tylko dlatego, że przygotowuję się do maratonu. Sama mnie do tego zachęcałaś.

– Ale nie sądziłam, że będzie się to odbywać naszym kosztem.

– Przecież się nie odbywa.

– Jestem innego zdania.

– Jeśli to dla ciebie takie ważne, to będę się inaczej umawiać. OK.

Czuję, jak topnieję... i zaczynam się czuć jak wariatka. W zasadzie Olo ma rację, pierwszy raz zaistniała taka sytuacja, a w moich oczach urosło to do rangi katastrofy. Na szczęście przypominam sobie o Magdzie i jego rodzicach i przystępuję do ofensywy.

– Często umawiasz się z Magdą?

– Nie, no coś ty? Spotkaliśmy się przypadkiem.

– Miałam wrażenie, że już biegaliście razem.

– Czasami, ale, kotku, to naprawdę nie ma znaczenia, spotykam ją sporadycznie na trasie i tyle.

– I nie wpadłeś na to, żeby mi o tym wspomnieć?

– Przecież nie było o czym. Nie tylko ją spotykam. Wiesz, że sąsiad spod dziesiątki też biega?

– Nie wiem i guzik mnie to obchodzi.

– Sama widzisz. – Poprawia poduszki pod plecami i nie patrząc na mnie, kontynuuje: – O czym tu gadać?

Nie jestem pewna, czy udaje, czy głęboko wierzy w swoje słowa, ale jest to znakomity moment, żeby wspomnieć też o tym, że jego rodzice czują się u mnie swobodniej niż ja.

– A co z rodzicami? Dlaczego dałeś im klucze?

– Zapomniałem ci powiedzieć. Wiesz, aż żał patrzeć. No, weź wyluzuj i usiądź przy mnie.

Udaję, że opacznie rozumiem jego słowa, i przysiadam w fotelu, który po tym, jak łóżko Antosia zostało przeniesione do jego pokoju, wcisnęłam w kąt sypialni.

– Tak?

– Tak. Zrobiło mi się ich żal, bo siedzą w tej swojej klitce i świata z niej nie widzą.

– Ale dlaczego muszą go oglądać z moich okien?

– Wiesz, jak cię lubią, a przy okazji chcieli pomóc.

– Czymś innym jest pomoc, a czymś innym robienie rewolucji w cudzym życiu. Przecież oni weszli nam na głowę. Mam wrażenie, że są wszędzie, a wprowadzone przez nich zmiany wyskakują z każdego zakamarka. Pomijam to, że nie potrafię się odnaleźć we własnym domu, ale straciłam również panowanie

nad jego sercem, czyli kuchnią.

– Porozmawiam z nimi.

– Mam nadzieję, że jak najszybciej. I niech oddadzą klucze.

– Nie denerwuj się. Wiesz, z tą zamianą mieszkania są jakieś problemy.

Wiem, że się tym stresują, więc odpuść im trochę.

– Mogę odpuścić, ale klucze muszą oddać. Bezwzględnie. I koniec z wpięprzaniem się w mój dom, moje dzieci i mój porządek. Są gośćmi, a nie gospodarzami, i muszą o tym pamiętać.

– Oczywiście.

Mam wrażenie, że mówi oczywiście, a myśli o czymś innym, bo kolejny raz proponuje mi numerkę. Na szczęście przebudza się Klara i woła mnie do siebie. Wychodzę.

# K

olejny raz budzę się rano zwinięta w kłębek na łóżku Klary, usiłując przykryć się rąbkiem pościeli, który dla mnie zostawiła. Mała posapuje wtulona w dwie niewielkie poduszki, jej ulubiony misiek leży na podłodze i gdy usiłuję się po niego schylić, grzechoczą mi wszystkie kości. Czuję się jak zdjeta z krzyża i przeciągnięta przez wyżymaczkę. Wyślizguję się z łóżka, tak by nie obudzić córki, która wyczuwając moje manewry, przekręca się na drugi bok. Zamieram w pół kroku i niespokojnie obserwuję powieki Klary, które drgają, grożąc tym, że za chwilę otworzy oczy. Jednak po sekundzie jej oddech na powrót staje się rytmiczny i mała śpi dalej.

Odwiadam łóżka pozostałej dwójki, przykrywam ich kuperki kocykami i wchodzę do sypialni. Olaf śpi rozwalony w poprzek łóżka i sprawia wrażenie najszcześliwszego człowieka na świecie, z pewnością nie takiego, któremu kogoś w tym łóżku brakuje. W pokoju panuje zaduch, a szczelnie zamknięte okna są zaciemnione grubymi ozdobnymi zasłonami i spuszczonejmi zewnętrznymi roletami. W tych warunkach noc może trwać wiecznie.

Rozczarowanie najwyraźniej przespało się ze mną i nie ma zamiaru mnie opuścić. Zamiast go budzić, idę pod prysznic. Zimna woda nie jest w stanie ugasić emocji, które gejzerami wypływają z wulkanów żalu, poczucia straty, bycia wykorzystywaną, tych wszystkich złych rzeczy, których można by się spodziewać po nieszczęśliwym małżeństwie z wieloletnim stażem i permanentnymi problemami.

Z niechęcią wkładam szary rozciągnięty dres i choć seksapil, który nie chce rozgościć się w tym ciuchu, wali mnie po głowie i wrzeszczy, że powinnam włożyć coś bardziej twarzowego, żeby odbyć poważną rozmowę z facetem, któremu jeszcze powinnam się podobać, wlokę się w tych szmatach do kuchni.

Strój jest wygodny aż zanadto, bo rozciągnięte nogawki nie chcą się zatrzymać w połowie łydek i smutno oplątują kostki. To jeden z tych poranków, gdy jest mi obojętne, w jakim kubku piję kawę, gdzie usiądę i o czym pomyślę, bo nie mam ochoty na nic. Nie tak wyobrażałam sobie nowy rozdział w życiu.

Ogród, zachodzący na skraj lasu, o poranku eksploduje głosami ptaków i aromatem, który próbuje wdrzeć się do mojego mózgu i powiedzieć mi, że będzie cudownie, jednak nie potrafię w to uwierzyć. Czuję się bezradna i nie jestem pewna, czy dam radę porozmawiać z Olafem. Kawa jest wyjątkowo gorzka i wyczuwam w niej kwaśną nutę. Idealnie pasuje do dnia.

– O, już wstałaś.

W drzwiach pojawia się Olaf w sportowych spodenkach i zbyt obcisłej koszulce, która podkreśla coraz większe buły mięśni. Wydaje się zadowolony z siebie, miejsca i poranka, a ja zupełnie nie rozumiem, co wprawia go w taki dobry nastrój.

– Tak – burczę pod nosem wpatrzona w dno kubka.

– Jesteś obrażona?

– A jak myślisz?

– Kochanie, przestań. Głupio wyszło, ale zobaczysz, wszystko nadrobimy.

– Czyli co?

– Będziemy spędzać więcej czasu razem. Właśnie idę pobiegać i tak sobie pomyślałem, że może byś do mnie dołączyła.

– A co z dziećmi?

Patrzy na mnie jak Indianin na UFO i mimo że usilnie próbuje wykombinować szlachetną odpowiedź, która skolidacji konstruktywny pomysł na opiekę nad dziećmi z jego zajęciami, to najwyraźniej nic nie przychodzi mu do głowy.

– A nie pomyślałem...

– Właśnie. Właśnie o to mi chodzi, że ja najpierw muszę pomyśleć o nich, potem o sobie, a ty masz dokładnie odwrotnie.

– Nie miej do mnie pretensji, wcześniej nie miałem dzieci.

– Ale jesteśmy z sobą od dobrych kilku miesięcy i jakoś wcześniej ci to nie przeszkadzało. Mam wrażenie, że myślałeś trochę inaczej.

– Przestań, nadal myślę tak samo. Nic się nie zmieniło.

– Tylko że zacząłeś biegać, straciłeś pracę i jakoś nie bardzo jej szukasz, w dodatku twoi rodzice są ważniejsi ode mnie.

– Nie przesadzaj.

– Ja przesadzam? Przyjrzyj się ostatnim dniom i powiedz, co widzisz. Olaf na trasie w lesie, w parku, wzdłuż ulicy. Rodzice Olafa spędzają więcej czasu w domu Niny niż w swoim. Olaf śpi, kiedy chce, i robi, co chce. Podoba ci się?

– Od tej strony cię nie znałem.

– Jakiej strony? Człowieku, ogarnij się! Moje życie niezmiennie wytyczają potrzeby dzieci i rodziny, sądziłam, że to rozumiesz i wpasujesz się w nasz rytm.

– Rozumiem, że chcesz się pokłócić.

– Oszalałeś? Mówię tylko, co mi przeszkadza. Obiecywaliśmy sobie szczerść, ta rozmowa to jej element.

– A ja mam wrażenie, że bierzesz mnie pod włos.

– Nie, kochanie, nie biorę cię pod włos. Tylko jestem wykończona tym wszystkim.

– Mną?

- Tobą nie, ale brakiem pomocy z twojej strony tak.
- O!
- Sorry, źle się wyraziłam. Nie pomocy, po prostu myślałam, że będziemy bliżej siebie. Potrzebuję twojego wsparcia, a nie twoich mięśni i wyników.
- Nie mam ochoty na takie dyskusje. A tak w ogóle to musisz uczciwie przyznać, że moi rodzice ci pomagają.
- Ale ja nie chcę ich pomocy!
- Przecież mówiłaś, że tego oczekujesz.
- Wsparcia od ciebie, nie obiadów od nich. Nie rozumiesz? Czuję się osaczona we własnym domu. Przestałam nad tym panować! Doszło do tego, że pytam twoją matkę, gdzie leżą moje tampony.
- No, dalej, obraż się.
- Nie chodzi o obrażanie się, tylko o to, że to mój dom i moje zasady.
- Jak chcesz, mogę się wynieść.

Takiego go nie znałam. Patrzy na mnie wyzywająco i tak manewruje rozmową, żebym jednak ustąpiła, zagoniona do narożnika.

– Nie o to chodzi. Nie chcesz mi pomóc, to przynajmniej nie przeszkadzaj i powiedz swoim starym, żeby ograniczyli wizyty.

– A czy ty nie możesz zrozumieć, w jakiej oni są sytuacji? Jest im ciężko. Nie dość, że sprzedali swój dom, którego dorabiali się przez całe życie, to jeszcze mają problem z tym nowym mieszkaniem.

– Olaf, ja to wszystko rozumiem i jest mi przykro. Ale sam powiedz, czy chciałbyś, żeby obcy ludzie układali ci rzeczy w szafach, gotowali potrawy, za którymi nie przepadasz, i relaksowali się na leżaku obok.

– Żałosne, że tak to odbierasz.

– Ja chcę tylko być u siebie. Z tobą i z nikim więcej.

Olaf lustruje moją pozbawioną makijażu twarz, stary, okropny dres, rozczochrane włosy i... mówi, że idzie pobiegać i dokończymy rozmowę, kiedy ochłone.

Dopiero teraz wszystko się we mnie gotuje. Dzwonię do Ani i błagam, żeby zajęła się dziećmi. Klara raz może nie iść do szkoły, już prawie koniec roku szkolnego. Sama wkładam najlepsze dzinsy, w zasadzie jedyne, w które wchodzę, i pierwszą z brzegu bluzkę i czekając na Ankę, robię makijaż mocniejszy, niż planowałam. Tak uzbrojona wychodzę do największego centrum handlowego w mieście i krążąc między regałami, usiłuję odzyskać spokój. Nie potrafię jednak skupić się na fasonach, fakturach i kolorach i w knajpce opadam na twarde niewygodne krzesło. Pałąk oparcia nieprzyjemnie wbija mi się w kręgosłup, ale zapatrzona w mijających mnie ludzi przestaję o nim myśleć.

Przyglądam się parom przyjaciółek w różnym wieku i o różnych stylach, które radośnie gestykują, przesuwały się wzdłuż witryn. Parom, które trzymają

się za ręce, i tym pełnym wzajemnych pretensji. Ludziom źle ubranym i tym przesadnie wystylizowanym i nie mogę się zdecydować, do której grupy powinnam dołączyć. Jeszcze tak niedawno nie miałabym kłopotu z określeniem siebie i Olafa, naszej miłości, nowego życia i niespodzianek, które przyniesie nowy związek. Może jednak powinnam być sama?

Przy stolikach zmieniają się ludzie, dania przechodzą ze śniadaniowych w lunchowe zestawy, a ja bujam się na krześle, nie potrafiąc wykonać ruchu. Nie mam ochoty na nowy ciuch, kosmetyk ani kino. Nie mam ochoty na samotność, lecz dawno nie czułam się tak pozostawiona samej sobie.

Wreszcie dzwonię do Magdy i po chwili słyszę jej ponad miarę radosny głos, który boleśnie kontrastuje z moim smutkiem.

– No, halo, halo, co tam dobrego?

– Nic, mam doła.

– Coś ty? Taki piękny dzień.

– Właśnie.

– A co robisz?

– Siedzę w knajpie w centrum handlowym.

Słyszę dziwny szum i mam wrażenie, że Magda rozmawia z kimś jeszcze i jej przeszkodziłam. Cholera, gdzie ona jest? Do niedawna była pierwszą zakupową amatorką, a raczej stałą klientką, tymczasem odkąd zabrała się do szlifowania formy, to siłownia stała się jej drugim domem. W zasadzie dwie z trzech siłowni, do których dwa miesiące temu ochoczo się zapisała.

– Przeszkadzam ci? Gdzie jesteś?

– Biegam w parku, a co?

– Wydawało mi się, że z kimś rozmawiasz. – Opętana złym nastrojem mam ochotę zapytać, czy jest z Olafem, ale w ostatnim momencie się opanowuję.

– Kupowałam wodę. Sorry. Coś ty taka wkuta?

– E... miałam scysję z Olafem. Mówię ci, mam doła.

– A o co poszło?

– O wszystko. Nie wiem, czy to dobrze, że zamieszkaliśmy razem.

– Ej, przestań. Kochasz go przecież.

– Tak, ale chyba się od siebie oddaliliśmy.

– I to jest powód, żeby dołować się w knajpie przy kawie wśród butików.

– O, przepraszam! Do niedawna to ty tak spędzałaś czas.

– Ale mi przeszło! Zaczęłam ćwiczyć i przestałam myśleć.

– Ja tak nie potrafię.

– Spróbuj. Zaczynaj ćwiczyć.

– Taa, ja i ćwiczenia.

– Słuchaj, muszę bieć, bo tętno mi spada, ale może wpadnę do ciebie za godzinkę–dwie.



– Super, pa – mówię bez optymizmu.

Siłą woli płacę rachunek, na którym widnieje pięć czarnych kaw i gazowana woda mineralna, i wracam do domu. Mimo że świeci słońce i zapowiada się przyjemne popołudnie, nie potrafię wykrzesać z siebie krztyny radości i pozytywnego nastawienia.

Docieram w chwili, gdy Ania wychodzi z całą trójką na spacer. Jej brzusek pod cienką sukienką staje się coraz wyraźniejszy, a dziewczyna z dnia na dzień wygląda bardziej kwitnąco.

– Mama! – Marysia biegnie uradowana w moją stronę.

Klara przygląda się jej z niesmakiem, a ja mam nadzieję, że chodzi o to, że dziesięciolatce już to nie przystoi, a nie że jest zazdrosna.

– Właśnie wychodzimy.

– Super.

Poklepuję Marysię po plecach i pochylam się nad wózkiem Antosia. Cmokam go w czółko, ale gdy chcę podejść też do Klary, córka odsuwa się i syczy:

– Nie rób mi obciachu.

Nie widzę nikogo, kto mógłby nas obserwować, a tym bardziej być zniesmaczony okazywaniem uczuć...

– OK, sorka.

– Nie gniewam się.

Jeszcze by tego brakowało! Od Ani dowiaduję się, że wrócą za dwie–trzy godziny. Cudownie! Tego mi właśnie było trzeba. Od razu mam wizję siebie na leżaku, na luzie i bez stresu, wbrew wszystkiemu.

Wchodzę do mojej maleńkiej garderoby i wygrzebuję strój kąpielowy, który kupiłam, będąc w szóstym miesiącu ciąży z Antosiem, gdy zapisałam się na basen. Niestety leży idealnie, doskonale wypełniony w każdym centymetrze nadmiarem ciała. Żłudna nadzieja, że jednak w którymś miejscu będzie luźny, pryska. Przyglądam się sobie w lustrze i nachodzi mnie dziwna ochota, żeby wypróbować nowy kettle. Wyciągam go z kąta za pralką i z namaszczeniem wypakowuję z kartonika, przy okazji zapoznając się z dołączoną instrukcją ćwiczeń.

Chwytam ciężar w obie dłonie i z trudem dźwigam, obserwując w lustrze pracę mięśni. Jednak pod skórą nic się nie dzieje, nie dostrzegam najmniejszego ruchu, który sugerowałby ich posiadanie. Zniechęcona postanawiam przejść do bardziej złożonego zestawu ćwiczeń i jedną ręką wyrzucam ciężarek do góry. Ruch udaje mi się powtórzyć czterokrotnie, potem nie ma już mowy o wyrzucie. Przechodzę kolejno przez etapy mozolnego dźwigania, szarpania i usiłowania czegokolwiek. Wreszcie udaje mi się umieścić odważnik nad głową, odwracam wzrok i zamiast w lustro z zadowoleniem wpatruję się w miejsce, gdzie powinien znajdować się biceps. Ręka mi drży i podryguje coraz bardziej, a ja czuję, że to moment, by zająć się drugą stroną ciała. I w chwili, gdy ostatni raz rzucam okiem

na czarny, wykończony zielonym silikonem ciężarek, poddaje się on sile grawitacji i gwałtownie opada. Jestem tak zdumiona, że nie dość, że nie zamykam ust, to jeszcze nie odwracam głowy na czas i ciężki, twardy metal ląduje na mojej twarzy.

– Aaa! – drę się przeraźliwie.

Usta boleśnie mi pulsują, a gdy przesuwam językiem po zębach, czuję ostrą nierówność i słodki smak krwi. Na drżących nogach podchodzę do lustra i szczerzę się do tafli. Moje górne jedyneki przestały istnieć, pozostał z nich ukruszony w połowie trzon, a prawa dwójka nie ma lewego boku. Patrzę i nie wierzę w to, co widzę. Po policzkach płyną mi łzy, mój świat właśnie się skończył! Co ja teraz zrobię? Pieprzona gimnastyka!

Zaczynam wydzwaniać do wszystkich stomatologów, których fotele kiedykolwiek odwiedziłam. Jestem spanikowana, przecież w takim stanie nie mogę się nikomu pokazać!

Abstrakcja. Wbicie się w kolejkę od tygodni umówionych na wizytę pacjentów jest w zasadzie niemożliwe. Wreszcie udaje mi się umówić na dwudziestą pierwszą do zarozumiałej pani stomatolog, z której usług zrezygnowałam po męczących i niekończących się nagabywaniach na ostrzyknięcie się też u niej botoksem, kwasem i wszystkim tym, co napięłoby moją twarz jak skórę na bębnie.

Dzień udaje mi się przetrwać dzięki temu, że lekko sepleniąc, poinformowałam Olafa, że muszę koniecznie być w pracy, w której zaszywam się pod pozorem uporządkowania księgowości w najciemniejszym kącie zaplecza i pod groźbą odebrania premii zabraniam komukolwiek mi przeszkadzać. Co prawda wszyscy przyglądają mi się podejrzliwie, ogniskując wzrok na spuchniętych ustach, ale nie mam zamiaru niczego tłumaczyć, co chyba wystraszyło zdezorientowanych pracowników, bo omijają mnie szerokim łukiem. Na każde pytanie macham ręką i brnę przez kolejne godziny w kierunku wieczoru.

Siedzę w końcu z rozdziawioną buzią, oślepią lampą unitu i oszołomiona monologiem pani doktor, która najpierw wydziwia nad tym, co mi się stało, potem metodycznie informuje o kolejnych, pogłębiających się niedoskonałościach cery, zmarszczkach, przebarwieniach i efekcie smutnej twarzy powodowanym grawitacją. Przy okazji rekonstruowania jedynek co chwila dotyka mojej twarzy zimnym szpikulcem i przekonuje, że wprowadzenie tych drobnych poprawek odmieni moje życie. Na samą myśl o igłach wbijanych w twarz robi mi się słabo, a co dopiero o kaniuli pod okiem. Zresztą, o czym tu gadać. Im dłużej siedzę unieruchomiona ssakiem i przykryta niebieską pelerynką i przyglądam się pochylającej się nade mną twarzy, tym bardziej jestem przekonana, że niczego mi nie brakuje i nie chcę wyglądać tak jak ona.

Wreszcie po nieznośnie długim czasie, lżejsza o kilka stówek, z odrętwiałą twarzą i głębokim postanowieniem, że już nigdy w życiu nie sięgnę po żadne

hantle, wychodzę w letni rzeński deszcz. Jestem wykończona i zdołowana, bo kasę odkładałam na kieckę, którą od dwóch tygodni oglądałam na wystawie mojego ulubionego sklepu, straciłam dzień i mam świadomość, że muszę uważać na dosztukowane zęby, bo są z pewnością mniej odporne na wszelkie mechaniczne urazy niż prawdziwe.

Docieram do domu tuż przed północą i zastaję wszystkich domowników pogrążonych w głębokim śnie. Kładę się również, ale oczywiście nie mogę zasnąć. Wsluchuję się w zbyt głośne posapywanie Olafa, szum przejeżdżających samochodów, tykanie zegara i odgłosy kocich kroków.



estem nienormalna. Dałam się namówić Olafowi na bieganie po lesie i teraz, mimo że przebiegliśmy raptem paręset metrów, ledwie oddycham. Krew pulsuje w skroniach, nos produkuje hektolitry wilgoci i chce mi się pić. Nasza wspólna przebieżka polega na tym, że Olaf biegnie, a ja go gonię, co chyba obojgu nam nie sprawia przyjemności, a dla mnie jest prawdziwą katorgą. Wreszcie oświadczam, że mam dość, nie dam rady pokonać choćby metra i wracam do domu.

Mój facet spogląda na mnie – chyba zadowolony, że wreszcie pozbywa się balastu. Pyta, czy mogę wrócić sama, radzi, żebym truchtała, wtedy tętno nie spadnie zbyt gwałtownie, a gdy tylko znika za pierwszą kępą leszczyn, ja opieram ręce na kolanach i pochylam się, zupełnie jakbym się spodziewała, że bliżej ściółki zaciągnę się czystym tlenem. Dyszę i drżą mi nogi. Wreszcie zbieram się w sobie i wlokę w stronę domu. Nie wiem, kiedy odbiegliśmy tak daleko, i zastanawiam się, czy o własnych siłach dotrę do butelki z wodą, którą przed wyjściem wstawiłam do lodówki. Zmotywowana tym, że nie mam telefonu i jestem odcięta od sąsiadów i przyjaciół z samochodem, brnę krok za krokiem.

Przed płotem stoi jakiś biały samochód, którego nie potrafię przypisać nikomu ze znajomych. Dziwne. W środku pusto, nikt też nie krąży po okolicy. Większość sąsiadów wypełnia swoje obowiązki w biurach w mieście, a dzieciaki siedzą w szkołach. Wreszcie uznaję, że to pewnie jakiś hydraulik czy inny stolarz, który pomylił adresy, i otwieram furtkę. Choć dzieci są w szkole, a Ania już dawno z nami nie mieszka, dobiegają mnie głosy z mojej własnej kuchni. W pierwszej chwili myślę, że to włamywacze, ale gdy podchodzę bliżej, słyszę wyraźnie głos matki Olafa. Kurwa! Co oni tu znowu robią?! Drzwi domu są otwarte i już od progu atakuje mnie smród gotowanego trupa. Po bliższej analizie dochodzę do wniosku, że to chyba barszcz, i oczami wyobraźni widzę pływające na wierzchu wywaru oka tłuszczu. Brr. Mimo że wcale nie sądzę, że to dobry poranek, mówię głośno:

- Dzień dobry. – I asertywnie wkraczam do kuchni.
- O, jesteś! Zrobić ci herbatki? Wiesz, kochana, ja już tu powolutku obiad przygotowuję.
- Właśnie widzę. Olaf z państwem nie rozmawiał?
- A o czym?
- O tym, że to mój dom i chciałabym, żeby państwo byli w nim gośćmi,

a nie gospodarzami.

– Oj, coś tam mówił. – Mariola całą uwagę skupia na blacie stołu, który intensywnie wyciera moją najlepszą ściereczką, używaną tylko do kieliszków. Mam ochotę wyrwać jej szmatkę, ale się opanowuję, zalana jej monologiem. – Ale my tak z mężem rozmawialiśmy, że ty niepotrzebnie się nas krępujesz. Przecież my swoje ludzisko jesteśmy. I do tańca, i do różańca. Gwarantuję, że nie taki bałagan widzieliśmy, nic się nie martw, jakoś wspólnymi siłami to ogarniemy, prawda, Roman?

– Yhm.

– Wy, młodzi, to nie potraficie uszanować czyjejś pracy. A może ja źle mówię? Tacy chcecie być samodzielni, że nie potraficie przyjąć przyjaznej dłoni. A my, starzy, jeszcze chcemy się młodo poczuć. Potrzebni chcemy być, to i z prowadzeniem ci domu radę damy. Zobacysz, przyzwyczaisz się.

Stoję jak słup soli i wpatruję się w kobietę, z którą w zwykłych okolicznościach pewnie nie spotkałabym się na kawie, a która teraz gotuje dla mnie barszcz, w moim domu, w moim garnku i z moich ukiszonych na surówkę ekologicznych buraków. Moją asertywność trafił szlag, a język najwyraźniej skołowaciał, bo tylko spoglądam na nich, nie rozumiejąc, co się dzieje. Jakby tego było mało, słyszę szum splukiwanej w toalecie wody i dociera do mnie, że w domu znajduje się ktoś jeszcze. Po chwili zdziwiona stoję twarzą w twarz z teściową. Ubrana w zbyt kolorową, zbyt krótką i zbyt młodzieżową sukienkę wygląda jak podstarzała asystentka iluzjonisty. W dodatku zawiązana w fantazyjny węzeł na czubku głowy chustka sterczy paradnie na wszystkie strony.

Chryste, co ona tu robi?

– Teściowa też tutaj?

– Dzień dobry. Nie przywitasz się? Widzę, że coś jesteśmy nie w humorku.

Do cholery ciężkiej, jak mam być w humorku, skoro po mojej chacie łążą ludzie, których nie dość, że nie zapraszałam, to jeszcze nie mam ochoty oglądać!

– Chciałam odpocząć i nie spodziewałam się gości.

– Nie przesadzaj. Nie rozumiem, dlaczego po latach traktujesz mnie jak obcą, przecież tyle czasu spędziłaś z Bartkiem.

– Właśnie, z Bartkiem, nie z teściową.

– Ty i te twoje złościwości! Ale skoro mnie wypraszasz...

– Nie wypraszam, tylko nie mam nastroju.

– No, o to akurat nas nie możesz winić. – Patrzy na mnie jak belfer na niesforemego uczniaka, a ja odruchowo kulę się w sobie.

Chyba zwariowałam! Zamiast im powiedzieć, że mają się wynosić, wlokę się na górę, gdzie również w każdym kącie cuchnie barszczem. Otwieram okno w sypialni i ze zdziwieniem odkrywam, że teraz cała trójka siedzi na leżakach i popija z wysokich kieliszków. Jeszcze tego brakowało.

Maluję się mocniej, niż wypada, wbijam się w wysokie szpile, granatowy kostium, który ostatnio miałam na pogrzebie, i schodzę. Na dole dopada mnie ojciec Olafa.

– Wychodzisz?

– Tak – syczę wściekła. – Miałam pracować w ogrodzie, ale jakoś nie ma warunków.

– Jak uważasz.

Niespiesznie podchodzi do lodówki i wygrzebuje z pojemnika grzechoczący lód. Wrzuca do kieliszka i dolewa wina z butelki, którą od miesiący trzymałam na specjalną okazję.

– Czy to jest to wino, o którym myślę?

– Nie wiem, o jakim myślisz. A co?

– To moje wino na specjalną okazję.

– Daj spokój, kupisz następne. Skąd mieliśmy wiedzieć, skoro nawet nie miało etykiety?

– Właśnie dlatego nie miało etykiety, że było z małej prywatnej winnicy. Ostatnia butelka z sezonu.

– No to przykro. Ale nie żałuj, kwaśne jakieś.

– Wytrawne.

– I to bardzo. Ja nie wiem, dlaczego ludzie żałują cukru.

Z ogrodu dobiega głośny śmiech i wołanie teściowej:

– Zginąłś w tej kuchni czy co? Chodźże wreszcie, bo uschniemy.

Wkraczam do ogrodu zamiast Romana i oszołomiona przyglądam się trzem różańcom zaplątanym między talerzykami z resztkami ciasta a kieliszkami.

– Co tu się dzieje?

Najwyraźniej mój głos zdradza irytację, bo obie panie sztywnieją, przybierają oficjalne pozy i oświadczają, że się modlą.

– Modlicie się przy winie?

– To nie ma znaczenia, Bogu to obojętne.

– Tak?

– Tak. Gdybyś częściej bywała w kościele, tobyś wiedziała. Nie rozumiem, dlaczego się dziwisz. Aleksandra jest ciężko chora, a ty robisz problemy.

– Ooo! Co racja, to racja. – Moja prawie była teściowa, ukontentowana i w pąsach zadowolenia, że nareszcie ktoś stanął po jej stronie, spija słowa z ust mojej potencjalnej teściowej.

Zwariuję.

– Właśnie. Cała nadzieja w Panu.

Domyślałam się, że nie chodzi o pana profesora Wojtkowiaka, onkologa prowadzącego teściową, tylko o Pana, którego nikt nie widział i nie słyszał, a w którego wierzą miliony ludzi. Niezwykłym komfortem psychicznym jest mieć

przyjaciela w postaci Boga, więc zostawiam ich w przekonaniu, że siła wyższa uzdrowi matkę Bartka, i opuszczam dom z postanowieniem, że jeszcze dziś wymienię zamki w drzwiach.

Czuję się jak piłeczka pingpongowa, która rytmicznie odbija się między pracą a domem, dotychczas sporadycznie, a ostatnio niepokojąco często zahaczająca o siatkę i płacząca się w supły związane z teściową, jej chorobą, teściem, rodzicami Olafa i problemami w restauracji. Wyzwaniem okazuje się również przyjaźń z Magdą, która staje się nadaktywna w swoim sportowym zacięciu, i mam wrażenie, że częściej chodzi z hantlami niż z torebką.

O poranku pan Zdzisio z jednym zębem, wielkim brzuchem i tysiącem kurzych łapek wokół oczu nie tylko zmienił zamek, ale zamontował jeszcze drugi atestowany rygiel, twierdząc, że w naszej dzielnicy jest coraz więcej złodziejstwa. Nie mam pojęcia, czy to prawda, ale miło mi, że ktoś się o mnie troszczy, nawet jeśli jest to pan złota rączka do wynajęcia.

Zamknięta w domu jak w twierdzy czuję się szczęśliwa, a żeby nikt mi nie przeszkadzał, zakładam słuchawki na uszy, odpalam muzę i siadam z laptopem w ogrodzie, by opracować nowe, sezonowe menu.

Gdy rozrząsam kwestię kalafiora – lepiej go podawać w postaci musu pod pierzynką z selera i szczypiorku czy jako purée – kątem oka dostrzegam coś dziwnego za drewnianym płotem. Coś kolorowego co rusz pojawia się i znika i dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, że to twarz teściowej okolona jedną z wściekle różowych chust. Kobieta macha w moją stronę, a jej raz po raz otwierające się usta świadczą o tym, że coś wykrzykuje, ale niczego nie słyszę. Wreszcie uświadamiam sobie, że nadal mam słuchawki na uszach, a gdy je ściągam, wbija mi się w bębunki głośne i rozpaczliwe:

– Nina! Nina, to ja!

Niestety widzę doskonale, że to ona. Owijam się ręcznikiem, na którym siedziałam, i podchodzę do płotu. Wysokie na metr osiemdziesiąt deski nie pozwalają nam na siebie spojrzeć, ale słyszemy się doskonale.

– Nina, no wpuść mnie wreszcie.

– Dobrze, ale co teściowa tu robi?

– Zaraz ci wszystko opowiem, tylko mnie wpuść.

Korzystając z tego, że ona ma dłuższą drogę do przebycia niż ja, wbiegam na piętro po plażową sukienkę. Ślinię palce i zerkając w lustro, ścieram czarne ślady tuszu pod oczami. Nic nie poradzę na to, że nie wyglądam zbyt atrakcyjnie, ale przecież jestem u siebie. U siebie – jakże to przyjemna myśl!

– Boże kochany, jak ty możesz siedzieć na tym słońcu.

– Nie przeszkadza mi.

– Zobaczysz, jeszcze nabawisz się czerniaka albo innego raka.

– Proszę nie krakać.

– Mówię, jak jest. Ale wy, młodzi, musicie wszystkiego sami doświadczyć i nie słuchacie. A swoją drogą, jak tak na ciebie patrzę, to nie powiem, trochę się zaokrągliłaś.

Najwyraźniej nowotwór wyostrzył teściowej wszystkie zmysły, ze szczególnym uwzględnieniem wzroku i słuchu. Mam ochotę ją trzepnąć, ale w ostatniej chwili się powstrzymuję i liczę od dziesięciu do zera i z powrotem. Wreszcie wyduszam:

– Czemu zawdzięczam tę wizytę?

– Umówiłam się z rodzicami Olafa.

– U mnie?

– Tak, na modlitwę. Mam przeczucie, że Pan nas wysłucha i wyzdrowieję.

– Myślę, że Pan zrobił, co w Jego mocy, i postawił na drodze teściowej profesora Wojtkowiaka.

– I tu się mylisz. To konował. – Pani Ola macha ręką i zmierza w kierunku stołu. Opada na wyłożone czerwoną poduszką krzesło, zakłada nogę na nogę i najwyraźniej oczekuje, że zaproponuję jej coś do picia.

Tymczasem ja zbieram się w sobie i uznaję, że teraz albo nigdy, oświadczam, że mogę zaproponować jej wodę, bo na nic innego nie mamy czasu. Już jestem spóźniona, nie zauważyłam, która jest godzina, a przecież dzieci czekają. Pani Ola sprawia wrażenie, jakby nie rozumiała, o co mi chodzi, więc ponawiam swoją kwestię:

– Muszę wyjść, jestem spóźniona, ale mogę teściową podrzucić do domu.

– Wolalabym poczekać.

A ja nie! Nie ma takiej opcji. To pierwszy dzień nowego rozdziału i nie będzie się pałętał po moim domu nikt, kogo nie zaprosiłam.

– Przykro mi, ale nie ma takiej możliwości.

– Coś ci się stało? – Pani Aleksandra przygląda się wnikliwie mojej twarzy i najwyraźniej podejrzewa, że mi odbiło.

Mam to gdzieś. Niestety dzwoni dzwonek, a po chwili słyszę, że ktoś usiłuje włożyć klucz do zamka. Dopadam do drzwi i siłą rozpędu prawie wciągam Mariolę do środka. Czuję, że zaraz się zagotuję i zacznę gwizdać.

– Jezu, Maryjo, ależ mnie wystraszyłaś!

– Przepraszam, ale właśnie wychodzę.

– Widzisz, dziecko, a my w drugą stronę. Chi, chi.

– Przykro mi, ale wszyscy wychodzimy.

– Co też ty mówisz? Jak to wychodzimy? Ty wychodzisz, a my tu sobie posiedzimy.

– Nie, nie posiedzicie. Zamykam dom.

Cała trójka patrzy na mnie jak na przedstawiciela wymarłego gatunku, a mnie każdy najmniejszy mięsień pulsuje w niespokojnym rytmie. Teraz albo



nigdy.

– Wiesz, moja droga, nie będziemy tak rozmawiać. Bez łaski.

Czy powinnam opowiedzieć o moich emocjach, uczuciach, wyznaczonych granicach i empatii? Raczej nie. Przyglądam się im bezmyślnie i czekam, co się wydarzy. W pierwszej chwili mam wrażenie, że mimo mojego sprzeciwu rozgoszczą się i zaproponują, że mnie poczęstują herbatką. Jednak na szczęście teściowa unosi się honorem.

– Cóż, w takim razie nie mamy wyjścia. Proponuję, żebyśmy przenieśli się do mnie. Tam w spokoju możemy pomedytować, pomodlić się. Nie pozwolę, żeby mnie tak traktowano.

Rodzice Olafa są bardzo bystrymi ludźmi i szybko biorą przykład z Aleksandry. Zadzierają wyżej podbródki i człapią do furtki. Ze zdumieniem przyglądam się białemu samochodowi, do którego się pakują. Najwyraźniej to nowy nabytek i pan Roman nie przyzwyczał się jeszcze do miękkiego sprzęgła, bo wciska gaz do dechy i z rykiem wyrywa pojazd z asfaltu. Patrzę za nimi i zastanawiam się, czy kolejny raz uciec z chaty, czy może jednak zostać.

Nie mam ochoty na samotność w czterech ścianach, odechciało mi się delectowania kawą i ciszą w ogródku. Po chwili zastanowienia wpadam na pomysł, że podjadę do Magdy, dawno się nie widziałyśmy.

Wężykiem wyprowadzam samochód z garażu, tradycyjnie niemal zahaczam prawym bokiem o słupek bramy i wciskam na maksa przycisk radia, tak że muzyka rozsadza mi bębenki. Nareszcie czuję się wyzwolona. W zasadzie powinnam zadzwonić do Olafa z informacją o zmianie zamka i powiedzieć mu, gdzie schowałam zapasowy klucz, ale postanawiam, że zrobię to z wygodnej kanapy u Magdy. Dzień jest piękny i z radością rozglądam się po okolicy. Mieszkańcy nowych domów są bardziej wrażliwi na estetykę otoczenia i przed posesjami wylegają się soczyste, zadbane trawniki, a rabaty eksplodują kwiatami. Czuję się luksusowo i trochę jak za granicą.

Markowski wyśpiewuje *Autobiografię*, a ja mam poczucie, że śpiewa o mnie. Wyję, fałszując melodię, której mimo wysiłku nie jestem w stanie powtórzyć. Nie nadażam za linią melodyczną, nie pamiętam słów, ale czuję się jak gwiazda rocka. Potęga podświadomości.

Do Magdy mam tak blisko, że piosenka nie zdążyła wybrzmieć, a ja już parkuję za jej samochodem. Dom jak dla mnie wygląda ponuro, zbyt nowocześnie, cały oblany betonem i obłożony blachą, ale tego wymagają najnowsze trendy, a Magda nigdy z nimi nie polemizuje.

Pukam do drzwi i nie czekając, aż mi otworzy, naciskam klamkę i wchodzę do środka.

– Halo, jest tu kto?

Odpowiada mi cisza i szmer na piętrze. Czy ona kompletnie oszalała? Jak

można, nie zamknąwszy domu, wędrować po pokojach? Gdybym była złodziejem, mogłabym wynieść, cokolwiek wpadłoby mi w ręce, a ona nawet by się nie zorientowała, że ktoś u niej był.

– Magda, to ja! Jesteś?

Z gabinetu nad garażem dochodzi radosne „tak” i że mam do nich przyjść. Jakich nich? Z kim ona tam siedzi? Odruchowo poprawiam włosy i zciekawiona pokonuję kolejne stopnie.

Z pokoju wychodzi Olaf.

– Hej, co tu robisz?

– A ty?

Olaf stoi w tych swoich idiotycznych obcisłych czarnych spodenkach i sportowej odblaskowej koszulce z kieszeniami na plecach. Przygląda mi się uważnie i po chwili na jego twarz wypływa szeroki uśmiech. Przytula mnie i całuje w czubek głowy, a ja się zastanawiam, jak on to robi, że mimo treningu pachnie świeżością z nutą ambry w tle.

– Magda pomaga mi szukać pracy. Przeglądamy ofertę od jej znajomego.

– Naprawdę? – Jestem w szoku. Myślałam, że temat pracy zszedł na dalszy plan, a tu proszę. Nic bardziej mylnego. Zerkam na ekran monitora i śledzę wymienione w punktach wymagania wobec kandydata na stanowisko dyrektora w dużej korporacji.

Jestem dumna z mojego faceta. Spoglądam na niego wzrokiem zakochanej flądry i pozwalam ponownie się przytulić. Magda popatruje na nas z dziwną miną, co sprawia, że odsuwam się od Olafa. Nie chcę jej drażnić tym, że mam chłopaka, a ona nie.

Magda wygląda niesamowicie w krótkiej tenisowej sukience, która nie tylko podkreśla jej długie nogi, ale też ponętnie opina się na biuście.

– Co tak stoisz i się gapisz? – pyta mnie jak nastolatka.

– Świetnie wyglądasz.

– Daj spokój.

– Serio. Jestem pod wrażeniem. Jezu, jak ty to robisz?

– Też byś trochę mogła poćwiczyć.

Przypominam sobie przygodę z kettle i krzyżując palce za plecami, zapewniam, że o tym pomyślę.

– Myśleniem nic nie zmienisz, ale nie bój się, wezmę cię w obroty.

Zaczynam tęsknić za dniami, które spędzałam na kanapach w kolejnych butikach, doradzając przyjaciółce w wyborze sukienek, torebek i butów. Tymczasem Magi zapomina na chwilę o diecie i otwiera zroszoną butelkę chłodnej cavy. Spoglądam z utęsknieniem na flaszkę jak pies na kość, bo upał jest rekordowy, a moje napady gorąca układają się w coraz dłuższe i gwałtowniejsze serie.

Spędzamy miłe popołudnie na zacienionym tarasie, z którego rozciąga się widok na sąsiednie ogródki. Z tej perspektywy, z kieliszkami w ręku, czujemy się jak królowie świata. Na chwilę zapominam o dzieciakach, nowotworach i namolnym różańcowym wianuszku w moim domu. Łagodnie przechodzę przez informację o zmianie zamków i oświadczenie, że teraz nikt pod moją nieobecność nie będzie się tam rządził.

Jestem zaskoczona, z jakim spokojem Olo przyjmuje nowinę, i to mnie przekonuje, że postąpiłam słusznie. Zostawiam samochód i wracamy spacerowym krokiem do domu. Czuję, że Olaf zerwałby się i pogalopował, jednak powstrzymuje go moja opieszałość.

– Jesteś szczęśliwa?

Przystaję i patrzę na niego zdziwiona.

– Chyba tak. Dlaczego pytasz?

– Tak sobie...

– A ty?

– Ja tak.

Dziwne, ale po raz pierwszy wyczuwam fałszywą nutę albo pod wpływem bąbelków miesza mi się w głowie. Nie chcę jednak się nad tym zastanawiać, uznając, że to tylko taki dzień. W sumie spodziewałam się pretensji związanych ze zmianą zamków i jest mi miło, że ich nie słyszę. Nie zawiodłam się. Wklejam się w Olafa jeszcze bardziej. Czuję się bezpiecznie i w jakiś nieuzasadniony sposób całkowicie się odprężam.

Dzieciaki i Ania czekają na nas w salonie, pochylone nad układanką. Ich buzie zapchane są parówkami, a dziewczyna krąży nad nimi jak pszczoła nad kwiatkami. Spoglądam z rozrzewnieniem i pozwalam, by wieczór dobiegł końca w naszej sypialni.

teściowa jest w szpitalu, co nie powinno mnie dziwić, skoro ma raka, a jednak jestem tym nieprzyjemnie zaskoczona. Być może za sprawą tego, że dotychczas znakomicie znosiła kolejne chemioterapie.

– Niczego nie potrzebuję, nie musisz przyjeżdżać.

Widzę ją w białej, zabrudzonej fioletowymi pieczętkami pościeli, leży taka krucha, z łysą głową i różańcem w sękatych dłoniach... Otrząsam się i skupiam na wynikach badań, których oczywiście nie znam.

– Ależ przyjadę. Co się właściwie stało?

– A co się mogło stać? W moim wieku i w moim stanie nie trzeba wiele, żeby znaleźć się w szpitalu.

– Sądziłam, że chemię miała teściowa w ubiegłym tygodniu.

– To, dziecko, o niczym nie świadczy. – Wzdycha teatralnie i cichutkim, słabym głosikiem kontynuuje: – I co z tego, że miałam? Te zabiegi niszczą moje zdrowie, odporność i choć leczą jedno, szkodzą na drugie.

– Z pewnością. A co mówią lekarze?

– A co mogą mówić? Sami nie wiedzą, co mi jest. Szukają po omacku, a ja naprawdę nie wiem, czy to przeżyję.

– Proszę tak nie mówić. Może czegoś teściowa potrzebuje?

Zapada cisza i mam wrażenie, że pani Aleksandra sporządza długą listę rzeczy przydatnych i tych mniej potrzebnych. Trochę się myślę, bo lista najwyraźniej została sporządzona wcześniej, a sądząc po odgłosach, trwają właśnie jej poszukiwania. Wreszcie po przeciągłym łomocie i gwałtownym szmerze słyszę w słuchawce:

– O, jest. Boże, jaki człowiek robi się bezradny na stare lata. Ja ci powiem, że nie wiem, jak długo jeszcze tak pociągnę. – Głos staje się bardziej dziarski i rozkazujący: – Niech no siostra mi podniesie te książki. Tak, wiem, że to przycisk alarmowy, ale przecież to właśnie jest awaryjna sytuacja... Jak to nie dotyczy zdrowia...? A niby czego...? Tak, oczywiście porozmawiam z ordynatorem.

– Halo?

– Już do ciebie wracam. To niemożliwe, co się tu dzieje. Człowiek niedołężny, obłożnie chory, a one nawet nie chcą pomóc.

– Nie wiem, czy to wchodzi w zakres ich obowiązków...

– Co ty tam wiesz! Sam Henio, pamiętasz, ten, co był doktorem przez wiele lat, mi powiedział, że muszę wymagać, bo inaczej się mną dobrze nie zajmą.

Jeśli lady Aleksandra nadal będzie miała tak zasadnicze podejście, nie tylko mogą się nią nie zająć, ale nawet uciszyć ją niewielką dawką Pavulonu, tak że żadne choroby już nie będą miały znaczenia.

– Mogę w czymś pomóc?

– A tak, oczywiście. Zanotowałam sobie kilka rzeczy, których mi brakuje. Masz coś do pisania?

– Nie, ale zapamiętam.

– No, nie wiem, jak uważasz. Więc tak. Napiłabym się soku pomarańczowego i wody gazowanej, ale uważaj, jak będziesz kupowała. Nie bierz żadnej mocno mineralizowanej. Cisowianka odpada, Żywiec Zdrój to ten mało gazowany, najlepiej jakbyś kupiła Perlage, ale tylko w niebieskiej butelce. Kup ze dwie, żebyś nie musiała latać co chwila. No. A tak, zapomniałam o piżamie na zmianę.

– Piżamie?

– Co ty mówisz? Jakiej piżamie? Ja tylko w koszulach śpię.

– Sama teściowa powiedziała, że brakuje jej piżamy.

– Widzisz, w jakim jestem stanie? Przejęzyczyłam się, a ty mnie nie łap za słówka.

– A skąd mam wziąć koszulę? Z sypialni?

– Jakiej sypialni?

– Teściowej.

– Chyba nie masz zamiaru grzebać mi w szafach pod moją nieobecność? Też pomysł.

– No to skąd ją mam wytrzasnąć?

– A nie możesz kupić nowej? Musisz, dziecko, nauczyć się rozwiązywać problemy, nie tylko liczyć, że inni zrobią to za ciebie. W sklepie kupisz.

Mam ochotę zapytać, w jakim, może u rzeźnika, ale wbijam zęby w plastikową osłonkę telefonu, po czym brnę dalej:

– A jaki rozmiar?

– Oczywiście S, ta chemioterapia zupełnie mnie wycieńczyła. I dobrze by było, gdyby była wykończona jakąś koronką pod szyją albo stójką. Zobaczysz.

– Aha, to do usłyszenia.

– Ale ja jeszcze nie skończyłam. Koszula to nie wszystko, bo nie mam też papci i majtek na zmianę. Nie wiem, jak to się stało. Poza tym tu jest okropnie nudno. Jakbyś mi wzięła jakieś książki? – Teściowa klepie coś o biografiiach i takich „życiowych pozycjach”, że mam ochotę przynieść jej trzynomową biografię Hitlera autorstwa Iana Kershawa, żeby poczytała sobie o ojcu destrukcji i terroru. – Halo, słyszysz mnie?

– Tak, tak.

– To jeszcze dla pani Jadzi, wiesz, tej z łóżka pod ścianą, jakiś ręcznik, bo

zapomniała, a u ciebie w domu widziałam ich tyle, że ci nie robi różnicy. I jeszcze posłuchałabym radia wieczorem albo książek na płycie, to może coś takiego. A czy ty w ogóle masz ochotę mnie odwiedzić i spełnić chrześcijański obowiązek?

Nie nazwałabym tego, co czuję, chrześcijańskim zobowiązaniem ani ochotą, raczej ocieram się o poczucie przyzwoitości. Lista się nie kończy, za to moja cierpliwość wisi na rozdwojonym włosku.

Nie wiem, jak to jest przechodzić chemioterapię, nie znam skutków ubocznych wlewek i fatalnego samopoczucia i chcę wiedzieć o nich jak najmniej, jednak mam nieodparte wrażenie, że w przypadku teściowej proces leczenia i związane z nim skutki uboczne są inne od standardowych. Spodziewałam się osłabienia organizmu, wyciszenia psychiki i szarej cery, a tymczasem pani Ola zdaje się kipieć energią. Jeśli tak wygląda pokonywanie raka... przestanę się go bać.

Pospiesznie notuję jednak wszystko, o co prosiła, i postanawiam po pierwszym rozruchu w knajpie wyruszyć na zakupy. Rozwożę dzieciarnię po ich zakładach pracy, z czego szkoła wydaje się najmniej przyjemnym przystankiem, za sprawą sprawdzianu z religii, o którym Klarze właśnie się przypomniało. Po krótkiej hysterii, że nie wejdzie do budynku i mam ją z powrotem zabrać do domu, zbiera się w sobie i z butną miną otwiera furtę boiska. Przypatruję się jej z nieprzyjemnym zdziwieniem. Niegdyś, radośnie ćwierkając, posłałaby mi buziaka, a teraz prędzej mogę spodziewać się widoku środkowego palca.

Nadal nie rozumiem, co spowodowało tak wielką zmianę.

W knajpie panuje miła cisza, a aromat kawy przyjemnie łaskocze nozdrza. Rozsiadam się wygodnie na hokerze, opieram łokcie na blacie baru i delektuję się ciepłym filiżanki. W obawie, że rozglądając się, zobaczę pajęczyny czy kurz, ogniskuję wzrok na puszystej piance. Przedstawiciele handlowi jeszcze śpią, klienci w panice ubierają się do pracy, a pracownicy nie wpadli na pomysł, żeby poprosić mnie o podwyżkę. Bezcenna słodycz poranka niestety nie trwa zbyt długo, bo nerwowo podrygująca komórka chce wyskoczyć z torebki.

– Halo.

– To ja.

Po długiej i nieprzeniknionej chwili rozpoznaję głos zdenerwowanego teścia.

– Nie poznałam.

– Dzwonię z telefonu Żabci, mój się rozleciał.

– Ojej, co się stało?

– Nic, nic, nieważne. Czy ty wiesz, jaki ja dzisiaj odebrałem telefon?

– Nie mam pojęcia. – Niby skąd miałabym wiedzieć?

– Ze szpitala. Od Oli.

– Aha.

– I wiesz, co ona wymyśliła? Prosi mnie, mnie, rozumiesz? Żeby jej

przywiózł koszulę nocną, gacie i jakieś inne pierdoły. Czy do niej nie dociera, że się rozstaliśmy?

Nawet się nie zastanawiam, czy ona rozumie czy nie, a jeśli tak, to co, bo guzik mnie to obchodzi. Nie do mnie należy rozstrzyganie tej kwestii.

– Muszą teściowie to sobie wyjaśnić.

– Jak, do cholery, mam jej to wytłumaczyć?

– Nie wiem.

– Może ty mogłabyś z nią porozmawiać.

– Nie. Nie będę się wtrącać.

– Że też na nikogo nie można liczyć!

– Można, ale nie w tej sprawie.

– Ja już nic nie wiem! I skąd mam wziąć jakąś koszulę do spania z krynolinami?

– Koronkami.

– Jeden czort. A ty skąd wiesz? Do ciebie też dzwoniła?

– Tak i też mam długą listę.

– Żartujesz?

– Nie.

Przyglądam się stygnącej kawie, która po osiągnięciu optymalnej temperatury zamienia się właśnie w zimną lurę. Przez kolejne minuty uzupełniamy nasze listy i ustalamy, że dziś ja odwiedzę chorą, bo Żabci jest tak przykro i jest taka zdenerwowana, że będzie lepiej, jak teść z nią posiedzi w domu. Domyślam się, że jego telefon rozpadł się po tym, jak teść, kończąc rozmowę z prawie byłą żoną, roztrzaskał go o ścianę.

Zaczynam realizować listę od rzeczy najprostszych, czyli spożywczych, wykazując się niemałym sprytem i odwagą. Po tym, jak w trzech kolejnych sklepach nie było wody Perlage, kupuję zwykłą mineralną w niebieskiej butelce i zdarłszy z niej etykietę, uwalniam się, przynajmniej taką mam nadzieję, od niepotrzebnych pytań i narzekań. Większym problemem okazuje się nabycie stosownej koszuli. Zresztą nie wiem nawet, gdzie powinnam jej szukać. W moich ulubionych sklepach mogę liczyć co najwyżej na ledwo zakrywające pośladki jedwabne szmatki, a choć też mają koronki i falbanki, to nie sądzę, by o to prosiła teściowa. Wybieram się na rynek, na którym w dzieciństwie podziwiałam coś, co wyczerpywało wyobrażenia o sukni balowej, a było bielizną nocną.

Na myśl o świeżych warzywach, dojrzałych pomidorach i zielonej młodej fasolce z przyjemnością wsiadam w samochód, traktując potrzeby teściowej jako dodatki do moich. Oczywiście wokół rynku nie dość, że są same uliczki jednokierunkowe i w najdroższej strefie parkowania, to jak na złość nigdzie nie ma miejsca. Wreszcie udaje mi się wcisnąć między dwie dostawcze stare niebieskie nyski i ignorując wrzaski sklepikarzy, zanurzam się w gąszczu straganów

z góralskimi papciami, garnkami, sukienkami i bielizną. Wszędzie królują ciepłe galoty, wielkie i sztywne jak namioty nomadów staniki i rój kobiet w starszym wieku, które przykładając je do miejsc, gdzie przynajmniej teoretycznie powinny być ulokowane biusty, podejmują decyzję, spokojnie obywając się bez braffitterki.

Za cholerę nie mogę znaleźć odpowiedniej koszuli. Wszystkie wyglądają jak bawełniane worki pokutne, tu i ówdzie upstrzone nadrukami serc i motyli. Zero koronek, cała masa falbanek. Nie ma mowy o rozmiarach. Wszystko jest one size, z założeniem, że ma zmieścić się w to pani Jadzia – sto dwadzieścia kilo żywej wagi, i anorektyczka Marysia – lat szesnaście.

– Ma pani coś mniejszego?

Bezczelna baba wyjaśnia mi, rozciągając materiał, że na jej gust to się zmieszczę. Jakbym miała jakiegokolwiek wątpliwości!

– Niech pani patrzy, dobrze się ciągnie.

Do konsultacji włącza się przekupka z kramu obok i zachęca:

– Pani bierze. Mam taką samą, świetnie się nosi.

– Ja nie dla siebie...

– Pani, wszystkie tak mówią. Nie ma się co krępować.

– Ale ja naprawdę dla teściowej do szpitala.

– To trzeba było tak od razu. Mamy takie szpitalne zestawy, pani patrzy, nawet dla karmiących piersią.

Obawiam się, że teściowa już nikogo piersią nie będzie karmić, ale by uniknąć kolejnych komentarzy, uprzejmie macam materiał.

– A tu niech patrzy. Czterdzieści dziewięć płaci i ma koszulę, gatki, ciepłe, mówię pani, że nie ma co, i jeszcze szlafrok, jakby chciała.

– Nie, nie, za szlafrok dziękuję.

Czy na liście był szlafrok? Dochodzę do wniosku, że chyba nie, a jakby co, pożyczę teściowej swój, i skupiam się na fakturze i gramaturze prezentowanej bawełny w biało-czerwoną kratkę, w której teściowa będzie wyglądała jak jodłująca tyrolska góralka. Z drugiej strony, nie ma bardziej – zaraz po słonecznej żółci – optymistycznego koloru, więc jestem żywo zainteresowana. Do kompletu dorzucam dwie pary białych pantalonów, na mój gust zbyt szerokich, do których powinny być dołączane szelki, ale sprzedawczyni mnie przekonuje, że pasują na każdego, bo albo się ciągną, albo właśnie nie. Czego konsumentowi trzeba. Magia krojów i ergonomii ubrań sprawiają, że coraz bardziej skłaniam się ku temu, by zaopatrywać się tu zamiast w Intimissimi.

Po drodze kupuję u krępej góralki tradycyjne skórzane papcie z kołnierzem z baranicy i pasującym do koszuli czerwonym ludowym haftem. Następnie wbijam się w kolejkę po fasolkę i młode ziemniaki i obładowana targam trzeszczące z wysiłku siaty do samochodu.

Coś się zmieniło. Moja honda nadal jest wciśnięta między dwie niebieskie



nyski, z tą różnicą, że tuż za nią zaparkował zardzewiały biały dostawczak. Wrzucam zakupy do bagażnika i z niepokojem rozglądam się w poszukiwaniu kierowcy. Dwaj wrzaskliwi właściciele nysek, oparci o drewnianą burtę straganu, z zadowoleniem przyglądają się mojej konsternacji.

– Przepraszam, nie wiedzą panowie, dokąd poszedł kierowca?

– Na zakupy.

Chudy, w przekrzywionym kaszkiecie, spluwa i trąca grubego rechoczącego jegomościa.

– A który to?

– A wołałem, coby paniusia tu nie parkowała? Trza było słuchać, a teraz ma, co chciała.

– Było miejsce, to stanęłam.

– Ale to miejsce Wojtka, my pilnowali. Mówiłem: nie stawać, ale nie słuchała.

– Panie, nie mam czasu. Mogą go panowie zawołać?

– A bo ja wiem...

– Ja za nim latać nie będę.

– Panowie, naprawdę muszę jechać.

– Te, Marian. – Za plecami tępaków pojawia się kobieta od biustonoszowych namiotów. – Puśćcie panią.

– A co ty, kobito, mi tu będziesz rozkazywać!

– Weź się, Marian, ogarnij. Pani do szpitala do teściowej jedzie.

– A niby skąd wiesz?

– Bo u mnie zakupy robiła.

– To trza było tak od razu. Dobra synowa, no proszę, a ja myślał, że już takich nie ma. Te, Wojtek, cho no tu i nastąp się tym swoim.

Zza blaszaka z mięsem, wokół którego krąży apatyczne stado much, wyłania się rzeczony Wojtek. Wygląda nieziemsko w białym siatkowym podkoszulku, którym mógłby łowić całkiem spore ryby, marynarce dawno rozwiedzionej z garniturowymi spodniami, czarnych gumowcach i z kilkoma przydługimi włosami zaczesanymi na prawo, z szeroką miedzą przedziałka.

– Co jest?

– Pani chciała wyjechać.

– Nie trza było mnie zastawiać.

– Przecież pana nie było.

– Było, nie było. Koledzy ostrzegali.

– Dajże kobiecie spokój. Do teściowej do szpitala jedzie.

Wojtek unosi dłoń i wyciąga środkowy palec zakończony żółtym pazurem, i gdy myślę, że ułoży się on w znany gest, drapie się po głowie, jakby się zastanawiał, którą rakietą wystartować na Księżyc. Wreszcie przesuwając swojego

rzęcha i mogę wyjechać. Nigdy więcej lokalnych ryneków. Kocham centra handlowe z ich parkingami, przymierzalniami i ruchomymi schodami.

Docieram do szpitala głodna i gdy tylko wysiadam z windy, aż mnie ściska w żołądku od zapachu zupy jarzynowej, który snuje się wyłożonymi linoleum korytarzami. Gdyby teraz ktoś mnie poczęstował porcją szpitalnego obiadu, pożarłabym go razem z plastikowym talerzykiem! Tymczasem skupiam się na odnalezieniu pani Aleksandry. Ze zdziwieniem bowiem odkrywam, że nie leży na onkologii, nie ma jej też na kardiologii ani na gastrologii. Wreszcie znajduję teściową na siódmym oddziale chorób wewnętrznych. Cóż, zaskakuje mnie to, ale w końcu nie jestem lekarzem...

Na piętrze panuje zupełna cisza i moje skrzypiące podeszwy wydają się wręcz wrzeszczeć. Oczywiście budzi to zainteresowanie personelu, bo w jednej z futryn pojawia się udręczona twarz kobiety w białym fartuchu. Spięte spinką magnetyczną liche włosy z solidnym odrostem, zmęczone oczy patrzą na mnie wrogo, a trzymana w ręku strzykawka z wielką igłą błyska bólem.

– Pani do kogo?

– Do Aleksandry...

– A! – Nawet nie muszę kończyć, bo wyrzucona ręka z rozmachem wskazuje mi kierunek. – Ostatnia sala po prawej.

– Dziękuję.

Już z daleka słyszę tokowanie pani Oli, które cichnie i przybiera męczenniczy charakter, gdy tylko teściowa mnie dostrzega. Ludzie od pokoleń poszukują cywilizacji pozaziemskich i rozważają ich wpływ na ludzkość, tymczasem jedna z przedstawicielek tego kosmicznego gatunku siedzi podparta poduszkami. Na włosach przysiadło i wplątało się w nie stadko kolorowych wałków otulonych czarną siatką fryzjerską, a pomiędzy palce wystających spod kołdry stóp są wciśnięte gumowe różowe separatory, których kolor kłóci się z wściekłą czerwienią paznokci.

– O, to ty.

– Dzień dobry.

– Dobrze, że jesteś. Ja już naprawdę nie wiem, co robić. Tak źle się czuję.

– Przykro to słyszeć.

– Nie liczę, że będzie ci przykro, nie liczę. Ale skoro już jesteś, to co tam przyniosłaś? Masz ręcznik dla Jadzi?

Chryste Panie, oczywiście, że nie mam. Że też musiałam zapomnieć o jednej rzeczy. Cholera jasna!

– Kurczę, zapomniałam.

– Widzisz... Proszę cię o coś, ale ty masz taki lekceważący stosunek. Dziecko, dopóki nie będziesz w mojej sytuacji, nie zrozumiesz, jak to jest.

– Nie mam żadnego stosunku. Zwyczajnie zapomniałam.

– Ale że też akurat o tym! Jak nie chciałaś dawać swojego, to mogłaś przywieźć mój.

Nawet nie chce mi się tłumaczyć, że nie o to chodzi, a poza tym i tak przecież nie mam kluczy do jej domu, ba, nie życzyła sobie, żebym tam zaglądała. Jeszcze dobrze nie weszłam, a już chcę wyjść.

– Zaraz skoczę do sklepiku i kupię.

Skulona pod kołdrą drobna kobieta, która w dziewięćdziesięciu procentach składa się z pomarszczonej skóry, a w dziesięciu z kości usiłujących się przez nią przebić, zapewnia, że mam się nie kłopotać, przecież ona ma ręcznik, że to zupełnie niepotrzebne zamieszanie.

– Ale Jadziu, co ty masz za ręcznik! To jakaś szmata, do tego mała, trudno to nazwać ręcznikiem.

– Przepraszam, Boże, przepraszam, ale to mój najlepszy ręcznik, jeszcze świętej pamięci teść nam go kupił. – Kobicina kuli się jeszcze bardziej, a jej twarz nabiera żywych rumieńców podszytych wstydem. Nad kołdrę wystają teraz tylko szkliste oczy, a kościste palce drżą na pościeli.

Teściowa sprawia wrażenie, jakby nie dostrzegając kłopotliwej sytuacji, do której się przyczyniła, i dalej gra na rzewną nutę.

– A piżamę mi chociaż kupiłaś?

– Piżamę nie. – Drażnię się z nią, zła, że jest tak nieczuła dla towarzyski szpitalnej niedoli. Nie dość, że wygląda, jakby wybierała się na bal, to jeszcze usiłuje zmieszać innych z błotem, żeby poczuć się lepiej.

– A przecież prosiłam. Tak prosiłam. Ale dla ciebie to nic nie znaczy.

– Prosiła teściowa o koszulę.

Spogląda na mnie jak gorliwy chrześcijanin na zatwardziałego grzesznika i składa ręce na podołku.

– Czy ty zawsze musisz mnie łapać za słówka?

– Po prostu jestem konkretna.

– A ja uważam, że złośliwa. No ale skoro już przysłaś z tą koszulą, to mi ją pokaż.

Podaję jej białą reklamówkę i przyglądam się z zaciekawieniem, jakie wrażenie zrobią poczynione przeze mnie na ryneczku zakupy.

– A co to za woda?

– Edycja limitowana lekko gazowanej Perlage.

– Nie ma naklejki.

– A tak, odlepiła się w bagażniku. Dorzuciłam jeszcze dwa jogurty i sok pomarańczowy.

– Niepotrzebnie, przecież nie kazałam kupować. Mariolka już mi przyniosła.

– Pani Mariola?

– A co się tak dziwisz? Nie jesteś jedyna.

– Tak, oczywiście. Słyszałam, że teściowa dzwoniła też do teścia.  
– Jakie dzwoniła? Zwyczajnie poinformowałam go o moim stanie.  
– Tylko że on chyba nie był zachwycony.  
– Jak to nie był? Tyle lat spędziliśmy razem, to musi wiedzieć. Przecież nie opowiadam mu ze szczegółami, a i od niego też mi się coś należy. Przypomnę ci, że na papierze dalej jesteśmy małżeństwem i jeszcze nie dałam mu tego rozwodu.

– Myślałam, że już po wszystkim.  
– Nie, oczywiście, że nie. Chyba nie myślisz, że mam obowiązek cię we wszystko wtajemniczać? Zresztą z Roberta zrobił się kołtun, nie facet.

Staram się opanować nerwy i głębokimi wdechami zaciągnąć z powietrza opary jakiegoś środka na uspokojenie.

– Co to jest? – Teściowa z obrzydzeniem wypakowuje czerwono-białą pepitkę i chwytając w dwa palce rąbek materiału, to przybliżyła go do twarzy, to oddala.

– Fuj, ale śmierdzi. Nie prałaś?  
– A niby kiedy miałam to zrobić, skoro dziś teściowa zadzwoniła? Myślałam, że jest pilnie potrzebna.

– Bo jest, ale wyprana! Czy ty zdajesz sobie sprawę, co oni dodają do tych barwników? Przecież to sama chemia! Weź to do domu i upierz, jeśli łaska. A te papcie? Z baranicą, no też pomysł. Wiesz, ile bakterii wlezie w te włosy? Czegoś takiego nie kupuje się do szpitala. A poza tym wiesz, w czym chodzę, więc nie rozumiem, dlaczego takie coś. I gdzieś ty to kupiła?

– Na rynku.  
– Co ty, dziecko, bredzisz? Na jakim rynku?  
– Tym przy Starym Mieście.  
– Żartujesz?  
– Nie. Kupowałam warzywa, a te rzeczy mi się spodobały, więc pomyślałam, że teściowej też przypadną do gustu, a po drodze jakoś nie było żadnego salonu Versace.

– Nie włożę tego. Nie ma mowy. To może być pełne robaków albo innej zarazy. Ja wiem, że ty mnie nie lubisz, ale myślałam, że skoro jestem tak ciężko chora, to może jednak odpuścisz.

Przełykam gulę i faktycznie ze względu na jej stan, jakkolwiek on jest, postanawiam nie wdawać się w dyskusję.

– Właśnie, a co mówią lekarze?  
Głos jej się łamie, wałki na głowie zaczynają niepokojąco podskakiwać, a kołdra wydaje się mniejsza.

– Nic nie wiedzą. Skaranie boskie z tymi konowalami.  
– Ale coś podejrzewają?  
– Nowotwór to wystarczająca przyczyna, by czuć się źle.

– To pani ma raka? – Głowa Jadzi wyskakuje spod pościeli jak wkład z długopisu, a małe oczka spod nawisów skórnych z zaciekawieniem nas świdrują, najwyraźniej szczęśliwe, że nie grozi im znalezienie się w centrum zainteresowania.

– Cicho, Jadzia, nie wtrącaj się. Nie mówiłam o tym, bo nie warto.

– Ale docent Ogrodowski pytał panią, czy na coś choruje, a...

– Proszę się nie mieszać i mieć na względzie, że mam prawo nie informować każdego na prawo i lewo o moim stanie.

– Ale lekarz to nie każdy...

– Powiedziałam mu tyle, ile powinien wiedzieć, i basta. A Jadzia nie ma czego do roboty?

Najwyraźniej nie, bo głowa jak sterczała, tak sterczy, a małżowiny uszne przesuwiają się ku przodowi, prostując fałdy.

– To może ja porozmawiam z lekarzem? – oferuję się.

– Docent operuje.

– Ale może jest inny lekarz.

– Wątpię. Ale jak chcesz. Zresztą tylko Wojtka upoważniłam do otrzymywania informacji medycznych.

– To Wojtek jest w kraju?

– Nie. Oczywiście, że nie.

– To jak się ma czegoś dowiedzieć?

– Nie wiem. Telefonicznie?

– A czy oni w ogóle wiedzą, że teściowa jest w szpitalu?

– Nie, po co ich martwić? I tak nic nie poradzą, a Wojtuś jest taki zajęty.

W tej nowej firmie to ma tyle roboty, że podobno nawet na lunch nie wychodzi. Więc po co mu jeszcze głowę zawracać? No sama powiedz.

Nic nie mówię, za to myślę, że chociażby po to, żeby dać mu szansę się pożegnać. Wszystko to wydaje mi się dziwne i popieprzone. Bez ładu i składu. Tak jak mówiła teściowa, jedyny lekarz na oddziale zszedł do izby przyjęć na pilną konsultację i mając w perspektywie długie czekanie, postanawiam dać sobie spokój i wrócić do domu, tym bardziej że właśnie odkryłam dwa nieodebrane połączenia od wychowawczynie Klary.

Zjeżdżam windą na parter i pospiesznie truchtam do auta. Nauczycielka nie odbiera. Pewnie ma lekcje, ale Klara powinna już czekać na mnie w świetlicy.

Wciskam gaz do dechy i gnam do szkoły. Parkuję z piskiem opon na pokrytym nierównym asfalcem parkingu tuż za budynkiem i pospiesznie przedzieram się przez rozkrzyczane maluchy do drzwi wejściowych. Zwalniam kroku i starając się przybrać postawę pełną macierzyńskiej godności, pospiesznie schodzę do piwnicy, gdzie znajduje się świetlica.

Oddycham z ulgą. Klara siedzi przy jednym ze stoliczków i zawzięcie

gryzmoli kredką po kolorowance. Fioletowe smugi, nie zważając na mijane po drodze kontury koszyka pełnego kwiatów, pokrywają niemal całą białą przestrzeń. Mała mnie nie widzi i tym bardziej pozwala sobie na jawną złość.

– Klara, co ty robisz?

Podskakuje na krześle, tak że niemal je przewraca, okrągłymi ze zdziwienia oczami wpatruje się we mnie i odbija pytanie:

– O, mama, co tu robisz?

– Jak to co tu robię? Przyjechałam po ciebie.

– Już?

– Tak. A co ty taka zła?

– Ja? Nie...

– To dlaczego tak gryzmolisz po kartce?

– Tak sobie. A co, nie wolno?

– Bo ja wiem, pewnie wolno, ale nie wygląda to zbyt... konstruktywnie.

Nie wygląda to na nic innego jak nieudolną próbę wyładowania złości. Tylko co może wywołać taką furię u małej dziewczynki?

– Dzwoniła do mnie twoja wychowawczyni. Nie wiesz, o co może chodzić?

– Nie. A bo co?

– To ja cię pytam. Sądziłam, że się domyślasz.

– Może o wycieczkę?

– Jaką wycieczkę?

– Mamy iść w przyszłym tygodniu do kina, więc może o to chodziło.

– Ale co? Mam zebrać pieniądze? Jechać z wami?

– Nie wiem.

– No nic, poczekaj tu na mnie, pójde się dowiedzieć.

– Ale pani Asia już poszła do domu.

– Tak? A skąd wiesz?

– Widziałam. Możemy już jechać?

Klara jak nigdy spieszy się i wybiega do przodu, zupełnie jakby uciekała z palącego się budynku, a nie opuszczała miejsce teoretycznie przyjazne dzieciom.

Telefon odrywa mnie od wieczornego teleturnieju, który od czasu do czasu oglądam, usiłując zmierzyć się z pytaniami i bolesną świadomością, że nie umiem odpowiedzieć na połowę z nich. Biegnę do kuchni, gdzie, jak sądziłam, zostawiłam komórkę. Oczywiście jej nie znajduję. Grzebię w torebce, szukam na kanapie między poduszkami i wreszcie przypominam sobie, że na chwilę odłożyłam ją w korytarzu, gdy odbierałam paczkę od kuriera. Gdy ją chwytam, melodyjka cichnie, a na wyświetlaczu pojawia się trzecie nieodebrane połączenie od wychowawczyni Klary. Pospiesznie oddzwoniam, czując coraz większy niepokój.

– Pani Asiu, dobry wieczór, nie zdążyłam odebrać.

– Nic nie szkodzi. Jestem tylko zdziwiona, że pani do mnie nie oddzwoniła.

– Przepraszam. Klara uspokajała mnie, że to nic pilnego, a kiedy ją odbierałam, stwierdziła, że pani już poszła do domu, i nie chciałam zawracać pani głowy.

– Ciekawe, skąd Klara wiedziała, o której wyszłam ze szkoły, skoro jej tam nie było.

– Jak to nie było? Osobiście odebrałam ją ze świetlicy.

– Może do świetlicy dotarła, ale na moje lekcje nie.

– Boże, co pani mówi? To gdzie była przez cały ten czas?

– Nie wiem. Właśnie o to chciałam panią spytać.

– Nic nie wiedziałam. Dziękuję, że pani zadzwoniła.

– Przepraszam, że zapytam wprost, ale czy mają państwo jakieś problemy w domu?

– Nie, skąd.

– Niepokoję się zachowaniem Klary, zresztą inni nauczyciele również. Stała się opryskliwa, niegrzeczna i przestała się uczyć.

– Wie pani – mówię po chwili wahania, bo przecież powinnam murem stanąć po stronie córki – też to zauważyłam, ale zupełnie nie wiem, czym to jest spowodowane.

– Może powinna pani pójść z nią do psychologa?

– Też na to wpadłam i oczywiście już byliśmy na wizycie.

– I co?

– Poza początkami nastoletniego buntu nie zauważył niczego niepokojącego.

– Ten bunt musi mieć jednak jakieś podłoże.

– Pewnie tak, tylko nie wiem jakie.

– A może chciałaby pani się spotkać z naszą szkolną panią psycholog? To przemiła kobieta i zawsze lubiła Klarę.

– Sama nie wiem.

– Niczego nie sugeruję, ale musi pani coś z tym zrobić. Takie zachowanie jest niedopuszczalne, a skoro nie wiemy, dokąd Klara chodzi, również niebezpieczne.

– Tak, tak, oczywiście, zaraz z nią porozmawiam. Przepraszam za kłopot i bardzo dziękuję za zaangażowanie.

– Taka jest moja rola. Wiem, co pani przeszła, i jeśli będę mogła w czymś pomóc, proszę się nie krępować.

– Bardzo dziękuję i jeszcze raz przepraszam.

Rozłączam się, liczę do dziesięciu i wrzeszczę na cały dom:

– Klara! Złaż na dół!

Zamiast niej pojawia się Olaf z książką w ręku.

– Co tak krzyczysz? Stało się coś?

– Wyobraź sobie, że właśnie rozmawiałam z wychowawczynią Klary, i co?

Okazuje się, że moja córka wagaruje! *Wagaruje!*

– Przecież odwiozłaś ją do szkoły.

– Tak, ale najwyraźniej sobie gdzieś polazła. Nie była na lekcjach, ale kiedy po nią przyszedłam, siedziała w świetlicy jak gdyby nigdy nic. Kłamczucha. Wstrętna kłamczucha. Klara!

Nic się nie dzieje i gdy już zaczynam podejrzewać, że mała grzecznie śpi, pojawia się na schodach, trąc oczy.

– Co tak krzyczysz?

– Nie domyślasz się?

– Nie, coś się stało?

– Dzwoniła twoja wychowawczyni.

– Tak?

– Tak. I wiesz, co powiedziała? Że nie było cię w szkole.

– No przecież odebrałaś mnie ze świetlicy.

– Ale na lekcjach się nie pojawiłaś.

– To nieprawda.

– Nie, oczywiście! Pani Asia tak sobie dzwoniła trzy razy. Trzy razy! I tylko po to, żeby mnie okłamać.

– Ja tam nie wiem.

– Wiesz co? To zadzwonię do pani Asi i ochrzanię ją, że kłamie. – Chwytam za telefon i czuję, jak gotuje mi się wątroba. Wyczuwam niewielką zmianę w postawie Klary, która mięknie dopiero wtedy, gdy zaczynam wybierać numer.

– No dobra, nie dzwoń.

– To byłaś czy nie?

– Trochę nie.

– To znaczy?

Klara stoi ze spuszczoną głową i z każdą mijającą sekundą zatrząskuje kolejne drzwi, przez które mogłabym do niej dotrzeć.

– No, mów, do cholery, gdzie byłaś! Nie zdajesz sobie sprawy, że w szkole jest bezpiecznie, a jak się włóczysz, to ktoś może cię porwać?!

– Mnie? A po co?

– Już nie pamiętasz, co się stało kilka miesięcy temu?

– Ale ja nie jestem Marysią.

– To nie ma znaczenia. Ktoś chwyci cię za rękę, wciągnie do samochodu i ślad po tobie zaginie. Nie rozumiesz?

– Rozumiem.

– To gdzie byłaś?

– U Olgi.

– Poszłaś do jakiejś Olgi? To daleko od szkoły?

– Tylko dwa skrzyżowania.



- No, rzeczywiście, nic takiego. Olaf, powiedz coś.
- On nie jest moim tatą.
- Ale mieszka w tym domu i ma prawo do opinii.
- Mnie to nie interesuje.
- Jakim prawem tak się odzywasz? Co się z tobą porobiło?
- Nic.

– Jak to nic? Pyskujesz, nauczyciele się na ciebie skarżą, przestałaś się uczyć i uważasz, że to nic? – Pochylam się nad nią i mimo że mój oddech i nieprzyjemne, wypluwane z szybkością karabinu maszynowego słowa spadają jej na twarz, mimika Klary się nie zmienia. Jestem przerażona. Jak mam do niej dotrzeć? – Co to za Olga?

- Poczekaj.
- Jakie poczekaj? Mów natychmiast.
- No przecież mówię: Poczekaj.
- A ja mówię, że masz mi powiedzieć, jak się nazywa Olga. Nie pamiętasz?
- Olga Poczekaj.
- Aha.
- Właśnie tak mnie słuchasz. Nic, tylko na mnie krzyczysz.

– Widocznie mam powód.

– Jeszcze trochę i będę dorosła, a jak będziesz się tak zachowywać, to zadzwonię na niebieską linię.

– Jaką linię! Co ty bredzisz?

– Dla ofiar przemocy. A co, nie wiedziałaś, że znam numer 116 111? Olga mi powiedziała.

– A ona skąd wie o takich rzeczach?

– Bo dzwoniła tam kilka razy.

Zaraz, zaraz. Czy to ta Olga, której patologiczną rodzinę wspiera datkami pół szkoły, żeby opieka społeczna nie odebrała rodzicom dziewięciorga dzieci? Z nią się zadaje, a najprawdopodobniej przyjaźni, moje dziecko i w takim domu bywa? I dlaczego ja o tym nic nie wiem?

– Czy mówisz o tej Oldze, która powtarza klasę i której tata siedzi w więzieniu?

– Tak.

– I z nią się kolegujesz?

– To moja przyjaciółka.

– Ale...

– Mamo, jak zwykle jesteś uprzedzona, a życie nie jest takie, jak myślisz.

Opadam z sił. Jeśli Olga jest dalajlamą mojego dziecka, to mogę mieć wielki problem z wygraniem tej potyczki. Bez pomocy psychologa z pewnością sobie nie poradzimy. W dodatku Olo patrzy na mnie tak, jakbym to ja była patologiczna

i wyżywała się na małej, niewinnej istocie. Mam ochotę zapytać, na co się tak gapi, ale zamiast tego liczę od dziesięciu do zera, choć biorąc pod uwagę wzburzenie, powinnam zacząć od tysiąca, i postanawiam położyć małą do łóżka. Człapię za nią i wtulam w jej zwinięte w rogala plecy. Staram się uspokoić i opowiedzieć, jak się o nią martwię, jaka jest dla mnie ważna i że ją kocham, że przepraszam, że tak wrzeszczałam, i że wrócimy do rozmowy jutro.

Zasypiam i śnię koszmary. Wspinam się po wiszącym nad przepaścią moście linowym, którego spróchniałe szczeble kruszą mi się pod stopami... budzę się spocona z przerażenia w środku nocy i ze zdziwieniem odkrywam, że nadal jestem w różowawym pokoju córki. Połamana włokę się do sypialni, gdzie chrapie Olaf. Daję mu kuksańca, ale chrapanie tylko się zawiesza, po czym powraca ze zdwojoną mocą. Usiłuję znowu go szturchnąć, a wreszcie szarpię za ramię.

– Olo, chrapiesz, przestań.

– Co? Ja nie.

– Ty. Przewróć się na bok.

Po zmianie pozycji Olaf przestaje chrapać, za to po chwili zaczyna sapać i gadać przez sen. Przykrywam głowę poduszką i mimo skomplikowanych zabiegów, zmiany pozycji, otwarcia szerzej okna słyszę wszelkie dźwięki. Wiem, że nie zmrużę oka, i przewijając najgorsze obrazy, które podsuwa mi wyobraźnia, czekam do szóstej rano, kiedy wreszcie będę mogła wstać.

Magda jest załamana jak nasza gospodarka w czterdziestym dziewiątym. Kolejny narzeczony właśnie podziękował jej za współpracę, wyprowadzając się z połową sprzętu elektronicznego i przechowywanymi na czarnej godzinę w głowie porcelanowego kota dziesięcioma tysiącami. Pewnie zniknąłby cały sprzęt, tylko że niefortunnie został wbudowany w meble, z których trudno go było w godzinę wymontować. Bo akurat tyle trwa rytualny poranny jogging mojej przyjaciółki.

– Skurwiel. Kochał tylko moje pieniądze. Nie mnie, tylko kasę, a ja byłem taka głupia, taka głupia... Dasz mi coś do picia?

Magda siedzi pochylona nad kartonikiem chusteczek higienicznych i wyje jak opętana, z krótkimi przebłyskami świadomości, gdy mówi, że mam jej coś podać, nalać albo przygotować.

– Chcesz wody?

– Raczej daj jej whisky. – Olaf stoi w drzwiach i chłodno, przynajmniej tak mi się wydaje, przygląda się rozpaczy Magdy.

Nigdy nie zrozumieć facetów, którymi emocje targają na widok maserati, emocjonalny orgazm przeżywają, gdy mogą się nim przejechać, a widok zapłakanej przyjaciółki jest dla nich tak zwyczajny, jak dwie parówki na śniadanie.

– Nie możesz okazać trochę współczucia?

– Ale dlaczego?

– Magdę rzucił chłopak.

– Nie przesadzajcie. Przecież to był dupek. Okażę wsparcie, gdy się z wami napiję. Może być?

– Nie mów tak. – Magi patrzy na niego ze złością. – Był, jaki był, ale ja go kochałam! Kochałaammm, rozumiesz?

Nawet w takiej chwili ostrzyknięta twarz Magdy nie wyraża żadnych emocji, a jej szloch wydaje się groteskowy w zestawieniu z gładkim czołem i rumianymi policzkami. Zupełnie jakby zderzyły się dwa światy i nie miały siły się przeniknąć.

– Mówiłem ci, że ten koleś to pomyłka.

Kiedy na ten temat rozmawiali, nie mam pojęcia, ale jestem pod wrażeniem, że Magda otworzyła się na Olafa i z pełnym zaufaniem opowiedziała o swoich uczuciach. To jakieś popieprzone. W dodatku dzwoni telefon. Nieznany numer. Mimo to odbieram.

– Nina?

- Słucham.
- Nina?
- Słucham. Z kim rozmawiam?
- To ja.

Chryste, jaki ja? Usiłuję dopasować głos do pojawiających się pod powiekami twarzy i za cholerę nie znajduję właściwej.

- To znaczy kto?
- Przecież mówię, że ja.
- A kim jest ja?
- Jaja sobie robisz? Wojtek.

Skóra cierpie mi na karku i boję się, że zaraz słuchawka mnie ugryzie.

- To prawda, że moja matka jest chora?
- Tak, od dwudziestu lat.
- Nie rozumiem.
- Twierdzi, że od lat choruje na nadciśnienie.

W myślach dodaję, że towarzyszy temu choroba afektywna dwubiegunowa, ataki depresji i demencja starcza, a ich źródłem nie jest żaden guz, lecz wrzód na tyłku, który ma na imię Nina.

– No, nie. Nawet w takiej chwili nie możesz być poważna.  
– O co ci chodzi? Jesteś jedyną upoważnioną osobą do otrzymywania ze szpitala informacji na temat stanu zdrowia matki, więc to ja raczej powinnam zapytać, co z nią.

- To ona jest w szpitalu?
- Tak, bywa tam co rusz.
- Ale dlaczego?
- Bo ma raka jajnika.
- Ale, ale... ja nic nie wiedziałem.
- To teraz już wiesz. Coś jeszcze?
- Jak ona się czuje?
- Zadzwoń do niej, to się dowiesz.
- Ale masz z nią kontakt?
- Niestety.
- Co?
- Nic, mówię, że tak.
- Wiesz coś więcej?
- Nie wiem. Raz chodzi w zielonej chuście na głowie, raz w różowej...
- Boże, to nie ma swoich pięknych loków! Boże, czy ona umrze?
- Z pewnością, nie wiadomo tylko kiedy.
- Ale co to znaczy? Za miesiąc, za rok?
- Skąd niby mam wiedzieć? Każdy umrze, to i ona.

– Chcesz mnie nastraszyć?

– Skąd. Chcę ci tylko uświadomić, że masz ją w pompie, a ona faktycznie nie czuje się najlepiej. W zasadzie jest na nieustającej huśtawce. Raz czuje się dobrze, za chwilę źle i tak w kółko. Rozumiem, że jednak jesteś zainteresowany i przyjedziesz.

– Oszalałaś? Przecież mam tu robotę, nie mogę rzucić wszystkiego i gnać na łeb, na szyję na drugi koniec Europy.

– Racja. Nie pomyślałam. Przecież to tylko twoja mama.

– Właśnie. To moja matka i to ja będę decydował o naszych relacjach.

– Pewnie. Tyle że możesz nie zdążyć. Ale to twój wybór.

– Właśnie. Informuj mnie na bieżąco.

– Chyba zgłupiałeś. Dzwon do matki albo jeszcze lepiej – wpadnij do niej.

– Nie rozumiem, co Bart w tobie widział. Nie dziwię się matce, że cię nie zaakceptowała. Jesteś bezduszną krową, która nawet w obliczu nieszczęścia nie jest w stanie odpuścić. Żałosne.

– Muu!

– Co?

– Krowa cię żegna. Wracaj na swoje pastwisko, pa.

Trzęsą mi się ręce i zaczynam się zachowywać tak, jakby mnie również ktoś porzucił. Co za wredny i samolubny typ!

– A ty coś taka podminowana?

– Wojtek dzwonił.

– I co, przyjedzie?

– Gdzie tam! Przecież ma tyle roboty i tyle kariery, to jeszcze nie pogrzeb i odczytywanie testamentu, żeby musiał się fatygować.

– Dupek.

– Co za młyn. Ten dzwoni z pretensjami, teściowa z koncertem życzeń, a teść w panice, że będą czegoś od niego chcieli. Wariatkowo.

– To się z niego wymelduj. Zupełnie cię nie rozumiem. Po co się angażujesz?

– Nie wiem. Sama nie wiem.

– To się ogarnij i wyluzuj. Mają to swoje grono i rodzinę, jakoś się zorganizują.

Ożywiona Magda na chwilę zapomniała o łzach, ale gdy temat pani Oli przemija, ma nawrót szlochów i spazmów.

– Wiecie, że mnie okradł? Co za typ. A ja mu kupowałam wszystko, co chciał, zabierałam, gdzie chciał, i robiłam, co chciał, nawet...

– Przestań, nie zniosę, jak zaczniesz mi opowiadać o tym, jak robiłaś mu loda. Powiedz lepiej, czy zgłosiłaś to na policji.

– Na policji? Oszalałaś?

- Z tego, co wiem, w takiej sytuacji człowiek zgłasza kradzież na policji.
- Ale jeszcze będzie miał kłopoty.
- A ty ich nie masz? Okradł cię, kobieto!
- Niby tak. Ale ja go kocham. A w sumie zabrał tylko jakieś stare graty.
- I pieniądze.
- Niby tak, ale nie tak dużo.
- Magda. – Olaf włącza się do rozmowy. – Nie ma znaczenia, ile ukradł, tylko że to zrobił. A tak w ogóle to dałaś mu klucze do domu?
- Oczywiście. Przecież mieszkał ze mną.
- A oddał ci?
- Nie, nigdzie ich nie widziałam.
- Ale zamki wymieniłaś?
- Powinnam, nie?
- Chryste, oczywiście, że powinnaś. A jeśli on teraz z kumplami plądruje ci chatę? Pewnie w garażu stoi samochód, kluczyki zostawiłaś na blacie w kuchni...
- Na oknie.

Olo patrzy na nią z niedowierzaniem, nie do końca wiedząc, czy Magda żartuje, czy mówi poważnie. Najwyraźniej dochodzi do wniosku, że ma przed sobą życiowego imbecyla, który nie jest w stanie logicznie myśleć, i zarządza, że natychmiast muszą do niej jechać, a ja się z nim zgadzam. Wychodzą pospiesznie, a ja sprzątam brudne naczynia. Kuchnia wraca powoli do stanu sprzed rodziców Olafa i zaczynam jako tako się w niej orientować.

Jestem szczęśliwa, że w porę udało mi się uratować chociaż ogród przed ich innowacyjnym podejściem do architektury zieleni.

Stoję w tłumie kobiet i wrzeszczę jak opętana. Czuję się wyzwolona, wolna, silna i zdecydowanie nie jestem osamotniona w tych uczuciach. Obok mnie, machając czerwonymi kartkami, wywrzaskują hasła o prawach kobiet Magda, Anka i dwie Aśki. Dajemy się porwać tłumowi, by przemaszerować na główny plac w mieście. Tłum daje energię, poczucie, że możemy coś wspólnie zdziałać i w kupie jesteśmy siłą. Nic nam nie przeszkadza, a myśl o szarlotce z lodami, na którą wbrew diecie i rozumowi umówiliśmy się po manifestacji, dodaje skrzydeł.

Wreszcie ze zdartymi gardłami siadamy w ogródku na Starym Rynku. Zdaje się, że większość uczestniczek marszu wpadła na ten sam pomysł, bo okoliczne knajpki zapchane są podekscytowanymi kobietami. Jesteśmy najradośniejszymi protestującymi na świecie.

Szarlotka jest nieprzyzwoicie słodka i ma cudowną konsystencję. To najprzyjemniejszy z grzechów popełnionych na kaloriach. Przy stoliku obok siedzą trzy starsze panie, które wzdychają na nasz widok z dezaprobatą. Strażniczki patriarchy przyglądają nam się z niesmakiem spod niewytuszowanych rzęs i ostentacyjnie odwracają bokiem. Rozdział religii, rodziny i wolności nie leży

w zakresie ich zainteresowań. Łatwiej żyje się w świecie reguł określonych przez pokolenia niż w wolności, która jest niezbywalna. Dziwny świat. Ale jeszcze dziwniejsze jest to, że Anka się rozwodzi.

– Ty i Staszek? Żartujesz.

– Nie.

– Ale przecież byliście takim idealnym małżeństwem.

– Najwyraźniej nie aż takim, jak się wszystkim wydawało. Nasze światy się rozjechały.

– Ale w kierunku młodej dupy? – Jak zwykle bezpośrednio Magda napina mięśnie i wsiada na ognistego smoka, który nareszcie może przeciwstawić się negatywnym opiniom o jej byłym narzeczonym i zająć koleżanki innym trudnym przypadkiem.

– Chyba nie. Wrócił do matki.

– Do matki? Wolne żarty. To jakaś jedna wielka ściema.

– Teściowa jest zachwycona. Stale powtarza, że od początku wiedziała, że tak to się skończy, i co chwilę wydzwania z pytaniami, czy mogę zwrócić jakiś głupi wazon, który od niej dostałam lata świetlne temu, albo śliczne serwetki po babci.

– I co, zwracasz?

– Zwariowałaś? Wszystko bym jej odesłała w jednym kontenerze, ale przecież dawno nie mam tych rzeczy.

– A co z nimi zrobiłaś?

– Jak to co? A ty masz obrus sprzed dwudziestu lat, który wcześniej eksploatowała teściowa, a jeszcze wcześniej jej matka, a nawet babka?

– Raczej nie.

– Sama widzisz. Niby ma sklerozę, ale doskonale pamięta każdy drobiazg, który na imieninowych i gwiazdkowych przystankach małżeństwa nam ofiarowywała. To jakiś matriks. Najlepsze jest to, że Staszek zgłasza nieśmiało jakieś roszczenia, a gdy pytam o szczegóły, nie ma pojęcia, czego właściwie żąda.

– Ale numer! – Aśka O. bawi się długim, sprężystym lokiem, który co rusz frywolnie zakłada za ucho, i strzela oczami w kierunku jedyne samotnie jedzącego tataro faceta przy stoliku obok.

– Tak, numer. Ta wariatka grozi mi sądem.

– Jak to?

– Bo przywłaszczyłam sobie jej rzeczy, po czym je spieniżyłam. Wyliczyła, że w sumie jestem jej winna kilka tysięcy.

– Jak można przywłaszczyć sobie coś, co ktoś ci daje? Aśka, co ty wyprawiasz?

Wszystkie spoglądamy na wyeksponowany biust Joanny, łokcie na stole, które stanowią podporę dla rozkosznie przechylonej głowy, i dłoni bawiącą się

wdzięcznie kieliszkiem białego wina. Gdy tylko zwracamy na nią uwagę, z ust znika karpik, a powłóczyste spojrzenie wędruje niespokojnie w naszą stronę.

– Co?

– Co ty wyprawiasz?

– Widzicie tego gościa? Niezłe ciacho...

– Oszalałaś? Ten podstarzały wypłosz?

– Nie przesadzaj. W naszym wieku nie ma co przebierać. Faceci albo są walnięci, albo zajęci, a ja postanowiłam mieć dziecko.

– Na zawsze? – Magda wyprzedza nas z jakże inteligentnie odmiennym pytaniem od tego, które wszystkim ciśnie się na usta.

– Oczywiście, że na zawsze. Mam zamiar urodzić.

– Ale masz czterdzieści dwa lata.

– I co z tego? – Blond loki sprężyście podskakują, a ich właścicielka jest urażona do żywego. – Co wy sugerujecie?

– Superpomysł, ale dasz sobie radę?

– Wy dałyście, to ja, ja nie dam rady?

– Ale my miałyśmy dwadzieścia kilka lat.

– I co z tego? Ja mam czterdzieści, wyszalałam się, a teraz będę realizowała życiowy cel.

– Uważaj tylko, żebyś nie złapała jakiegoś weneryka, szukając dawców w knajpach i na ulicy.

– Wypraszam sobie.

– Ocknij się, to dokładnie tak wygląda. Lepiej zrób sobie in vitro.

– Nigdy w życiu. To niezgodne z moimi przekonaniem, a poza tym chodzę do kościoła i...

– I się modlisz, tak, tak wiemy. A co ksiądz na to, że bzykasz się z kim popadnie?

– Nie spytał cię o adres? – Magda rechocze, a my, krztusząc się, dołączamy do niej z kolejnymi pomysłami, że taki ojczulek w sumie miałby dużo czasu, dobre podejście i wychowałby je w wierze naszej koleżanki.

Anka dodaje, że słyszała, iż kiła wróciła do miasta.

– Kto?

– Kiła.

– Nie znam.

– To uważaj, żebyś nie poznała. – Pokładamy się na stoliku, sprawiając, że panie obok pospiesznie regulują rachunek i rzucając nam pełne dezaprobaty spojrzenia, wychodzą.

Aśka niestety się obraża i do końca spotkania milczy. Właściwie to jesteśmy świnię, ale myśl o wystylizowanej, przewygodnickiej Aśce z wózkiem jest równie abstrakcyjna, jak spędzenie wakacji na Marsie.



Wieczór kończymy w radosnej atmosferze, odprowadzając się i odwożąc wzajemnie do domów, w poczuciu, że kobiety górą, poradzą sobie ze wszystkim i potrafią świetnie się bawić bez alkoholu.

Zakradam się do mieszkania jak złodziej i gdy wreszcie w ciemnościach trafiam kluczem w dziurkę, mam wrażenie, że już od progu czuję wędrujący po tapicerce mebli i zasłonach smród tytoniu. Co tu się dzieje? Dzieciaki śpią dziś w mikroskopijnej kawalerce ciężarnej Anki, która bardziej przypomina rodzinny namiot niż mieszkanie, i liczyłam na spokojny wieczór, pełen relaksu i piany w wannie.

Rubaszny śmiech teścia i chichot Marioli nie wróżą niczego dobrego ani wypoczynkowego. Co oni tu robią, do cholery? Rozparci na kanapach siedzą moi prawie teściowie, były teść i potencjalna teścio-babcia. Okruchy nieporadnie pokrojonego sernika kulają się po obrusie, a najlepsze kryształowe kieliszki, których z racji ich kruchości nie mam odwagi używać, pełne są czerwonego, najprawdopodobniej słodkiego wina.

– Nareszcie. – Olaf podchodzi i cmoka mnie w szyję, sycząc, że nie wie, jak to się stało, że wszyscy tu wtargnęli i zostali.

Po raz pierwszy nie potrafię mu zaufać. Mam złe przeczucia i nieodparte przekonanie, że może ich nie zapraszał, ale nie ma nic przeciwko ich obecności. Idę do łazienki umyć ręce i pomyśleć. Nie mam ochoty nawet udawać, że jestem zadowolona. Niezłomna we wchodzeniu wszystkim w tyłek Mariolka już krząta się po kuchni i dopytuje, czego się napiję. Niczego! Nie chcę nic! Chcę mieć pustą chatę, spokój i Olafa na kanapie przed telewizorem. Tymczasem zaserwowano mi wielką filiżankę zielonej herbaty, pouczając, że powinnam się na taką przerzucić. A niby dlaczego? Do jasnej ciasnej!

– Wiesz, że Wojtek jest załamany? – Teść z ręką na kolanie Żabci porusza kieliszkiem z nalewką, tak że bursztynowy ciężki płyn spływa po ściankach kaskadami. Jego nos usiłuje wepchnąć się w niewielką czarkę i mimo niepowodzenia aromat trunku zostaje skomplementowany.

Udaję, że nie do mnie skierowana jest ta uwaga, i ręką wachluję unoszącą się nad herbatą parę, żeby móc spróbować naparu.

- Halo, Nina, słyszałaś?
- Przepraszam, zamyśliłam się.
- Właśnie mówiłem, że Wojtek dzwonił.
- I co u niego?
- Jest załamany chorobą matki.
- Przyjeżdża?

Teść patrzy na mnie, jakbym się nałykała szaleju, a mój ogłupiały organizm odmówił współpracy z mózgiem.

- Nie ma takiej potrzeby.

– Jak to nie ma potrzeby? Teściowa jest chora, zajeżdża nas wszystkich, to chyba synuś mógłby do niej wpaść z wizytą?

– Ty chyba nie wiesz, co mówisz.

– Czyżby? A kto wydzwaniało do mnie, że żona, podobno była, ma jakieś życzenia, listy zakupów i oczekuje pomocy?

Pan Robert nerwowo kręci się na sofie i gwałtownie wciąga powietrze.

– Nic, kotku, nie mówiłeś.

– A o czym tu mówić...

– A może właśnie trzeba rozwiązać problem i raz na zawsze ustalić reguły. Przypomnę, że jestem najgorszą z możliwych synową, z której teściowa zrobiła sobie intendenta.

Pani Mariola, jak zwykle wyrywna, wtrąca się do rozmowy i usiłuje na własne plecy zarzucić ciężar, który ktoś cisnął między nas.

– Ja Oleńce we wszystkim pomogę. Nie dalej jak wczoraj skarżyła się, że jest taka samotna i opuszczona...

– Jak to opuszczona, skoro dopiero co byłam u niej z siatami zakupów?

– Niby tak, ale ona potrzebuje psychicznego wsparcia, podtrzymania na duchu, obecności kogoś bliskiego.

– To oczywiste, tylko że ja jakoś nie czuję się jej bliska. Teściowa nigdy mi na to nie pozwoliła.

– Tak, ale teraz naprawdę potrzebuje wsparcia.

– Ja też potrzebowałam i jakoś go od niej nie dostałam, więc skąd pomysł, że mam teraz być oparciem dla niej?

– Miłosierdzie chrześcijańskie...

– Proszę mi tu nie wyjeżdżać z chrześcijaństwem, bo raczej potrzebna jest jej rodzina, ukochany Wojtek i...

– Ty się Wojtka nie czepiaj.

– Mówię tylko, jak jest.

Olaf popatruje na nas okrągłymi oczami i podejrzewam, że chętnie by opuścił to zacne grono, żeby przebiec kolejne dziesięć kilometrów. Powinniśmy coś konstruktywnego ustalić, więc opanowuję nerwy i zadaję najgłupsze pytanie świata, na które nigdy nikt nie ma właściwej odpowiedzi:

– Co teraz?

– Z czym?

– Chociażby z teściową. Wyjdzie ze szpitala i co dalej?

– Do czego zmierzasz?

– Raczej nie powinna mieszkać sama.

– Co sugerujesz?

– No na pewno nie to, że zamieszka z nami albo ja z nią.

Żabcia kręci się nerwowo i mimo że jest cudowną, pełną empatii kobietą,

najwyraźniej nie znajduje i nie chce znaleźć rozwiązania. Teść jak to teść. Bierze, co mu życie przynosi, tak jak nową narzeczoną, sam natomiast rzadko wykazuje się inicjatywą. Tak jest i tym razem.

– A gosposia?

– Przecież odeszła.

– Zapomniałem. Trudno, trzeba będzie znaleźć kogoś nowego do pomocy.

Może byś dała ogłoszenie?

– Wolalabym nie.

– Przecież ja nie umiem...

– A po co dawać jakieś ogłoszenia? Przecież my z Romkiem możemy się zająć Oleńką. Nudzimy się. Tu nas nie chcą – patrzy na mnie wymownie – to może przydamy się gdzie indziej.

Nie jestem przekonana, czy to najszcześniejszy pomysł, ale zdecydowanie jest to koncepcja, która może spowodować, że się od nich uwolnię, więc zaczynam się nad nią głębiej i głośno zastanawiać:

– W sumie... gdyby teściowa się zgodziła.

– Co ma się nie zgodzić? – Teść odzyskuje dawny adwokacki animusz, a perspektywa pozbycia się problemu sprawia, że duszkiem wypija resztę nalewki.

Ustalamy, że zaproponujemy takie rozwiązanie Aleksandrze, nie ustalamy tylko, kto miałby to zrobić – jakoś brakuje ochotników. Ja oczami wyobraźni widzę ergonomicznie zmodernizowany dom państwa Braun i spokój we własnym gnieździe. Wprost luksusowa perspektywa!

Wreszcie dom pustoszeje, podekscytowani nowym pomysłem starsi państwo opuszczają nas grubo po dwudziestej pierwszej i mamy czas dla siebie.

Siedzimy z Olafem na kanapie i nie wiem, czy jest nam tak dobrze, że milczymy, czy to milczenie jednak mi ciąży. Żadne z nas nie ma ochoty ustosunkowywać się do choroby pani Oli, Wojtka i teścia, ale po chwili temat wypływa samoistnie.

– Wiesz, nawet dobrze się stało, że rodzice będą mieli zajęcie.

– Pewnie tak.

– Zwłaszcza w ich sytuacji.

– A jaka konkretnie jest ta ich sytuacja?

– Nie chciałem cię martwić, więc wcześniej nic nie mówiłem, ale mają poważny problem z zamianą mieszkania.

Prostuję się gwałtownie, bo przeczuwam nadlatującą bombę atomową.

– Chyba dali się oszukać.

– Co ty gadasz? Jak to oszukać? Mówili, że podpisali umowę i są zadowoleni.

– Tak, tylko okazało się, że mieszkanie, które mieli dostać, nie należy do tego gościa.

- I co teraz?
- Musieli się wyprowadzić, ale nie mogą wrócić do siebie.
- Jak to nie? Skoro padli ofiarą oszusta?
- Niby tak, ale nie da się tego cofnąć i teraz mogą dochodzić swoich praw w sądzie, a to może trwać latami.
- I co, będą dalej wynajmować tę klitkę?
- Chyba nawet na to ich nie stać.
- Rany, to niezły przypał.
- Kiedyś nie byłoby problemu, dałbym im kasę i tyle, ale w obecnej sytuacji to niemożliwe. I wiesz, pomyślałem...

Wiem doskonale, co pomyślał! Że możemy stryszek przerobić na mieszkanie, dobudować pokój, dziewczynki przenieść do wspólnego pokoju... Po moim trupie!

- Nie ma mowy!
- Ale...
- Nie ma mowy, nie zamieszkają z nami.
- Oczywiście, że nie. Myślałem tylko, że może ich przewaletujemy przez kilka tygodni, póki nie znajdą czegoś tańszego.

Tańszy może być tylko składzik na miotły w starym budownictwie, więc szukanie czegoś takiego trwałoby wiecznie.

- Wykluczone. I tak jest nas tu sporo, a ja naprawdę potrzebuję spokoju.
- Ale to moi rodzice.
- Olaf, przepraszam cię, ale nie wyobrażam sobie tego. To się zwyczajnie nie uda.
- Jeśli jesteś tak nastawiona...
- Nie jestem nastawiona, tylko nie mam siły. Lubię twoich rodziców, ale są tacy absorbujący.
- Trochę tak, ale jakby ustalić zasady...
- Nie ma żadnego ustalania. Twoja mama się nie zmieni, od ojca też nie oczekuj zbyt wiele.
- To co ja mam z nimi zrobić?
- Nie mam pojęcia. OK, mogę się zgodzić, żeby tu wpadali, nawet na wspólne posiłki, ale tylko tyle. Słuchaj, wstrzymajmy się jeszcze chwilę, może faktycznie mogliby się zająć Aleksandrą, a nawet z nią zamieszkać. Poprzednia gospośnia miała swój całkiem spory pokój z oddzielną łazienką, więc może jest to jakieś wyjście.

Olo przyjemnie głaszcze mnie po plecach i przytula. Zapadam się w nim i nie wiem, kiedy zacznę drzemać, z nadzieją, że nie wrócimy do tej rozmowy.



ostrzegłam tę kobietę z daleka i od razu mi się nie spodobała. Ma złośliwość wypisaną na twarzy i czającą się zaraz za nią satysfakcję. Nie mogę skojarzyć, gdzie widziałam ją wcześniej, ale nieznajoma szybko mi to uzmysławia.

– Nina?

– Tak, o co chodzi? – odpowiadam nieufnie.

– Luiza.

Nadal nie kojarzę, ale filigranowa blondynka najwyraźniej wie, z kim ma do czynienia, bo proponuje, żebyśmy gdzieś usiadły i porozmawiały. Okoliczne ławki są zajęte, więc z bijącym sercem idę za nią na skraj alejki, gdzie stoi stara drewniana ławka, co prawda pozbawiona jednej z desek oparcia.

– Pani mnie zna?

– Tak.

– A ja pani nie kojarzę.

– Domyślam się.

Zaczynam się mocno denerwować i przeczesywać możliwe tematy tej rozmowy, jednak nie wpadam na to, co słyszę.

– Jestem byłą narzeczoną Olafa.

A co mi do tego? Olaf wspominał, że był z kimś przez lata, ale ja nigdy nie dopytywałam, co się stało, że znowu został singlem. Najwyraźniej ułożyłam usta w wielkie O, bo nieznajoma kontynuuje:

– Czyli nie wie pani wszystkiego.

– Co mam wiedzieć? Nie interesuje mnie powód waszego rozstania. Związałam się z Olafem, kiedy już z sobą nie byliście.

– Tak, wiem. Ale wygląda pani na przyzwoitą kobietę, więc chciałam panią ostrzec.

– Ostrzec? Przed czym?

– Przed Olafem.

Sztywniej. Co ona sugeruje? I jakim prawem wtrąca się w nasz związek? Dochodzę do wniosku, że musi nią powodować czysta zazdrość, i z wrogim nastawieniem wsłuchuję się w jej słowa.

– Olaf i jego rodzice to nieźli naciągacze.

– Że co? To jakieś bzdury!

– Nie musi mi pani wierzyć, niech pani sama sprawdzi. Olaf nigdy nie pracował w żadnej dużej firmie, a jego pieniądze to ściema.

– Nieprawda! – krzyczę oburzona.  
– Niestety myli się pani, naprawdę proszę to sprawdzić. Opowiada, co i dla kogo projektował, ale w rzeczywistości to nieudacznik, który nie potrafi znaleźć i utrzymać żadnej pracy.

Mój Olaf nieudacznikiem? OK, teraz ma przejściowe kłopoty, ale kto ich nie ma? A o dobrą posadę wcale nie jest tak łatwo, jak by się mogło wydawać.

– Nie wierzę.

– Jak pani uważa. A rodzice już się wprowadzili?

– Co?

– To, co pani usłyszała. Pytam, czy już się wprowadzili. Ten ich permanentny problem z mieszkaniem... Nie dostali kredytu czy czegoś nie zapłacili i wszystko poszło się bujać. Byłam głupia i naiwna, bo zgodziłam się, żeby trochę ze mną pomieszkali. Potem oczywiście nie mogłam się ich pozbyć. Na moje szczęście na horyzoncie pojawiła się pani...

– Po co mi pani to mówi?

– Żeby panią ostrzec. Ma pani małe dzieci i więcej do stracenia niż ja.

Wstaje i odchodzi, zostawiając mnie w stuporze. To nie może być prawda! Podejrzewam, że mściwe babsko wymyśliło całą tę historyjkę, żeby mnie wkurzyć i zasiał niepokój. Chyba osiągnęła cel, bo rzeczywiście jestem mocno zestresowana.

A z drugiej strony, jeśli ma rację? Jeśli to banda naciągaczy? Otrząsam się i z przerażeniem analizuję sytuację. To jakaś piramidalna bzdura! Nie mój czuły, empatyczny Olo.

Wracam do domu z pochyloną głową. Odechciało mi się spaceru, wachania ziemi po deszczu i wychodzącego zza chmur słońca. Muszę z nim porozmawiać – i to pilnie.

Olafa nie ma w domu. Nie ma w nim nikogo. Skończył się rok szkolny i Ania zabrała moje maluchy i swoje nienarodzone dziecko na tydzień do domu rodzinnego, gdzie jej mama, z niecierpliwością piekąc i lepiąc klopsiki, nie mogła się doczekać ich wizyty. Mam nadzieję, że pobyt na wsi i kontakt z innymi dziećmi sprawi, że Klara na powrót stanie się grzeczną dziewczynką, a jej roszczeniowa postawa i problemy w szkole będą tylko przykrym wspomnieniem. Kocham dzieciaki najbardziej na świecie i zrobiłabym dla nich wszystko, ale czasami cudownie jest ich nie widzieć.

Siedzę na kanapie, oparta o wodospad poduszek, i usiłuję zająć myśli akcją czytanej książki, jednak barwny świat Ludwika XIV zupełnie mnie nie wciąga. Myśl o Olafie, który właśnie walczy ze słabością w miarę pokonywanych kolejnych kilometrów na kolejnym treningu, przebija się szpilą niepokoju. Nie potrafię się opanować i skupić na książkowym świecie.

Ranek słońca się po rozświetlonym letnim słońcem pokoju, a bezczynność

doprowadza mnie do szału. Z drugiej strony nie mam ochoty na żaden ruch. Myśląc o cudownych chwilach bez dzieci, nie wyobrażałam ich sobie bez Olafa. Magda też gdzieś przepadła i nie odbiera telefonu, najprawdopodobniej zwinięta w jeden z tych swoich kwiatów lotosu.

Klik-klak, klik-klak. Otwieram oczy i w pierwszej chwili nie poznaję swojego salonu, w dodatku w okolicy korytarza słyszę czyjeś nierówne kroki. W panice zsuwam się z kanapy i wstrzymując oddech, chowam za oparciem. Klik-klak, klik-klak zbliża się coraz bardziej, a po chwili objawia się postać teściowej w zwiewnej zielonej sukni i równie zielonym turbanie na głowie. Cholera. Czuję się jak idiotka, tym większa, że sama najprawdopodobniej nie zamknęłam drzwi wejściowych. Tymczasem starsza pani, czując się swobodnie, płynnym ruchem zdejmuje nakrycie głowy i przeczesuje dłonią splątane loki. Czuję się jak w teatrze. Przyglądam się scenie rozgrywającej się tuż przede mną i sama nie wiem, co bardziej mnie zaskakuje: włosy na głowie czy swoboda teściowej. Wiem, że powinnam się ujawnić, jednak jakaś wredna siła trzyma mnie na postronku za meblem. Mam tylko nadzieję, że Ziuta nie wpadnie na pomysł zabawienia się i że nie zadzwoni moja komórka.

Pani Aleksandra rozgląda się po pokoju i bez skrępowania wysuwa jedną z szuflad ławy krzywo usytuowanej między fotelami a moją kryjówką. Wyciąga z niej kolorowy miesięcznik i pobieżnie kartkuje. Po chwili wysuwa kolejną szufladę i sięga po plik kartek z życzeniami urodzinowymi, które od kilku dni przynosi listonosz. Niestety większość stanowią bony rabatowe do sklepów, ale między nimi zaplątane są również życzenia od kilkorga przyjaciół i oczywiście lektura tych ostatnich pochłania panią Olę najbardziej. Co rusz prycha i komentuje w niezbyt elegancki sposób ich treść, a ja czuję, jak stada mrówek zaczynają wędrować w tę i z powrotem po moich ścierpniętych nogach. Chryste Panie, co za paranoja!

Gdy jestem już bliska ośmieszenia się i obolała, zdesperowana mam zamiar się ujawnić, teściowa się podrywa i dziarskim krokiem wbija do łazienki na piętrze. Czego ona tam szuka? Korzystając z okazji, wyłączę na czworakach zza kanapy i na bosaka biegnę do drzwi wejściowych. Otwieram je i zamykam z jak największym łoskotem, udając, że dopiero co weszłam do domu. Tymczasem na piętrze słyszę dziwne dźwięki i szum splukiwanej wody. Po chwili na schodach pojawia się mój nieproszony gość.

- O Jezusie, ale się wystraszyłam! Co teściowa tu robi?
- A co, nie można odwiedzić wnuków?
- Oczywiście, że można, ale myślałam, że nikogo nie ma.
- To się pomyliłaś. A swoją drogą jesteś zupełnie nieodpowiedzialna, żeby w dzisiejszych czasach nie zamykać domu! No kto to słyszał?
- Byłam w ogrodzie.

– A jednak nie zauważyłaś, że ktoś wszedł.

Patrzy na mnie oskarżycielsko, a ja solennie obiecuję sobie, że już nigdy, przenigdy nie zostawię otwartych drzwi wejściowych, tym bardziej że jej obecność jest gorsza od nalotu anonimowych złodziei, którzy przynajmniej nie czytują cudzej korespondencji.

– Fakt. To się nie powtórzy.

– Mam nadzieję. A skoro już jesteś, może zaparzysz mi kawy?

– Oczywiście.

Pani Ola opada na krzesło przy stole i obserwuje każdy mój ruch. To, jak sięgam po filiżankę, ile wlewam wody do pojemnika ekspresu i jak wciskam kolejne guziki na panelu sterowania. Zachowuje się, jakbym miała ją otruć, zamiast mleka zapodając cyjanek. Nie mam nastroju i czuję się osaczona, tymczasem ona zdaje się znakomicie bawić.

– Jak się czują dzieci? – pyta, jakby każde z nich cierpiało na inną, nieuleczalną chorobę.

– Dobrze. Wyjechały z Anią do jej mamy na wieś.

– Dziwię się, że godzisz się na takie ekstrawagancje.

– Ekstrawagancją nazywa teściowa pobyt na wsi?

– Oczywiście. Przecież tam pewnie nie ma warunków, a jeszcze ci chłopci i te ich zwierzęta... Nigdy bym się nie zgodziła, żeby moi synowie spędzali czas między chlewikami.

– I w tym właśnie się różnimy. Ja się z tego bardzo cieszę.

– Bartek pewnie przewraca się w grobie.

– Raczej nie, spoczywa w spokoju.

– Jak zawsze bezczelna.

– A teściowa jak zawsze z niepotrzebnym komentarzem.

– Wiesz, odechciało mi się kawy.

– A ja z przyjemnością się napiję.

Pani Ola wstaje i ostentacyjnie rusza do drzwi.

– Zapomniała teściowa o chuście.

Starsza pani mieni się kolorami tęczy, przez jej twarz przepływają rumieńce przeganiane bladeścią i odwrotnie i wiem, że przyłapałam ją na kłamstewku.

– Myślałam, że teściowa nie będzie miała włosów.

– Odrośły. Zresztą to nie twój interes.

– Szybko. Dziesięć centymetrów w miesiąc... niesamowite.

– A jednak.

Pani Ola pospiesznie dopada kanapy i chwyta delikatną chustę. Zamiast zawinąć ją finezyjnie na czaszce, owija nią szyję, zakłada okulary przeciwsłoneczne i bez pożegnania opuszcza dom. Czuję jednocześnie falę ulgi i wzburzenia. Zupełnie nie rozumiem mechanizmu, który sprawia, że za cholerę nie



możemy się porozumieć. Zamiast martwić się jej zdrowiem, skaczymy sobie do gardeł. Z drugiej strony nie potrafię nie myśleć o tych włosach... Niedawno twierdziła ze zbolała miną, że jest zupełnie łysa, i zamieniła peruki na chusty, a tymczasem ma włosy, może nie bujne, ale jednak. Nieświadoma mojej obecności zachowywała się bardzo swobodnie i przypadkowy obserwator nie podejrzewałby jej o chorobę nowotworową. Ale może najnowsze terapie nie powodują, że człowiek w ich trakcie jest nie do życia. Zastanawiające.

Wypijam zaparzoną dla teściowej kawę i wyglądam na ulicę. Panuje na niej jak zwykle niczym niezmacony spokój, a ciszę przerywa tylko świergot ptaków i stukanie dzięcioła dobiegające z lasu.

Jestem zdziwiona tym, że nic nie muszę i mam czas dla siebie, i zwyczajnie zaczynam się nudzić. Z bólem serca uświadamiam sobie, że może propozycja Olafa, by razem poćwiczyć, wcale nie była taka zła. Tylko że od kilku godzin go nie ma i nie odbiera telefonu. Postanawiam zrobić mu niespodziankę. Wkładam strój kąpielowy i decyduję, że wyciągnę go nad pobliskie jezioro. Oczywiście wdzianie stroju wymaga wydepilowania, nasmarowania ciała samoopalaczem i wypakowania wielkiej torby ręcznikami, książką, klapkami i całym tym badziewiem, które może się przydać na niewielkiej dzikiej plaży. Upycham jeszcze dwie butelki z wodą i owoce. Tak przygotowana, wierząc się i kręcąc, czekam na mojego faceta niczym pani słowikowa w gniazdku na akacji, a jego oczywiście ani widu, ani słyhu. Z tego wszystkiego robię się głodna i poirytowana. Ile można ganiać po lesie? Strój wrzyna się w ciało i w okolicach godziny siedemnastej definitywnie postanawiam zastąpić go przyjazną bawełnianą bielizną. Jestem zawiedziona i mimo że nasz związek jest nadal w fazie początkowej, czuję się przezroczyista jak konkubina po trzydziestu coraz monotonijszych latach romansu.

Wreszcie pod wieczór pojawia się Olo. Wygląda na wyczerpanego, ale jednocześnie zadowolonego. Promienieje dziwnie pozytywną energią, jednak na mój widok jego optymizm nieco przygasa. Dlaczego?

– Cześć.

– Hejka, co tak długo cię nie było? Zaczęłam się martwić. – Gdy tylko słowa wydobywają się z moich ust, z przerażeniem wsłuchuję się w ich wydźwięk i dochodzę do wniosku, że zabrzmiały trochę jak pretensja, więc pospiesznie dodaję: – Napijesz się czegoś?

– Nie, dzięki, kupiłem wodę.

– Jak trening?

– Dobrze.

– A gdzie byłeś?

– Sprawdzasz mnie?

– Czyś ty oszalał? Pytam z ciekawości. Wiesz, jak tak siedziałam w domu, to

pomyślałam sobie, że może jednak dam się przekonać i spróbuję z tobą potrenować. Nie będę biegać tyle co ty, ale może zaczęłabym od jakiegoś krótszego dystansu.

– Pewnie. – Patrzy na mnie jak na dziwadło i żaden mięsień jego twarzy nie zdradza, co myśli o mojej koncepcji.

Myślałam, że się ucieszy.

– Nie cieszysz się?

– Oczywiście, że się cieszę, tylko jestem wykończony. Idę pod prysznic.

Znika na piętrze, rozsiewając po drodze kolejne elementy sportowego stroju. W korytarzu potykam się o fosforyzująco zielone buty, na schodach znajduję opaskę na rękę, a w kuchni na blacie leży bidon, z którego wycieka resztką płynu. Dociera do mnie niekończący się szum płynącej pod prysznicem wody, odgłosy jakiejś szamotaniny i wreszcie Olaf ponownie pojawia się w kuchni.

– Napijesz się wina?

– Dzięki, jestem zmęczony. Przepraszam, ale chyba się położę.

Stoję z rozdziawionymi ustami i spoglądam na niego ze zdumieniem. Przecież jest dopiero dwudziesta. Boże, może jest chory i nie ma odwagi się przyznać?

– Źle się czujesz?

– Jakbyś przebiegła dwadzieścia kilometrów, też byś miała dosyć.

– Raczej bym umarła.

– Sama widzisz.

Fakt. Chyba ma prawo do odpoczynku. Człapię do lodówki i zamiast schłodzonego białego wina wlewam do kieliszka gazowaną wodę, do której wciskam połowę cytryny i wrzucam garść kostek lodu. Upijam łyk i czuję, jak lodowaty kwaśny sok nieprzyjemnym prądem biegnie po nasadzie zębów i zawraca.

Siadam na tarasie i usiłuję czytać. Chwytam gazetę, po chwili przerzucam się na książkę, w której litery zbiegają się w coraz bardziej niewyraźne węże, i wreszcie dochodzę do wniosku, że nic z tego. Ogród po raz pierwszy nie daje mi przyjemności, a czas w nudnym rytmie ledwie przesuwa minuty, składając je w leniwe godziny. Postanawiam się wykąpać i dopiero w pełnej gorącej wody i piany wannie czuję, jak mięśnie się rozluźniają, a chwile beczynności stają się przyjemnością. Coraz chłodniejsza woda wygania mnie z łazienki i w jedwabnej, pełnej koronek i naramek seksownej halce wsuwam się pod kołdrę w sypialni. Znowu zawiedziona zauważam, że nie ma znaczenia, co mam na sobie, bo Olaf, leżąc na brzuchu, cicho pochrapuje. Sięgam więc po pastylkę, po której nawet wystrzał armatni nie jest w stanie mnie obudzić, i zapadam w niespokojny sen.

– Cześć, kochana, co robisz? – Magda ćwierka do słuchawki, a ja się zastanawiam, jaki dziś dzień tygodnia i która godzina.

- Śpię?
- Żartujesz? Wstawaj! Jest dziesiąta trzydzieści.
- Jezu, chyba nie zadzwonił budzik.
- I nie musiał! Jest niedziela!
- A ty co taka radosna?
- Wolałabyś, żebym była smutna?
- Przestań, co ty bredzisz? Pytam, bo kto jak kto, ale ty śpisz do południa.
- Nie dziś i ty też wstawaj. Jedziemy na kawę.
- Jaką kawę? Przyjedź do mnie i wypijemy coś w ogrodzie.

Usiłuję wystawić nogę spod ciepłej kołdry, ale podłoga, mimo że drewniana, nieprzyjemnym chłodem łaskocze mnie po pięcie, co sprawia, że gwałtownie chowam stopę i szczerzej owijam się pościelą.

– O nie, dziś się nie wykręcisz. Fundujemy sobie nową jakość poranka i kawę z ciastkiem wypijemy na Starym.

- Starym Rynku? A w ogóle jest coś otwarte?
- Oczywiście, zbieraj się.

Łatwo powiedzieć. W pierwszym odruchu mam ochotę rzucić się do pokoi dzieci i sprawdzić, co porabiają, ale dopada mnie świadomość, że spędzają wakacje z Anią. Wlokę się więc do łazienki i przyglądam obcej babie w lustrze. Seksowna wieczorem koszulka jest pognieciona, oczy jakimś cudem wyprodukowały kilka warstw opuchlizny, która przypomina ułożone na łóżku poduszki, a na brodzie intensywną czerwienią wykwita pryszcz. Usiłuję się uśmiechnąć, ale zaraz zmieniam mimikę, bo pięciolinie poprzecznych zmarszczek bynajmniej nie wyglądają radośnie. Nie wiem, co Olaf we mnie widzi. Żyję nadzieją, że wstając rano, nie przygląda się mojej twarzy, a jeśli jest inaczej, powinnam chyba zacząć sypiać w kominiarce. Co się z człowiekiem porobiło... Niechętnie nakładam grubą warstwę makijażu, który mimo że drogi, z opilkami złota, liftingujący i odmładzający, nie jest w stanie zamaskować niedoskonałości. W zielonej sukience wyglądam zbyt blado, w żółtą z falbanami się nie mieszczę, a spodnie w ten słoneczny poranek wyglądają zbyt ponuro. Wreszcie wbijam się w granatowy worek z rękawkami do łokcia i usiłuję przybrać pogodny wyraz twarzy. Stroju dopełniają jaskrawe buty na wysokiej szpilce i gdy zastanawiam się, czy zdecydować się na małą czy dużą torebkę, pod bramą parkuje Magda. Rozpromieniona, w zwiewnych spodniach i obcisłym topie jak zwykle wygląda zjawiskowo i kwitnąco. Zaczynam podejrzewać, czy przypadkiem się nie zakochała i nasze poranne spotkanie nie ma czegoś wspólnego z tą nowinką w jej życiu. Tak ze mną kontrastuje, jak pan paw z panią pawiową. Przyjaciółka dostrzega mnie w oknie i na migi, palcem wskazującym pukając w nadgarstek, daje mi znaki, że mam się pospieszyć. Zbiegam po schodach, w korytarzu potykam się o kartkę z nabazgraną informacją, że Olaf poszedł popływać w jeziorze, a potem

biegać, i bez wyrzutów sumienia pakuję się na skórzany samochodowy fotel.

– Słuchaj, wypijemy kawę i koniecznie musimy pojechać do Ewki do sklepu. Podobno ma nową dostawę i musisz mi pomóc podjąć decyzję.

– Więc do tego byłam ci potrzebna. Nie mogłaś od razu powiedzieć? – pytam nadąsana z przykrą świadomością, że mogłam jeszcze poleżeć.

– Nie marudź. Mam ochotę na plotki, a zakupy zrobimy tak przy okazji, ale skoro nie masz nastroju, to nie musimy.

– Spoko. Po prostu chyba nie jestem w formie.

– Co się dzieje?

– W zasadzie nic, ale jakoś nie czuję, że idę do przodu.

– Przesadzasz!

– Może. Pewnie tak, ale tak mi jakoś...

Nie mam szansy rozwinąć myśli ani o jakoś, ani o tak, bo Magda skupiona na drodze wciąż komentuje debili na rowerach, debili w samochodach i debila w tramwaju, który prawie nas staranował. Obserwuję ją spod oka i zupełnie nie potrafię zrozumieć, co jej się stało. Wreszcie udaje nam się zaparkować na jednej z wąskich uliczek prowadzących do Starego Rynku i po chwili już wiem, że włożenie szpilek było największą pomyłką tego poranka. Nie dość, że obcasy wpadają między nierówne kostki chodnika, to jest jeszcze gorzej, gdy docieramy pod ratusz. Kamloty pod nogami są co prawda większe, za to wypukłe i śliskie, a przerwy między nimi stanowią jeszcze większe zagrożenie. Mięśnie łydek boleśnie mi się napinają i poruszam się niemal na palcach. Tymczasem okazuje się, że wcale nie mieszkamy w tak cywilizowanym miejscu, jak to się wydawało Magdzie, bo większość knajp jest otwarta od dwunastej, a w pozostałych poza jajecznicą z chlebem nikt nie serwuje śniadania. Wreszcie, gdy czuję, że nogi wbiły mi się w tyłek, a zdarte obcasy kwalifikują buty do wyrzucenia, docieramy do Pod Ziołami i zamawiamy dwie sałatki i wielkie kawy. Magi zaczyna trajkotać o nowych ciuchach na jogę, a ja, umiejętnie potakując, zastanawiam się, jak daleko stąd zaparkowałyśmy i któredy powinnyśmy wracać, żeby droga była jak najkrótsza.

– Słuchasz mnie?

– Oczywiście.

– I co o tym myślisz?

Nie mam pojęcia nie tylko, co o tym myślę, ale również o czym ona mówiła!

– A, sama nie wiem.

– Bałam się, że właśnie to powiesz. No cóż, chyba jednak podejmę to wyzwanie.

– A konkretnie co miałabyś robić?

– Tak jak ci mówiłam, sama musiałabym przygotować program. Myślałam o takich ogólnie rozwojowych ćwiczeniach dla kobiet.

– A nie musisz najpierw zrobić jakiegoś kursu? Jak masz trenować innych, skoro nie masz przygotowania?

– No naprawdę! Też wymyśliłaś. Oczywiście, że mam przygotowanie. Jak mało kto jestem wytrzymała i kreatywna. Wiesz, nie spodziewałam się, że usłyszę coś takiego od ciebie. – Magi spogląda na mnie spod ciężkich, przedłużanych rzęs i w grymasie niezadowolenia wydyma podejrzenie duże usta.

Pewnie znowu oddała się w ręce jakiegoś znachora medycyny estetycznej. Mam wrażenie, że próbowała już wszystkiego, łącznie z pijawkami i głębokim płukaniem okolicy.

– Słuchaj, nie miałam nic złego na myśli. Tylko martwię się formalnościami, bo gdyby ktoś sobie coś naciągnął, mogłabyś mieć problemy.

– Myślałam o tym, ale wiesz, jak nie lubię egzaminów i tego idiotycznego oceniania przez innych.

– Wiem, ale chyba tego nie obejdiesz.

– No, nie wiem. A gdybym tak umawiała się z kobietami w domach?

– To nie ma znaczenia. Ale co cię napadło, że nagle musisz skupić się na jakiejś pracy?

– No wiesz? Nie muszę, ale chciałabym pomóc innym.

– To zarejestruj się jako dawca szpiku.

– Nie wiem, czy mogę. A poza tym to chyba nie dla mnie i pewnie długo się czeka, a ja mam taki power, że chciałabym robić coś już, teraz.

– No to sama nie wiem.

Magda wygląda jak rozczarowana nastolatka. Skupiam się na czarnej kawie, bezmyślnie mieszając ją łyżeczką.

– Słuchaj, a może u ciebie w knajpie mogłabym coś porobić?

– Gotować, jak za dawnych czasów?

– Nie, no coś ty? Myślałam o porannych zajęciach jogi czy jakimś rozruchu gimnastycznym.

– Ale gdzie? Między stolikami? Raczej tego nie widzę.

– A ja uważam, że powinnaś podejść nowatorsko. Razem możemy stworzyć nową jakość. Nie kręci cię to?

– Może i by kręciło, ale skoro otwieramy o dziewiątej, to o której chciałabyś zaczynać te swoje fiki-miki?

– Choćby o ósmej. Poranny rozruch, śniadanie i do roboty.

– No, nie wiem. – Oczywiście nie widzę tego i nie chcę bałaganu w knajpie, ale nie wiem, jak jej to powiedzieć. Prawdopodobnie najłatwiej byłoby to oznajmić otwartym tekstem, ale jakoś nie potrafię, dlatego za wszelką cenę usiłuję zmienić temat: – Nie uwierzysz, kogo wczoraj spotkałam.

Magda od razu zapomina o sporcie i treningach, pochyla się nad stolikiem i konspiracyjnie zniżając głos, rzuca:

– Dawaj, no, kogo?

– Julitę.

Naszą dawną znajomą, gwiazdę imprez z początków związku z Bartkiem, która obwieszona złotem równie chętnie wisiała na coraz to nowych facetach.

– Nie!

– Naprawdę.

– Jak wygląda? Dalej taka gwiazdula?

– Raczej nie. Mieszka w Berlinie.

– No proszę.

– Nie wyglądała, jakby złapała Pana Boga za nogi. Raczej opadły jej skrzydła. Za wszelką cenę chciała sprawiać wrażenie zadowolonej, ale jak wspomniałam, że czasami się spotykamy i może by do nas dołączyła, raptownie się pożegnała.

– Patrz, a taka była mądrała.

– Nawet nie miałam satysfakcji, patrząc na nią. Wydawała się tak nieszczęśliwa, że zrobiło mi się jej żal.

– Nie przesadzaj. Kto jak kto, ale ona zawsze spada na cztery łapy.

– Bo ja wiem? Ale ty, kochana, wyglądasz kwitnąco, podejrzewam, że na horyzoncie pojawił się jakiś facet...

Magda zachowuje się dziwnie. Kręci się na krześle, a jej policzki przybierają niepokojący odcień czerwieni, zupełnie jakbym przyłapała ją na poważnym wykroczeniu. Najwyraźniej coś jest na rzeczy, nie wiem tylko co. Może facet ma żonę albo inny bagaż?

– Ach, to nic takiego.

– Przecież widzę, jaka zrobiłaś się czerwona.

– Przyłapałaś mnie.

– Opowiadaj!

– W zasadzie nie ma o czym gadać.

– Jak to nie ma o czym? Zwariowałaś? Nowy facet i nie ma tematu?

– Wiesz, to dopiero początek.

– No dobra, ale chyba możesz zdradzić: czy młody, stary, łysy, gruby?

– Starszy, to znaczy trochę starszy, trafiłaś... Łysy, ale za to z brodą, typ artysty.

– Super, a czym się zajmuje?

– Ma swoją firmę.

Muszę wyciągać z niej każde słowo, nie marząc nawet o tym, że pojawią się między nimi zdania wielokrotnie złożone.

– A jaką? Bardziej McDonald czy garaż?

– Coś pomiędzy...

– OK, nie chcesz mówić, to nie będę cię ciągnąć za język. – Nadymam się

i trochę obrażam, bo przecież się przyjaźnimy i dotychczas, poza epizodem sprzed kilkunastu miesięcy, raczej byliśmy w stosunku do siebie do bólu szczerze.

Skupiam się na połyskującym w przedpołudniowym słońcu złotym zegarze ratusza. Siedzimy tak długo, że jeszcze chwila, a pojawią się koziółki, zresztą pierwsze dzieciaki już zadzierają głowy. Mamy upalny dzień. Może wreszcie uda mi się spędzić kilka upojnych godzin na leżaku w ogrodzie.

Mam złe przeczucia. Choć przed domem nie stoi żaden obcy samochód, wydaje mi się, że w środku jest ktoś, kogo nie mam ochoty oglądać. Ktokolwiek to jest, nie powinno go tam być. Przecież to dzień tylko dla mnie, bez dzieci, w pełnym słońcu, na leżaku, z liściem na nosie i solidną warstwą kremu do opalania na plecach. Zakradam się do drzwi i przez grube drewno docierają do mnie odgłosy burzliwej dyskusji. Gdy rozważam, czy wejść, czy jednak uciec, drzwi się otwierają i staje w nich Olaf.

– Nareszcie jesteś. Widziałem, jak otwierałaś furtkę.

Wygląda jak ktoś, kto za chwilę popełni samobójstwo, tylko jeszcze nie zdecydował, w jaki sposób pozbawi się życia.

– Co się dzieje?

– Sam nie wiem.

– Słyszałam jakieś wrzaski.

– Mamy gości.

– To słychać już na ulicy.

Z salonu docierają głosy. Najwyraźniej oponentem jest teściowa, przypierana do muru przez matkę Olafa. Nie mam czasu się zastanowić, o co chodzi, bo już po chwili jestem zmuszona zająć miejsce sekundanta.

– Nina, chodź tu, proszę! – Głos teściowej nie tylko nie pozostawia złudzeń co do jej bojowego nastroju, ale również zapowiada, że pani Ola nie znieśnie odmowy.

Wchodzę do salonu, który miał mnie przytulić ciszą i poduchami kanapy, i znajduję się w oku cyklonu. Wszędzie porozstawiane są filiżanki z niedopitą kawą i herbatą, obok zrobiły spocznij szklanki z resztkami wody i soków, które skapując, pozostawiły paskudne plamy na blacie ławy. Mam tylko nadzieję, że jak goście się wyniosą, nie odkryją lepkich śladów ich bytności również na kanapie.

– Dzień dobry.

Nikt mi nie odpowiada. OK, dla mnie ten dzień też nie jest najweselszy, ale myślałam, że chociaż się przywitamy. Tymczasem rodzice Olafa zachowują się, jakbym to ja była intruzem w ich domu. Patrzą na mnie spod ciężkich powiek i z wyrzutem mówią jednocześnie:

– Nareszcie jesteś.

– Właśnie, gdzie ty się obracasz? – Teściowa na chwilę zapomina, z kim walczy, i skupia całą uwagę na mojej skromnej osobie.

Uznaję, że nie ma sensu rozprawać o prawach, które mam jako wolny człowiek, więc dostosowuję się do ciężkiej atmosfery, jaką tak zgrabnie zbudowali w moim salonie.

– Co się stało?

– Jak to co się stało? Czy ty wiesz, że ci państwo chcą ze mną zamieszkać? To się w głowie nie mieści.

– Przecież sama teściowa to zasugerowała.

– Nie żartuj!

– Przecież czuła się teściowa coraz gorzej i zabiegała, żeby ktoś był w domu i jej pomógł.

– Nigdy nie mówiłam o wspólnym mieszkaniu!

– Jak to nie? – Matka Olafa wstaje z kanapy i niczym bokser na ringu z wypiętą obfitą piersią naciera na chudą i bladą Aleksandrę. Ta mimo kruchości ciała najwyraźniej pozostaje wielka duchem i nie dość, że nie cofa się o krok, to robi dwa do przodu. Jeszcze chwila, a dwie starsze panie szepią się w zapaśniczym pojedynku. – Mówiłaś, że masz w ogrodzie pusty domek i że możemy tam pomieszkać.

– Oczywiście, że mam! Ale jak się wprowadzicie, to się was nie pozbędę.

– Wiesz co?! Mam serdecznie dosyć! Jak czegoś potrzebujesz, to jesteś milutka, a teraz nas obrażasz!

– Bez przesady!

– Co bez przesady? A może nie wpadałam robić ci tych przecieranych obiadków? Jakbyś mogła, tobyś mnie poprosiła o wycieranie tyłka, ale jak tylko trochę lepiej się poczułaś, to od razu skaczesz nam do oczu.

– Mam prawo się bronić.

– A masz, oczywiście, że masz! Lepiej powiedz prawdę o tej swojej chorobie.

Pani Ola nagle cichnie i spuszcza z tonu.

– Nie waż się mówić nic więcej.

Podczas gdy zastanawiam się, jaką to straszną diagnozę postawił lekarz i ile pozostało jej czasu, i że może to moment, gdy należy sobie przebaczyć i zapomnieć winy, skądś, jak zza kurtyny, docierają do mnie szorstkie słowa:

– No powiedz jej, że to wszystko bujda! Przyznaj się. Co, nie masz odwagi?

– Przestań, nie kłam.

– Ja kłamię? A kto sobie wymyślił tego raka? Może ja? Niby taka jesteś chora? Jesteś zwykłą oszustką, która za wszelką cenę chce zwrócić na siebie uwagę.

– Skończ.

– Dopiero zaczęłam! A te twoje chustki na głowie to może nie jest oszustwo? Nie wstydz się, pokaż, jaką masz łysą głowę.



– Niczego nie będę pokazywać, a ty się lepiej sama lecz! Najwyraźniej nienawiść wygryzła ci dziury w mózgu.

– Mnie wygryzła? Myślisz, że jak będziesz udawać śmiertelnie chorą, to Robert do ciebie wróci? Naiwna jesteś! Zwyczajnie głupia.

Stoję jak bohaterka jednej ze sztuk Mrożka i nie potrafię zagrać swojej roli. Zupełnie się pogubiłam i nie mam pojęcia, jakim jestem aktorem. Obrazy zaczynają się układać w spójną całość. Nad wyraz dobre samopoczucie po chemioterapiach, włosy, które widziałam na jej głowie kilka dni temu, i te namolne telefony do teścia, i roszczeniowe wizyty u mnie.

– Czy to prawda?

Teściowa osuwa się na fotel i teatralnym gestem chowa twarz w dłoniach. Jej postać wydaje się jeszcze bardziej krucha niż zazwyczaj. Dla odmiany moja druga potencjalna teściowa głośno hiperwentyluje odwrócona do nas plecami, tak że niestety nie mogę dostrzec jej twarzy i malujących się na niej emocji.

– Czy to prawda?

– Dajcie mi wszyscy święty spokój.

– Z pewnością damy, ale najpierw należy się nam prawda.

– Nic ci się nie należy, nikomu nie muszę się tłumaczyć. Jestem sama z tym wszystkim! Mam was dosyć! Życia mam dosyć! Wszystkiego!

Nim udaje mi się ochłonąć, pani Ola gwałtownie wstaje. Kolorowe nakrycie głowy zahacza się o jeden z guzików miękkiego oparcia i teraz przekrzywione uwalnia długi, skręcony kosmyk włosów. Teściowa nie zwraca na to uwagi, prąc prosto do drzwi wyjściowych. Nie usiłuję jej powstrzymać, uświadamiając sobie, że jej zachowanie najdobitniej świadczy o tym, że ktoś tu mija się z prawdą, i tym kimś najprawdopodobniej jest właśnie ona. Drzwi trzaskają i zapada ciężka cisza. Opierający się o parapet Olaf wygląda jak atrapa mężczyzny. Nie wykonuje najmniejszego ruchu, najwyraźniej oczekując, że sprawa jakoś sama się zakończy. Tymczasem jego rodzice wyraźnie się odprężają i zaczynają się zastanawiać nad rodzajem herbaty, którą mogliby sobie zaparzyć. Jestem przytłoczona, czuję się oszukana i zmanipulowana, dlatego postanawiam nie odpuszczać i doprowadzić temat do końca.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, co się tu dzieje?

Cała trójka spogląda na mnie, chyba nie rozumiejąc, o co mi chodzi.

– Słyszałaś wszystko.

– Najwyraźniej nie wszystko. Czy może mi pani powiedzieć, co miała na myśli, mówiąc, że teściowa wcale nie jest chora?

– Bo nie jest chora.

– Przecież miała nowotwór. Jest już wyleczona?

– Ależ ty jesteś naiwna, dziecko! Nigdy nie miała raka. Wymyśliła to sobie, żeby mąż do niej wrócił.

– Nie wierzę.

– A jednak. Myślała, że weźmie go na litość. Ależ to żalosne. Jak można tak nisko upaść?

Jestem zdruzgotana. Dotychczas myślałam o sobie, że jestem bystrą, inteligentną kobietą, tymczasem dałam się podejść cwanej staruszce! W dodatku przeżywałam jej pobyty w szpitalu, czekałam na kolejne wyniki i gotowałam cholerne rosółki na perliczkach i bażantach. Nawet się zastanawiałam, czy może szukać dla niej możliwości konsultacji u kolegi lekarza. Ależ bym się zbłądziła!

– Czy teść wie o tej mistyfikacji?

– Nie sędzę.

– Boże.

– Właśnie, Boże. Taka z niej niby pobożna kobieta, a ma sumienie, żeby tak wszystkich oszukiwać.

– Od kiedy wiecie?

– Trudno powiedzieć...

– Od kiedy! – Podchodzę do niej na odległość metra i przewiercam na wylot spojrzeniem.

Czuję na sobie wzrok Olafa i podejrzewam, że jest niechętny moim natarczywym pytaniom. Spod okna dobiega mnie jego znużony głos:

– Nina, daj spokój, nie warto się denerwować.

Nie mam ochoty na niego nawet patrzeć, a co dopiero słuchać jakichś rad. Może wiedział o wszystkim i również brał udział w tej szopce. Udziela mi się paranoja.

– No to od kiedy wiecie?

– Bo ja wiem? Nie pamiętam.

– Od wczoraj, od tygodnia, miesiąca?

– Raczej to drugie.

– Tygodnia czy tygodni?

– Raczej to trzecie.

– I nic mi nie powiedzieliście! Nie wierzę.

– Ola tak bardzo prosiła...

– A wam nie przyszło do głowy, że się stresujemy i że to nie w porządku? Wielkie dzięki.

– To wasze sprawy, nie chcieliśmy się wtrącać.

– Ale się wtrąciliście, i to na całej linii. Jak długo mieliście zamiar szantażować mnie rakiem? Jak można być tak pozbawionym uczuć, żeby coś takiego wymyślić?

– O to już musisz pytać kogoś innego.

Oczywiście, że zapytam! Przede wszystkim muszę się spotkać z teściem i wszystko mu wyjawić, bo jeszcze chwila, a sam zapadnie na jakąś chorobę ze

stresu.

– Przepraszam, ale chciałabym zostać sama.

Patrz na mnie podejrzliwie, jakbym oświadczyła, że mam zamiar podciąć sobie żyły i proszę, żeby na chwilę wyszli, by nie oglądać krwi.

– To idź na górę, połóż się, a my tu wszystko posprzątamy.

– Nie zrozumieliśmy się, chcę zostać sama w domu, a nie w pokoju na piętrze.

– Mamy sobie iść?

– Tak.

– Wypraszasz nas! Nie do wiary, jak ludzie są wychowani. I toto ma dzieci i tak samo je uczy, a potem na starość będzie się dziwić, że nie ma chętnych do opieki. Ja nie wiem, dokąd zmierza ten świat.

Milczę, z ręką na poręczu schodów, i myślę, że nasze światy nie tylko zmierzają w odrębnych kierunkach, ale trajektorie ruchu ich galaktyk nigdy się nie przetną. Olaf, coś tłumacząc i gestykulując, odprowadza ich do furtki, zupełnie jakby się obawiał, że jednak zawrócą i zaparzą sobie kolejną filiżankę kawy. Nie wiem, co bardziej mnie złości: to, że zostałam zmanipulowana, czy to, że wobec takich manipulacji w zasadzie jestem bezradna. Olaf cicho otwiera drzwi i sprawia wrażenie, jakby miał zamiar przemknąć się niezauważenie na piętro i ominąć element wyjaśnień, których od niego zażadam.

– Możesz mi powiedzieć, jakim cudem znowu wbili się na chatę podczas mojej nieobecności?

– Sam nie wiem. Poszedłem pobiegać, a jak wróciłem, twoja teściowa stała już pod furtką. Po chwili pojawili się moi starzy.

– To trzeba było biec dalej, a nie wpuszczać ich wszystkich do domu. Boże, to miał być taki spokojny, cudowny dzień.

– Mam dosyć tych wszystkich towarzyskich wygibasów i twoich pomysłów na to, żeby omijać ich szerokim łukiem.

Szykujemy się do ostrej wymiany zdań, o czym świadczą chociażby nasze napinające się mięśnie.

– Czy ty siebie słyszysz? Masz dosyć czego? Tego, że twoi rodzice zagarnęli moją przestrzeń, a gdyby im na to pozwolić, zamieszkaliby tutaj w try miga? Czy może tego, że teściowa zgrywa się na śmiertelnie chorą i przyłazi tu marudzić, podczas gdy nic jej nie jest? Czy może tego, że jestem tym wszystkim wykończona? Czego ty, człowieku, nie rozumiesz?

– Tego, że nie możesz poddać się temu, co niesie los.

– Gdybym poddała się losowi, moje dzieci już dawno byłyby w rodzinie zastępczej, a ja w wariatkowie. I wiesz co, ja biorę, co przynosi los, tylko ty jakoś nie wspomniałeś, że jesteś w pakiecie z mamusią i tatusiem.

– Nie będę w ten sposób rozmawiać.

– Oczywiście, najlepiej się obraż i poczekaj, co przyniesie ci los.  
– Porozmawiamy, jak się uspokoisz.  
– Na to nie licz. Albo dokończymy tę rozmowę teraz, albo...  
– Albo co? No, wyduś to z siebie.  
– Czy ty nie rozumiesz, że mam prawo być zdenerwowana?  
– Rozumiem, ale nie musisz tak reagować.  
– Czyli jak?  
– Wrzaskiem.  
– Muszę, bo to przynosi mi ulgę. A jak widzę ten twój wystudiowany spokój, to, wierz mi, ciśnienie podnosi mi się jeszcze bardziej.  
– Powinnaś się nauczyć panować nad emocjami.  
– A ty nad swoimi rodzicami.  
– Przestań się ich czepiać! Oni chcą dla nas jak najlepiej.  
– Gdyby tak było, to nie właziliby tu z butami i nie przekładali mi rzeczy w szafach. Wszystko ma swoje granice. Przecież mieli kupić mieszkanie i co?  
– I kupią! Wyobraź sobie, że kupią.  
– Kiedy?  
– Jak odzyskają pieniądze od tego gościa.  
– Czyli na święty nigdy!  
– A właśnie że w tym tygodniu mają otrzymać pierwszą transzę, a w przyszłym resztę! I co, zdziwiona?  
– Pociąg mi tu przejedzie.  
– Wiesz, ty chyba ich po prostu nie znosisz.  
– O, kochany, znoszę ich w swoim domu prawie każdego dnia przez kilka godzin, więc nie wyjeżdżaj mi tu z czymś takim. I jak nikomu na świecie zależy mi na tym, by dostali tę kasę i kupili mieszkanie, nawet z widokiem na morze.  
– A mnie się wydaje, że jesteś upośledzona emocjonalnie.  
Słowa są niczym wytrysk jadu i piekącymi kroplami przenikają skórę. Olaf sam zauważył, że przekroczył cienką granicę, zza której powrót jest niemożliwy.  
– Przepraszam.  
– Przegiąłeś.  
– Wiem i jest mi przykro.  
– Mam w dupie twoje przykro. Powiedziałeś to, co naprawdę myślisz.  
– Nina, przecież wiesz, że tak nie myślę. Chciałem ci tylko dopiec.  
– To ci się udało, a teraz spadaj, nie mam ochoty kontynuować tej dyskusji.  
Podczas gdy on w poczuciu winy spada z kolejnymi filiżankami i szklankami do kuchni, zamykam się w łazience na piętrze i mimo że staram się powstrzymać, łzy wzbierają mi w oczach i naciskają na nasadę nosa. Osuwam się po ścianie i z twarzą schowaną w białym puchowym szlafroku zaczynam rozpaczliwie szlochać. Na materiale pojawiają się pierwsze czarne plamy tuszu do rzęs i choć

próbuję się opanować... nie potrafię. Nie mam pojęcia, jak to się dzieje, że wypływają ze mnie strugi słonych łez, a przed oczami pojawiają się te wszystkie chwile, gdy czułam się przez kogoś skrzywdzona czy niesprawiedliwie potraktowana. Nacieram się nieszczęściem niczym najdroższym balsamem i pozwalam, by przeniknęło przez skórę do każdego narządu, aż ciało staje się bezwładne, opuszczone przez duszę i rozum. Dobrze, że nie ma dzieci, bo widząc, co się ze mną dzieje, najpewniej przeżyłyby kolejną traumę.

Nie wiem, ile czasu spędzam pod wieszakiem z ręcznikami i ile razy słyszę dobijanie się do drzwi przez Olafa. Zapadam się w sobie, by sięgnąć dna. Wiem, że za chwilę spróbuję się podźwignąć, ale jeszcze nie teraz.

Budzę się ścierpnięta na łazienkowym dywaniku, przykryta poplamionym szlafrokiem. Płytki są zaskakująco zimne i przewidywalnie twarde, tak że mam wrażenie, jakby ktoś mnie pobił. Nie czuję ramienia, rękę mam zdrętwiałą, a stopy lodowate. W pierwszej chwili nie wiem, co tu robię, jednak pamięć zaraz podsuwa obrazy sprzed paru godzin. Z trudem wstaję i przyglądam się twarzy w lustrze. Kobieta, która patrzy na mnie ze szklanej tafli, wygląda jak moja świętej pamięci babcia. Na mapie mojej twarzy w tych samych miejscach co u babci Stefanii pojawiły się głębokie bruzdy, a siatki zmarszczek otoczyły oczy i kąciki ust. Płacz sprawił, że obudziłam się dziesięć lat starsza i bardziej zdeterminowana, żeby odciąć się od niepotrzebnych, toksycznych ludzi. Biorę gorący prysznic przeplatany biczami zimnej wody, by pobudzić ciało do życia, i udaję się do telefonicznego konfesjonału. Wybieram numer Magdy.

– Co tam? – dyszy w telefon, jakby uprawiała seks, ale prawdopodobnie jest zajęta tylko kolejną serią podrzutów sztangi.

– Źle.

– Znowu nawiedziła cię teściowa?

– Gorzej, pokłóciłam się z Olafem. Ale masz rację, również odwiedziła mnie teściowa i rodzice Ola, którzy uświadomili mi, że jej nowotwór to wielka ściema.

– Nie gadaj. – Najwyraźniej odłożyła ciężary, bo jej oddech się wyrównuje, a głos staje się coraz spokojniejszy. Po chwili wypytuje mnie o wszystko, taktownie przytakuje, zaprzecza w chwilach, gdy tego oczekuję, i upewnia mnie, że słusznie zrobiłam i niewiele mam sobie do zarzucenia.

– A co Olaf na to wszystko?

– Jeszcze z nim nie rozmawiałam.

– Wiesz, dla niego to też stres.

– Wiem, ale w tej chwili niewiele mnie to obchodzi.

– Ale skoro go kochasz, to powinno.

– Słuchaj, po której jesteś stronie?

– Zawsze po twojej, przecież wiesz. Spróbuj z nim pogadać.

– Może masz rację, ale naprawdę nie mam na to ochoty.

- Daj spokój, przejdzie ci. Zobacysz. Chlapnął coś w gniewie.
- Właśnie. W złości mówi się to, co się myśli.
- Ja na twoim miejscu poważnie bym z nim porozmawiała.
- Myślisz, że powinnam?
- Oczywiście! I pamiętaj, nikt nie ma prawa źle cię traktować. Przecież bez niego radziłaś sobie doskonale.
- Niby tak, ale wydawało mi się...
- To niech ci się nie wydaje! Skup się na sobie, na tym, co teraz i gdzie chcesz być za rok. Może wcale nie z nim.
- Nie, no coś ty, nawet tak nie mów.
- Nic nie sugeruję, ale musisz to jakoś ogarnąć.

Pleciemy jeszcze trzy po trzy, w wersji ogólnej o tym, jacy beznadziejni są faceci, a my oczywiście nadziejne i troskliwe. Trochę przez nich skrzywdzone, a jednak niepotrafiące bez nich żyć, i wreszcie się rozłączamy.

Uznaję, że szczytem upokorzenia byłoby pokazanie się w takim wydaniu, dlatego pospiesznie nakładam grubą warstwę fluidu i tuszuję rzęsy. Puder mości się w zagłębieniach skóry i zamiast maskować zmarszczki, mam wrażenie, że je uwidacznia. Cholera.

Wreszcie otwieram drzwi łazienki i kulam się do salonu. Po gościach nie ma śladu. Zniknęły wszystkie dowody ich obecności, łącznie z plamami po soku. Zmywarka dyszy ostatnią parą, a koty przeciągają się na okiennym parapecie.

– Olaf!

Odpowiada mi cisza. Zaglądam do ogrodu i garażu, ale dom jest zamknięty od zewnątrz i jestem w nim sama. Budzi to moje rozczarowanie, bo jednak naiwnie liczyłam na to, że mój facet będzie czekał skruszony na kanapie. Nie zostawił żadnej informacji, dokąd poszedł, więc nawet nie wiem, kiedy wróci. Gdy dzwonię na jego komórkę, słyszę dźwięk telefonu w sypialni i już wiem, że po prostu muszę czekać.

Zastanawiam się, co on widzi w tym wiecznym bieganiu, pływaniu i jeździe na rowerze. Od jakichś dwóch tygodni ledwie udaje mi się zaparkować w garażu, bo dzielę go z czarnym dwukołowcem oklejonym tysiącem naklejek, z beczelnie świeącymi szprychami. Oczywiście jego rower pojawił się nie po to, byśmy jeździli na rodzinne wycieczki po lesie, lecz by Olo mógł jeszcze skuteczniej zniknąć na kolejne godziny.

Ciało Olafa z tygodnia na tydzień staje się coraz bardziej żylaste i twarde, a mięśnie rysują się pod skórą. Jak tak dalej pójdzie, mój facet zamieni się w kupę mięśni, zajęta tylko samodoskonaleniem i biciem własnych rekordów wytrzymałości i szybkości. Zupełnie nie rozumiem gości, którzy w tak zwanym wieku średnim stawiają sobie za cel udowodnienie, że nie tylko dorównują dwudziestolatkom, ale biją ich na głowę. I te wszystkie ich maratony i inne kieraty.

Tylko czekam, kiedy Olo wpadnie na pomysł zdobycia korony Ziemi i zacznie uprawiać wspinaczkę wysokogórską.

Parę tygodni temu nastawiałam się na to, że tyle samo wysiłku włożę w maraton co w poszukiwania pracy. Ale od jakiegoś czasu mam wrażenie, że nawet gdyby posada stanęła przed naszymi drzwiami, nie byłby nią zainteresowany, wyczuwając jej kolizyjność z godzinami spędzonymi na siłowni.

Zamiast pogrążyć się w smutku, pompuję się i czuję, że jeszcze chwila i zacznę sama się nakręcać. Gdy rozważam, czy zjeść kawałek ciasta i z kawą usiąść na leżaku, czy może wyciągnąć rower i wybrać się na przejażdżkę, dzwoni telefon. To sprawia, że automatycznie wygrywa wizja kawy i ciastka. Teść. Po tym, jak się wita, wiem, że jest zdenerwowany i wściekły. Następnym razem, żeby mi dowalić.

– Słucham.

– To prawda?

– Co?

– Że Ola nie ma nowotworu?

– A skąd teść o tym wie?

– Dzwoniła do mnie przed chwilą zapłakana, że jej nie wierzysz i wmawiasz wszystkim, że wcale nie jest chora.

– Nic nikomu nie wmawiam! Sama się dzisiaj o tym dowiedziałam od rodziców Olafa, z którymi najwyraźniej tak się zaprzyjaźniła, że wypaplała swoją tajemnicę.

– Nie uważasz, że to jakaś paranoja?

– Uważam.

– Jestem skołowany i już sam nie wiem, w co wierzyć.

– To jest nas dwoje.

– Słuchaj, a jeśli to prawda?

– To należy się cieszyć, że teściowa jednak jest zdrowa.

– Ale po co by robiła takie rzeczy?

– Ponoć po to, żeby teść do niej wrócił.

– No popatrz. Ona musi mnie jednak kochać.

– Tak czy siak, chyba nie pogodziła się z tą sytuacją.

– Ale przecież ja nie mogę do niej wrócić!

– Tego to ja już nie wiem.

– Czuję się bezradny. Ani ty, ani Żabcia nie chcecie mi pomóc podjąć decyzji.

Trudno oczekiwać, że będę podejmować decyzje za emerytowanego mecenasa w zakresie tego, kogo ma kochać bardziej, a kogo mniej.

– To raczej teść powinien wiedzieć, co czuje, ale mam wrażenie, że teściowa pogrywała z nami wszystkimi.

– O, to to. Chyba muszę się z tobą zgodzić. Z drugiej strony, tyle lat razem przeżyliśmy i jakoś się do siebie przyzwyczailiśmy.

– Ale chyba związał się teść z kimś innym.

– Żabcię, to ci powiem, kocham całym sercem.

– No to już wybór dokonany.

– To nie takie proste.

Zostawiam go z tym dylematem i kończę rozmowę, mówiąc, że idzie listonosz i muszę mu otworzyć. Co za banał, ale skuteczny.

Dzień chyli się ku wieczorowi, a miasto spowija zapach nadchodzącej burzy. Na masywnym tarasowym stole stawiam lampion, który chroni niespokojny płomień świecy. Wpatruję się w jej migotliwy blask i długi cień, który kładzie się na ciemnym drewnie. Las szumi niespokojnie, przeczuwając nawałnicę. Pierwszy grzmot poprzedzony złocistym otwarciem nieba uwalnia ciężkie krople deszczu, a wystraszone koty przybiegają nie wiedzieć skąd i wpadają do salonu. Otulona kocem siedzę wciśnięta w załom muru, chroniąc się pod dachem tarasu.

Oczywiście nie słyszę powrotu Olafa i gdy niespodziewanie mówi „cześć”, podskakuję jak żaba na chodniku.

– Ale mnie wystraszyłeś.

Spogląda na mnie spod rowerowego kasku i mruży oczy. Nie tylko czuję jego czujny wzrok na sobie, ale niemal słyszę przewijające się w głowie słowa, które usiłuje wybrać na rozpoczęcie rozmowy. Oczywiście pada na najgorsze i Olaf pyta, czy mi przeszło. Nawet jeśli tak, to właśnie wróciło!

– A jak myślisz?

– Nie wiem, ale nie lubię takich napięć między nami. To wszystko nas przerosło i chciałem cię przeprosić.

– Spoko.

– Ale chciałbym też usłyszeć to od ciebie.

– Co?

– Przepraszam.

– Chyba cię pogięło! Niby za co?

– Że się uniosłaś, krzyczałaś, a potem obraziłaś.

– Daj spokój. – Wstaję wściekła, zdmuchuję świeczkę i zawinięta w koc niczym Beduinka wchodzę do domu.

Wszędzie jest ciemno, a wiatr usiłuje wyrwać otwarte okna. Słyszę, że Olo idzie tuż za mną. Niemał czuję jego oddech na karku, jednak zamiast unosić się miłosnym szczęściem, odczuwam chłodny grobowy powiew.

– Naprawdę chciałbym się pogodzić.

– To się gódź, a nie stawiaj warunki. Raczej proste, co?

– Ale mnie też było przykro.

– I dlatego wygadywałaś to wszystko?



– Niby co?

Prostą drogą zmierzamy do wrywania sobie włosów i emocjonalnej szarpaniny, a przecież nie o to chodzi. Biorę głęboki oddech i zaczynam tradycyjne odliczanie. Dziesięć, dziewięć, cztery, zero.

– Dobrze, zapomnijmy o tym, tylko obiecaj mi, że to się nie powtórzy.

– OK, obiecuję, ale...

– Przestań z tym cholernym ale! Też obiecuję, że nad tym popracuję. Zadowolony?

– Owszem. – Odkłada kask na stół w kuchni i dłonią przeczesuje spocone włosy. Wydaje się wyższy, niż zapamiętałam, i jakiś taki bardziej poważny. Chyba po raz pierwszy prezentuje mi stronę, której dotychczas nie znałam. – Zrób kolację, a ja pójdę pod prysznic i zaraz zejść.

– Ale ja nie jem kolacji.

– Więc zrób mi jakąś sałatkę na zgodę, może być z jajkami.

– Zrobię ci bułkę.

– Przecież wiesz, że jestem na diecie i nie mogę jeść takich rzeczy.

Poddaję się. Mój facet znika pod prysznicem, a ja jak idiotka stoję przed otwartą lodówką i usiłuję wybrać pasujące do siebie składniki sałatki, omijając te napakowane złymi węglowodanami i tłuszczami, a skupiając się na tych pełnych energetyzujących witamin walczących z wolnymi rodnikami i nadmiarem cholesterolu. Przyglądam się ubłoconym koślawym marchewkom, które zapaskudziły całą szufladę, i dziwnemu serowi przypominającemu mosnę, który ma bardzo krótką datę ważności, za to kosztował więcej, niż wydaję na obiad w restauracji. Skąd Olaf wytrzasnął te wszystkie rzeczy i dlaczego to ja musiałam za nie zapłacić, skoro od jakiegoś czasu żywię się praktycznie płatkami?

Wreszcie polewam wielki talerz zieleniny, tu i ówdzie upstrzony przepiórczymi jajkami, gęstym sosem na bazie miodu i cytryny i z kieliszkiem czerwonego wina w ręku czekam, aż mój książę się pojawi. Mijają kolejne minuty, burza nabiera rozpędu, a jego nadal nie ma. Zniechęcona czekaniem wchodzę po schodach i przystaję w pół kroku, nasłuchując odgłosów rozmowy, która najwyraźniej od jakiegoś czasu odbywa się w łazience.

– Mówiłem ci, że to nie jest dobry czas.

– ...

– Tak, oczywiście, że powiem. Słuchaj, muszę kończyć.

– ...

– Tak, ja ciebie też.

Kurwa, o co tu chodzi? Cicho i szybko zbiegam ze schodów, a grzmoty ułatwiają mi ucieczkę, tak że po chwili siedzę z bijącym sercem na kanapie w salonie. Ręka drży mi tak bardzo, że nie mogę utrzymać kieliszka. Olaf zastaje mnie wyraźnie poruszoną, bo pyta, co mi się stało.

- Nic.
- Jakaś błąda jesteś.
- Z kim rozmawiałeś?
- Podśłuchiwałaś? Z mamą.

Pewnie czyjaś mamą, ale raczej nie jego, bo nie wiedzieć czemu robi się nerwowy.

- Tak mi się wydawało, że słyszę, jak z kimś rozmawiasz.

Ulga rozsiada się na jego twarzy, ale skupiony wyłącznie na sałatce wzrok jednoznacznie wskazuje, że coś jest nie tak.

- Coś się stało?
- Nie, tak. Chyba nie.
- To stało się czy nie?
- Rodzice dostali kasę i prosili, żebym pomógł im szukać mieszkania.
- To świetnie. A gdzie, w Poznaniu?

Liczę na to, że jednak docenili urok Krakowa albo zawartość jodu w sopockim powietrzu, jednak niestety nasze miasto w pełni ich oczarowało.

- Oczywiście, a niby gdzie?
- Tak tylko pytam, myślałam o obrzeżach miasta.
- Przecież matka nie jeździ samochodem, więc muszą mieć blisko do tramwaju czy autobusu.

Wszystko we mnie szczebiocze ze szczęścia. Do mnie dociera jeden autobus, i to raz na godzinę, o tramwaju nie wspominając, więc nie ma opcji, żebyśmy zostali sąsiadami. Odhaczam po mojej stronie wielki plus. Po chwili niestety muszę obok dopisać równie gruby minus, bo lokalizacja ma być w centrum, ale w prostej linii do nas. Cholera.

Nim Olaf kończy sałatkę, dowiaduję się o mnóstwie deweloperów, którzy zachęcają, żeby związać się z nimi hipoteką. Jedne mieszkania są dla młodych, inne dla starych, którzy w reklamach określani są jako bardziej wymagający, z nieodłączną laską na zdjęciu, ekologiczne lub z widokiem na las, a od nazw osiedli aż kręci się w głowie. Wszystkie obiecują kawałek własnego rajku na ziemi i zapowiadają wyjątkowy komfort życia.

W kolejnych dniach przez dom przewalają się pliki kolorowych prospektów i ulotek. Hasła krzyczą: *Budujemy twoje marzenia*, *Dom z klimatem*, *Kamienica marzeń*, wszyscy kuszą nowym etapem budowy, szybkim terminem i banalnymi tysiącami za metr kwadratowy, i w każdym z tych przypadków coś się nie podoba albo mnie, albo matce Olafa, albo ojcu, albo jemu samemu. Mam wrażenie, że mam do czynienia z kompletnym wariatkowem, bo nagle okazuje się, że takie rzeczy, jak klimatyzacja, filtry powietrza czy okna o takim, a nie innym poziomie szczelności są dla starszej pary niezbędne. Szczytem było zastanawianie się nad podwójnym garażem, a argument, że mają tylko jeden samochód i drugiego raczej

mieć nie będą, nie okazał się przekonujący.

Raz las jest za blisko, innym znów razem za daleko, uroczy strumyk płynący przez osiedle okazuje się tylko wylęgarnią komarów, a z kolei pusty plac z boku stanowi zagrożenie, że powstanie tam kolejne centrum handlowe.

W końcu zostaje ustalone, że potencjalni teściowie, którzy od zawsze mieszkali w małym swojskim domku, marzą o apartamencie na wzór tych na Manhattanie i skrupulatnie omijają wszystko, co nie wpisuje się w ich wyobrażenia. Nie wiem, jak przetrwam etap wybierania tapet i kafli do łazienki.

Olaf zaangażował się całym sobą i nie chce słyszeć o niczym innym. Oczywiście nie ograniczył ani liczby, ani tym bardziej czasu trwania treningów, za to chyba zupełnie zarzucił szukanie pracy, czym jestem przerażona.

W sumie powinnam być pod wrażeniem parametrów mieszkań, jakie zestawia i porównuje, jednak dla mnie jedynym istotnym kryterium jest odległość, jaka będzie nas dzielić – oczywiście im większa, tym lepiej.

Ceny bardzo się różnią, ale i tak wydaje mi się, że zakup mieszkania nawet w dolnej granicy bólu jest wyczynem, na który rodzice Olafa nie powinni móc sobie pozwolić. Tymczasem okazuje się, że dysponują o wiele większą gotówką, niż mogłam się spodziewać, i nawet zaczęli przebąkiwać, że może on również powinien rozejrzeć się za czymś własnym. Jestem w szoku.

Oczywiście moje dotychczas tak fantastyczne mieszkanie już takie nie jest. Wytykają nie tylko brak klimatyzacji i wąską klatkę schodową, ale również krzywiznę ścian i odpadający na bocznej ścianie garażu tynk. Doprowadzają mnie tym do szału, bo zaczynam dostrzegać mankamenty, których dotychczas nie widziałam. Krzywy filar na tarasie, no, zaledwie odrobinę odchyła się od pionu, ale jednak, brak moskitier w oknach, co ponoć jest już standardem, i niepraktyczną łazienkę na dole, gdzie każdy obija się o wystającą umywalkę. Oczywiście jak na tę liczbę mieszkańców nasza powierzchnia życiowa jest ograniczona, do czego sama doszłam już jakiś czas temu, ale licząc na to, że pewni goście będą tu coraz rzadziej i krócej bywać, nie przejmowałam się tym zbytnio.

Wraz z nową mieszkaniową perspektywą rodzice Olafa starają się nabrać pewnego miejskiego sznytu i przyjechali do nas na dwóch ciężkich miejskich rowerach ubrani, a raczej przebrani w jakieś sportowe ciuchy z nieproporcjonalnie wielkimi poduszkami wszytymi w lateksowe spodenki. Wyglądali jak dzieciaki z pełnymi pampersami, a wieczorem skarżyli się na otarcia w wiadomych miejscach. Miejskiego szyku zadają też, chodząc na espresso – które do niedawna zamawiali jako ekspresso – do różnych małych kafejek, co rodzi w nas obawy, że ich żyły mogą nie wytrzymać gwałtownego przepływu krwi.

Za namową Olafa spotkali się z dietetykiem i teraz szukają siłowni, na której mogliby spalić nadmiar tłuszczu i uruchomić partie mięśni, o których istnieniu przez dziesiątki lat nie wiedzieli.

– Tu w lesie jest nowa siłownia. Można poćwiczyć na świeżym powietrzu. –  
Usiłuję zasugerować opuszczenie mojego domu po trzech godzinach sączenia soku  
na tarasie, ale dowiaduję się, że to nie miejsce dla nich.

– Nie jesteśmy desperatami.

– Ale mnóstwo ludzi tam ćwiczy i z tego, co mówiła sąsiadka, są raczej  
zadowoleni.

– Raczej! A nas nie interesuje raczej. Postanowiliśmy żyć pełnią życia i nie  
korzystać z półśrodków.

Po chwili, z myślą o pełnych środkach, foldery ponownie idą w ruch, tym  
razem w poszukiwaniu apartamentów z dostępem do siłowni, najlepiej połączonej  
z basenem.

Mam dosyć. Wychodzę do pracy i skupiam się na codziennych obowiązkach.  
Przeglądaniu zeszytu z rezerwacjami, liczeniu kasy i sporządzaniu listy rzeczy,  
które albo się zaraz skończą, albo właśnie skończyły. Wreszcie wchodzę do kuchni,  
oddaję się krojeniu cebuli w drobną kostkę i podsmażaniu jej na gorącej patelni.  
Olej skwierczy, a cebula staje się coraz bardziej szklista i ładnie się rumieni.  
Dorzucam do niej przygotowane wcześniej pomidory i robię gęsty sos, który  
kucharz zaraz doda do pieczenia. Aromat czosnku drażni podniebienie, przez co  
nabieram ochoty, żeby coś zjeść. Zapominam o tych wszystkich mieszkaniach,  
o obrażonej teściowej, która na szczęście przestała się odzywać, i rozdartym teściu,  
nadal niewiedzącym, z którą kobietą powinien spędzić resztę życia. Czuję się  
szczęśliwa i spełniona i gdyby nie dzieciarnia, mogłabym w knajpie spędzać długie  
godziny.

Oczywiście sielanka się kończy, gdy pojawia się pierwszy kłopot dnia  
dzisiejszego w postaci męża kelnerki, który przynosi zwolnienie lekarskie,  
jednocześnie informując, że żona jest w ciąży. Co prawda od dwóch tygodni, ale  
jednak w związku z tym nie może dalej pracować. Mimo że jest z nami od trzech  
tygodni na umowę wstępną, będę musiała jej płacić aż do rozwiązania, w tym  
czasie posiłkując się kimś innym. Tylko kim? Jak znajdę kogoś tak z dnia na dzień?

Czar prysł, miłe chwile rozproszyła galopada myśli. Co z tego, że dam  
ogłoszenie. Są wakacje, studenci wyjechali i wszyscy raczej myślą o urlopach,  
a nie o szukaniu posady. Cholera.

Zostawiam samochód pod firmą i pieszo wracam do domu. Lato szaleje  
i marszczy się od upału. W miarę kolejnych kroków puchną mi nogi, a paski  
sandałów coraz boleśniej wpijają się w skórę. Nagrzany czarny pozbruk chodnika  
z zaciekłością oddaje ciepło, niemal parząc stopy. Przyglądam się błękitnemu  
niebu, na którym tu i ówdzie pojawiają się urocze puszyste obłoczki  
przypominające serek Almette z telewizyjnej reklamy, i marzę o tym, by w nocy  
wycisnęły z siebie choć kilka kropli deszczu, dając wytchnienie wysuszonym  
płucom.

Pokonuję kolejne trzysta–czterysta metrów i coraz bardziej żałuję, że jednak nie skorzystałam z dobrodziejstwa klimatyzacji w samochodzie. Sztynne krzaczory, którymi jakiś opętany wizją piekła ogrodnik obsadził pas zieleni oddzielający jezdnię od chodnika, przerosły tak, że teraz nie sposób ich ominąć bez zahaczania o wystające ciernie. Śliczne białe obłoczki zmieniają się w coraz czarniejsze burzowe chmury, którymi szarpie na wszystkie strony wściekły wiatr. I już burza daje upust skumulowanej wściekłości. Deszcz zdaje się padać ze wszystkich stron, a moja sukienka przywiera do ciała niczym flak do kiełbasy i nieprzyjemnie ziębi. Strąki włosów oklejają twarz i dostają się do ust, a korekcyjne okulary przeciwsłoneczne stają się bezużyteczne, tym bardziej że w tej zawierusze i tak niewiele widzę. Klnę siebie i te wszystkie pogodynki, które na dzisiaj zapowiadały słoneczny dzień i nawet się nie zająknęły o gwałtownych ulewach. Obawiam się, że jedyne, w czym się nie mylą, to daty rozpoczęcia kalendarzowych pór roku, reszta to przypadek, w który od czasu do czasu udaje im się wstrzelić.

Chodnik zamienia się w rzekę, a kratki, które powinny zbierać deszczówkę, tryskają burymi fontannami. Plastikowe torebki niczym wściekłe sroki krążą nad koronami drzew, a ja mam do pokonania jeszcze jakieś pół kilometra. Nasza ulica stała się błotnistą breją, którą spływa cały syf z pobliskiej budowy. Kawalki styropianu wirują w tańcu z kawałkami drewna, a piasek i błoto niesione strumykiem, który teraz panoszy się na środku drogi, przyklejają się do krawężników.

Docieram do domu przemoczona i zła na siebie, że początkowe ciszę i spokój wzięłam za dobry omen, a nie zapowiedź piekła, w którym muszę aktywnie uczestniczyć. Jak na złość nie mogę wygrzebać kluczy z torebki, a gdy wciskam guzik domofonu, ten, zalany deszczem, niemiłosiernie piszczy, wydając odgłos jak przesuwany po szybie nóż. Brr.

– O, jesteś. – Olo staje w drzwiach ze szklanką jakiejś białej brei, najpewniej odżywki rozpuszczonej w mleku sojowym, i przygląda się uważnie kałuży, która wykwiła pod moimi stopami.

– No.

– Trochę zmokłaś.

– Mam wrażenie, że mam przemoczone nawet narządy wewnętrzne.

– Szłaś pieszo?

– Nie widać? Cholera, też miałam pomysł. Masz pojęcie, co się dzieje z naszą ulicą?

– Nie, coś nie tak? – Olaf podchodzi do kuchennego okna i usiłuje zaobserwować anomalię, o której mówię, ale nie nabiera żadnych podejrzeń, bo dalej dopytuje, co się stało.

Niechętnie odpowiadam, bo jestem zła na to, że on siedzi w cieplej chacie

i może uniknąć załamania pogody, że ja muszę chodzić do tej durnej roboty, podczas gdy on ma czas dla siebie. Biegnę pod prysznic, po czym wściekła jak osa dosłownie sfruwam na dół i dopadam mojego faceta na kanapie. Staję nad nim z rękoma na biodrach i choć usiłuję się opanować, głos mi drży i jest o dwa tony ostrzejszy niż zwykle. Zachowuję się jak wcielenie furii.

– Co robisz?

Olaf patrzy na mnie jak na wariatkę, czym doprowadza mnie do szału, tak że zupełnie przestaję się kontrolować.

– O co ci chodzi?

– Pytam, co robiłeś przez cały dzień.

– To co zwykle.

– Czyli nic!

– Jak to nic? Byłem na treningu, wybierałem z rodzicami tapety, nałaziłem się po Castoramie jak głupi, to chyba mam prawo odpocząć.

– Czyli nic! Człowieku, miałeś szukać pracy.

– Jezu, a ty znowu swoje. Przecież powiedziałem ci, że znajdę.

– Ale kiedy? Szukasz już kolejny miesiąc!

– Rybcia, to nie tak, jak myślisz.

– A niby jak? Ja sobie żyły wypruwam: dzieciaki, praca, dom, a ty nic.

– Nie przesadzaj, dzieci są na wakacjach...

– Ale tydzień temu nie były i za tydzień nie będą! Czy ty tego nie widzisz?

– Kochanie, zawsze podziwiałem to, jaka jesteś zorganizowana.

– W dupie mam twój podziw! – pluję mu nad głową. Też bym chciała rozpląszczyć tyłek na kanapie i zajmować się analizą mięśnia czterogłowego!

– Uspokój się.

– Nie mów mi, co mam robić, a tym bardziej że mam się uspokoić!

– W takim razie nie będę z tobą rozmawiał.

– To nie rozmawiaj, tylko wysłuchaj, co mam do powiedzenia! Mieszkasz tu i nawet nie wiesz, jak trudna dla mnie była decyzja, żebyśmy razem zamieszkali.

– Słuchaj...

– Nie przerywaj mi! Cieszyłam się z tego, i to bardzo, zresztą dzieciaki również, ale nie może być tak, że nic nie robisz.

– Jak to nic nie robię? Zapominasz chyba, że zajmuję się naczyniami, zmywarką, wieszam pranie, no, może od czasu do czasu, ale jednak, koszę trawnik...

– Skończ lepiej.

– Widzisz, nawet nie chcesz mnie wysłuchać.

– Czy ty się słyszysz? Wszystko, o czym mówisz, to pierdoły, które robiłam zawsze między innymi sprawami, nawet tego nie zauważając! To jakbyś powiedział, że jesteś zajęty, bo oddychasz. Żałosne.

– Co niby jest żalotne? Że pomagam ci, jak umiem? Powiedz, co mam jeszcze robić, to zrobię. Jestem facetem, więc nie zawsze widzę...

– Tak, jeszcze wyjedź mi tu z różnicami płci i wynikającym z tego innym oglądem świata.

– O co ci chodzi?

– O to, że miałeś znaleźć pracę, a siedzisz na kanapie i wegetujesz. *Wegetujesz!* A jak chcę z tobą spędzić weekend albo, tak jak teraz, czas, gdy nie ma dzieci, to łazisz na te swoje durne treningi.

– Słuchaj, może też powinnaś sobie znaleźć jakąś pasję? Wtedy zrozumiałabyś, jak ważne są zainteresowania innych.

– Człowieku! Ja nie muszę szukać żadnych pasji, wiem, co mnie kręci, a co nie! Ale różnica między nami polega na tym, że ty masz czas, a ja nie!

– Możemy to razem jakoś zorganizować.

Dyszę nad nim i nie mogę uwierzyć, że on kompletnie nie rozumie. Nie dość, że pieprzy od rzeczy, to w dodatku ze spokojem upija kolejny łyk podejrzanie pachnącej zawiesiny. I wtedy rodzi się w mojej głowie pewien śmiały plan, który może sprawić, że ja również zyskam coś dla siebie.

– Nic nie możemy zorganizować, dopóki nie znajdziesz pracy. I wiesz co? Właśnie wpadłam na znakomity pomysł. Mam dla ciebie pracę.

– Pracę? Dla mnie? Gdzie? – Na jego twarzy zamiast optymizmu i szczęścia kładzie się cień niepokoju, tylko jeszcze nie wiem, jakie dokładnie jest jego źródło. Z brękiem odstawia szklankę na ławę, prostuje się i przygląda mi niepewnie.

– U mnie.

– U ciebie? A co niby miałbym robić?

– Pracować. Mogę cię przecież zatrudnić.

– Szukasz menedżera?

– Nie, kelnera.

– Żartujesz? Ja miałbym być kelnerem?

– A dlaczego nie? Praca jak każda inna. Dopóki czegoś nie znajdziesz, możesz przecież mi pomagać.

– Ale ja jestem informatykiem!

– Powiedzmy sobie szczerze: bezrobotnym informatykiem, któremu, jak już kilka razy wspomniałeś, kończą się pieniądze, więc nawet powinieneś być mi wdzięczny.

– Nie widzę tego.

– Przecież to nic trudnego, a w sumie – przysiadam na oparciu kanapy i wyciągam przed siebie bosc stopy – uratowałbyś mi tyłek.

– W jakim sensie? – Wyluzowany dotychczas Olaf sztywnieje, a w jego ton wkradają się oficjalne nuty. Zachowuje się zupełnie jak na rozmowie o pracę, z tą tylko różnicą, że on jej nie chce, a zdesperowany pracodawca zachęca go,

opowiadając o tym, jak to będzie fajnie.

Nie dam się złapać.

– Odeszła jedna z kelnerek, właściwie wczoraj zaszła w ciążę i już jest na zwolnieniu, a ponieważ są wakacje i wszyscy myślą raczej o urlopiach albo kelnerowaniu w jakimś kurorcie i połączeniu jednego z drugim, to z pewnością nikogo szybko nie znajdę, a ty...

– Jak chcesz, mogę zamieścić ogłoszenia.

– Nie, dzięki, z tym sobie poradzę. A jak sam widzisz, niespecjalnie jesteś skuteczny pod tym względem, skoro nie znalazłeś nic dla siebie przez tyle czasu.

– No, nie wiem. Obiecałem rodzicom pomoc, a z drugiej strony, jak się ktoś odezwie, to też będę musiał cię zostawić z dnia na dzień.

– Jakoś to przeżyję. Bystry jesteś, więc na pewno pogodzisz pracę i rodziców, nawet mogę pójść ci na rękę. Przez jakiś czas będziesz zaczynał trochę później, tak że od rana zdążycie oblecieć sklepy.

Olaf wije się jak piskorz i szuka argumentów, nie wiedząc jeszcze, że żaden z nich nie zrobi na mnie wrażenia i tym razem na pewno nie odpuszczę. Gorzej, jeśli będzie taka potrzeba, sama odwołam się nawet do argumentów z gatunku tych poniżej pasa.

– Kocie, jeśli tak zrobimy, nie będziemy w ogóle spędzać ze sobą czasu.

Patrzę na niego i coraz głębiej się zastanawiam, czy to ten sam facet, w którym się zakochałam. Czy to jakiś dowcip?

– Ależ skąd, przecież ja też tam pracuję, więc nawet będziemy spędzać razem więcej czasu! Rozumiem, że sprawa załatwiona.

– Daj mi chwilę. Muszę to przemyśleć.

– Ależ wcale nie musisz. Albo przyjmujesz moją propozycję, albo do końca tygodnia, a zważywszy na to, że dziś jest piątek, czasu masz niewiele, znajdziesz inne zatrudnienie, albo będziemy musieli zmienić układ.

– Co masz na myśli?

– To, że nie mam zamiaru dłużej cię utrzymywać! Koniec z tym. Jestem u kresu wytrzymałości, również tej finansowej, więc potraktuj poważnie to, co mówię.

– Szantażujesz mnie.

– Olaf, wierz mi, że wolałabym nie odbywać z tobą tej rozmowy, ale drażni mnie ta sytuacja. Myślałam, że też widzisz ten problem.

– Oczywiście, że tak, tylko nie rozumiem, dlaczego tak nagle na mnie napadasz.

– Nie napadam! Wielokrotnie wspominałam ci, że jest mi ciężko, i sugerowałam znalezienie pracy, ale jakoś nie brałeś tego do siebie.

– OK. Skoro jesteś taka szczerą, to ja też coś ci powiem.

– Tak? – Ciarki na moich plecach zwarły szeregi i teraz niczym żołnierze na



defiladzie maszerują w tę i z powrotem.

– Jak cię spotkałem, to byłaś taka uśmiechnięta, czuła, a teraz zmieniłaś się w wiecznie marudzącą i niezadowoloną babę.

– No, dajesz z grubej rury.

– Skoro coś ci nie pasuje, to mów otwartym tekstem, OK? Myślałem, że jesteś bardziej uczuciowa i rodzinna. Zresztą twój stosunek do moich rodziców mówi wszystko.

– Proponuję, żebyś ich w to nie mieszał.

– Pozwól, że skończę. Miej odwagę mnie wysłuchać.

– Słucham.

Rozmowa staje się cierpką wymianą zdań, które wiodą nas w kierunku kłótni, a nie racjonalnych planów na resztę życia.

– Nie zastanawiałaś się nigdy, czy z tobą jest coś nie tak?

– Przeginasz.

– Posłuchaj. Nie dogadujesz się z teściami, z moimi rodzicami, nie utrzymujesz kontaktu z siostrą ani z Wojtkiem... Nie uważasz, że masz jakiś problem ze sobą?

– Nie, nie uważam! I chyba przedmiotem naszej rozmowy nie jest to, jak dogaduję się z innymi. A skoro jesteśmy tacy szczerzy, to wytłumacz mi, skąd twoi rodzice nagle wyskrobali taką kasę na mieszkanie.

– Mówiłem ci, że sprzedali dom.

– Nie bądź śmieszny! To nie był dom, tylko wiejska chałupa, i nie wmawiaj mi, że ktoś ją kupił za miliony.

– I tu się mylisz. Kupił ją jakiś deweloper, który będzie tam budował osiedle szeregowców.

– Nie wydaje mi się. Na tym zadupiu?

– To się zdziwisz.

– Skoro twoi starzy przytulili większą kasę, to nie pomyślałeś, żeby coś ci odpalili na życie? Mógłbyś się dołożyć do budżetu.

– Nie będę ich prosił o pieniądze.

– A mnie możesz?

– To co innego. Mieszkamy razem...

– Olaf, owszem, ale ja po prostu nie mogę dalej cię utrzymywać! Nie udźwignę tego.

– Nie powinnaś się wtrącać w nasze rodzinne sprawy. Rodzice oczywiście chcą mnie zabezpieczyć i planują kupić mi mieszkanie w tym samym bloku.

– Aha. – Świetnie. Nagle jest on i zabezpieczenie dla niego. Nie wiem nawet przed czym, bo chyba nie przede mną. Nie wiem, jak mam to wszystko interpretować i poskładać, skoro zaczynamy myśleć w pierwszej osobie liczby pojedynczej, a nie mnogiej. – Czy ty w ogóle myślisz o nas poważnie?

– Kocie, skąd to pytanie? Oczywiście, że tak. Ale wiesz, mieszkanie można wynająć.

– A duże jest?

– Ma około stu metrów i istnieje możliwość połączenia go z sąsiednim, wtedy miałbym apartament.

– No to świetnie. Może wszyscy byśmy tam zamieszkali? Skarżyłeś się ostatnio, że tu jest tak ciasno... Może tam byłoby nam wygodniej. Klimatyzacja, filtry powietrza, może byłoby to nawet zdrowsze niż mieszkanie pod lasem, nie wspominając o tym, że miałbyś blisko na siłkę.

– Nie wydaje mi się. – Olaf jest spanikowany na myśl o tym, że mielibyśmy się do niego wprowadzić.

Zupełnie tego nie rozumiem, ale instynkt podpowiada mi, że powinnam być podejrzliwa, i taka się staję, zadając serię krótkich pytań. Czy ostatecznie podjęli decyzję. Okazuje się, że tak. Ile mieszkań kupili. Dwa. Kiedy dostaną klucze? Za dwa miesiące. I pytanie najważniejsze: kto tam zamieszka? Jego rodzice i... W zasadzie to by było na tyle, gdyby nie to, że Olaf coś bąka o jakimś biurze i pokoju do spania, które mógłby urządzić na tych swoich soczystych stu metrach.

Czuję się, jakbym przyłapała go z kochanką pod przykrytką kołderką. W oszołomieniu nie rejestruję niczego więcej, nie wiedząc, czy to początek czy koniec nowego etapu naszego związku. Jednocześnie oddaliliśmy się znacznie od meritum i wiem, że muszę do niego jakoś wrócić.

– Przemyśl kwestię pracy.

– OK.

– Olaf, mówię poważnie. Przemyśl to, o czym mówiłam.

– A jeśli się nie zdecyduję?

– Nie wiem, może będzie lepiej, jak znowu zamieszkamy osobno i będziemy się tylko spotykać.

Myślę sobie, że zmuszenie go do ponoszenia kosztów własnego utrzymania sprawi, że jednak się zmobilizuje do jakiejś pracy. Zarazem jestem zdziwiona, z jakim spokojem przyjmuje moje słowa. Spodziewałam się protestu, oburzenia, jakichkolwiek emocji, które obudziłyby go z marazmu i poderwały z kanapy. Sądziłam, że zarzuci mi, że się zagalopowałam, że gadam bzdury i jak mogę stawiać go w takiej sytuacji. Tymczasem na jego spokojnej twarzy maluje się wielkie NIC.

I chyba jestem tym bardziej poruszona niż krzykiem, waleniem pięścią w stół czy trzaśnięciem drzwiami na piętrze. Olaf jak gdyby nigdy nic sięga po pilota i włącza jakiś sportowy program, pozostawiając mnie w zawieszaniu. Idę do łazienki i powolnymi ruchami zmywam makijaż. Wodoodporny tusz, który jak na złość nałożyłam na rzęsy, w żaden sposób nie daje się zetrzeć. Czuję, jak rzęsy trzeszczą w cebulkach, a po wielokrotnym pocieraniu oczy czerwienieją, jakbym

dopiero co płakała. Zresztą trochę mi się chce. W co ja się znowu wpakowałam?

Walenie do drzwi podrywa mnie na równe nogi i uderzam głową w sufit niewielkiego schowka na miotły pod schodami. Ścierpnięta podchodzę do drzwi wejściowych i z daleka przez szybki widzę teścia, który przyciska twarz do szklanej tafli. Rozpłaszczony nos pozostawia tłustą plamę.

– Nina, jesteś?

– Idę, idę.

Wpada do domu z takim impetem, że zderzamy się na wycieracze, a wystraszona Ziuta z podwiniętym ogonem zmyka na najdalszy parapet.

– Słyszałaś? Ola miała zawał.

– Taa, chyba stropu w piwnicy.

– Nie, jest w szpitalu.

– Przypomnę teściowi, że leczyła w nim też nowotwór, którego nie miała.

– Myślisz, że nic jej nie jest?

– Ściemnia jak zwykle. Niech się teść nie denerwuje.

– A nie uważasz, że trzeba by do niej pojechać?

– Jak tam teść chce, ja nie mam zamiaru. Zresztą jeśli faktycznie jest w szpitalu, to ma najlepszą opiekę i nic jej nie będzie. Zrobić teściowi herbaty?

– Sam nie wiem... A masz kawę?

– Jasne. A w ogóle co teść tu robi?

– Byłem na działce u Żabci i właśnie miałem jechać do domu, jak Ola zadzwoniła. Tak się zdenerwowałem, mówię ci, ręce tak mi chodziły, że normalnie nie mogłem jechać. To pomyślałem, że do ciebie wlecę.

– I bardzo dobrze. Naprawdę nie ma się co przejmować. Trudno, żebyśmy reagowali na każdą akcję teściowej.

– W sumie masz rację. Ale powiem ci, że nie spodziewałem się tego po mojej Oleńce, nie spodziewałem...

Nie wiem, skąd pomyśl, że Oleńka nadal jest jego, skoro ma swoją Żabcię, ale widocznie pewien typ faceta zwyczajnie lubi posiadać. Teść najwyraźniej do niego należy, bo od naszego pierwszego spotkania zapoznałam się z całym złomowiskiem gratów, które kolekcjonuje, od szabel po samochody, więc może starsze panie również znalazły się na jego liście.

Jestem miło zaskoczona tym, że rozmowa płynie swobodnie, omijając wiry i wystające kamienie, aż do chwili, gdy odzywa się dzwonek telefonu. Jak się okazuje, ze szpitala. Tym razem pani Aleksandra nie kłamała i faktycznie leży na oddziale intensywnej opieki medycznej, i to w stanie ciężkim. Oczywiście gwałtownie obsiadają nas wyrzuty sumienia, na mnie zasiadają tym większe, że to ja odwiodłam teścia od jazdy do szpitala i przekonywałam, że nie ma się czym martwić.

Pan Robert nagle wiotczeje. Nie może znaleźć czapki, której co prawda nie

miał, ale upiera się, że gdzieś ją odłożył. Nie ma mowy, by prowadził samochód, bo ręce drżą mu tak, że nie utrzyma kluczyków, a co dopiero kierownicy. Popycham go do drzwi, ale gdy już mam je zamknąć, przypomina sobie, że musi skorzystać z toalety. Opalenizna na twarzy ustępuje bladości i pogłębia i tak wyraźne zmarszczki.

Wreszcie ruszamy moim samochodem i wtedy okazuje się, że nie wiemy, do jakiego szpitala mamy jechać. Numer, z którego dzwoniło, jest zastrzeżony, więc w żaden sposób nie pomaga w identyfikacji miejsca. W naszym mieście jest jakieś sześć szpitali, do których mogła trafić pani Ola, zatem na chybił trafił wybieram pierwszy numer z listy i zaczynam mozolnie brnąć przez coraz bardziej wewnętrzne numery, by wreszcie się dowiedzieć, że trzeci szpital na liście jest naszym docelowym. Szczęśliwie całą procedurę przeprowadziłam w czasie jazdy, posiłkując się zestawem głośnomówiącym i netem w komórce, więc jesteśmy już w centrum miasta i od szpitala dzieli nas tylko kilka kilometrów. Teść mamrocze modlitwy, a ja usiłuję znaleźć wolne miejsce parkingowe. Jak na złość dziś jest dzień targowy i pobliski rynek Bernardyński pracuje pełną parą, a klienci niczym wyrojone pszczoły obsiedli każdy wolny skrawek powierzchni, na której można by zostawić samochód, skuter czy rower.

Obawiam się, że jeśli wysadzę teścia i odjadę kawałek dalej, to nie odnajdziemy się przez najbliższą godzinę, więc zataczając coraz większe kręgi, krążę po okolicy. Wreszcie lituje się nad nami jegomość z płatnego parkingu na pobliskim skwerze i wciskam się między jego budkę a gruby pień lipy. Gnamy przez plac, mijając po drodze sklep z perukami, i dopadamy oczywiście nie tego wejścia co trzeba. Musimy obejść prawie cały szpital, żeby wreszcie trafić na właściwy oddział.

Teść, któremu gwałtownie przybyło lat wprost proporcjonalnie do tego, ile ubyło mu energii, niepewnie drepcze obok mnie. W jednej chwili stracił animusz i wypracowywaną na sądowych ławach pewność siebie.

Oczywiście na wejściu niczego nie możemy się dowiedzieć, a po kolejnych wlokących się w nieskończoność minutach wiemy niewiele więcej. Mamy czekać, choć czekanie jest nieznośne. Teść nie potrafi usiedzieć na jednym z dwóch zielonych krzeseł i chodzi od ściany do ściany, wydeptując własną martyrologiczną ścieżkę.

Ja dla odmiany usiłuję dodzwonić się do Olafa, żeby go uprzedzić, że się spóźnię. Olaf teoretycznie powinien być w domu, ale prawdopodobnie znowu gania po lesie. Faktycznie w tle jego „halo” słyszę jakby szum ulicy.

- Co się stało?
- Teściowa miała zawał.
- Moja matka, Boże!
- Twoja matka jeszcze nie jest moją teściową. – Jeśli kiedykolwiek nią

zostanie, myślę w skrytości ducha.

– Ale mnie wystraszyłaś.

Milczę, bo nie wiem, co powiedzieć. Oczywiście rozumiem, że czuje ulgę, tylko dlaczego to znowu ja muszę być w centrum medycznych kłopotów tego świata?

– Słuchaj, wróć później. Mógłbyś zajrzeć do knajpy?

– A po co?

– Żeby sprawdzić, czy wszystko OK. Może trzeba im w czymś pomóc.

– Jezus, ale ja o niczym nie mam pojęcia.

– Pojaw się tam chociaż, to jakoś zdopingujesz ekipę do lepszej pracy.

– No, nie wiem, czy to dobry pomysł, narobię tylko zamieszania.

– Jakiego zamieszania, co ty wygadujesz? Tym, że wejdiesz i wypijesz kawę?

– To może wezmę matkę...

– Ani się waż! Nie ma mowy!

Jeszcze tylko tego mi brakuje, żeby jego matka zrobiła ordnung w mojej restauracji.

– Dobrze, już dobrze, nie denerwuj się. Podjadę.

Nie pyta, czy w czymś jeszcze mi pomóc, nie pyta o stan teściowej, a we mnie narasta zdziwienie, że to ten sam facet, który tak szybko i skutecznie mnie zauroczył kilka miesięcy temu. Teść dochodzi do zewnętrznej ściany i wtedy po przeciwnej stronie korytarza otwierają się drzwi i pojawia się lekarz, który po wskazaniu pielęgniarki kieruje się prosto w naszą stronę.

– Pan jest mężem?

– Tak, tak, oczywiście, to znaczy ostatnio...

– To jest pan mężem czy nie?

– Jest. – Włączam się pewnym głosem. – A ja synową. – Oczywiście nie dodaję, że z gatunku tych nielubianych, i skupiam się na wyrazie jego twarzy, z której jednak nie potrafię wyczytać absolutnie nic. Tym większe wrażenie robią na mnie jego słowa.

– Pacjentka przeszła rozległy zawał mięśnia sercowego. Jej stan jest ciężki, ale stabilny.

– Ale przeżyje? – pyta teść, oczekując, że ktoś pogłaszcze go po głowie i powie, że wszystko będzie dobrze, nie ma się czym martwić.

– Jakie są rokowania? – zadaję to samo pytanie, może w trochę mniej spanikowanej formie, ale serce przyspieszyło i nie potrafi zwolnić.

– Noc będzie decydująca. Nic więcej nie mogę państwu powiedzieć.

– Możemy ją zobaczyć?

– Jest po zabiegu, śpi.

– Ale chociaż na chwilę...

– Dobrze, tylko na chwilę, i proszę jej nie budzić.

Idziemy we wskazanym kierunku i wchodzimy do dwuosobowej sali. Teściowa, oddzielona parawanem od drugiej pacjentki, leży na łóżku przy drzwiach. Jest przezroczysta, zapadnięta w poduszce, materacu i pościeli. Zapadnięta w sobie. Wydaje się taka krucha i bezbronna, co sprawia, że znika mur, który budowałyśmy między sobą, i teraz naprawdę zaczynam się o nią bać. Dotykam jej chłodnej dłoni i czuję, jak delikatnie drgają oplecione grubymi żyłami mięśnie. Gałki oczne poruszają się pod powiekami niespokojnie. Pan Robert cały pogrąża się w strachu i szepcze: Ola, Oleńka, kochanie, przepraszam, tak bardzo cię przepraszam.

Nie chcę tego słuchać, wychodzę na korytarz, pozwalając im na chwilę intymności. Opieram się o pomalowaną olejną farbą ścianę i przenika mnie jej chłód. Zaczynam się bać. Mam złe przeczucia i nie mogę przestać myśleć o niej w czasie przeszłym. Jednocześnie powracają do mnie te złe i te dobre obrazy, w których pojawia się jako elegancka starsza pani, teściowa pełna furii i teściowa z chustką na głowie. Przenikają mnie wspomnienia i żal, że nasze wspólne chwile sprowadzały się do mijania się, a nie czerpania radości. Ominęły nas wspólne chwile z małymi wnukami, herbaty w ogrodzie i wakacyjne wyjazdy. Przepięprzyłyśmy czas, który miał być naszym czasem i którego nie mamy szansy odzyskać.

Pielęgniarka wyprasza teścia i odziera nas z jakiegokolwiek możliwości działania. Stoimy na szpitalnym korytarzu i nie wiemy, co z sobą począć. Żadne z nas nie chce zostać samo. Ale też żadne nie wie, co powinno zrobić i jak się zająć tym drugim.

– Może pojedziemy do domu?

W oczach teścia widzę szklistą warstewkę i kapią z nich pierwsze łzy. Wygląda jak swój cień. Jego komórka co rusz wydzwania, a on sprawia wrażenie, jakby jej nie słyszał. Wyjmuję mu ją z ręki i wciskam zieloną słuchawkę.

– Robert! Chryste Panie, co się dzieje?!

– Halo, to ja, Nina.

– Boże, co z Robertem?

– Wszystko dobrze. Z teściem wszystko OK, gorzej z teściową.

– Jejku. Poczekaj, dziecko, niech usiądę, bo czuję, że nogi mi się uginają. –

Słyszę szamotaninę i po chwili głos: – No, mówże wreszcie.

– Teściowa miała rozległy zawał.

– O Boże. I co? Wyjdzie z tego?

– Prawdę mówiąc, nie wiadomo, noc będzie decydująca. Chyba nie jest dobrze.

– A jak się trzyma Robert?

– Kiepsko, bardzo to przeżywa.

- Dziecko, to może ja do was przyjadę?
- Nie, i tak nas do niej nie wpuszczą, a siedzenie na korytarzu nie ma sensu.
- To co teraz zrobicie?
- Nie mam pojęcia.
- Może przyjedźcie do mnie. Nastawię wodę na herbatę.

W sumie każdy pomysł jest dobry, żeby stąd wyjść, więc dlaczego nie. Proponuję teściowi, że na chwilę pojedziemy do Basi, ale on oczywiście nie chce się ruszyć. Wreszcie za namową pielęgniarki, która obiecuje, że gdyby cokolwiek się zmieniło i pacjentka się obudziła, oczywiście natychmiast nas powiadomi, opuszczamy szpitalny budynek, pachnący środkami do dezynfekcji i śmiercią. Nie wiem, dlaczego takie skojarzenia pojawiają się w mojej głowie, ale nie potrafię ich odseparować od racjonalnych myśli. Teść sprawia wrażenie, jakby nie wiedział, co się z nim dzieje. Jak w malignie idzie obok, a ja wreszcie po tym, jak potyka się na równej drodze, chwytam go pod rękę. Kroczymy powoli, z namaszczeniem, zupełnie jakby ojciec prowadził córkę do ołtarza, tylko zamiast marszu Mendelssohna słyszymy bicie własnych serc.

Upycham teścia na siedzeniu pasażera, zamykam drzwi i obiegam samochód, by usiąść za kierownicą. Parkingowy żegna nas podniesioną dłonią, cały rozpromieniony i pełen energii. Jego gest tak nie przystaje do tego, co czujemy, że aż się wzdrygam. Z drugiej strony uzmysławiam sobie, że świat gna dalej, obojętny na nasze emocje i lęki, na nasz strach, pozostawiając nas w bolesnej samotności i świadomości, że musimy sami sobie radzić. Nie wiem, ile razy jeszcze będę musiała przez to przechodzić, by poczuć się twardym, zahartowanym człowiekiem. Za każdym razem, gdy czuję ten jedyny w swoim rodzaju stres, boję się, że już więcej nie udźwignę. A potem nieporadnie się podnoszę i ponownie wystawiam na kolejny cios, który przynosi życie.

Pani Basia czeka na nas. Musiała obserwować ulicę zza firanki i zauważyła nas wcześniej, bo teraz wychodzi do furtki, gdzie się spotykamy. Teść jak dziecko wpada w jej objęcia i szlocha, wstrząsany kolejnymi falami strachu, a ona głaszcze go po siwej głowie i pociesza tak, jakby chodziło tylko o złą ocenę w szkole, i sączy ciche słowa, że wszystko będzie dobrze. Podskórnie czuję, że żadne z nas w to nie wierzy, ale też nie ma odwagi się przyznać, że gra przed innymi.

Przechodzimy do małego salonu, na którego środku stoi wielki dębowy stół z finezyjnie rzeźbionymi nogami i czeredką ośmiu krzeseł, które obsiadły go ciasno z każdej strony. Opadamy na miękkie poduszki siedzisk i pozwalamy, by Barbara rozładowała napięcie zwyczajną domową krzątaniną i dziesiątkami pytań, co wypijemy, czy słodzimy, w szklance czy w filiżance. Stopniowo opada z nas stres i choć nie potrafimy się odprężyć, skupiamy uwagę na gorącym naparze, usiłując nie poparzyć ust.

- Robert, zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Teść wpatruje się w panią Basię jak zraniona sarna w czarne wyloty luf dwururki i roni łzy. Jego plecami wstrząsają silne dreszcze i wreszcie słyszymy:

- To wszystko moja wina, moja wina.
- Niech teść tak nie mówi. Jaka wina?
- Gdybym się nie wyprowadził, nie doszłoby do tego.
- Tego nie wiemy.
- Ale wszystko byłoby inaczej.

Zwłaszcza dla Żabci, która siedzi na krześle po przeciwnej stronie stołu ze spuszczoną głową i kręci kciukami młynki.

– Oczywiście, że tak. Teściowa wymyśliłaby kolejny kłopot, którym zajeżdżałaby całą rodzinę.

– Nie mów tak o Oleńce.

– OK, może nie wypada mówić takich rzeczy, gdy jest taka chora, ale to prawda. A każdy z nas ma prawo do szczęścia.

– Ale gdybym się nie wyprowadził, może bym coś zauważył wcześniej.

– Nie wydaje mi się. Zresztą w ostatnim czasie teściowa dosyć intensywnie konsultowała się z różnymi lekarzami, więc skoro nawet oni niczego nie podejrzewali, to niby jak teść miałby coś dostrzec?

– Może i tak. Boże, nic nie wiem. – Teść drżącą ręką usiłuje unieść filiżankę do ust, ale ta, zwieńczona niewygodnym, za to niezwykle eleganckim uszkiem, wyslizguje mu się z dłoni. Rezygnuje i z głośnym brzękiem odstawia ją na talerzyk.

Im mniej on wie, tym silniejsze mam poczucie, że ja powinnam wiedzieć więcej, i zastanawiam się, co w tej sytuacji powinniśmy zrobić, czy możemy zrobić cokolwiek.

– Dzwonił teść do Wojtka?

Pan Robert spogląda na mnie z wyrzutem, jednak Barbara przychodzi mi w sukurs i też dopytuje, czy to zrobił.

– Nic nie mówiłeś Wojtusiowi?

– Kiedy? Przecież to się dopiero co wydarzyło.

– Racja, ale chyba powinniśmy do niego zadzwonić.

– Nina...

– O nie, o to proszę mnie nie prosić.

– Ale...

– Kochanieńki, nie masz wyjścia. Co jak co, ale to twój obowiązek.

– To może wieczorkiem.

– Teraz! Jakim wieczorkiem? Toż przecież już prawie wieczór. Gdzie masz telefon?

– A bo ja wiem...

Krzątam się po pokoju, rozglądając się za małym srebrnym aparatem, który najwyraźniej ma ściszony dźwięk, bo mimo że na niego wydzwania, nie możemy



go namierzyć. Wreszcie telefon zostaje odnaleziony na umywalce w łazience i teść, który skurczył się i zapadł w sobie, osaczony przez nas siedzi na krześle i wybiera numer Wojtka. W końcu z ulgą oświadcza, że ten nie odbiera. Jego radość nie trwa zbyt długo, bo po chwili telefon zaczyna wibrować, a na monitorze wyświetla się syn.

– Wojtuś? – pyta niepewnie teść, zupełnie jakby po drugiej stronie mógł siedzieć nasz ogrodnik.

– Oczywiście, że ja, a niby kto? Co ojciec taki niemrawy?

– Oleńka jest w szpitalu.

– Znowu? – W głosie Wojtka nie słyhać najmniejszego drżenia niepokoju, pewnie on również dowiedział się o symulowaniu choroby nowotworowej. Słyszę głośne siorbnięcie i niemal widzę, jak wyciąga przed siebie nogi w garniturowych spodniach w kancik i przeciąga się na krześle biurowym, jednym z tych wyglądających jak element wyposażenia statku kosmicznego.

– Tym razem to naprawdę.

– E tam, jakoś nie chce mi się wierzyć.

– Mama miała zawał i, proszę, nawet tak nie mów.

– Wierzy jej ojciec?

– Akurat zawał trudno udawać. Jej stan jest poważny.

– Nic jej nie będzie.

– Synu, czy ty nie rozumiesz? Ona może umrzeć.

– Jest ojciec pewien?

– No, ten tego, czy umrze, to nie, mam nadzieję, że nie. Ale leży na OIOM-ie podłączona do tych wszystkich rurek i ledwo nas do niej wpuścili.

– Kurde. – Słyhać skrzypnięcie, pewnie Wojtek prostuje się za biurkiem i poddaje analizie słupki strat i przyzwoitości, rozważając, czy powinien rzucić wszystko i przyjechać, czy może jednak dać sobie czas. Wreszcie rzuca ogólnikiem, że zobaczy, co da się zrobić, i zadzwoni później.

Zostawiam teścia w troskliwych rękach Żabci i cichaczem wychodzę. Jadę do domu. Jestem wykończona, śmierdzą szpitalem i strachem, że tym razem może wydarzyć się coś złego. Nie wiem, skąd ta natrętna myśl i dlaczego wraca z taką natarczywością. Wiem, że dla pani Oli w tej chwili nie mogę nic zrobić, a siedzenie na szpitalnym krześle odbierze nam tylko resztkę sił, pozbawiając energii na walkę.

O dziwo, Olaf jest w domu, i to bynajmniej nie zakopany w folderach z marketów budowlanych. Siedzi rozparty w fotelu ze słuchawkami na uszach i przymkniętymi oczami. Otwarte okna wpuszczają aromat lasu, a zadowolona z siebie Ziuta, korzystając z chwili nieuwagi, podsypia na stole w jadalni.

– Cześć. Co robisz? Ziuta, sio! – Przeganiem ją, ale puszysta dziewczynka bardziej oczekuje pieśczoć i nie ma zamiaru nawet się przesunąć na białym obrusie. Podnoszę ją i ze zdziwieniem odkrywam, że przytyła i stała się całkiem

masywna. Nareszcie, zawsze wszyscy wydziwiali, że mam najchudszy kota w okolicy.

- Słucham nowego Blunta, chcesz posłuchać?
- Nie, dzięki, jestem wykończona.
- Jak teściowa?
- Nijak. Noc będzie przełomowa.
- Cholera.



oc okazała się przełomowa, ale nie w taki sposób, na jaki wszyscy liczyli. O drugiej dwadzieścia osiem teściowa zmarła, o czym poinformował nas szpital przez telefon. Siedzę w ciemnym pokoju oświetlonym mżącym światłem lampki nocnej i zastanawiam się, co teraz. Jak automat idę do szafy po dżinsy, pierwszy z brzegu T-shirt i trampki, opłukuję twarz i schodzę do kuchni. Czy teść już wie? Do niego też dzwonili? Dlaczego o to nie zapytałam? Dlaczego nie zapytałam o nic? Dlaczego nic nie wiem?

Wychodzę z domu i z samochodu dzwonię do teścia. Już wie. Ale też nic więcej. Zabieram ich po drodze i jedziemy do szpitala. Mamy szansę się z nią pożegnać. To znaczy on się żegna, a my z Basią spoglądamy na siebie, towarzysząc jego rozpacz i bólowi. I choć nie lubiłam tej kobiety i nigdy nie byłyśmy sobie bliskie, jest mi smutno, że ta znajomość się skończyła. Czuję niedosyt i żal, że nie potrafiłyśmy poukładać naszych relacji. Będzie mi chyba nawet brakować tego szaleństwa, które w obłoku furii wkraczało co rusz w moje życie, zmuszając mnie do reakcji. Co teraz będzie mną wstrząsać i mobilizować mnie? Chryste, nie tak miało być.

Kolejny pogrzeb przed nami, zamieszanie i cierpienie tych, którzy zostali. Teść spazmatycznie szlocha i w kaskadowych wyrzutach sumienia nie może się uspokoić. Wreszcie pielęgniarka ciągnie go niemal siłą do kanciapy i zmusza do połknięcia jakichś proszków uspokajających, które sprawiają, że po chwili staje się powolniejszy i bardziej ospały, ale bynajmniej nie spokojniejszy.

W końcu musimy wyjść. Stoimy przed budynkiem i zastanawiamy się, co dalej. Dzwonię do Olafa, który chce do nas dojechać, ale mówię mu, żeby został w domu. Sami jedziemy do domu teściowej, żeby wybrać rzeczy do trumny. Po raz pierwszy wchodzę na piętro do jej sypialni i przylegającej garderoby. Na wieszakach posegregowane według kolorów wiszą dłuższe i krótsze sukienki, przetykane sztywnymi koszulami. Nie wiem, jak w tej płątanie jedwabiu i bawełny mam wybrać stosowny strój.

- Musi teść wybrać suknię.
- Nie dam rady.
- Ale trzeba to zrobić.
- Może ty coś znajdziesz?

Podchodzę do szafy i wyciągam na chybił trafił pierwszy czarny kawałek materiału, który okazuje się jak najbardziej stosowną na tę okoliczność sukienką.

– Może ta?

– Tylko nie ta! Odłóż ją natychmiast. Oleńka miała ją na naszej ostatniej rocznicy ślubu.

– A ta? – Wyciągam kolejną.

– Nie, nie. Tę zawsze wkładała na Wigilię.

I tak okazuje się, że większość sukienek teściowej żyje własnym życiem w strumieniu świadomości i wspomnień teścia. Ta pięknie wyglądała na koncercie jubileuszowym, tamta na pogrzebie Stanisława, tej nie lubi on, tamtej nie lubiła ona i gdy już się zastanawiam, gdzie kupuje się rzeczy do trumny, trafiam na długą, prostą suknię z metką wbitą w rękawek i domyślając się, że nie może pociągać za sobą żadnych wspomnień, niemal radośnie ją prezentuję.

– Bardzo proszę, ta.

– A to jej?

– No tak, z szafy teściowej.

– Nie widziałem jej wcześniej.

– Bo jest nowa i idealnie pasuje.

– No, sam nie wiem.

– Ale ja wiem. To teraz jeszcze buty i bielizna.

I tu też napotykam problem, bo pomijając fakturę skóry i to, czy pani Ola je lubiła czy nie, teść zastanawia się nawet, czy są wygodne, zupełnie jakby miała iść pieszo przez galaktyki do Pana. Jestem spocona i czuję się fatalnie, grzebiąc w jej szafach. Staram się jak najmniej rozglądać, tak by nie czuła dyskomfortu, że w ogóle tam byłam. Chore.

Wojtek oczywiście jest w szoku. Chyba bardziej niezadowolony z tego, że musi zmienić plany i trzeba zorganizować kolejny pogrzeb. Pewnie jestem niesprawiedliwa, ale chciałabym, żeby ktoś zdjął z moich barków ten problem.

Zostawiam ich z gonitwą myśli i rozważaniami, kiedy wreszcie przyleci Wojciech. Teść kategorycznie odmawia wszelkiej pomocy związanej ze zorganizowaniem pogrzebu i szczerze współczuję Barbarze, która pewnikiem weźmie na siebie siłę pierwszego uderzenia.

Wojtek dzwoni do mnie jeszcze tego samego wieczoru, bynajmniej nie po to, by podziękować za wsparcie, którego w końcu udzieliłam jego ojcu, ani nie po to, by zapytać, czy może w czymś pomóc, ale żeby mnie ostrzec, że nie życzy sobie moich kolejnych wizyt w domu jego matki.

– Gdybym nie musiała, tobym tam nie wchodziła. Zresztą byłam w towarzystwie twojego ojca.

– To nie ma znaczenia, to starszy człowiek, który w takich okolicznościach nie jest w stanie panować nad wszystkim...

– Co ty mi sugerujesz? Że co? Że polazłam tam, żeby się rozejrzeć, co wynieść?

– To ty powiedziałaś.  
– Ale ty pomyślałeś.  
– Nie przeceniałbym...  
– Skup się. Nie interesuje mnie, co ci się wydaje, i wierz mi, że wolałabym nie wybierać sukni do trumny dla twojej matki! A jeśli jeszcze kiedykolwiek do mnie zadzwonisz, nie liczy, że odbiorę.

Rozłączam się i zastanawiam, czy on naprawdę myśli, że czyham na majątek jego rodziców. Z drugiej strony, rodzi się w mojej głowie myśl, która pewnie przy innych relacjach by nie wykiełkowała, że skoro Wojciech tak się rzuca, to potencjalnie nie mnie, ale moim dzieciom pewnie coś się należy. Postanawiam, że choć moja noga nie postanie w ich domu, to jednak zwrócę się do Agi prawniczki o pomoc i uczynię ją moją pełnomocniczką.

I tak oto Wojtuś obudził we mnie coś, co prawdopodobnie w innych okolicznościach nie ujrzałoby światła dziennego. Zamiast do domu jadę na spotkanie z Magdą, która jak zwykle w jednym ze swoich modnych dresów prezentuje zgrabny tyłek.

– Cześć, kochana, nareszcie, co tak długo?

Opowiadam jej o telefonie Wojtka, przygotowaniach do pogrzebu i o tym, że będę musiała skrócić wakacje dzieciom. Swoją drogą, człowiek najpierw nie może się doczekać, aż pozbędzie się dzieci, a potem czas bez nich jakoś dziwnie się dłuży.

– Musisz?

– Cholera, sama nie wiem, ale powinny wiedzieć, że babcia zmarła.

– Oczywiście, że tak, ale może powiesz im po powrocie?

– No, nie wiem. Chyba powinny być na pogrzebie.

– Myślę, że mają już traumę po pogrzebie ojca, a przecież z babcią nie były szczególnie zżyte.

– Ale jak to będzie wyglądać?

– A od kiedy przejmujesz się tym, co ludzie powiedzą? Często masz szansę na takie chwile bez dzieciaków?

– Raczej nie.

– Sama widzisz. Wytłumaczysz potem Klarze, że to była nagła sytuacja i nie dało się tego inaczej zorganizować. A z tego, co mówisz, bawią się świetnie, więc po co im to odbierać.

– W sumie masz słuszość.

Nie wiem, po czyjej stronie jest racja, ale postanawiam zastosować się do rad Magdy i nie ściągać dzieci, dla których pogrzeb jest najmniej wskazanym wakacyjnym przerywnikiem. Magda tym razem snuje plany o otwarciu kuchni wege dla studentów, najlepiej w barobusie, i za nic nie daje sobie wytłumaczyć, że przecież nie będzie siedzieć w takiej budzie i gotować od rana do wieczora.

Poddaję się jej paplaninie i dzięki temu na chwilę wyłączam myślenie.

Daję się nawet zaprosić do knajpy z samą sałatą i pomidorami, żeby przedyskutować ewentualną zmianę diety, z której miałabym wykluczyć jajka i wszystko, co ma coś wspólnego z jakimkolwiek zwierzęciem.

Knajpka jest okropna. Króluje w niej hummus, którego nie cierpię, przyrządzany na tysiąc sposobów, kotlety sojowe, kaszotto i wege paszteciki. Kompletnie nie moje smaki, ale nastawiam się pozytywnie i wciągam rolę wegańskiego sushi.

– Poważnie chcesz zmienić dietę?

– Oczywiście! Jak pomyślę o tych wszystkich biednych zwierzętach szlachtowanych w rzeźniach...

– Ale skórzane buty i torebki nosisz.

– I co z tego?

– To też kiedyś były zwierzęta.

– Ale inne.

– Też trafiły do rzeźni.

– A ja wierzę, że te zwierzęta umarły naturalnie.

– Tak, producenci Prady przeszukują pastwiska w poszukiwaniu zdechłych krów, żeby stworzyć nową kolekcję. Proszę cię.

– Myśl, co chcesz.

– A ten twój nowy facet zniesie jedzenie samej zieleniny?

– Słuchaj, on mnie właśnie zainspirował. Jest niesamowity. Zupełnie zmienił swoje życie, rzucił korporację i postanowił żyć ekologicznie.

– Czyli jak?

– Zdrowo.

– A kiedy go poznam?

Magda pąsowieje i coraz bardziej mnie intryguje, kim jest ten koleś. Jak na nią to dziwne, że tak długo potrafi utrzymać tajemnicę. Zupełnie to do niej nie pasuje, ale postanawiam nie dopytywać, choć coraz bardziej zżera mnie ciekawość.

– A jak Olaf? Dalej cię wkurza?

– Sama nie wiem. Teraz wydaje się pomocny, ale mam wrażenie, że jest w nim coś, o czym nie wiem, i pewnie mi się nie spodoba, kiedy już się dowiem.

– Bądź czujna. Wiesz, jak to jest w dzisiejszych czasach.

– I to mówi kobieta, która facetów poznaje głównie przez internet.

– Tak, ale ja mam doświadczenie.

– Zwłaszcza jak poznałaś tego całego Igora, który okazał się recydywistą na warunkowym.

– Oj tam, pomyłki się zdarzają.

– Wiesz – w nagłym przypływie szczerości postanawiam się zwierzyć – jakiś czas temu spotkałam kobietę w miarę młodą i atrakcyjną, która wypytywała

o Olafa, a na końcu ostrzegła mnie, że to oszuści.

– Ale że kto niby jest oszustem?

– Olaf i jego rodzice.

– Niemożliwe.

– Też mi się tak wydaje. Ale czy to nie dziwne, że najpierw mówili, że nie mają pieniędzy, i usiłowali zamieszkać ze mną, a potem z teściową, a teraz okazało się, że sypią forszą i kupują dwa mieszkania?

– Ale przecież mówiłaś, że nareszcie odzyskali pieniądze ze sprzedaży domu.

– Aż tyle? Przecież to była mała chałupka.

– Ale może w dobrym miejscu.

– No, nie wiem.

– Też nie wiem, ale finalnie nie wprowadzają się do ciebie, więc chyba nie ma tematu, co?

– Niby tak. Ale jednak to dziwne. W dodatku chcą zabezpieczyć syna i jemu też kupują mieszkanie, a jak zapytałam Olafa, czy razem w nim zamieszkamy, to zaczął kręcić.

– Wydawało ci się.

– Bo ja wiem...

– To normalne, że rodzice chcą zabezpieczyć dzieci, nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

– Tak, ale pomyślałam, że może on nie jest ze mną szczęśliwy i szykuje sobie odskocznię.

W tym miejscu Magda powinna zaprzeczyć i przekonywać mnie, że wcale tak nie jest, ale przyjaciółka popada w stan zadumy i zawieszenia, a potem zaczynamy rozmawiać o tym, czy powinnam iść na stypę i czy czuję ulgę po śmierci teściowej. Poza żalem, że przez tyle lat nie udało nam się wypracować fajnej relacji, nie czuję nic.

Pogrzeb wypada w ponury dzień. Wygląda to tak, jakby teściowa w ostatnim geście złościwości zamówiła na tę okazję burzowe chmury i wściekły wiatr. Woalki jej przyjaciółek usiłują odlecieć, a wszyscy ślizgamy się w żółtej mazi powstałej z rozpuszczonej ulewnym deszczem gliny starego cementarza. Wykopany grób, mimo że zabezpieczony czarnym baldachimem, ma tak nierówne i śliskie krawędzie, że grabarze czynią nie lada wysiłki, by utrzymać na szarych pasach ciężką dębową skrzynię. Nie wiem, dlaczego jej ciało nie zostało skremowane, tak jak sobie tego życzyła, ale to nie mój problem. Wojtek z pełną powagą przygląda się scenie, co chwila rzucając mi nienawistne spojrzenia, jakbym to ja wpędziła Aleksandrę do grobu. Jego córki, stojące przy matce, grzebią lakierowanymi czarnymi butami w błocie, bardziej zajęte kreśleniem autostrad niż tym, że widzą cień babci po raz ostatni.

Ksiądz rezygnuje z trzeszczącego mikrofonu i pospiesznie mamrocze słowa modlitwy, których i tak nie słyhać na tym wietrze, i wszyscy z poczuciem ulgi ruszają do wyjścia. Wiszę na ramieniu Olafa i usiłuję nie wywinąć orła. Magda wykręciła się ważnym spotkaniem i tylko wręczyła nam wielki, nieporęczny bukiet z prośbą, by złożyć go na grobie w jej imieniu.

Stypa, odbywająca się w eleganckim lokalu nieopodal cmentarza, zgromadziła zaledwie dwadzieścia najbliższych osób, które teraz usiłują dosuszyć się w łazience. Jest potwornie. Poza stukotem kelnerskich obcasów i delikatnym dźwiękiem sztućców nie słyhać nic. Nikt się nie odzywa. Nikt nie wspomina zmarłej i nawet gdy atmosfera nieco się rozluźnia i po gorącym rosolu panowie poluzowują krawaty, nikt nikogo nie zagaduje.

Basia czuje się jak intruz, ja nieswojo, a Olaf zwyczajnie się nudzi w gronie obcych. Teść jest przybity i zachowuje się jak automat, podatny na wszelkie sugestie syna, które dotyczą głównie tego, że należy jak najszybciej uporządkować sprawy majątkowe.

– Proponuję odczytać testament pojutrze.

– Dobrze.

Nie wiem, czy teść w ogóle słyzy pytanie, ale przytakuje.

– Nie mam więcej urlopu i musimy wracać.

– Dobrze.

– Proponuję też sprzedać dom, taki wielki nikomu nie jest potrzebny.

– Dobrze.

Nie wiem, co się porobiło z zadziornym mecenasem, ale jeśli się nie ocknie, stanie się życiową marionetką w rękach syna. Barbara jest ostatnią osobą, która byłaby zainteresowana jego majątkiem, a mnie też mało to obchodzi.

Wreszcie się rozchodzimy. Córki Wojtka są zmęczone i cała ekipa, łącznie z teściem, wraca do ich willi w wielkim ogrodzie. Basia czuje się odrzucona i choć nic nie mówi, widzę, że jest jej przykro, dlatego proponuję lampkę wina w naszym domu, na co chętnie przystaje.

Nie wiem, co zaszło w domu teściów, ale pan Robert toczy pianę z ust.

– Dasz wiarę, Żabciu, że oni chcą sprzedać nasz dom?

– Może słusznie.

– Słusznie czy nie, ale Wojciech oczekuje całej sumy ze sprzedaży! No, on chyba myśli, że ze mnie jakiś bezmózgi dziad.

– Robert, warto tak się denerwować?

– Po moim trupie! Mowy nie ma! Że też ja przez te wszystkie lata byłem taki ślepy. Chyba że jemu tak się teraz porobiło, toż to nie do wiary.

– Robert, ziółek ci zaparzę.

– Możesz zaparzyć, ale ja tak tego nie zostawię. To mój majątek, ciężko zarobiony, zapracowany, tyrałem na to całe życie i na starość będę korzystał. To



znaczy będziemy.

– Nie denerwuj się.

– Przestań mnie tu uspokajać! Muszę chronić pamięć Oleńki, a nie wyzbywać się wszystkich wspomnień, zwłaszcza tych związanych z domem. Oni jeszcze zobaczą! I te córunie! Babcia zmarła dopiero co, a to takie wrzaskliwe po całym domu lata. Do hotelu kazałem im iść, bo jeszcze gotowi szafy matki przeglądać. Mówię wam, po moim trupie.

Jednym haustem wypija ziółka, każe sobie zaparzyć czarną kawę i wałąc pięścią w stół, powtarza, że na to nie pozwoli. Snuje wspomnienia i prawdopodobnie w jego głowie rodzi się plan na swoiste mauzoleum teściowej. Oby tylko Barbara znalazła w nim miejsce dla siebie.

Wojtek źle ocenił sytuację i zbyt pośpiesznie wykonał krok, a bez matki na zapleczu jego zachowanie zostało odczytane tak, jak odczytane być powinno – czyli prawidłowo. Nieświadomie obudził w teściu dawnego walecznego rycerza i tchnął w niego nowe życie w epoce bez Oli.

– Czy musisz te wszystkie kafle wozić moim samochodem?

– Twój jest większy.

– Ale bardziej czysty, a ty mi tu stale bałaganisz, i jeszcze ten klej czy co to jest. Sprzątnij to, przecież wciera się we wszystko.

– Dobrze, dobrze.

– A pomyślałeś przy okazji zakupów, że nasz płot też wymaga pomalowania? Ta farba jest niby na dwa sezony, ale widziałam, że w niektórych miejscach zaczynają już prześwitywać gołe deski.

– Później się tym zajmę.

– Aha, od kiedy zaczynasz kelnerowanie?

– Właśnie. Chciałem z tobą o tym porozmawiać. Przytrzymaj mi worek z tamtej strony.

– Masz inną propozycję? – Przyglądam się kolejnej partii materiałów budowlanych, która zalega w garażu. Jeszcze trochę, a mój samochód się tu nie zmieści. – Czy to wszystko musi być tu składowane? Nie możesz tego zawieźć do rodziców?

– Przecież wiesz, jak małe mają mieszkanko.

– Do tego nowego.

– Jeszcze nie jest oddane.

– To po co tyle kupujecie? Nie można później?

– A jak nie będzie? Teraz na wszystko się czeka.

– Nie wmawiaj mi, że na klej do płytek również. Przecież kupiłeś tego pięć worków! Po co tyle?

– Tyle wyjdzie. A jak coś robię, to kompleksowo. Płytki, grunt, klej i fuga.

– Czyli mogę liczyć na to, że kompleksowo zaopiekujesz się gośćmi i nie

tylko będziesz ich obsługiwał, ale zajmiesz się też barem.

– Musimy porozmawiać.

Oczywiście, że musimy, bo czuję, że Olaf usiłuje po raz kolejny się wykręcić, a ja zwyczajnie nie mam siły dłużej bawić się w kotka i myszkę, grając dobrą ciocię i tolerując jego potrzeby, na których liście zabrakło pozycji: praca i zarabianie pieniędzy.

I guzik. Nie rozmawialiśmy ani wtedy, ani przez kolejne trzy dni, bo jak na złość pani Mariola zwichnęła nogę i Olaf zajął się podawaniem i przywożeniem jej wszystkiego, co możliwe. Trudno oprzeć się wrażeniu, że dla niego to jak dar losu. Dla mnie oczywiście dopust, bo pozbawiona kelnerskiego wsparcia, zamiast delektować się domowym zaciszem, zasuwam z tacą między stolikami. A tu znowu zrobiło się pięknie. Wróciła ładna pogoda, ale bez upału, i mieszkańcy okolicznych bloków nie tylko wylegli na spacer, ale również do nas chętnie zagląдают.

Poznań oddycha wakacyjnym spokojem. Zniknęły korki, miasto zmieniło rytm i wrzuciło na luz. Pogoda jak na zamówienie. Nocą pada, w ciągu dnia świeci słońce. Nikomu nic się nie chce, nikt się nie spieszy. Kucharze, o dziwo, nie marudzą, a dwie ocalałe kelnerki, widząc mnie ciągle za barem albo wśród stolików, wpadły w codzienną rutynę. I byłoby miło, gdyby jakiś złośliwy głosik w tyle głowy nie szeptał mi, że długo tak się nie da.

Burza nadciąga z najmniej oczekiwanego kierunku. Spodziewałam się trudnej rozmowy z Olafem, wojny z Wojtkiem czy pretensji teścia, tymczasem to Magda przynosi wieczorem odbezpieczony granat.

– Fajnie, że wpadłaś! Mam ci tyle do opowiedzenia. Napijesz się kawy, wina, wody?

Magi wygląda, jakby ktoś umarł i miała mi przekazać wiadomość o pogrzebie.

– Coś się stało?

– Nie wiem.

Zaczynam się bać. Może jest poważnie chora?

– Jezu, przerażasz mnie. Poczekaj, naleję nam wody i usiądziemy na tarasie.

Wyjmuję dwie wysokie szklanki i łapię butelkę wody, tymczasem Magda zamiast na tarasie opada na kanapę w salonie.

– Wolę tutaj, nie chcę, żeby ktoś coś usłyszał.

– Rany, co się dzieje? – Stawiam szklanki, ale jestem tak zdenerwowana, że nie potrafię nalać do nich wody.

Magda jest blada, a im dłużej milczy, tym większy mój niepokój.

– Słuchaj, zrobiłam coś strasznego.

– Co ty gadasz?

Co prawda wygląda, jakby popełniła masowy mord na bezbronnych dzieciach, ale przecież to niemożliwe. Więc o co chodzi?

– Nie mogę ci powiedzieć, jeszcze nie teraz.  
– Magda, przestań! Wiesz, że możesz powiedzieć mi wszystko, jesteśmy przyjaciółkami...  
– Ale nie tym razem. Musisz dać mi czas.  
– Jezu. Powiedz chociaż ogólnie.  
– Potrzebuję czasu, muszę to poukładać w sobie i ze sobą.  
– Ale o co chodzi? Przecież chyba nikogo nie zabiłaś, nie okradłaś? Co może być gorszego?

– Może.  
Zaczynam nie tylko się denerwować, ale i złościć. Po co do mnie przychodzi, skoro nie chce powiedzieć, w czym rzecz? Przecież doskonale wie, że tylko się zestresuję! Nienawidzę takich niedomówień!

– Masz zamiar powiedzieć, o co biega?  
– Przepraszam, myślałam, że dam radę, ale...  
– Ale co?  
– Nie dam rady.  
– Przyszłaś tylko po to, żeby zasiać we mnie niepokój? Przecież będę sobie wyobrażała najgorsze rzeczy...

– Nina, przepraszam, potrzebuję czasu.  
– Ale nie jesteś chora?  
– Nie, to nie to.  
– Chociaż tyle.  
– Muszę to wszystko jakoś poukładać. Może niepotrzebnie przyszłam, ale nie mogę się z tym uporać.

W panice, nim Magda wyjdzie, usiłuję wykluczyć jeszcze kilka newralgicznych obszarów, które, gdy już zostanę sama, będę mogła rozważyć jako punkty zapalne, więc pospiesznie wpytuję, czy chodzi o pieniądze, coś z domem lub przeszłością. Na wszystkie pytania otrzymuję odpowiedź przeczącą i wreszcie wpadam na w moim odczuciu właściwy trop.

– Chodzi o treningi?  
Magda porusza się nerwowo, wstaje z kanapy i wiem, że trafiłam w sedno.  
– Coś się stało podczas treningów?  
– Nie pytaj.  
– Magda, daj spokój, jeśli nawet ktoś sobie coś zrobił czy się przeciążył, to przecież nie twoja wina. Nie możesz brać za to odpowiedzialności, nie jesteś trenerem, tylko uczestnikiem zajęć...

– Nic nie rozumiesz.  
– To powiedz wreszcie, w czym rzecz.  
– Potrzebuję czasu... Zadzwoń, OK? Zrozum, proszę, muszę to wszystko sama poukładać.

– Wiesz, że nie cierpię, jak tak robisz!

– Wiem, ale to naprawdę mnie przerasta.

– Okropna jesteś.

– Nina, wybacz. Chciałam ci powiedzieć, ale jak tu przyszłam, uświadomiłam sobie, że nie dam rady.

– Nic z tego nie rozumiem, ale OK. Jak będziesz gotowa, to czekam. I wiesz, że jakby co, to też jestem.

– Wiem i to jest najgorsze.

Nie rozumiem, co jest najgorszego w tym, że najbliższa przyjaciółka jest gotowa wysłuchać jej problemów i ją wesprzeć, ale kładę to na karb stanu, w jakim Magda się znalazła, i nie komentuję. Drzwi się za nią zamykają, a niezadowolona Ziuta, której nie udało się wymknąć przy okazji do ogrodu, wywija ósemki wokół moich stóp, przez co prawie się przewracam w drodze do kanapy. Opadam na miękkie poduchy i czuję, jak koło zamachowe wprawia w ruch kolejne trybiki i po chwili mój mózg pracuje pełną parą. Co takiego straszego zrobiła Magda? Najwyżej mogła wyskoczyć z którąś ze swoich dziwnych porad, które nijak się mają do rzeczywistości, a jakiś kretyń z niej skorzystał i doznał rozstroju nerwowego. Przecież nic więcej nie mogło się wydarzyć. Znajac egzaltację mojej przyjaciółki, podejrzewam, że jak zwykle wyolbrzymia problem, który za miesiąc okaże się zaledwie niewielkim kłopotem.

Nie zmienia to faktu, że czuję się zraniona tym, że nie powiedziała, o co chodzi, i sprawiła, że świąd ciekawości i troski będzie mi towarzyszyć przez najbliższe dni. Nie jest mi dane rozkminić wszystkich myśli, bo Olaf wpada do salonu, jakby goniła go śmierć.

– Cześć. Była tu Magda?

– Jezu, a coś ty taki zziąjany? Była, a co?

– Widziałem jej samochód.

– No i co z tego?

– Wiesz już? – Olaf przygląda się mojej twarzy, jakby usiłował wyczytać z niej... sama nie wiem co.

O co tu chodzi? Cholera, może on też ma coś za uszami z tymi treningami? Może też kogoś namawiał do zbyt forsownych ćwiczeń? I pewnie o to chodzi, że maczali w tym palce razem! Ale przecież to raczej niemożliwe, Magi ćwiczy na sali, a on biega po lesie jak opętany, więc kiedy? Chociaż... przecież wspominali, że od czasu do czasu spotykają się na ścieżce, więc może jednak...

– O czym?

– Magda ci nie powiedziała?

– No, powiedziała, że ma wielki problem i nie wie, jak mi o nim opowiedzieć... A ty wiesz coś więcej?

– Ja? Skąd, nie...

– Myślę, że coś kręcisz.

Kręci. Wiem, że tak, ale nie wiem, jak go zmusić do powiedzenia prawdy. Sprawia wrażenie, jakby wiedział więcej ode mnie, a to by znaczyło, że moja przyjaciółka zwierzyła się jemu, a nie mnie. Czuję się podwójnie rolowana i jest mi z tym bardzo źle. Olaf natomiast chyba poczuł ulgę. W co oni się wpakowali?

– Nie, wydaje ci się.

– Olaf, powiedz prawdę! Co się stało na tych treningach?

– Na treningach?

– Magda mówiła, że to coś związanego z treningami, ale jeszcze nie może mi powiedzieć. Co ona wykombinowała? Została trenerem personalnym i coś poszło nie tak? Przecież jej mówiłam, że najpierw musi załatwić papiery.

– Ja naprawdę niewiele wiem.

– A co wiesz?

– No, że ma jakiś problem z treningami, ale mnie też nie chciała więcej powiedzieć.

Olaf opiera się o ścianę, zupełnie jakby chciał zabezpieczyć tyły przed atakiem. Bawi się kaskiem rowerowym, skupiając na nim całą uwagę. Nie patrzy na mnie, tylko skubie cholerny parciany pasek przymocowany do plastikowej kopuły i wygląda, jakby miał coś na sumieniu. W ogóle wygląda dziwnie w obcisłych gatkach wypchanych pieluchą i rowerowych butach z metalowymi zębami, które nie pozwalają stanąć prosto. Cały ten profesjonalny strój krzyczy, że jego właściciel chce stąd wyjść.

– A kiedy ty z nią rozmawiałeś?

– Jak to kiedy?

– No, kiedy? Skąd wiesz, że Magda ma kłopot? To moja przyjaciółka i dopiero co mi o tym napomknęła, a ty jakimś cudem już wiesz.

– Nie żadnym cudem, tylko wczoraj spotkaliśmy się w lesie na joggingu i jakoś tak jej się wymknęło, że ma problem.

– Myślałam, że byłeś u rodziców.

– Bo byłem. Oczywiście, że byłem, ale potem musiałem jeszcze potrenować. Znasz mnie.

Obawiam się, że z dnia na dzień znam go coraz słabiej i umykają mi nie tylko szczegóły, ale i całokształt. Postanawiam nie drażnić tematu, zdając sobie sprawę, że im bardziej będę naciskać, tym mniej się dowiem. Kolejny raz zasklepiam się w sobie i czuję się samotna i oszukana, choć przecież nie mam ku temu podstaw. Zbiegi okoliczności krążą wokół nas jak natrętne muchy i nie należy popadać w paranoję ich nadmiernej interpretacji.

Pozwalam Olafowi złapać oddech pod prysznicem i dopadam go ze zdwojoną siłą, gdy ubrany w szorty, z mokrymi włosami ponownie się pojawia, zmierzając do kuchni.

- Jest coś na obiad?
- Nie, cały dzień byłam w knajpie i nie chciało mi się gotować.
- Zrobić ci coś?
- A co?
- Nie wiem. Sałatkę, pastę z makreli...
- Tylko nie makrela, zasmrodzisz całą chatę. Przyniosłam zupę warzywną.

Jak masz ochotę, stoi w lodówce.

Oczywiście, że ma ochotę. Dzięki temu udaje mu się ominąć cały bałagan związany ze skrobaniem warzyw i pilnowaniem, żeby się nie przypaliło. Zapomina nawet zapytać, czy nie ma w niej nic, co zaprzepaściłoby jego dietę, i po chwili z parującą miską siada przy stole. Zaparzam mocną herbatę, oczywiście rozlewam trochę na spodek i po chwili na białej bluzce pojawiają się bure plamy tego, co spłynęło. Wyglądam średnio i powinno być mi wszystko jedno, a jednak czuję jakieś napięcie między nami i biegnę się przebrać, żeby prezentować się przed moim facetem lepiej. W miarę wspólnie spędzanych miesięcy powinnam być na coraz większym luzie, a paradoksalnie mam wrażenie, że zawróciłam na orbicie i stałam się bardziej wyczulona, jakbyśmy dopiero co się poznali i chcieli pokazać się sobie z jak najlepszej strony.

Gdy wracam, miska jest pusta, a Olaf idzie dolać sobie kolejną porcję, przy okazji dokrawając pajdę chleba.

- Smakuje ci?
- Bardzo dobra, jak zwykle zresztą.
- I co tam słyszeć? Jak trening?

Najwyraźniej jest zdziwiony moim zainteresowaniem jego sportową aktywnością, a ja dla odmiany postanawiam trochę odpuścić i skupić się również na tym, co dla niego ważne.

– Dobrze, a dlaczego pytasz? – Wydaje się spięty i podejrzliwy, nie odrywając wzroku od jedzenia, skupia się na zbieraniu okruchów z obrusa. Oczywiście wymykają mu się coraz mniejszymi drobinami i w końcu walka z nimi przestaje mieć jakikolwiek sens.

– Po prostu widzę, że jesteś coraz bardziej zaangażowany. Kiedy masz ten maraton?

- Za dwa tygodnie.
- A gdzie? Mówiłeś, że gdzieś nad morzem?
- Nie, w górach, ultrabieg.
- Czyli?
- Mała ekstrema, ale powinienem dać radę. A co?

– Pomyślałam, że skoro dzieciaki mają wakacje, to może byśmy razem pojechali. Ty na te swoje biegi, a my na spacer. Fajnie by było, gdybyś miał kibiców, co?

– Bo ja wiem...  
– Myślałam, że się ucieszysz.  
– No, cieszę się, oczywiście. Tylko dla was to może być nudne. Co wy tam będziecie robić?

– Coś sobie znajdziemy. Przecież można chodzić na spacer, pewnie mają tam jakieś place zabaw. A jak już będziesz po, to może pojedziemy zwiedzić Frydland.

– Ale to jest w Czechach.

– No to co? Ledwie kilka kilometrów od granicy.

– Tylko że zarezerwowałam już pokój dla dwóch osób.

– Dlaczego dla dwóch?

Cholera, zaczynam nabierać podejrzeń, jeszcze trochę i zacznę być zazdrosna, a potem już prosta ścieżka ku zaborczym awanturom. Muszę się pilnować.

– Bo tylko taki mieli. Obawiam się, że mogą już nigdzie nie mieć wolnych pokoi. Zjedzie się kilka tysięcy ludzi.

– Myślisz, że aż tyle?

– Raczej tak. To mój pierwszy taki bieg, ale to impreza międzynarodowa, więc może być tłoczno. Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Bardzo dobry. Zobaczysz, będzie fajnie. Z Antosiem możemy spać w łóżku, a dla dziewczynek poprosimy o dostawkę i jakoś damy radę. Trzeba korzystać z życia! Będzie super!

– Nie jestem przekonany.

– Wyglądasz, jakbyś wcale się nie cieszył.

– Nie, no coś ty. Uważam, że to świetny pomysł, tylko trochę mnie zaskoczyłaś. Wiesz, że przerażają mnie takie wyprawy z dziećmi, ale jeśli wszystko zorganizujesz, to czemu nie?

– A widzisz! Damy radę. W razie czego pojedziemy dwoma samochodami i albo ja do ciebie dojadę, albo wrócę wcześniej. Zresztą pewnie będziesz musiał zabrać sporo sprzętu, więc tak może być nawet wygodniej. – Jestem z siebie dumna. Mam pomysł na wszystko i odpowiedź na wszystko. Jestem zorganizowana, pełna energii i tryskam entuzjazmem, co, muszę przyznać, ostatnio jakoś mi się nie udawało. Postanawiam czerpać z życia garściami i trochę odpuścić, dlatego w sprawie pracy w knajpie postanawiam nie naciskać. – Wiesz, myślałam też o tej pracy u mnie. Właściwie możesz zacząć już po tym maratonie, a teraz skup się na przygotowaniach, nie chciałabym, żeby te dwie rzeczy kolidowały z sobą.

– No właśnie, mieliśmy o tym porozmawiać.

– Nie musimy teraz.

– Ale tak będzie lepiej. Przemyślałam to.

– Tak?

– I doszedłem do wniosku, że jednak nie mogę tam pracować.

– A dlaczego?

– To poniżej moich możliwości.

No nie! Miałam być spokojna i kojąco empatyczna, ale te słowa wyzwalają we mnie złość. Czy on myśli, że podawanie kawy i piwa to jedyne, na co mnie stać, i że to szczyt moich marzeń?

– Oszalałeś? Nikt nie mówi o możliwościach, zwyczajnie jesteśmy na takim etapie życia. Myślisz, że o tym marzyłam, kończąc studia?

– Nie zrozum mnie źle, ale moja branża szybko się rozwija i zmienia z tygodnia na tydzień, a jak wypadnę z obiegu, to trudno mi będzie wrócić do...

– W takim razie chyba już jesteś na jakiejś boczniczy, bo przypominę ci, że nie pracujesz od dwóch miesięcy!

– Nie bądź złośliwa.

– Nie mam zamiaru.

– To, że mi się nie układa i niczego nie mogę znaleźć, to nie moja wina.

– Więc może trzeba brać, co dają, i poczekać na coś lepszego. A póki co, to nie dość, że nic nie robisz w tym kierunku, to w ogóle mam wrażenie, że nic nie robisz.

– Nie przesadzaj. Przecież pracuję nad twoją stroną internetową.

– Tak, i powinnam być ci wdzięczna. Człowieku, siedzisz nad tym siódmy tydzień i jak nic nie działało, tak nie działa!

– Bo nie mam czasu, muszę trenować!

– To zapisz się na jakąś olimpiadę czy gdzieś, gdzie ci za to zapłacą! Nic nie musisz, tylko chcesz, a to kolosalna różnica!

– Nie sądziłem, że jesteś taka wyrachowana. Tylko kasa, kasa, kasa! Czy ty, kobieto, nie potrafisz żyć czymś innym?

– Oczywiście, że potrafię, tylko nic innego nie nakarmi ani nas, ani dzieci!

– Właśnie! A trzeba zdać się na karmę, wsłuchać w swoje pragnienia i robić w życiu to, co przynosi szczęście i satysfakcję, a reszta się ułoży.

– Zgłupiałeś? Jak mam się nastawić na wewnętrzne wibracje? Nie zapłacę nimi rachunków! W dodatku ty wcale się nie dokładasz.

– Myślałem, że się kochamy, a nie jesteśmy z sobą dla rachunku ekonomicznego.

– Oczywiście, że tak. Tylko ja już na to nie mam siły, na twoje kolejne buty do biegania...

– O, przepraszam, kupiłem za swoje!

– Ale obiad jesz za moje!

– Widzisz! Sprowadzasz wszystko do kasy! Jak ci tak zależy, to mogę płacić część czynszu! Zastanów się, za ile wynajmiesz mi kawałek sypialni, łazienki i kuchni.



– Nie przeginaj!

– Ja przeginam?! To ty wszystko do tego sprowadzasz! Ślepa jesteś?

Najwyraźniej ślepa byłam, jak zaczęliśmy się spotykać. Przecież to chore!

O czym i w jakim stylu my rozmawiamy? Miłość wyparowała, a zostały tylko problemy? Jakoś dla niego kasa nie jest przeszkodą w funkcjonowaniu, bo zawsze ją skądś wygrzebie. Albo z mojego portfela, albo – jak się okazuje – z konta rodziców. I oczywiście miałabym to wszystko gdzieś, gdyby był ze mną tak blisko jak kilka miesięcy temu, ale nie jest. Już nawet nie ma czasu, żeby pójść ze mną do kina, a o porannym wspólnym wstawaniu i śniadaniu mogę zapomnieć.

Stoimy w niewielkiej kuchni i przy otwartym oknie wywrzaskujemy wzajemne pretensje, które piętrzą się między nami jak graniczny mur. Wreszcie napięcie ze mnie opada i, o dziwo, nie chce mi się nawet ryczeć. Biorę głęboki oddech i spokojnym, no, w miarę spokojnym głosem pytam:

– Napijesz się wody?

– Nie, odechciało mi się wszystkiego.

– Przestań. Czasami ludzie się kłócą.

– Ale ja tak nie potrafię. Myślisz, że przejdę nad tym do porządku dziennego i będę się zachowywał, jakby nic się nie stało? Sorry, ale nie.

– To co zamierzasz?

– Nie wiem. Na razie idę się położyć.

No nie. Czegoś takiego się nie spodziewałam. Chce mi się zadzwonić do Magi i się wygadać, ale skoro muszę jej dać czas i ma własny wielki problem, to dochodzę do wniosku, że nie powinnam. Siadam na kanapie i czuję się potwornie samotna. Dzwonię kolejny raz tego dnia do dzieci i wysłuchuję szczebiotu o tym, jak jest fajnie, co robiły i dokąd mają zamiar jeszcze pojechać. Okazało się, że pieczone o poranku ciasteczka już zostały zjedzone, domki dla krasnoludków wybudowane w ogrodzie między gałęziami hortensji nadal są niezamieszkałe, chociaż pojawiły się przed nimi dziwne ślady, a jutro wybierają się nad jezioro. Oczywiście rozmowę wieńczy błagalny jęk, czy mogą jeszcze trochę zostać i że mnie kochają, ale muszą kończyć, bo właśnie wykluwają się małe kaczuszki.

Brakuje mi tych moich stworzonek, miałabym ogromną ochotę wszystkie naraz i po kolei przytulić. Ich pokoje od razu po wyjeździe wysprzątałam, pozbywając się cichaczem zepsutych i nieużywanych zabawek, zmieniłam pościel i teraz nawet nie mam po co tam wchodzić. A jednak robię to i usiłuję poczuć ich obecność. Potwornie brakuje mi Jaśka, który wyczuwał, że mam złe chwile, i przychodził się przytulić. Teraz byłby już prawie dorosłym facetem z prawem jazdy i fajną dziewczyną u boku. Wnosiłby do domu entuzjazm i pierwsze poważne problemy. Za parę lat, bo przecież Jasiek był odpowiedzialnym gościem, zostałabym babcią i siadywała na bujanym fotelu z pożyczanym od rodziców na sobotnie wieczory niemowlęciem. Tymczasem sama zasuwam jak młoda matka,

i to w dodatku samotna.

Stale rozmyślam nad tym, co powiedziała tamta kobieta w parku – o tej rodzinie naciągaczy, o wykorzystywaniu i o tym, że mam być uważna. Wszystko to wydaje się dziwne, ale po ostatniej kłótni zastanawiam się, ile prawdy jest w jej słowach. Olaf śpi na górze, a ja odpalam komputer. Przeglądam jego profil na FB, na którym poza zdjęciami z rowerem, obok roweru i na trasie biegowej nie znajduję prawie nic. Żadnych fotografii i wiadomości sprzed dnia, kiedy znowu się spotkaliśmy. Z jednej strony to dziwne, ale przecież sam wspominał, że nie lubi mediów społecznościowych, a profil założył za moją namową, żeby polubić stronę mojej knajpy i trochę ją poreklamować wśród swoich potencjalnych znajomych. Ich grono w krótkim czasie rozrosło się do prawie czterystu osób, czyli społeczności prawie tak dużej jak ta, która śledzi imprezy i nowe potrawy na mojej stronie.

Głównie wymieniają się informacjami o nowych życiowych rekordach i miejscach kolejnych spotkań. Niekiedy pojawia się wśród nich Magda w tych swoich designerskich dresikach i nasz kucharz, którego nie podejrzewałabym o jakąkolwiek aktywność sportową.

Nudziarstwo, które jednak pociąga rzesze podekscytowanych ludzi. No cóż. Nie miałabym ani ochoty, ani czasu w tym uczestniczyć.

Jak za podszeptem złego sprawdzam firmę, w której Olaf pracował. Zawsze się zastanawiałam, czym się zajmowali i z jakimi klientami pracowali. Skrzyżowanie firmy informatycznej z agencją reklamową w założeniu jest czymś ciekawszym niż nudne programowanie i projektowanie stron. Pewnie się nie mylę w swych założeniach, tyle że nie mogę znaleźć śladu takiej firmy. Wpisuję jej nazwę przez K, potem przez C, tworzę kilka jej wersji, podmieniając ostatnią literę, którą może być Q, KSI lub B, i nic. Zero. Najbliższe tej nazwie są zakład produkcji elementów ze sklejki i firma odzieżowa z siedzibą w Kąkolewie w województwie pomorskim. Dziwne. Oczywiście się nie poddaję i składając fragmenty naszych rozmów, przeglądam strony klientów, których ponoć obsługiwali, bezskutecznie szukając jakichkolwiek śladów ich współpracy. Też nic.

Zdesperowana wpisuję w wyszukiwarce imię i nazwisko Olafa i zostaję przekierowana na jego FB. Trafień jest multum, ale dotyczą ludzi, których nigdy nie widziałam na oczy. Mój facet, znany informatyk, nie istnieje w sieci. Co gorsza, nie istnieją jego firma ani strony, nad którymi pracował. Istnieje tylko mój Olaf – sportowiec amator na ścieżkach, które kojarzę ze spacerów. Sprawdzam listę absolwentów uczelni, przecież studiowali razem z Bartem, ale wygląda na to, że studia ukończył tylko mój mąż, a on nie. OK. Przeglądam inne roczniki, przecież ludzie biorą dziekanki, zmieniają kierunki... ale mimo że na dworze już zmierzcha, nie wiem wiele więcej niż kilka godzin wcześniej.

Postanawiam z nim o tym porozmawiać, tylko nie wiem jak i kiedy, bo

przecież po scysji na temat pieniędzy nie wypadnie to zbyt dobrze. Staję w sypialni nad Olafem i zastanawiam się, czego jeszcze o nim nie wiem, czy skrywa jakąś tajemnicę, którą powinnam poznać, czy to zwykła nieudolność, że nie potrafię dowiedzieć się o nim czegoś sama. Po co właściwie grzebię w jego życiu? Nie wystarcza mi to, co wiem?

Budzę się w łóżku Klary i nasłuchuję. W domu panuje cisza. Olaf albo śpi, albo już robi te swoje kilometry i spala kolejne kalorie. Wkładam ten sam dres co wczoraj i schodzę do kuchni. Drzwi tarasowe są otwarte, a stół nakryty, jakbyśmy zaraz spodziewali się gości.

- Cześć, fajnie, że wstałaś.
- Czekamy na kogoś?
- Nie, przyjdą tylko moi rodzice.
- Aha.

Oczywiście to moje marzenie o poranku. Podejrzewam, że znowu omówimy wszystkie dekory i możliwe rozmiary płytek, zastanowimy się nad zagospodarowaniem sporego balkonu i będziemy dywagować, jakież to rośliny zasadzi deweloper w wielkim ogrodzie w centrum miasta. Z drugiej strony to dobrze, bo wreszcie przestaniemy analizować ergonomię rozmieszczenia przyborów w mojej kuchni.

- Chcieliśmy z tobą porozmawiać.
- Coś się stało?
- Nie, skąd.
- To dlaczego takie uroczyste śniadanie?
- Jakie tam uroczyste. Normalne. Chciałem się trochę zrehabilitować za wczoraj.
- To miło.
- I wiesz co? Jeszcze raz przemyślałem sprawę i dopóki kogoś nie znajdziesz, pomogę ci w knajpie. Co ty na to?
- Jestem zaskoczona, ale to świetnie. Przecież nie oczekuję, że będziesz tam pracował zawsze.

Dzwonek do drzwi wytrąca nas ze słodkich obietnic i sprawia, że gnam na górę nałożyć choćby warstwę fluidu i wytuszczać rzęsy. Wpadam na pomysł, że może jednak włożę coś mniej wymiętego, ale gdy otwieram szafę, nie mogę się na nic zdecydować i wreszcie uznaję, że bladuróżowy dres jest całkiem spoko.

– Jesteśmy! – Głośne wołanie pani Marioli morduje poranną ciszę, a krzątania i szuranie dowodzą, że nadal nie potrafi się powstrzymać od grzebania w szafkach.

Słyszę stukanie kubków i jej uwagi, że na dwór nie powinno się brać filiżanek, bo herbata szybciej stygnie, i jak mogliśmy o tym nie pomyśleć.

Schodzę niespiesznie, zastanawiając się, o czym też będziemy rozmawiać.

– Dzień dobry.

– No, nareszcie! Nineczko, zobacz, co upiekłam! Nie, nie babeczki. Dzieci nie ma, więc upiekłam ciasto drożdżowe z rabarbarem, podobno takie lubisz.

– Tak, dziękuję, ale niepotrzebnie robiła sobie pani kłopot.

– Jaki tam kłopot! I jaka pani? Przecież jeszcze trochę i będziemy rodziną!

Jezu! Mam nadzieję, że Olaf nie wpadł na pomysł oświadczyn o poranku. Nie chcę ich w obecności potencjalnych teściów i nie chcę być wtedy w różowym dresie. I wcale ich nie chcę, zwłaszcza teraz, gdy tak się kłócimy. No, może po prostu kłócimy.

– Mamo, przestań. Usiądź lepiej na tarasie, a ja zaparzę herbatę.

– Dziecko, przecież ja nie wysiedzę. A poza tym czy ty wiesz, ile wsypać do dzbanka? Zagotuj wodę, a ja się zajmę resztą.

Od czasu, jak rodzice Olafa zdecydowali się na sprzedaż domku i kupno apartamentu w centrum miasta, robią wszystko, żeby być bardziej miejscy i światowi. Sprawiające wrażenie za dużych ciuchy z marketu zamienili na wygodne, w dodatku modne dżinsy, które noszą z jasnymi, luźnymi koszulami i mokasynami. Wielka, nijaka torba Marioli ewoluowała do rozmiarów torebki na złotym łańcuszku przewieszanej przez ramię, a tandetny, świecący skaj został wyparty przez ciemną skórę. Zmieniły się również ich fryzury i poniekąd sposób wysławiania, nawyki niestety nie, ale bardzo się starają wieść wyluzowane miejskie życie. Zaczęli chodzić do kina, byli nawet w teatrze, a pan Roman przestał się bać wjeżdzać na parkingi centrów handlowych. Nim podejmą jakąkolwiek zakupową decyzję, konsultują swój wybór w różnych sklepach danej branży, podpierają się informacjami z netu i wreszcie pytają Olafa o zdanie. Zaczęli od miejskich rowerów, a skończyli na manifestacji pod uczelnią. Nie do końca wiedzieli, w jakiej sprawie tam są, ale głośno wykrzykiwali hasła o ochronie przyrody.

W cudowny sposób mają coraz mniej czasu dla mnie. Śmierć pani Oli bardzo ich poruszyła i stała się katalizatorem daleko idących zmian w ich życiu, które, jak uznali, nie jest wieczne i trzeba z niego korzystać na maksa. Angażują w swoje działania również syna, który – mam wrażenie – tylko dla nich jest w stanie odkleić się od bieżni. Tak jest również dzisiaj.

– Chcemy od września zapisać się na uniwersytet trzeciego wieku.

– Przecież wy nawet matury nie macie.

Matka Olafa prostuje się na krześle i w oczach ma wypisany mord.

– To nie ma znaczenia. Poza tym nie musisz obwieszczać całemu światu, że nie mamy wykształcenia. Gdybyś się nie urodził...

– Tak, wiem, wiem, słyszałem to wielokrotnie.

– A żebyś wiedział! Co kobieta poradzi, że w liceum zaciążyła? Ty się cieszą, że ojciec okazał się prawdziwym mężczyzną i stanął na wysokości zadania.

Poszedł do pracy, żeby nas utrzymać. Gdyby nie on, to nie wiem, co by z nami było...

– Tak, oczywiście.

– No więc, o czym to mówiłam? A tak. Zapisujemy się na uniwersytet. Nigdy nie jest za późno.

– Oczywiście, to świetny pomysł.

Tym lepszy, że trzeba chodzić na wykłady, czegoś tam się uczyć i coś zgłębiać, a to przecież zajmuje czas... Zresztą to chyba naprawdę świetna alternatywa, gdy kończy się pracę zawodową i nie ma ogródka działkowego albo stadka wnuków.

– Miasto daje tyle możliwości! Nigdy bym nie przypuszczała... Wy, młodzi, zupełnie nie docenicie tego, co macie.

– Matka zapisała nas nawet na siłownię – wtrąca pan Roman.

– Może zaczniecie biegać maratony? Jakby co, służę radą.

– Nawet tak nie żartuj. Matce dwa razy nie trzeba powtarzać.

– A u nas w tym bloku to mamy ogród i tak się zastanawiałam, czy to wypada zapytać o sznurki na bieliznę. Jakby tak rozwiesili, to można by pościel suszyć...

– Mamo, nie pytaj! Oszalałaś? Zaraz inni będą gacie suszyć! Zresztą chciałabyś siedzieć na ławce i pilnować, czy ktoś ci czegoś nie kradnie?

– A wiesz, o tym nie pomyślałam.

– Kup sobie suszarkę albo jeszcze lepiej pralkę z suszarką, i po sprawie.

– To są takie?

Oczywiście po chwili na stole pojawia się laptop i cała trójka pochyla się nad ekranem, porównując ceny sprzętu. Dziobię widelczykiem kawałek suchego placka w poszukiwaniu ukrytego wśród kruszonki rabarbaru i dopijam kawę. Nic mnie nie obchodzi modele sprzętu AGD ani ich nowe cywilizacyjne zacięcie. Bardziej jestem zainteresowana przeszłością Olafa i najchętniej trochę bym ich powypytywała, ale wiem, że teraz się nie przebiję.

– To może wy tu sobie pogadajcie, a ja pójdę do siebie.

– Mowy nie ma. My w zasadzie tak trochę do ciebie przyszliśmy.

– Tak? – Kręcę się niespokojnie na krześle, zastanawiając się, co tym razem wymyślili. – A co się stało?

– Nic się nie stało, oczywiście, że nic. Tylko widzisz, my tu nikogo nie znamy i pomyśleliśmy, że może byś nas zapoznała z tym gronem Oli, świeć, Panie Boże, nad jej duszą.

– Ale ja ich nie znam! – Swoją drogą, co za pomysł.

– Przecież spotkałaś się z nimi kilka razy.

– No tak, ale to było przy okazji, nie spotykam się z tymi ludźmi. Może powinniście porozmawiać z teściem?

– A myślisz, że nie rozmawialiśmy?

– I co?

– Nic. Powiedział, że nie utrzymuje z nimi kontaktów, i był taki jakiś obcesowy. Zupełnie nie rozumiem, o co mu chodzi. Myślisz, że on się nas wstydzi? Że niby na wsi mieszkaliśmy, to gorsi jesteśmy? – Matka Olafa aż unosi się nad krzesłem ze zdenerwowania.

Najwyraźniej żyje w przekonaniu, że pieniądze, które tak niespodziewanie na nich spadły, dają również prestiż i odpowiednią pozycję towarzyską.

– Sądzę, że chodzi raczej o to, że teść rozstał się z teściową i siłą rzeczy trochę zerwał kontakty. Oni jednak opowiedzieli się po stronie Oli.

– Myślisz, że to o to chodzi?

– Tak, z pewnością. – Co mam im powiedzieć? Zresztą cała rozmowa wydaje się miałka i bezcelowa.

– Co ty powiesz, no popatrz.

– Może będziecie mieli fajnych sąsiadów i z nimi się zaprzyjaźnicie?

– No, w takim domu to z pewnością będą mieszkać ludzie na poziomie.

– Widzi pani.

– A ty z tą panią! Czy ty, Olafku, nie możesz się wreszcie Nince oświadczyć?

Olaf powinien powiedzieć, że oczywiście, właśnie o tym myślał, tylko jakoś się nie składało, tymczasem on dziwnie milczy. Wcale nie mam ochoty wychodzić za mąż, ale to by było miłe. No, nie że chciałabym dać mu kosza, nie o to chodzi. Tylko o to, że on mógłby chociaż chcieć, by pojawiła się między nami taka myśl. A tu wydaje się, że pytanie budzi tylko niepotrzebne kontrowersje i buduje ciszę.

– No co tak stoicie?

– Obawiam się, że nadal nie myślimy o ślubie.

– Matko najświętsza, rozstajecie się!

– Nie, skąd. Tylko w dzisiejszych czasach papierek nikomu nie jest potrzebny do szczęścia. Zresztą już miałam męża i myślę, że w dobrym związku takie przysięgi nie są konieczne.

– Ale, dziecko, to święty sakrament, a jako wdowa mogłabyś ponownie w kościele ślubować.

– Chyba jednak nie chcę.

– Ja się wtrącać nie będę, ale to mi się nie widzi.

– Mamo, daj spokój. Nam wydaje się to słuszne.

– Młodzi jesteście, to teraz tak wam się wydaje, ale jak będziecie mieli te lata co ja, to zupełnie inaczej będziecie patrzeć na życie.

– Z pewnością, ale na razie tak jest dobrze. Nalać wam jeszcze herbaty?

– Nie, ja mam dość. A rozmawiałeś już z Ninką?

Olaf morduje ją wzrokiem i najwyraźniej jest speszony.

- Mamo, przestań.
- O czym miałaś ze mną rozmawiać?
- O niczym, mamie się coś pomyliło.

Wariatkowo. Przecież widzę, że coś się dzieje, ale zachowują się tak, jakbym była dzieckiem specjalnej troski, które nie powinno słuchać strasznych bajek, bo wieczorem nie zaśnie. Odstawiam trzymany w ręku kieliszek z sokiem pomarańczowym i uważnie przyglądam się ich twarzom. Ojciec siedzi jak zwykle pochylony nad własnym jestestwem, nie do końca rejestrując, co się wokół niego dzieje, natomiast matka wpatruje się w Olafa z takim natężeniem, jakby wzrokiem usiłowała dać mu kuksańca. Po raz pierwszy dostrzegam, jak wielkie łączy ich podobieństwo i jak bardzo wyostrzają się im rysy w chwilach niepokoju czy napięcia. Wreszcie Olaf grobowym głosem mówi, że chciałby mnie zapytać, czy zgodziłabym się podżyrować mu kredyt na samochód.

Jestem w szoku. Słyszałam o czymś takim i wiem, że kiedyś ludzie tak robili, ale nie wiedziałam, że taka forma pożyczki jeszcze funkcjonuje, i w życiu się nie spodziewałam, że usłyszę taką propozycję.

– To głupie. Zapomnij. Lepiej wezmę pieniądze od rodziców, tylko że nie chciałem się u nich zapożyczać, zresztą dopiero co o tym mówiliśmy. Daj spokój, nie było pytania.

– Jezus, Olaf, nie wiedziałam, że coś takiego w ogóle istnieje.

– Sorry. Wiesz, po prostu nie mam stałego zajęcia, to znaczy umowy o pracę, i dlatego w rozmowie z rodzicami padł taki pomysł. Zapomnij o tym.

– Nie, no, dobra. Ale potrzebujesz nowego samochodu? Myślałam, że ten jest OK.

– Niby jest, ale ma już dziewięć lat i zaraz zacznie się psuć.

– Ale jeszcze się nie psuje?

– No, nie. Tylko jak znajdę pracę, to głupio będzie takim wrakiem jeździć.

– Dobra, rozumiem, ale w takim razie może go zmienisz, jak już będziesz miał pracę.

– Ech, synu, lepiej było jej nie pytać. Czy ty, dziecko, nie rozumiesz, że jak się ma coś nowego, ale takiego, no, wiesz, dobrego, to człowiek lepiej się czuje, ma wyższą samoocenę i łatwiej mu pokonywać życiowe przeszkody?

Jestem w nieustającym szoku, czuję, że zaczynają mnie osaczać, i coraz bardziej brakuje mi racjonalnych argumentów.

– Rozumiem, ale nikt mi nie powiedział, że jest taka potrzeba.

– Nie nikt, tylko twój narzeczon. Ale, dziecko, ty sama powinnaś też wyjść z inicjatywą.

– Myślałam, że wychodzę. Nawet zaproponowałam pracę.

– No właśnie, Olafek nam wspominał. Wiesz, ja nie mogę zrozumieć, a wierz mi, że usiłuję, dlaczego ty mu coś takiego każesz robić. Jak on ma być

kelnerem, no powiedz: jak?

– Ja jestem i korona mi z głowy nie spada.

– Ty to co innego, jesteś kobietą, to naturalne, że do stołu podajesz.

No nie! Nie wierzę.

– Ale jak ty, kochana, masz taki problem, to czemu nic nie mówisz? Wiesz, że my jesteśmy chętni do pomocy, mogę przyjść choćby jutro i w pracy ci pomóc.

– Nie, nie trzeba.

– No to trzeba czy nie? Bo Olafa tam ciągniesz, jakbyś wyjścia nie miała.

Bo nie mam! Ale nie jestem tak zdesperowana, żeby ich wpuścić do firmy. Po moim trupie! A swoją drogą to niewiarygodne, że ten dorosły facet najwyraźniej zwierza im się z każdej naszej rozmowy, przez co czuję się tak, jakbym również z nimi była w związku!

Olo robi wszystko, by natarczywi i zbyt szczerzy rodzice sobie poszli, oni jednak jak na złość rozsiadają się w fotelach i perorują na temat nowej płyty w kuchni, twierdząc, że tej „ondukcji” to nie wierzą i w porządnym domu potrzebny jest ogień. Szaleństwo.

Wreszcie po kolejnej (czwartej!) herbacie udaje się ich wypchnąć za próg. W milczeniu znosimy naczynia do zmywarki i gdy wreszcie nasypujemy do niej proszku i włączamy odpowiedni program, przez przypadek pochwytyjemy rzucane sobie ukradkiem spojrzenie.

– Co to było?

– Przepraszam za nich. Wiesz, matka plecie, co jej ślina na język przyniesie.

– Ale wynikało z tego, że ty myślisz podobnie jak oni.

– Nie, nie do końca. Facet zawsze marzy o lepszym samochodzie, ale nie miałbym odwagi z czymś takim wyskakiwać.

– A praca w knajpie?

– Już o tym rozmawialiśmy.

– No i co?

– Nic się nie zmieniło, oczywiście pomogę ci, ale może faktycznie po zawodach.

– No dobrze, jak chcesz.

Przestałam wierzyć w cokolwiek, zwłaszcza w to, że faktycznie podejmie się pracy w knajpie, skoro jest to przedmiotem jego rozmów z rodzicami. Jakiś chochlik każe mi zapytać, gdzie wcześniej pracował i co robił. Zaczynam niewinnie, by drażyć temat stopniowo, jednak Olaf się najeża i usiłuje jak najszybciej zakończyć rozmowę.

– Dlaczego nie chcesz o tym opowiadać?

– A co chcesz wiedzieć? Dla mnie to skończony rozdział i nie chcę do niego wracać. Nie rozumiesz?

– No jasne, tak tylko pytam. Bo wiesz, jakbym dokładniej wiedziała, czym



się zajmowałaś, to może jakoś bardziej bym ci pomogła z szukaniem roboty.

– Ale ja wcale nie chcę, żebyś szukała mi pracy.

– Twoja mama mówiła...

– Nie słuchaj, co ona gada. Wiesz, jaka jest.

– No dobra, a kumple ze studiów?

– Jacy kumple? Czy ty mnie przesłuchujesz?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale zawsze ma się jakichś znajomych i pomyślałam sobie, że jakbyś ich obdzwonił, to może ktoś miałby coś dla ciebie albo gdzieś cię polecił.

– Prosić nie będę.

– Nie o to chodzi, ale...

– Nina, mam dosyć. Po co mi wiercisz dziurę w brzuchu? Myślisz, że ja tego wszystkiego nie wiem? Jeśli nie wiesz, to ci powiem: mam dosyć, i to serdecznie. Wcale nie jest fajnie nie mieć kasy.

– Przepraszam, nie chciałam.

– Daj mi spokój. Wszyscy czegoś ode mnie chcą! Matka, ty, no ile można?

– Nie denerwuj się. Przecież wiesz, że mówię to wszystko z troską.

– Mam ci uwierzyć? Chyba z troską o siebie.

– No wiesz, jak możesz?

– Kasa, kasa, kasa, praca, kasa, tylko to się liczy.

– Jesteś niesprawiedliwy.

– Sama wczoraj mówiłaś...

– Ale w zupełnie innym kontekście.

– To bez znaczenia. Mam dosyć ciosania kołków na głowie.

– Dobrze, nie wkurzaj się tak. Przecież wiesz, że cię Kocham.

– Wiem, ale mi też nie jest łatwo.

Przytulam się do niego i pozwalam, by głaskał mnie po głowie i poklepywał po plecach. Mam nadzieję, że cisza i brak dzieci pozwoli zmienić lokalizację i przenieść się do sypialni, ale Olaf jakoś nie zachęca mnie do kroków w tym kierunku. Zamiast tego proponuje kolorowego long drinka, przy którym się rozluźniam i daję ponieść opowieści, jak to będzie, gdy jego rodzice zamieszkają w wymarzonym mieszkaniu, zajmą się studiowaniem i sobą nawzajem. Cudowna wizja, wolałabym jednak posłuchać, co my planujemy i w którą stronę pchniemy nasze życie. Oczywiście dostałam nauczkę i wiem, że nie powinnam naciskać, więc postanawiam snuć marzenia, gdy przymknę powieki wieczorem, a nie w jego towarzystwie. Zresztą o czym tu marzyć? Chyba tylko o tym, żeby przez najbliższe lata nic się nie zmieniło, żeby było tak, jak jest. Z trójką maluchów podczepionych do człowieka jak wyładowane węglem wagony do parowozu trudno myśleć o bocznicy.

Za dwa dni wracają dzieci, a ja nie wiem, kiedy te dwa tygodnie, bo po

kolejnych błagalno-płaczliwych telefonach tak przedłużył się ich wyjazd, przeleciały mi między palcami. Dlatego ostatnie dwa dni postanawiam poświęcić tylko sobie: ciału i umysłowi, niekoniecznie w tej kolejności. Przede wszystkim śpię do dziesiątej i z trudem zwlekam się z łóżka na umówiony masaż w pobliskim salonie. Cóż za wysiłek... chciałabym męczyć się tak każdego dnia. Następnie powierzam włosy zaprzyjaźnionej fryzjerce, a umysł plotkarskim tygodnikom, z których nadal nie potrafię wyczytać niczego interesującego. W planach mam wolność i luz, z którymi zupełnie nie wiem, co robić. Może dlatego kieruję kroki do małej księgarni połączonej z kawiarnią i przeglądam w niej nowości, sącząc słodką latte. Obserwuję ludzi, którzy śmiejąc się i rozmawiając, niespiesznie dłubią w deserach i żegnają się długimi radosnymi całusami. Dzwonię do Ola z nadzieją, że do mnie dołączy. Ale jak zwykle poci się na siłowni i będzie wolny dopiero za dwie godziny.

– Super! To ja tu sobie jeszcze pochodzę, zajrzę do kilku sklepów, a ty zrób, co masz do zrobienia, i zobaczymy się w mieście.

– OK.

– To co, Browar?

– Znowu Browar?

– Nie marudź, usiądziemy w ogródku na dziedzińcu.

– Dobra, zadzwonię, jak dojadę.

– Buziak.

Cieszę się jak nie wiem co i z tej radości pospiesznie płacę rachunek i chcąc dalej pomyszkować, udaję się na przegląd regałów. Przymierzam kolejne buty, choć w domu mam dziesiątki par, i kolejne dżinsy, choć obiecałam sobie, że już żadnych nie kupię, tylko schudnę i wreszcie wejdę w te, które leżą w szafie. Mimo wszystko dzwonię do Magdy, żeby wyciągnąć ją na mały shopping, ale przyjaciółka konsekwentnie nie odbiera ode mnie telefonu. Wreszcie decyduję się na niebieskie szpilki wykończone cudownym żółtym szwem i postanawiam zrobić jej niespodziankę. Kupuję w małej mydlarni dwie kulki do kąpieli i zabawne zielone mydło z zatopionym liściem, który przypomina liść laurowy, i z kolorowym pudełkiem w ręku postanawiam do niej wskoczyć na pięć minut. Obliczam, ile czasu potrzebuję na dojazd i powrót, i wychodzi mi, że powinnam w pięćdziesiąt minut obrócić w obie strony, czyli na pogadanie zostanie nam z piętnaście. W sam raz jak na niezapowiedzianą wizytę.

Mam nadzieję, że wybije ją z uporu i wreszcie znów zaczniemy rozmawiać. A może stres już jej minął i na powrót stanie się moją radosną Magdą? Zapomniałam, że w wakacje ruch jest mniejszy, i docieram pod jej dom już po dwudziestu minutach, po czym włącza mi się opcja detektywistycznego sprytu. Mijam jej posesję i parkuję dwa domy dalej, tak by moja honda nie wywołała u niej paniki. Jak zadzwonię, pewnie pomyśli, że to listonosz czy ktoś w tym rodzaju,

i bez większych ceregieli otworzy. A wtedy głupio jej będzie nie wpuścić mnie do środka.

Zadowolona wysiadam z samochodu i nowym, równym chodnikiem dochodzę do furtki, która otwarta na oścież wywołuje u mnie jeszcze większy uśmiech. Wiem, że niespodzianka mi się uda, i to bardzo, bo Magi nie ma w drzwiach wizjera i żeby zobaczyć, kto stoi za progiem, będzie musiała otworzyć. Podchodzę bliżej i słyszę radosne głosy dobiegające chyba z ogrodu, postanawiam więc starym zwyczajem objawić się jej z niespodzianką w rękach na tarasie. Wołam co prawda „halo”, ale skoro nikt mi nie odpowiada, prę do przodu, uważając, by nie deptać wszędobylskich kępek kwiatów. Drewniany taras wytłumia stukot nowych szpilek. Nikogo na nim nie ma, choć nosi ślady czyjejs obecności w postaci kieliszków i butelki po szampanie w kubelku pełnym wody, ze smutnymi krążkami lodu. Chichot dobiega jednak z salonu i robię się zazdrosna, bo świadczy to o tym, że moja przyjaciółka z kimś się świetnie bawi i tylko mnie do tej zabawy zaprosić nie chce. Podchodzę bliżej i całą moją niespodziankę trafia szlag. Naga Magda siedzi przed nagim Olafem i usiłuje nakarmić go wielką czerwoną truskawką zamoczoną w stojącej obok miseczce z bitą śmietaną. Jest tak skupiona na tym, by owoc trafił do jego ust, że nie słyszy, jak staję w otwartych drzwiach balkonowych. Olaf najwyraźniej jednak wyczuwa ruch, bo niespodziewanie się odwraca i zamiera na mój widok.

– Nina?

Oczy Magdy z przymrużonych seksownie szparek zmieniają się w dwa wypukłe melony, a chwycona pospiesznie poduszka nie jest w stanie zakryć jej nagości. Ciskam prezent daleko przed siebie na podłogę i uciekam najszybciej jak potrafię. Wybiega za mną goły Olaf i krzyczy, że to nie tak, jak myślę, ale już mijam furtkę i dopadam do samochodu. Wiem, że w stroju Adama nie będzie miał odwagi pobiec za mną, i się nie mylę. Stoi spanikowany za płotem. Nie wiem, czym się przejmuje. Powinien chyba być szczęśliwy, że wreszcie nie musi udawać, a tajemnica przestała być tajemnicą.

Teraz rozumiem, dlaczego Magdzie tak trudno było szczerze porozmawiać, bo też nie potrafiłabym powiedzieć przyjaciółce, że zakochałam się w jej chłopaku. Zresztą wcale nie wiem, czy się kochają, czy tylko przeżywają cielesną fascynację, i przestaje mnie to obchodzić. Trzęsę się cała i dygoczę. Udaje mi się wjechać w pierwszą boczną uliczkę, tak że staję się dla nich niewidoczna, i opieram czoło o kierownicę. Nie płaczę. Nie panikuję. Nie czuję, że umieram. Jestem wściekła i rozgoryczona. Czuję się oszukana i mam pretensje do siebie, że byłam taka naiwna. Głupia i zaślepiona. Że bystra i mądra kobieta, która od czasu do czasu dochodzi we mnie do głosu, tym razem milczała i mnie nie ostrzegła, zignorowała sygnały, a przecież była ich cała masa.

Wierzyłam w to, w co chciałam wierzyć, i byłam głucha na wszystko inne.

Nie jestem rozczarowana Olafem. Nie, to nieprawda. Oczywiście, że jestem, ale nie zagłuszy tego, jak zraniła mnie Magi. Mam wrażenie, że to ona mnie zdradziła, a nie mój facet. Przecież to niemożliwe, by zakochać się mimo wszystko i wbrew sobie. Dlaczego ona mi to zrobiła? Moja najlepsza przyjaciółka.

Bardzo boli mnie jej utrata i pewnie dlatego znajduję siłę na to, żeby wrócić do domu i systematycznie, półka po półce, spakować rzeczy Olafa. Bez hysterii, wyrzucania ciuchów przez okno i cięcia koszul. Gdy opróżniam pierwszą szafkę i jego dwie szuflady z kosmetykami w łazience, do domu wchodzi on. Udaję, że tego nie słyszę, i do prawie pełnego worka z nonszalancją dorzucam czarną szczoteczkę do zębów.

– Możemy porozmawiać?

Cisza. Nie mam zamiaru się odzywać. Odpowiadam mu milczeniem, a jednak w końcu wyprowadza mnie z równowagi i po nie wiem którym powtórzeniu tego samego pytania wreszcie rzucam:

– O czym?

– O całej sytuacji, o nas.

– Nie ma nas.

– Nie mów tak, proszę.

– Nie ma nas i nigdy nie było! Zapomnij o tym, że się znaliśmy.

– To nie tak, jak myślisz.

– Pieprzyliście się w ramach zajęć jogi?

– No nie, głupio wyszło...

– Nie chcę tego słuchać. Zabieraj swoje rzeczy. Wszystkie. Nie chcę, żebyś tu po coś wracał. Nie chcę cię więcej widzieć.

– Nie możemy tego tak zakończyć.

– Masz rację. Nie my kończymy, tylko ty, a w zasadzie wy to skończyliście.

Wypieprzaj z mojego życia.

– Jeszcze wczoraj mówiłaś, że mnie kochasz.

– Kłamałam.

– Dlaczego nie dasz mi szansy?

Staję wyprostowana jak struna i patrzę mu w oczy. Jest nieco blady, a cień zarostu powoduje, że wygląda marniej niż w rzeczywistości. W jednej chwili przestał wydawać się przystojny i miły. Widzę w nim kogoś, kto z premedytacją chciał mnie skrzywdzić, i wiem, że do końca życia nie przestanę tak o nim myśleć. Jak mogłam być tak głupia, by uwierzyć, że ktoś mnie jeszcze pokocha? Tak naiwna, by nabrać się na jego słowa? Tak spragniona czułości, by nabrać się na ciepło jego dłoni? W mojej głowie kołocze się tylko jedna myśl: co powiem dzieciom, jak przeżyją kolejną stratę, jak zniosą kolejne odejście kogoś bliskiego.

Nie pozwalam Olafowi się wytłumaczyć. Nie odbieram natarczywych telefonów od Magdy i nawet gdy ona sama niespodziewanie pojawia się w moim

domu, udaję, że jej nie widzę. Nie docierają do mnie żadne ich słowa, a właściwie to ja nie dopuszczam niczego do siebie.

Wreszcie poddają się i wychodzą. I nie interesuje mnie, czy wyszli razem czy osobno. Jest mi obojętne, gdzie Olaf się zatrzyma i co wydarzy się dalej. Cieszę się, że nie zdążyłam go zatrudnić i że nie podżyrowałam mu kredytu. Jednak mam trochę szczęścia.

Siedzę w ciemnym salonie skulona na kanapie. W zamkniętych drzwiach tkwi klucz, żeby nikt nie mógł ich w nocy otworzyć. Zamknęłam też drzwi między domem a garażem, tak na wszelki wypadek, bo nie chcę niespodzianki w postaci Olafa na kanapie o poranku. Wyłączona komórka i tak co chwila pobrzękuje, a ja nie mam siły rozmawiać nawet z Anią o tym, co słychać u dzieci. Piszę tylko krótkiego esemesa, że jestem w kinie i zadzwonię jutro.

Zastanawiam się, po co mi było to wszystko, i obiecuję sobie, że już nigdy z nikim nie zamieszkać, nie będę nikogo słuchać i nigdy w życiu się nie zakocham. Po co szukać kogoś, gdy można być szczęśliwym ze sobą.

Pytanie tylko: czy można?

w sprzedaży tej autorki

NINA MAJEWSKA

# BROWN



grzech

Gdy tajemnica staje się przedmiotem piękła



## grzech

Poznaj historię kolejnej kobiety



biad!

Stoję w zawałonej brudnymi naczyniami kuchni i od kilku minut usiłuję zmusić moje dziecko do przyścia na posiłek. Sterty umazanych sosem talerzy piętrzą się w zlewie, szklanki z resztkami na dnie porozstawiane są wszędzie, nawet na wąskim okiennym parapecie, wciśnięte między doniczkę z paprotką a konewkę, i półce z przyprawami.

Czuję, jak podłoga przykleja się do granatowych bawełnianych espadryli, które przy każdym podniesieniu stopy wydają nieprzyjemny dźwięk, przypominający cmoknięcie starca. Wszystko jest nie tak, jak miało być.

– Obiad! Monika! Ostatni raz wołam!

Kolejny raz odpowiada mi cisza.

Moja nastoletnia córka, której od kilku miesięcy wydaje się, że jest dorosła i wszystko wie najlepiej, jak zwykle zadekowała się w swoim pokoju i albo udaje, że nie słyszy, albo siedzi ze słuchawkami na uszach przed komputerem, zagubiona w wirtualnym świecie.

Zsuwam buty, żeby klejącymi się podeszwami nie roznosić po całym domu mazi zgarniętej z białych kafli, i idę do pokoju córki. Ciepła beżowa wykładzina przyjemnie łaskocze stopy i skrupulatnie ukrywa kłęby kurzu, które zapewne zalegają w każdym kącie, przytulone do białych przypodłogowych listew.

Tak jak podejrzewałam, drzwi do pokoju Moni są zamknięte, a cień na szybie pociętej białym szprosem w niewielkie prostokąty jednoznacznie wskazuje, że okienna roleta jest spuszczone. Chwytam za klamkę, która z cichym skrzypnięciem się poddaje, i otwieram drzwi. Jeszcze nim przekroczę próg, uderza mnie ciężkie powietrze i zaduch, który krzyczy, że przez ostatnie dni nikt nie kiwnął palcem, by przewietrzyć pokój.

– Monika?

Znowu odpowiada cisza, a moje serce zaczyna coraz gwałtowniejszy galop. Pierwsza myśl jest taka, że młoda źle się czuje i śpi, ale gdy wzrok przyzwyczaja się do ciemności, konstatuje, że łóżko jest puste, podobnie jak pokój.

Ten zresztą wygląda tak, jakby przeszło przez niego tsunami, zawróciło i wdarło się ponownie. Wszystkie szafy, szafki i szafeczki są pootwierane, smutno prezentując sterty zmiętej odzieży, która w różnym stopniu skłębienia, ze śladami wielokrotnego noszenia, wysypuje się na podłogę. Wykładzina upstrzona jest



okruchami, które boleśnie wbijają się w bosc stopy, a łóżko wygląda tak, jakby stado kloszardów dopiero co je opuściło, pozostawiając na pamiątkę brudne skarpety, zużyte chusteczki, papierki po słodyczach i wymięte czasopisma.

Przeciskam się między wezłowiec łóżka a ścianą oklejoną plakatami z wizerunkami ludzi, których nie znam, nie kojarzę, a patrząc na ich stylizacje, z pewnością nie podziwiam, i wreszcie docieram do okna. Pozbawiony osłony firanki parapet stał się jeszcze jedną płaszczyzną, gdzie można coś postawić, i teraz zapełniają go książki, płyty i talerz z kanapką, która – porośnięta zieloną pleśnią – podbija nowe terytoria, wrastając w podstawkę doniczki z uschniętym miniaturowym fikusem.

Śmierdzi tak, że żołądek usiłuje wepchnąć mi się do gardła. Ciągnę za niegdyś białą taśmę rolety i pokój zalewa rażące światło słoneczne, które obnaża poziom zdewastowania niegdyś cukierkowego pokoju mojego dziecka. Wygląda to tak, jakby szafki i szuflady zachorowały na rotawirusa i zwymiotowały na podłogę całą zawartość, mieszając kosmetyki z odzieżą, lakiery do paznokci z książkami i buty ze sztywnymi paprociami noszonych rajstop, na których wyraźnie odznaczają się kształty pięt i palców.

Jeszcze kilka tygodni temu myślałam o sobie, że jestem dobrą matką, która przez lata podszyte cierpliwością i czasem poświęconym latorośli wypracowała sobie pełen empatii, akceptacji i obustronnego zrozumienia kontakt z dzieckiem.

Tymczasem okazało się, że mieszkam z młodą kobietą będącą zbuntowanym zaprzeczeniem wszelkich wpajanych jej z taką pieczołowitością wartości, której zupełnie nie rozumiem i która z pewnością nie chce zrozumieć mnie. To tak jakbym zamieszkała z kosmitą nadającym zaszyfrowanym kodem i mającym zupełnie inne życiowe potrzeby.

Jestem zdegustowana, zła i siłą woli powstrzymuję się od chwycenia za odkurzacz. Zamiast czarnej rury zakończony szczotką w mojej ręce ląduje telefon. Wciskam guzik, sprawdzam ostatnie połączenia i po raz szósty wybieram pierwszy numer z listy. Po chwili ciszy i miarowego pikania o dziwo słyszę głos córki. Sprawia wrażenie, jakby właśnie się obudziła.

– Halo?

Brzmi to raczej agresywnie niż miło i załącza mi w głowie opcję wkurzonego rodzica.

– Monika, do cholery ciężkiej, gdzie jesteś?

– Jezu, nie lataj.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy przeszły na ty. Gdzie jesteś?

– A bo co?

– Bo miałaś być w domu.

– Znowu się czepiasz?

– Umówiliśmy się, że zjemy obiad i pojedziemy do centrum handlowego.

Pamiętasz?

– No.

– Co: no? Masz natychmiast wracać.

– Bo co?

– Bo cię o to proszę. Gdzie jesteś?

– Z Julką w galerii. Nie wiem, po co chcesz tu przyjeżdżać, obeszyliśmy sklepy i nie ma nic ciekawego, no, może poza kilkoma rzeczami.

– Wracaj, proszę. Za godzinę masz być w domu.

– Spoko, co się tak wkurzasz?

Klik. Jestem osłabiona. Odechciało mi się jedzenia, zakupów, wypoczynku na kanapie i oglądania telewizji. Odechciało mi się być w domu, mieć dzieci i chodzić do pracy. Czuję się bezradna, pozbawiona jakiegokolwiek motywacji i chęci do działania. Nie wiem, co zrobiłam nie tak, ale gdzieś z pewnością popełniłam błąd – i to wielki.

Wracam do pobojuwiska w kuchni i spod sterty naczyń wygrzebuję ulubioną filiżankę w drobne kwiatki. Włączam czajnik elektryczny i staram się głęboko oddychać, licząc do dziesięciu. Nigdzie nie mogę znaleźć koszyczka, do którego mogłabym wsypać listki ulubionej czarnej earl grey. Wystarczyło, że wyjechałam na trzydniową wycieczkę, a dom zmienił się w spelunę. Otwieram kolejne szafki i przerzucam łyżki, sitka, tarki w poszukiwaniu niewielkiego okrągłego przedmiotu, który wydaje się zbyt mały, by można go dostrzec w stosach, jak się okazuje, nie do końca potrzebnych i używanych akcesoriów kuchennych. Już dawno powinnam części z nich się pozbyć, zawsze jednak coś okazywało się pilniejsze i ważniejsze niż drewniane chochle i metalowe łyżki.

Wreszcie dostrzegam znajomy kształt w czarnej zaschniętej plamie na zlewie, tuż za baterią, wypchany do granic możliwości starą, zaparzoną Bóg wie kiedy herbatą...

Wyrzucam zawartość zaparzarki do kosza i manewrując między przykrywką garnka a talerzem, usiłuję domyc ją pod bieżącą wodą. Jednocześnie czuję, jak krew gwałtowniej pokonuje kolejne tętnice i rozbija się w mózgu, wiodąc mnie prostą ścieżką ku eksplozji.

Zalewam herbatę wrzątkiem i ostrożnie zanoszę filiżankę ze spodeczkiem do naszego niewielkiego salonu. Szklana ława jest zawałona czasopismami pootwieranymi na różnych stronach, prezentujących modę nie wiadomo dla kogo, bo na ulicę w tych kreacjach nie da się wyjść, kosmetyki zdecydowanie nie na moją kieszeń i zakreślone testy psychologiczne.

Zrzucam je jednym ruchem na wykładzinę, stawiam na blacie parujący napój i gdy już mam wygodnie opaść na miękkie poduszki, mój wzrok pada na szczególnie mocno pozaginany egzemplarz jakiegoś babskiego pisemka, który grubą czcionką publikuje test psychologiczny pod tytułem *Czy jesteś damą*.

Z zaciekawieniem przyglądam się zakreślonym odpowiedziom córki i ocenie mojego dziecka wyrażającej się liczbą uzyskanych punktów.

Okazuje się, że Monika nie tylko ma zadatki na damę, ale już nią jest. Ze zdumieniem czytam pod zakreślonym podsumowaniem na poziomie 55–60 punktów o niewymuszonej subtelności i wrodzonej empatii, elegancji i umiejętności zachowania się w każdych okolicznościach, o tym, że czeka ją niezwykła przyszłość i życie pełne luksusów, niekoniecznie tych związanych z materialnym aspektem, a wynikających raczej z umiejętności doceniania chwili i cieszenia się nią. O byciu mistrzynią dialogu i zaufaniu, które budzi.

Nie powiem, żebym nie była zdziwiona. Nie wiem czym bardziej: tym, że nie dostrzegam tej elegancji we własnym dziecku, czy raczej tym, że Monika tak siebie ocenia.

Z zaciekawieniem wpatruję się w pytania i pięć odpowiedzi, z których powinnam wybrać tę najlepiej opisującą moją osobowość.

5. Na ważnym spotkaniu biznesowym nie lubianej koleżance rozpiął się rozporek:

- a) nie zwracasz na to uwagi ..... 1
- b) głośno zwracasz uwagę koleżance ..... 2
- c) w duchu cieszysz się, że to nie ciebie spotkało ..... 3
- d) na migi pokazujesz, w czym problem ..... 4
- e) dyskretnie podchodzisz i cicho zwracasz jej uwagę ..... 5

Co za bezsens.

8. Sprzedawczyni w sklepie jest niemiła i ostentacyjnie nie ma ochoty cię obsłużyć:

- a) głośno domagasz się swoich praw i robisz awanturę ..... 1
- b) głośno życzysz sobie rozmowy z przełożonym ..... 2
- c) głośno komentujesz zachowanie sprzedawczyni i wciągasz innych w dyskusję ..... 3
- d) zachowujesz się równie niemiło jak ona ..... 4
- e) wychodzisz, zakupy zrobisz w innym sklepie ..... 5

Chryste, kto układa te psychotesty? I jak można wierzyć w uzyskany wynik? Podciągam nogi, siadam po turecku i właśnie gdy mam chwycić filiżankę, dostrzegam grube czasopismo otwarte na artykule, którego autor każe mi zastanowić się nad tym, czy jestem szczęśliwa. Sięgam po nie, ale nim zacznę czytać, przemykam oczy i zastanawiam się, czy *jestem*.

W tej chwili zdecydowanie szczęście mnie nie rozpiesza, jestem zła, wkurzona i z pewnością nie mam dobrego nastroju.

Nim się orientuję, mój wzrok prześlizguje się po kolejnych zdaniach mówiących o tym, że szczęście mamy w głowie, że tylko od nas zależy, czy potrafimy je dostrzec, że każdy może być szczęśliwy, i takie tam. Teoretycznie to

wszystko prawda, tylko nie bardzo wiem, jak mam odnaleźć ukojenie w miejscu, w którym się znalazłam. Brudnym, zapuszczonym mieszkaniu, córce, dla której przestałam być ważna, no, może poza coraz częstszymi momentami, gdy prosi o pieniądze.

Mam czterdzieści dwa lata, jedno dziecko, jednego męża, który odszedł pięć lat temu, zapomniawszy się ze mną rozwieść, do rudej Klaudii mieszkającej dwie klatki dalej i teraz jestem zmuszona ich widywać pochyłonych nad czerwonym wózkiem. Jedno niewielkie mieszkanie, za to dwa etaty, żeby je utrzymać. Jedno zdrowie, które ostatnio nie chce ze mną współpracować, i jeden samochód, który niemal pamięta rok narodzin mojej córki. I jeszcze jedną tajemnicę, której nie mogę nikomu wyjawić, a która coraz częściej spędza mi sen z powiek i zajmuje myśli.

Mam też w sobie niekończące się pokłady niepewności, co wydarzy się jutro, czy nie stracę pracy, czy wystarczy nam do pierwszego i czy dam sobie z tym wszystkim radę. Upijam łyk letniego już naparu i przebiegam wzrokiem kolejny akapit o tym, że powinnam mieć plan, określić, co sprawia, że jestem szczęśliwa, gdzie chciałabym znaleźć się za rok albo pięć lat, zając się sobą i nie pozwolić, by inni mnie tłamsili. Że ja też jestem ważna i mam swoje prawa.

Zanim ustosunkuję się do tych śmiałych teorii, dzwoni domofon i muszę podejść do drzwi. Przy okazji miesięcznik zsuwa się z kanapy i z głośnym plaśnięciem spada na podłogę, zamykając się i ukrywając treść artykułu.

Wciskam srebrny prostokącik i mówię:

– Słucham?

– To ja.

*Ja* okazuje się moją córką, która jak zwykle zapomniała klucza albo zwyczajnie nie miała ochoty grzebać w torebce. Słyszę głośne kroki na schodach i jeszcze głośniejszy śmiech – pewnie gada przez telefon. Jak na damę przystało... Monika zachowuje się zdecydowanie zbyt swobodnie, nie licząc się z obecnością za ścianą starszych państwa Baranowskich, schorowanej pani Daszyńskiej zajmującej kawalerkę po drugiej stronie korytarza i półrocznych bliźniaków piętro niżej, które drą się niemal bez przerwy. Przez wizjer widzę, jak zbliża się do drzwi. Nim je otworzy, na palcach w pośpiechu biegnę w stronę kanapy, sięgam po zimną herbatę i udaję zrelaksowaną... choć sama nie wiem po co.

Monika z łośkotem zamyka drzwi, rzuca w przestrzeń „cześć” i nie zdejmując butów, usiłuje zniknąć w swoim pokoju.

– Monika!

Zamiast miłego „słucham?”, jak przystało na damę, słyszę wymamrotane pod nosem „kurwa”.

– No? – Nadąsana pojawia się w drzwiach i opiera o sosnową białą futrynę.

Spoglądam na nią i w lekkim oszołomieniu nie mogę oderwać wzroku.

Gdzieś zniknęły blond loki, a na ich miejscu pojawiły się różowe strąki natapirowane we wszystkie możliwe strony świata, sprawiając, że moje dziecko wygląda jak gigantyczna wata cukrowa nadziana na czarny patyk wąskiej, długiej do ziemi sukienki.

– Jezu, coś ty zrobiła?

– A co, nie podoba się? Jak zwykle. Nigdy nie możesz powiedzieć nic pozytywnego, tylko stale masz jakieś pretensje.

– Wolalabym wiedzieć o twoich planach związanych z wizerunkiem i móc je omówić.

– I tak byś się nie zgodziła.

– No właśnie.

– Widzisz? Sama sobie odpowiedziałas. Ojcu się podoba.

– Pokazałaś mu się w takim stanie?

– To nie żaden stan! Nie rozumiesz? Spytałam go, a on powiedział, że moje ciało to moja sprawa!

Co się z nami stało, że rozmawiamy jak obcy, niekoniecznie życzliwie do siebie nastawieni ludzie? Chciałabym ją przytulić, pogłaskać, ale jakaś nieznama siła powstrzymuje mnie od wykonania jakiegokolwiek gestu. Obłąd. Podejrzewam, w zasadzie mam nadzieję, że Monika odczuwa podobną potrzebę, i tylko, podobnie jak mnie, coś nie pozwala jej przekroczyć granicy.

Nie potrafię dotrzeć do sedna problemu, nie dostrzegam momentu, od którego zaczęły się psuć nasze relacje. Monia nie zmieniła szkoły ani towarzystwa, w naszym życiu też nie zaszły żadne większe zmiany, no, może poza odejściem Pawła, a jednak coś się stało. Coś, czego nie potrafię nazwać i z czym nie umiem podjąć walki.

– Usiądź, proszę.

– Po co?

– Chciałam z tobą porozmawiać.

– O czym?

Monika nawet najmniejszym gestem nie zdradza jakichkolwiek emocji. Stoi wklejona w futrynę i patrzy na mnie jak na głupią. Z jej oczu wyczytuję lekceważenie i niechęć, by wykonać krok w moją stronę.

– Usiądź, to się przekonasz.

– Nie możesz mnie zmusić.

– Przecież cię nie zmuszam! Zwyczajnie proszę. Kurczę, co się z nami porobiło?

– Nic, a co się miało porobić? – Wzrusza ramionami, wpatrzona w pejzaż obsrupanego bloku za oknem.

Nie znoszę, gdy na moje pytania, obawy, sugestie nie odpowiada, tylko powtarza moje kwestie, zmuszając mnie do monologu, który zapewne wpływa jej

jednym uchem, ociera się bez zrozumienia o zwój w mózgu i wypływa drugim.

– Czy ty naprawdę nie widzisz, że jakoś nie możemy się porozumieć?

– Bo ty nie chcesz, tylko mnie krytykujesz i nic więcej!

– To nieprawda!

– Oczywiście, że prawda!

– Monika, nie podnoś głosu!

– Bo co? Nie podoba ci się moja fryzura, znajomi, oceny, nie podoba ci się, jak wychodzę z domu, a jak zostaję, też się czepiasz. Nawet ojciec nie mógł z tobą wytrzymać.

Bolesny cios poniżej pasa sprawia, że zupełnie się załamuję. Sięganie po argument w postaci zdrady Pawła jest zdecydowanie nie w porządku i nie mam już siły na kontynuowanie dyskusji. Wstaję z kanapy, przy okazji strącając na jasną wykładzinę filiżankę, która bezgłośnie pęka. Resztką ciemnego płynu rozlewa się burą plamą obok nogi ławy, mocząc jedno z czasopism.

Nic mnie to nie obchodzi. Zamykam się w sobie, w milczeniu mijam córkę, nadal wciśniętą między drzwi a komodę, i powoli człapię do maleńkiej sypialni, która coraz częściej staje się całym moim światem. Zamykam drzwi na klucz i opadam na łóżko. Wsuwam się pod białą, wydzierganą na grubych drutach kapę i pozwalam, by gorycz i żal zawładnęły moim ciałem. Jest mi tak źle, tak przykro i czuję się tak skrzywdzona, że mam ochotę umrzeć. Od dawna przestałam dostrzegać jakikolwiek sens w tym, co robię. Praca nie przynosi dochodu, który pozwoliłby mi spokojnie funkcjonować, dom – ukojenia, a dziecko – motywacji, by dalej się starać. Czuję się nikomu niepotrzebna. Niepotrzebna samej sobie. Czuję się nikim.

Pozwalam, by łzy rozmazały makijaż, a plamy czarnego tuszu wsiąkły w błękitną pościel. Jest mi to obojętne. Dlaczego to zawsze ja muszę się starać, dbać, przewidywać, planować. Mam dosyć. Wycieram głośno nos w kolejne chusteczki higieniczne o wstrętnym aromacie mięty, który tylko podrażnia nos i oczy i sprawia, że czuję się jeszcze gorzej. Po chwili na podłodze piętury się stos ligniny, a ja jestem coraz bardziej zmęczona. Jak przez mgłę słyszę, że Monika początkowo cicho i delikatnie, a w końcu głośno i natarczywie dobija się do drzwi.

– Mamo? Mamo! Wszystko OK?

I znowu coraz głośniejsze pukanie.

– Mamo, przepraszam. Nie chciałam. Mamo, otwórz! Mamo, dobrze się czujesz?

Nie chcę jej widzieć, nie mam ani ochoty, ani siły na dyskusje.

– Nie, nie czuję się dobrze. Zostaw mnie.

– Mamo, nie wygłupiaj się.

Moje emocje to głupota, zły nastrój to złośliwość, a złe samopoczucie to próba zwrócenia na siebie uwagi! Słyszę spanikowany głos Moniki, ale nie mam

ochoty na patrzenie w jej landrynkową buzię otoczoną różowymi włosami i z ustami wymalowanymi niemal fluorescencyjną różową szminką pod tytułem „bierz mnie”.

Jestem zmęczona, zrozpaczona i pozbawiona motywacji, zasypiam snem skazańca i pozwalam, by kolejne senne koszmary wylewały się z podświadomości, odbierając resztki spokoju i przepędzając ukojenie i wypoczynek, które powinien dać sen.

Text copyright © by Nina Majewska-Brown 2017

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd.,  
Poznań 2017

#### Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Piotr Majewski

#### Fotografie na okładce

- © goodmoments / Adobe Stock
- © creativefamily / Adobe Stock
- © Giorgio Pulcini / Adobe Stock
- © zhu difeng / Adobe Stock
- © Yeko Photo Studio / Adobe Stock
- © pon301229 / Adobe Stock
- © Monika 3 Steps Ahead / Adobe Stock

#### Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:  
*Nina*, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-829-8

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)



Plik opracował i przygotował Woblink



woblink.com

